

PODINSPEKTOR SUDER NIE MA JUŻ NIC DO STRACENIA.
ZOSTAŁA MU TYLKO ZEMSTA.

MAREK
STELAR
NIEPAMIĘĆ



FILIA

MAREK
STELAR
NIEPAMIĘĆ

FILIA

Nazywam się Dariusz Suder. Podinspektor Dariusz Suder, radca w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Szczecinie. Pełnię funkcję szefa Zespołu do spraw Międzynarodowej Współpracy Policji. W zasadzie jestem byłym szefem tej komórki; wygląda na to, że to już tylko kwestia czasu. Mam czterdzieści dziewięć lat i tytanową płytkę w czaszce. Jestem sam jak palec. Nie pamiętam sporej części swojego życia, wiele jego fragmentów straciłem bezpowrotnie. Mam jedynie świadomość, że moje życie już dawno temu przestało mieć jakikolwiek sens. Dla mnie na pewno, choć nie wiem, w którym momencie. Nie pamiętam. Dla innych... Dla innych pewnie też, być może nawet dużo wcześniej niż dla mnie samego. I choć tego nie pamiętam, wiele wskazuje również na to, że popełniłem zbrodnię. Niejedną zbrodnię...

Moje życie można podzielić na:

PRZED

– Ciekawe, dlaczego mężczyźni zdradzają swoje żony?

Wszystkiego mógłbym się spodziewać w takiej chwili, ale to pytanie, które nagle pada i zostaje między nami jak żelazna kurtyna, niemal zwała mnie z nóg. Taka analogia ataku kaszlu na widowni podczas koncertu uznanej śpiewaczki operowej, kiedy pełna melomanów sala zamiera ze zgrozy i zgorszenia. Coś nieoczekiwanego i równocześnie wyjątkowo nie na miejscu; przecież przed chwilą skończyliśmy się kochać. To prawda, lubię bezpośredniość Marty, jej brutalną szczerość i bezkompromisowe sądy, jakie często wygłasza na przeróżne tematy. Pod tym względem jesteśmy do siebie dość podobni. Ale tym razem chyba przesadziła. Odrobinę.

Patrzę, jak leży naga na łóżku, przypala sobie moją zapalniczką papierosa wyciągniętego z mojej paczki i zerka na mnie wzrokiem podszytym kpina. Uwielbiam, kiedy jest tak bezwstydnie naga; kiedy nie krępuje się swoją nagością, zachowuje się naturalnie i z wdziękiem równocześnie. Uwielbiam na to patrzeć. Co nie zmienia faktu, że przesadziła, zadając to dziwne pytanie, pytanie nie na miejscu.

– Naprawdę chcesz to wiedzieć, Marta? – pytam spokojnie, ponieważ wiem, że nie zdenerwuję się na nią, bo mimo swego wybuchowego charakteru nie potrafię się na nią złościć. Nie potrafię: wiem to, ona też to wie, ale mimo to drażę dalej: – Chcesz to wiedzieć czy tylko chcesz mnie podkurwić?

Odchyła głowę do tyłu i wydmuchuje dym wysoko pod sufit. Jej ciało wypręża się w zgrabny łuk, który zachwyciłby niejednego rzeźbiarza. Piersi kołyszą się lekko i mój wzrok przyciąga mała brązowa plamka na skórze tuż pod ostatnim zębem. Czasem dotykam jej palcem, mówię, że przypomina mi kształtem Francję, a Marta po raz kolejny opowiada, jak to dzięki niej jej mama była pewna, że odbiera z porodówki swoje dziecko. Teraz jej nie dotykam, tylko patrzę na nią; patrzę na małą brązową Francję i patrzę na wygiętą szyję Marty i na to, jak jej skóra napina się na krawędziach żuchwy. Widzę, jak gęste, połyskujące włosy zsuwają się z poduszki, rozlewając się na skotłowane prześcieradło czarną kaskadą.

– Owszem – odpowiada mi Marta. – Czasem chcę to wiedzieć naprawdę. Mówię poważnie, Darek. Chcę znać powód.

– Byłaś kiedyś mężatką, to powinnaś go znać.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Czyżby?

– Czyżby.

– No dobrze. Więc mam na myśli to... – mówię powoli, zastanawiając się nad każdym słowem, i podchodzę do łóżka, żeby położyć się obok niej – ...że powód, z którego mężczyźni zdradzają swoje żony, jest dokładnie taki sam jak ten, z którego kobiety

zdradzają mężów.

Wyjmuję jej papierosa z ust i zaciągam się. Marta sięga po pudełko leżące na szafce nocnej i wyciąga nowego.

– Bardzo odkrywczе – stwierdza z przekąsem, wkładając go sobie między wąskie wargi.
– Ale nie zgadzam się z tym.

– Nie?
– Nie. – Kręci głową, papieros kołysze się w ustach, włosy szeleszczą na pościeli. – Kobiety robią to z powodu swoich marzeń.

Sięga po zapalniczkę, zapala papierosa i wydmuchuje dym nosem.
– Jakich marzeń? – pytam zaczepnie. – O czym marzą te kobiety, puszczając się z pierwszym lepszym?

Znowu spogląda na mnie tymi swoimi cholernie inteligentnymi oczami, błyskającymi spod czarnych, zmarszczonych brwi chłodem Moskwy. Prowokacyjnie i wojowniczo.

– Marzą o pięćdziesięciu twarzach Greya. Że spotka je coś takiego, jak tamtą dziewczynę z książki i filmu. Że Grey oderwie je od garów, dzieci, zapracowanego i wiecznie nieobecnego męża i da parę chwil szczęścia i spełnienia. Nawet jeśli to będzie tylko te parę chwil. Ale będą je wspominać do końca swojego ciężkiego, przegranego życia.

– Z tym wiecznie nieobecnym mężem pijesz do mnie?
Nie odpowiada, tylko sięga po popielniczkę.
– I co dostają? – pyta. – Zamiast pięćdziesięciu twarzy Greya dostają praśnego, bawarskiego pornosa.

– Zamiast wyrzeźbionej klaty, multimegaorgazmu w wielkim łóżu z baldachimem i nocy w białym jedwabiu mają szybki numerek z brudnym, nieogolonym i śmierdzącym tłusciochem z małą kuśką wystającą z kępy rudych kłaków? – kończę.

Ładna twarz Marty się krzywi.
– Mniej więcej. Malowniczo to ująłeś...
– Hmm... A ja? – pytam i trochę boję się usłyszeć odpowiedź, bo wiem, że będzie szczerą, szczerą do bólu.

Czasem myślę, że Marta potrafi i lubi zadawać ból. Nie fizyczny; po prostu lubi od czasu do czasu wbić komuś szpilę. Ale nie chcę jej o to pytać. Nie o to chodzi, żeby się tego dowiedzieć, ta niewiedza jest nawet lepsza, bo im mniej Martę znam, tym bardziej wydaje się egzotyczna, a przez to bardziej jej pożądam.

– Co: ty?
– Też jestem niedomytym bawarskim wieprzkiem? Z małą kuśką?
Obrzuca powłóczyстым spojrzeniem moje nagie ciało.
– Nie. Ale nie oszukuj się, Grey też z ciebie nie jest. Masz trochę sadełka tu i ówdzie, włosów już też nie masz zupełnie czarnych...

Patrzę na Martę. Znam ją. Zdażyłem ją poznać całkiem dobrze. Trochę szkoda. Chciałbym znać ją mniej, żeby ta chwila przesytu nie nadeszła zbyt szybko. Bo Marta jest warta grzechu. Jest egzotyczna, dla mnie. Kiedy wreszcie się nią nasycę, mój związek z nią straci rację bytu, zniknie ta egzotyka, która mnie w nim trzyma. Jestem świadomy, że przesyt nadejdzie za jakiś czas, za miesiąc, kwartał, pół roku, rok... Więc nie pytam Marty o pewne rzeczy, by odwlec tę chwilę jak najdłużej. Nie pytam o sprawianie bólu ani

o wbijanie szpil. Może zapytam o to kiedyś, ale na pewno nie dziś.

Strzepuję popiół z papierosa do popielniczki, którą Marta trzyma na brzuchu, kiedy nagle rozlega się dźwięk mojego telefonu.

– Nie odbierzesz? – W jej głosie słyszę lekkie rozbawienie.

Ignoruję ją. Ignoruję Martę i telefon. Po prostu gapię się przed siebie, na ścianę, wiszący na niej jakiś wielki bohomas, i nie myślę o niczym. Kompletnie o niczym.

– Przecież to twoja żona?

– Wiem – mruczę. – I co z tego? Śmiesz cię to?

Wzrusza ramionami.

– Nie. Ale właśnie w takich momentach chciałabym wiedzieć to najbardziej.

– Co?

– Dlaczego to robicie.

Obracam głowę w lewo i znów obrzucam ją uważnym spojrzeniem. Ale teraz patrzę już na nią inaczej niż przed chwilą.

Marta jest naprawdę ładna, choć niemłoda, tuż po czterdziestce. Jak moja żona. Inteligentna, diabelnie inteligentna. Tylko trochę bardziej niż moja żona. Ma niezłe ciało, z którym umie robić niezłe sztuczki. Ale moja żona też, choć Bóg jeden raczy wiedzieć, jak dawno temu miałem okazję się o tym przekonać. Ale Marta nie jest moją żoną. Może to dlatego? Marta jest jak hamburger, na którego wychodzisz na miasto, wiedząc, że w domu czeka na ciebie smaczny obiad. Dlaczego mężczyźni to robią? Dlaczego ja to robię? Też chciałbym to wiedzieć. Bardzo.

Telefon wreszcie milknie. Leżymy w ciszy, otoczeni nitkami papierosowego dymu, które snują się leniwie wokół nas, by uciec w końcu pod sufit. Tam kłębią się, aż w końcu znikają, rozpląnawszy się bez śladu w przesyconym zapachem seksu i fajek powietrzu.

Kiedy gasimy niedopałki, Marta odkłada popielniczkę na szafkę i rozchyła uda, gładząc się po nich posuwistymi ruchami drobnych dłoni; w górę i w dół, w górę i w dół...

– Zrób mi to językiem – żąda chrapliwie, zamykając oczy.

Zsuwam się na jej opalony brzuch, całując pępek, a potem jeszcze niżej, między nogi. Kładę dłonie na jej udach, naciągając miękką, chłodną skórę. Lubię ten kontrast między chłodem skóry kobiecych ud a gorącem ich wnętrza. Różowe, wilgotne wnętrza Marty jaśnieje zachęcająco pośród ciemnej plamy starannie przystrzyżonego trójkąta włosów łonowych. Czuję jej zapach, jej ciepło i czuję igielki w swoich lędźwiach. Marta kładzie ręce na mojej głowie i odchyła swoją. Zanim zatracam się w tym wnętrzu do reszty, widzę jej unoszący się i opadający w rytm coraz szybszego oddechu brzuch. Widzę brązową plamkę pod żebrem; małą brązową Francję. Widzę wyprężoną szyję i widzę tę napiętą na łuku szczęki skórę. Czuję jej ręce przyciskające moją głowę do jej łona. A potem czuję już tylko rozkosz, rozkosz, którą daję i którą biorę, i której nigdy dość.

Niedosyt.

Egzotyka.

Marta.

Kochanka w jej mieszkaniu zamiast żony w swoim domu. Hamburger zamiast obiadu.

Na zewnątrz było zimno jak cholera, i to już niemal codziennie. Zdarzył się nawet przymrozek, przyszedł niepodziewanie, zostawił na przednich szybach samochodów swój matowy, mokry ślad i zniknął, choć pewnie nie na długo. Złota polska jesień, która w tym roku była wyłącznie polska, bez walki ustępowała pola zimie, zupełnie nie przejmując się kalendarzem. U mnie w pracy było dokładnie na odwrót, przynajmniej ostatnio. A już dzisiejszy dzień miałem gorący jak lato, które było tylko odległym, zacierającym się w oparach jesiennych mgieł wspomnieniem.

Współpraca międzynarodowa policji to wbrew pozorom dość skomplikowana i specyficzna sprawa. Zwłaszcza w naszym regionie. Specyfika ta rozciąga się praktycznie na całą zachodnią granicę kraju i obejmuje polskie województwa zachodnie oraz przygraniczne landy niemieckie. Zachodniopomorska KWP jest jednak pod tym względem wyjątkowa, bo jedynie u nas powołano odrębną komórkę zajmującą się w całości tymi sprawami. W pozostałych komendach wojewódzkich są tylko oficerowie łącznikowi, którzy pośredniczą w kontaktach z Biurem Międzynarodowej Współpracy Policji w Komendzie Głównej. My mamy szeroką autonomię. Umowa zawarta z Niemcami pozwala nam na bezpośrednią współpracę z nimi w pełnym zakresie, i to bez pytania „warszawki” o cokolwiek: zgodę czy pozwolenie na choćby najmniejsze pierdnięcie w tej sprawie. Inaczej taki pościg za skradzionym w Ueckermünde samochodem czy za facetem, który porwał w Wołczkowie dziecko, skończyłby się pod tablicami „Rzeczpospolita Polska” i „Bundesrepublik Deutschland”.

Nasz Zespół do spraw Międzynarodowej Współpracy Policji liczy pięcioro ludzi, w tym Martę Kielan. Tak, tę Martę. Ja tym zespołem kieruję. Podlegamy bezpośrednio komendantowi wojewódzkiemu i bywa czasem, że mamy huk roboty. Jak teraz.

Dzisiejszy dzień miał być ukoronowaniem naszych kilkutygodniowych starań, mających na celu zorganizowanie i skoordynowanie spotkania roboczego polskich i niemieckich służb policyjnych. Tematem tej międzynarodowej niasiadówy była sprawa przejęcia transportu kokainy, która miała przypłynąć z Kolumbii *via* Rotterdam do Stralsundu, a stamtąd trafić do Szczecina. Po rozrobieniu towar miał być sprzedany na ulicach naszego pięknego miasta, i nie tylko, wszystkim chętnym i potrzebującym.

Nasze starania polegały głównie na wykonywaniu dziesiątków telefonów, wysyłaniu jeszcze większej liczby maili, przekładaniu terminów, organizowaniu zaplecza i tłumacza o odpowiednich kwalifikacjach oraz wysłuchiwanie żalów i tłumaczeń obu stron. Czasami miałem wrażenie, że pracuję z trudną młodzieżą w specjalnej placówce opiekuńczo-wychowawczej, a nie z dorosłymi ludźmi w poważnej, państwowej instytucji. Wszystko zakończyło się wreszcie ustaleniem konkretnej daty i godziny. Wypadały dziś, o jedenastej. Stosunkowo późna pora była efektem kompromisu, ustaliliśmy ją z grzeczności i ku wygodzie gości: funkcjonariuszy niemieckiej krajowej policji kryminalnej landu Mecklemburg-Vorpommern, Federalnego Urzędu Kryminalnego z Berlina i naszych z Komendy Głównej.

Spotkanie zaplanowałem w odrestaurowanej sali odpraw komendy. Ponadstuletni gmach przechodził właśnie ostatni etap kompleksowej renowacji, która przywróciła mu minioną świetność. Dawna siedziba Królewskiego Prezydium Policji, a potem Gestapo, UB i MO oraz WUSW przez wszystkie te lata swojego istnienia sporo wycierpiała: gryzł ją

zab czasu, deformowały ręce budowlańców i manifestantów, którzy w grudniu siedemdziesiątego nie zawahali się ich na nią podnieść i w dodatku jej podpalić.

Sala nie była zbyt przestronna, widać za *kaisera* w odprawach uczestniczyło tylko kilku najwyższych rangą funkcjonariuszy. Drewniany strop, na który po renowacji wrócił wielki i czarny jak noc pruski orzeł, wisiał zadziwiająco nisko i sprawiał wrażenie opuszczającej się prasy do wyciskania soku z winogron w tłoczni win. Niemile uczucie łagodziły trochę duże neogotyckie, ostrołukowe okna. Przebywając w tym pomieszczeniu, miałem mieszane odczucia, choć na pewno swoją kolorystyką oraz bogactwem i precyzją malatur robiło spore wrażenie.

Było dwanaście po jedenastej, kiedy wszyscy już zebrali się na miejscu. Niemcy ze zdziwieniem pomieszanym z zachwytem kontemplowali widok orła rozpościerającego swe skrzydła nad ich głowami, poprawiając tkwiące w uszach słuchawki i ustawiając ich zdalne odbiorniki na właściwy kanał. Komendant wojewódzki, nadinspektor Janusz Szewczyk, lekko otyły i wyjątkowo rzeczowy facet o dystygowanych ruchach, wstał i rozejrzał się po obecnych jak pies pasterski, który baczy, by żadnej z powierzonych jego opiece owiec nie wpadło do głowy bryknąć gdzieś poza pastwisko. Inspekcja wzrokowa wypadła zadowolająco, bo Szewczyk uśmiechnął się szeroko i złożył ręce, łącząc je opuszkami palców w sposób, w jaki robiło to wielu polityków przemawiających na forum publicznym. Musiał podpatrzeć ten gest gdzieś w wiadomościach.

– Witam serdecznie wszystkich zgromadzonych! – huknął, aż siedząca niedaleko tłumaczka skuliła się odruchowo. – Cieszę się, że nasze spotkanie doszło do skutku. Pozwolą państwo, że nie będę się rozgadywał, tylko od razu przekażę pałeczkę kolegom. Zabiorę głos na końcu, podsumowując nasze zebranie. Zacznie pan inspektor Suder, proszę bardzo. – Skinął głową w moją stronę i usiadł, kończąc gospodarskie powitanie.

Tłumaczka leciutko, niemal niezauważalnym ruchem odsunęła się od niego, poprawiając tkwiącą w uchu słuchawkę i sterczący przy ustach połączony z nią mikrofon.

Wstałem i zrobiłem taki sam gest, jak przed chwilą Szewczyk. Też oglądałem wiadomości, gdyby ktoś pytał. Przywołałem na twarz profesjonalny uśmiech i zacząłem swoją mowę powitalną.

– Państwo pozwolą, żeby dopełnić formalności, przedstawię się tym, z którymi się nie znamy: podinspektor Dariusz Suder, szef Zespołu do spraw Międzynarodowej Współpracy Policji KWP w Szczecinie. Chciałbym jeszcze raz powitać wszystkich państwa w murach naszej pięknej komendy, która właśnie dostaje niejako drugie życie... – Odruchowo spojrzałem na orła wypinającego na nas wszystkich swój tłusty, czarny kuper. – ... W dzisiejszym spotkaniu uczestniczyć będą przedstawiciele Bundeskriminalamt z Berlina: Kriminalrat Jonas Kästner z Referatu IK12 Wydziału Współpracy Międzynarodowej oraz Kriminalhauptkommissar Andreas Schymura z Referatu SO21 Wydziału Przestępczości Ciężkiej i Zorganizowanej. – Oczekałem króciuteńką chwilę, na szczęście nikt nie zechciał klaskać, co mnie bardzo ucieszyło. – Witam również gości ze Schwerin i Anklam, Landeskriminalamt w Schwerin reprezentują oficerowie Wydziału 4: Kriminalrat Jana Pringsheim, Kriminalrat Timm Bachmann i Kriminalhauptkommissar Reinhard Jauch, a Polizeihauptkommissar Helmut Piotrowski przyjechał do nas jako przedstawiciel KOST-Anklam. Centralne Biuro Śledcze Komendy Głównej Policji: podinspektor Janusz Kwilecki

z Wydziału do Zwalczenia Zorganizowanej Przemocności Narkotykowej, z Warszawy, a ze szczecińskiego Zarządu CBS naczelnik, nadkomisarz Robert Nowacki. Naszą komendę reprezentują poza panem komendantem: jego zastępca, inspektor Jacek Mołczun, pani naczelnik Wydziału Wywiadu Kryminalnego: młodszy inspektor Anna Tomaszewska, naczelnik Sztabu Policji: inspektor Tomasz Ostrowski oraz komisarz Marta Kielan z mojego zespołu. Witam wszystkich państwa, dziękuję serdecznie za przybycie, myślę, że możemy zaczynać...

Ja też uważam się za rzeczowego faceta, dlatego uznałem, że to wystarczy. Ostatni profesjonalny uśmiech i na tym moja rola w spotkaniu prawie się skończyła. Usiadłem na swoim miejscu, czując na nodze ciepło nogi Marty. Chyba po to właśnie poprosiłem ją, żeby również w nim uczestniczyła. Byłem nienasycony, nienasycony Martą, nawet w pracy. Delikatnie przesunąłem kolano w prawo i dotknąłem nim boku jej uda. Kątem oka widziałem, że jej twarz pozostała obojętna, jednak jej noga nie odsunęła się od mojej, wciąż dzieląc się ze mną swoim podniecającym ciepłem.

Ania Tomaszewska, naczelniczka Wywiadu Kryminalnego, zaczęła powoli wstawać, popatrując na mnie niepewnie, czy to aby na pewno jej kolej. Nie miałem zielonego pojęcia, ale mimo to uspokajająco i zachęcająco skinąłem głową. Wstała więc całkiem, ale nie wykonała gestu, jaki zrobiliśmy Szewczyk i ja. Może nie oglądała wiadomości, a może po prostu miała inny sposób na zrobienie czegoś z rękami w chwili, kiedy nie były potrzebne, a mimo to wszyscy się na nie gapili. Ania była niska, jednak obdarzona silną osobowością, wystarczyło więc, że lekko pochyliła się do przodu, dotykając palcami blatu stołu. Oparła się na nich i wzięła głęboki oddech.

– Nie będę się już witać, myślę, że wystarczy. – Spojrzała z uśmiechem na komendanta i na mnie, a na sali rozległ się szmer i pomruki rozbawienia, trochę opóźnione z niemieckiej strony. – Drodzy państwo, jakiś czas temu otrzymaliśmy od naszych niemieckich kolegów informację o planowanym przemyśle niewielkiego ładunku kokainy. Towar ma dotrzeć w lutym z Kolumbii do portu w Stralsundzie na pokładzie statku taniej bandery. Wyjaśnię państwu od razu, że przeciętny transport koki to około dwustu, trzystu kilogramów, przechwytywane były ładunki ważące nawet ponad tonę i więcej, ale w tym wypadku mówimy zaledwie o pięciu kilogramach...

Zdziwione spojrzenia były jak najbardziej na miejscu; organizowanie takich spotkań jak nasze z powodu detalicznej ilości narkotyków było jak strzelanie do muchy z armaty.

– ...Chodzi jednak o to, że miejscem docelowym przesyłki nie będą Niemcy, tylko Polska, konkretnie Szczecin – kontynuowała Ania. – Informacja z Landeskriminalamt powiązana jest z innymi, jakie z kolei od jakiegoś czasu napływają od naszych informatorów z miasta. Znaczący ze Szczecina. Otóż przekazują nam oni ostatnio dziwne wieści o przyjaźni, jaka zakwitła między jakimś Tomaszem Ziętkiem, pseudonim „Zięty”, bossem jednej z działających w Wielkopolsce grup przestępczych, a „Malechą”, Jarosławem Leśniewskim, szczecińskim ehm... przedsiębiorcą o powiązaniach ze światkiem przestępczym, któremu ostatnio przypatrujemy się razem z wywiadem skarbowym Urzędu Kontroli Skarbowej w związku ze wzmożoną aktywnością na polu wyłudzeń nienależnego podatku VAT. Wyobraźcie sobie państwo, że ci dwaj panowie w dzieciństwie uczęszczali razem do jednej ze szczecińskich szkół dzudo. – Znów dało się

usłyszeć ciche śmiechy. – Jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych Ziętek wyjechał z rodzicami do Poznania, gdzie później zrobił karierę przestępczą. Bez względu na to, jak zabawna wydawałaby się geneza tej przyjaźni, ponownie przez przypadek nawiązali kontakt jakieś pół roku temu. Rzekłabym: dość niezwykła sytuacja, taka ponadregionalna przyjaźń między przestępcami, i to podobno szczerą... A wyjaśnię niemieckim kolegom, że tradycyjnie te dwa regiony, Pomorze Zachodnie i Wielkopolska, nie darzą się zbyt dużą sympatią. No, ale nie to jest przedmiotem dyskusji. „Zięty” i „Malecha” wspólnie skontaktowali się z Kemalem Derelim, rezydującym w Hamburgu przedstawicielem mafii, której członkowie są przeważnie... eee... obywatelami niemieckimi pochodzenia tureckiego. „Nasi”... – Ania uniosła dłonie, zrobiła z nich króliczki i pomachała udającymi uszka palcami w powszechnie znanym geście cudzysłowu – ...wyrazili chęć kupienia partii kokainy, której zakup w Kolumbii i przerzut do Europy mieli zorganizować Turcy. Z informacji, potwierdzonych również przez stronę niemiecką, wiemy, że ilość towaru będzie bardzo nieznaczna, jak już wspomniałam, chodzi o pięć kilo. Taki warunek postawili Turcy. Nie wiemy dokładnie, czy transport będzie większy niż te symboliczne pięć kilogramów, być może przy okazji wezmą trochę na swoje potrzeby, skoro już organizują przemyt dla Polaków. Świadczyć o tym może dość odległy termin dostawy oraz droga morska, czyli łatwość ukrycia przemytu we frachcie albo w zakamarkach statku. Kilka kilogramów przemycają zwykle drogą lotniczą „muły” w swoich turystycznych plecakach. Nasi partnerzy zza Odry – Ania skinęła głową w stronę Niemców – w zależności od wagi ładunku podejmą odpowiednie kroki, jednak „nasza” partia ma bez przeszkód wywędrować do Polski. Dlaczego tylko pięć kilo? Strony transakcji się nie znają, szlak transportu jest nowy i jeszcze nie sprawdzony, dlatego ten *deal* to takie wzajemne sprawdzenie, badanie intencji, powiedzmy: macanie się...

Wszyscy pokiwali głowami. Ania również. Przysunęła sobie kartkę papieru z jakimiś zapiskami i zerkając na nią, mówiła dalej:

– Hurtowa cena kilograma czystej chemicznie kokainy „na wyjściu” z Ameryki Południowej waha się od tysiąca pięciuset do dwóch i pół tysiąca dolarów, czyli jakieś tysiąc dwieście do dwóch tysięcy euro. W Europie cena rośnie do dwudziestu pięciu tysięcy euro za kilogram. W hurcie. W detalu wynosi ona około pięćdziesięciu pięciu tysięcy. Załóżmy, że „Zięty” z „Malechą” kupią te pięć kilogramów w cenie półhurtowej, powiedzmy trzydzieści pięć tysięcy za kilo, to mają w sumie sto tysięcy zysku. Ale z kilograma czystej koki można otrzymać nawet cztery, pięć kilo gotowej do sprzedaży mieszanki. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilogramów. Czteryście, pięćset tysięcy euro. Po obecnym kursie w przybliżeniu ponad cztery i pół miliona złotych. Samego zysku. Dla uproszczenia przyjmijmy, że wartość rynkowa przesyłki to około stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy euro, czyli jakieś siedemset czterdzieści tysięcy złotych. Z możliwością zwielokrotnienia tej sumy. To tyle, jeśli chodzi o liczby. Nie są stosunkowo duże, oczywiście wciąż mówimy o narkotykach, nie o naszych pensjach... Wspomniałam już o dość odległym terminie dostawy: wstępnie umówiona jest na połowę lutego, ale wszystko zależy od kartelu z Kolumbii, z tego, co jest nam wiadome – Cali albo konkurencyjnego Norte de Valle. Myślę, że przy obecnej wydajności nie będzie problemów z dotrzymaniem terminu i statek pojawi się planowo. Sprawie nadaliśmy kryptonim „Strela”, od nazwy

cieśniny rozdzielającej Stralsund i Rugię. Nad cieśniną Strelasund położony jest port, od którego kokaina zaczyna swą wędrówkę drogą lądową. Ta dawna, jeszcze słowiańska nazwa funkcjonująca w niemieckim nazewnictwie świetnie oddaje charakter zadania, polegającego na ścisłej współpracy służb policyjnych Niemiec i Polski...

Wyłączyłem się. Rozgorzała dyskusja, w której najwyraźniej nie był potrzebny moderator, a udo Marty wciąż było ciepłem, sprawiając, że myślami byłem już u niej w mieszkaniu, w jej łóżku. Kilka minut później kątem oka zauważyłem jakieś poruszenie pośród członków niemieckiej delegacji. Nadkomisarz Schymura z BKA rozejrzał się po kolegach, jakby szukając u nich wsparcia. Nie wstając, poprawił okulary, odkaszlnął cicho i zabrał głos.

– Dlaczego chcecie tak szybko to skończyć? – zapytał, zerkając na Szewczyka znad oprawek okularów. – Nie lepiej poczekać na rozwinięcie współpracy między Turkami a Polakami? Pani – wskazał na Anię Tomaszewską – wspominała, że ten transport może być większy. A jeśli nie? Jeśli to będzie faktycznie tylko pięć kilo? I jeśli wszystko poszłoby dobrze i sprawnie, to za kwartał, pół roku, góra rok, przyplynie tona albo dwie towaru. Wtedy zgarniecie wszystko, a straty gangu będą o wiele dotkliwsze. A tak spalicie szlak. Można by go kontrolować, poznać nowe kanały dystrybucji lokalnej i wtedy uderzyć. Nie lepiej jednak poczekać trochę i przeświecić wszystko dokładnie?

Szewczyk spojrział na Schymurę, a na jego twarzy pojawił się niemal niewidoczny grymas wyższości. Był starannie maskowany, ale mimo to ja go widziałem. Czyli jednak nie tak starannie, a znając starego, mogłem być pewien, że taki grymas nie jest przypadkowy. U Szewczyka niewiele rzeczy pozostawało kwestią przypadku.

– Pan komisarz ma oczywiście sporo racji. – Komendant uśmiechnął się uprzejmie, nie pokazując zębów, i popatrzył na tłumaczkę, jakby sprawdzając, czy dokładnie przekazuje jego słowa. – Ale nie wziął pan pod uwagę jednej istotnej rzeczy...

Wyprostował się, rozejrzał po zebranych i kontynuował:

– Szybka reakcja i zakończenie akcji niemal od razu będzie miało wymiar niejako symboliczny. Ucięcie świeżo wyrosłej macki wyciągającej się w stronę naszego kraju będzie dla nich szokiem. Wielkość przemytu, wartość towaru nie mają tu znaczenia. Państwo ze swej strony podejmiecie działania, jakie uznacie za stosowne, o ile faktycznie kokainy będzie więcej niż pięć kilo. Ale część przeznaczona dla polskich odbiorców, „Ziętego” i „Malechy”, kiedy tylko znajdzie się w Szczecinie, zostanie skonfiskowana, a oni sami zatrzymani. Dlaczego, pyta pan? Bo oni mają się nas bać! Udowodnimy, że nie mogą znać dnia ani godziny, kiedy ich osiągniemy. Ma to być nauczka dla następnych, którzy chcieliby spróbować. Nie będą mogli spać spokojnie ani czuć się bezpiecznie, mając świadomość, że wisi nad nimi groźba wybicia do nogi, że tak powiem. – Znów zerknął na tłumaczkę, jakby nie mając pewności, czy wyrażenie, którego użył, będzie przełożone na niemiecki równie dobitnie. – Aspekt prewencyjny takiego rozwiązania jest nie do przecenienia, tak uważam, i w tym kierunku będą zmierzać nasze działania. Taak, panowie... I panie... – dodał, reflektując się w porę. – Podsumowując powoli tę część naszego spotkania: „Strela” to bardzo dobra nazwa. Doskonała! Bo ta akcja będzie jak strzała wymierzona w środek tarczy lokalnego narkobiznesu, albo raczej w jego najślabszy punkt. Jak strzała z łuku Parysa wbijająca się w piętę Achillesową... – Uderzył

pięścią w dłoń i na sali rozległo się głośne plaśnięcie. – ...A wszyscy wiemy, jak to się dla Achillesa skończyło, prawda?

Stanowczo przesadził. Wielu z nas wiedziało, że facet jest odczytany, ale chyba trochę poniosła go fantazja. Na koniec przemowy brakowało tylko słów: „Tako rzekłem”. Zamiast tego komendant okraszył ją uśmiechem, tym razem odsłaniając zęby. Uśmiech ten był drapieżny i złowrogi, jakby Szewczyk stał przed tymi, których chciał wybić, a nie przed tymi, których rękami chciał to zrobić.

Schymura i jego niemieccy koledzy pokiwali głowami, ale po ich minach widać było, że nie są do końca przekonani. Co prawda oni mieli tylko jeden koniec nitki, a ten drugi, ważniejszy, wraz z kłębkim tkwił u nas. To dlatego zapewne spojrzenie Schymury i pozostałych było wymowne: wasze małpy, wasz cyrk. Nasi za to wyglądali na bardzo zadowolonych z takiego obrotu rzeczy. Obie służby patrzyły na tę samą sprawę z zupełnie odmiennych punktów widzenia i choć łączył je jeden cel, różniły sposoby na jego osiągnięcie. Przynajmniej teoretycznie.

A praktycznie? Praktycznie, osobiście miałem inne wytłumaczenie tego pośpiechu; bardziej prozaiczne niż homeryckie. Szewczyk nie mógł czekać rok na potężny transport kokainy, bo nadciągały wybory, a prognozy nie brzmiały pomyślnie dla obecnie rządzącego obozu, z którego nadania jaśnie komendant nam panował. Taka była prawda: lepsze pięć kilo w garści niż tona na dachu. Tej tony Szewczyk po prostu mógł nie doczekać na swoim stanowisku, więc do wyborów musiał zebrać na swoim koncie jak najwięcej spektakularnych sukcesów. Pięć kilo i mały gang też jest bez wątpienia jakimś sukcesem. Polityka...

Dotrwałem jakoś do końca, walnąłem małą pożegnalną i dziękczynną mowę, przetrwałem również uściski rąk i uśmiechy, które hojnie rozdzielali między sobą wszyscy zebrani na sali odpraw. Kiedy spotkanie się skończyło, a towarzystwo rozeszło się po komendzie, dogoniłem na korytarzu Martę wracającą do swojego pokoju. Szliśmy przez chwilę w milczeniu obok siebie. Obcasy jej butów stuknęły głośno o zabytkową posadzkę, kiedy energicznie przebierając smukłymi nogami, z powodzeniem próbowała dotrzymać mi kroku.

– Widzimy się dzisiaj u ciebie? – zapytałem, znów ocierając się o nią, tym razem łokciem o jej ramię.

Zerknęła na mnie, stukot obcasów nie zmienił rytmu.

– Twój nieposkromiony apetyt na kobiety mnie zadziwia – powiedziała.

Ciekawe, że użyła tego sformułowania. Gastronomicznego. Pasowało jak ulał do moich rozterek.

– Nie na kobiety, tylko na kobietę – sprostowałem. – Na ciebie, konkretnie. Na całkiem niezły posiłek w ciepłych dekoracjach pokoju – zanuciłem fałszywie.

Westchnęła.

– Wejdiesz do mnie na chwilę? – zapytałem, zwalniając.

– To polecenie służbowe?

– Nie, prośba.

– Zamierzasz zamówić przystawkę do posiłku?

– Nie. Zadowolę się głównym daniem w twoim mieszkaniu. Chciałem z tobą

porozmawiać. Prywatnie.

– O! – Autentycznie się zdziwiła.

Stanęliśmy przed drzwiami sekretariatu mojego gabinetu. Otworzyłem je i wpuściłem Martę przodem.

– Proszę, pani komisarz – powiedziałem szarmancko, wyłącznie na użytek mojej sekretarki.

Pani Henryka, zwana przeze mnie Zimną Heńką. Oczywiście nazywałem ją tak wyłącznie w myślach. Na bank wiedziała, co łączy mnie i Martę, ale miałem to gdzieś. Po co więc stwarzać pozory? Otóż to. Nie znałem odpowiedzi na to pytanie, ale wiedziałem jedno: w stwarzaniu pozorów byłem niezły.

Z oficjalną, wręcz nadętą miną przeszedłem przez sekretariat i otworzyłem kolejne drzwi, od mojego gabinetu. Znów puściłem Martę przodem, ledwo pohamowując się przed uszczypnięciem jej w tyłek, odwróceniem się i pokazaniem języka Zimnej. W końcu każdy facet ma w sobie coś z dzieciaka. Spoważniałem, kiedy przypominałem sobie, po co zaprosiłem Martę do siebie.

Usiadłem za biurkiem, rozpinając guziki kurtki mundurowej. Przełknąłem ślinę.

– Znamy się parę lat, łączy nas coś więcej niż tylko służba, praca czy przyjaźń...

– Owszem, pieprzymy się ze sobą kilka albo nawet kilkanaście razy w miesiącu.

Zamknąłem na chwilę oczy. Może faktycznie mój wstęp był trochę zbyt oficjalny jak na łączące nas stosunki. Oczywiście te pozasłużbowe.

– Zgadza się – rzuciłem pojednawczo. – Jeśli tak chcesz to ująć...

– A nie jest tak?

– Jest – przyznałem z lekkim ociąganiem. – Ale mam nadzieję, że nie tylko TO cię ze mną łączy?

Złagodniała. Podeszła do biurka i pochyliła się nade mną.

– Do czego zmierzasz, Darek? – zapytała miękko. – Jeśli chcesz mi oznajmić, że zamierzasz rozwieść się ze swoją żoną i ożenić ze mną, to wybaczyć... Ale nie chcę o tym słyszeć. Nie mów tego. Absolutnie. Wszystko zepsujesz. Wszystko, rozumiesz?

Oklapłem w fotelu. Musiałem zabawnie wyglądać z otwartymi ustami.

– Nie – powiedziałem z namysłem, usiłując otrząsnąć się z zaskoczenia. – Nie o to chodzi. Szczerze mówiąc, nawet mi do głowy nie przyszło coś takiego...

Spojrzała w okno ponad moją głowę, a ja zacząłem się zastanawiać, czy próbuję ukryć zmieszanie z powodu tego, co powiedziała ona, czy tego, co powiedziałem ja.

– Dobrze jest tak jak teraz, Marta – powiedziałem z naciskiem na „teraz”. – Masz absolutną rację, zmiana byłaby głupotą i zdaję sobie z tego sprawę. Nie musisz się niczym martwić, naprawdę...

– W takim razie skończmy już ten temat, co? – Podeszła do okna i uchyliła je, a potem oparła się pośladkami o parapet.

– Jasne. – Błysnąłem zębami w uspokajającym uśmiechu.

Nie pytając mnie o zgodę, wyciągnęła z kieszeni na piersi paczkę tych swoich cieniutkich papierosów dla kobiet i metroseksualnych pseudomężczyzn. Podważyła wieczko paznokciem i gwałtownie jednego wysunęła. Niemal z fascynacją śledziłem wzrokiem jej kolejne ruchy, kiedy wkładała go do ust, kiedy jej wargi otaczały biały filtr swą matową

czerwienią i kiedy go zapalała, patrząc na płomień spod opuszczonych rzęs. Jej policzki zapadły się, gdy zasysała z papierosa pierwszą porcję dymu. Potem spojrzała na mnie, wydeła z wdziękiem kącik ust i lekko skręcając głowę, lecz wciąż nie spuszczać ze mnie wzroku, wypuściła mleczną smużkę w kierunku szpary w oknie.

– To po co mnie tu zwabiłeś? – zapytała, obejmując się w pasie jedną ręką, i opierając o nią łokieć drugiej, tej, w której trzymała papierosa.

Wyglądała seksownie jak zwykle, ale teraz nie to miałem w głowie.

– Ten wstęp o przyjaźni... – zacząłem. – Ja... Wiesz... Ja po prostu nie mam z kim o tym pogadać...

– O czym?

Nabrałem głęboko powietrza i wypuściłem je z cichym świstem. Marta przyglądała mi się jak jakiemuś zwierzęciu w terrarium.

– Wykrztusisz to wreszcie z siebie? – zapytała, marszcząc brwi.

– Wydaje mi się... Wydaje mi się, że moja córka... – Urwałem, sam nie wiem dlaczego; szukałem właściwych słów czy właśnie zdecydowałem, że jednak nie chcę o tym rozmawiać z Martą?

– To może wyjdę, a ty napiszesz mi esemesa? Będzie łatwiej.

– Przecież nie piszemy do siebie esemesów? – bąknąłem niezbyt mądrze.

To akurat była prawda. Tak było bezpieczniej. I tak spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu w pracy, umawianie się na schadzki nie wymagało angażowania środków komunikacji elektronicznej, a na mokre fotki intymnych fragmentów swoich ciał puszczane esemesami czy mailami byliśmy zbyt dojrzały. Czy też, ujmując rzecz mniej elegancko, za to uczciwiej: za starzy.

– W takim razie napisz na kartce to, co chcesz powiedzieć, zostaw ją na biurku i wyjdź.

– Skinęła podbródkiem w stronę drzwi. – Wrócisz, jak przeczytam.

– To chyba nie jest najlepsze rozwiązanie...

– No więc słucham.

– Okej. Mam wrażenie, że moja córka... Ona sypia z facetami – wyrzuciłem z siebie w końcu.

Byłem kurewsko skrępowany. Takich rzeczy nie mówi się koleżankom z pracy, kochankom też nie. Nawet najbliższemu przyjacielowi trudno coś takiego wyznać. Tylko że ja nie miałem przyjaciół. Marta, poza rodziną, była mi najbliższą osobą. Jak tak się dobrze zastanowić, to ten związek był w istocie dużo bliższy, niż mogło mi się wydawać. I niż mogłem tego chcieć... Uświadomiłem sobie, że ta chwila, której nadejścia się obawiałem, chwila przesytu, wcale nie musi być tak blisko, jak sądziłem.

– No i!? – zapytała Marta z dziwnym wyrazem twarzy.

Nie wiedziałem dokładnie jakim: zmieszanym, zniesmaczonym czy rozbawionym. Zwykle miała twarz pokerzysty; jedyną częścią jej ciała, która brała aktywny udział w wyrażaniu jakichkolwiek emocji, były brwi. Zaskoczyłem ją tym wyznaniem. Siebie zresztą też.

– Rozumiem, że masz z tym problem – rzuciła po chwili.

Prychnąłem i pokręciłem głową.

– Nie, skąd. W sumie nie mam się czym przejmować – odparłem sarkastycznie. – To

przecież nic takiego. Nic nienormalnego, prawda? Wszystkie szesnastolatki bzykają się z facetami... Niektóre nawet traktują bzykanie jak dyscyplinę sportową. Albo zabawę. Wiesz; słoneczko, butelka i te sprawy...

Marta milczała przez chwilę.

– Skąd te podejrzenia?

Skrzywiłem się. Słuszne pytanie. Rzeczowe i jak najbardziej na miejscu. Cała Marta. Kiedy wreszcie mnie stąd wypieprzą, zajmie moje miejsce, a potem poszybuje jeszcze wyżej; tam gdzie mnie nie stanie talentu i siły przebicia. Oraz inteligencji. Taka była prawda i w sumie dobrze, że to wiedziałem. Życzyłem jej tego. Zasługiwała na to, na pewno bardziej niż ja. Tego też byłem świadom.

Westchnąłem ciężko.

– Przedwczoraj znalazłem na jej łóżku dziwną plamę. Zaschniętą. Wiesz, co mam na myśli?

– Nie wiem – powiedziała to spokojnie, jakby naprawdę nie wiedziała, co mam na myśli.

– Wiesz. – Nie miałem ochoty na głupie droczenie się.

– Nie, nie wiem. Powiedz mi.

– O co ci chodzi, Marta? Po co to robisz? – Zacząłem żałować, że w ogóle poruszyłem ten temat.

– Bo nie rozumiem, czemu unikasz powiedzenia mi wprost, że znalazłeś na łóżku córki plamę zaschniętej spermy. Jakby to słowo kłuło cię w język, mimo że takie same plamy zostawiasz regularnie na pościeli w moim łóżku. – Wzruszyła ramionami. – A chciałeś ze mną porozmawiać szczerze, sam tak przed chwilą twierdziłeś. Więc rozmawiajmy szczerze. Bez niedopowiedzeń i językowej ekwilibrystyki. W końcu, do cholery, jesteśmy kochankami. Robimy razem najintymniejsze rzeczy, jakie może robić człowiek z innym człowiekiem. Weź się w garść, Darek.

Jej spojrzenie było poważne. Nie kpiła sobie ze mnie. Po prostu taka była. Marta była bez niedopowiedzeń.

– Dobrze – sapnąłem, kapitulując. – Znalazłem na łóżku Agnieszki plamę zaschniętej... Zaschniętego nasienia.

– Jesteś pewien? Może to była flegma?

Znów ta jej rzeczowość. Czasem mnie dobijała, a czasem zazdrościłem jej Marcie jak cholera.

– To nie była flegma. Nie pytaj mnie tylko, czy robiłem badanie laboratoryjne. Nie robiłem. To było nasienie. Wyobraź sobie, że wiem, jak wygląda zaschnięte nasienie. Zaschnięta sperma, jak wolisz...

– Co ona na to?

– Kto?

– Agnieszka.

– Nie, no... Nie było jej wtedy w domu.

– Szperasz w pokoju córki podczas jej nieobecności? – zdziwiła się Marta.

– Nie szperam. – Podniosłem głos. – Chciałem pożyczyć laptopa, bo zostawiłem swojego w pracy, a musiałem coś pilnie skończyć. A Agnieszki nie było w domu, bo znów poszła gdzieś na imprezę do koleżanki, w dodatku nie odbierała telefonu.

- Rozumiem, że zauważyłeś tę plamę, kiedy brałeś laptopa? – zapytała kpiącym tonem, a kiedy nie odpowiedziałem, dodała: – Zawartość twardego dysku też przejrzałeś?
- Nie. – Spojrzałem na blat swojego biurka i machinalnie starłem z niego jakiś paproch.
- Nie znam się na tym.
- Fakt.

Wszyscy wiedzieli, że mnie i komputerom jest ze sobą nie po drodze.

– Po prostu usiadłem na łóżku z tym laptopem i kątem oka zauważyłem tę pieprzoną plamę. I już.

– Okej. – Marta uśmiechnęła się lekko, leciutko. – Twoja żona wie?

– A skąd mam, do cholery, wiedzieć?

– Nie rozmawiałeś z nią o tym?

– Nie. Nie było okazji.

– Nie było okazji? – Zdziwiła się. – Nie mogłeś od razu z nią porozmawiać? Myślałam, że zwykle o takich rzeczach dotyczących własnego dziecka rozmawia się najpierw z jego matką?

Naprawdę zacząłem żałować, że poruszyłem temat. Choć oczywiście Marta miała rację. I ten fakt też o czymś świadczył.

– Spała, a nie chciałem jej budzić, bo miała migrenę, a wczoraj...

– A wczoraj?

– Nie było mnie w domu.

– Racja. Byłeś we mnie...

Nie miałem siły się roześmiać.

– I co teraz zamierzasz? – spytała, otwierając szerzej okno i strzepując popiół na zewnętrzny parapet.

Wstałem, z szuflady biurka wyciągnąłem puste metalowe pudełko po rabarbarowych landrynkach z Lidla, które pełniło nieoficjalnie funkcję popielniczki, i zaniósłem je Marcie.

– Jeszcze nie wiem... Wciąż nie mogę wyjść z szoku. – Spojrzałem na nią i wybuchnąłem niespodziewanie, zaskakując tym nawet siebie: – Moja nieletnia córka pieprzy się z facetami, rozumiesz!? Pozwala sobie wsadzać...

– Co cię to obchodzi? – przerwała mi.

– C-c-co? – Zamrugąłem.

– Pytam, co cię to obchodzi. Jest prawie dorosła, to jej życie! Po co w to wnikasz?

– To moja córka, do kurwy nędzy! – Prawie to wyrzeszczałem.

Tylko prawie, ponieważ wściekłość zaciskała mi szczęki tak mocno, że nie miałem siły otworzyć ich szerzej. Miałem nadzieję, że drzwi gabinetu były wystarczająco szczelne, by nic z tego, co mówię, nie dotarło do uszu Zimnej.

Marta powoli pokręciła głową.

– Darek, co ci do tego? – powtórzyła. – Będziesz za nią żyć? Założysz jej pas cnoty? Wyślesz ją do klasztoru?

Patrzyłem na nią nieprzytomnym wzrokiem.

– Naprawdę nic nie rozumiesz?

– Rozumiem, że to może być dla ciebie szok. To akurat rozumiem. Ale nie rozumiem, czemu to od razu ma być tragedią. Bo zachowujesz się tak, jakby właśnie spotkała cię

osobista tragedia.

– Dobrze. – Machnąłem ręką. – Zostawmy to na razie.

– Poczekaj, zacznijmy od początku – powiedziała cicho i łagodnie. – To naprawdę może być przypadek. Czysty przypadek. Może to nie jest ślad spermy? Może to jakaś substancja, ja wiem, zabawka dla dzieci?

– Co? – wyjąkałem, nie wierząc własnym uszom.

– Nawet nie wiesz, czym bawią się teraz dzieciaki. Piasek kinetyczny, plastelina, która zachowuje się jak ciecz newtonowska, sztuczne smarki i glutyny...

– Marta, ona ma szesnaście lat – powiedziałem zrezygnowanym tonem. – Szesnaście, a nie dziesięć...

– Właśnie. W tym okresie życia robi się głupoty i potem człowiek sam nie może uwierzyć, że coś takiego zrobił... Zapomniałeś już, jak byłeś młody? A może nigdy nie byłeś młody, co? Wyciągasz wnioski na podstawie bardzo wątpliwych poszlak. – Marta przekrzywiła po swoim głowie i dodała: – Panie inspektorze.

– Nigdy nie rozmawiałem z Agnieszką o tych sprawach – powiedziałem cicho ze wzrokiem wbitym w wykładzinę dywanową. – Teraz mam wrażenie, że trochę rzeczy ostatnio mi umknęło. A może nawet nie ostatnio? I powiem ci, że nie pocieszyłaś mnie tym piaskiem i sztucznymi glutami. Ta plama na łóżku to nie były sztuczne gile ani tym bardziej piasek. – Podniosłem głowę i spojrzałem Marcie w oczy. – Co ja teraz mam myśleć, Marta? No, powiedz: co?

– Nie myśl, tylko zapytaj ją o to. – Wzruszyła ramionami.

– Boję się.

– Czego się boisz? Zapytać czy prawdy?

Odwrociłem głowę.

– Nie mamy ze sobą ostatnio za dobrych relacji. Ona ma swoje życie...

– A ty masz swoje...

Spojrzałem na nią ostrzej.

– Owszem. To chyba normalne?

– Przecież nic nie mówię. – Zgasiła papierosa w pseudopopielniczce. – Nie wtrącam się w sprawy twojej rodziny, nie mam takiego prawa ani nie uzurpuję go sobie. To ty chciałeś ze mną o tym porozmawiać, prawda?

– Prawda. – Wyjąłem jej blaszane pudełko z dłoni. – Dobrze, masz rację, odłóżmy to. Pogadam z Agnieszką przy najbliższej okazji, może faktycznie to wszystko zbieg okoliczności, a ja za bardzo się pośpieszyłem. Przepraszam cię...

– Nie ma za co – powiedziała zdziwiona i dodała tonem, w którym znów była ta łagodność: – Jestem zawsze do twojej dyspozycji.

– Czyli obiad po pracy u ciebie nadal aktualny?

– Nie mam gotowego obiadu. I niewiele więcej mam w lodówce, szczerze mówiąc.

– Nie o tym mówię, to była metafora. Nie chce mi się jeść. Jestem tylko głodny. Głodny ciebie.

– Zwierzę – powiedziała, zniżając głos i obrzucając mnie powłóczystym spojrzeniem szarych oczu.

Porozumiewawczo poruszałem brwiami w geście tandetnego podrywu rodem z wiejskiej

dyskoteki i rzuciłem:

– Głodne zwierzę...

Parsknęła śmiechem, ale po chwili spoważniała.

– Dziwny jesteś. Wszyscy jesteście dziwni, wiesz?

– Co masz teraz na myśli?

– Mówię o tym, co zostawiasz na mojej pościeli, a w zasadzie o tym, że określenie tego czegoś słowem najnormalniejszym w świecie sprawia ci kłopot. Że to słowo nie może ci przejść przez gardło. To mnie właśnie dziwi.

Też spoważniałem.

– Chciałbym zwrócić twoją uwagę na pewien fakt. Dość istotny. Moja córka jest nieletnia. Skurwiel, który wpycha jej do środka swoją brudną, sprośną pykę, popełnia przestępstwo.

– Ja też chciałam zwrócić twoją uwagę na pewien istotny fakt. W tym kraju, w świetle obowiązującego prawa, przestępstwem jest obcowanie płciowe lub doprowadzenie do poddania się innej czynności seksualnej osoby poniżej piętnastego roku życia. Piętnastego, Darek, a nie szesnastego. Przecież dobrze o tym wiesz. Twoja córka nie może stanowić tu wyjątku tylko dlatego, że jest twoją córką. Chcesz czy nie chcesz, jest już w wieku zgody. Co oznacza, że może dysponować również swoim ciałem, jak chce. I nie zmienisz tego, bo takie jest życie. Małe dziewczynki, słodkie córeczki swoich tatusiów, stają się w końcu kobietami i odchodzą do innych mężczyzn, którzy robią im rzeczy, jakich nie robił i nigdy nie powinien im robić tatuś. – Poglądziła się po piersi i biodrze z wyzywającą miną i rzuciła: – Do zobaczenia po południu, ogierze...

Kiedy wychodziła z gabinetu, przez uchylone drzwi zdążyłem zobaczyć wzrok Zimnej. Twardy i bezlitosny. Dotarło do mnie, że Zimna mną gardzi. Stara panna, dla której każdy facet to świnia. Tylko troska o pracę powstrzymywała ją przed wygarnięciem mi, co o mnie myśli, byłem tego pewny. Nie przejąłem się. Ani jej wzrokiem, ani tym, co o mnie myślała. Nie szkodzi, że jestem dla niej świnia. Musiałaby mi zrobić coś znacznie gorszego, żebym ją wypieprzył z roboty. Była chodzącym organizmem z niesamowitą pamięcią i tylko dzięki niej, i Marcie również, chaos mojego życia nie rozprzestrzenił się jeszcze na moją pracę zawodową. Bilans zysków i strat wychodził na plus dla Zimnej Heńki, taka była prawda.

Kiedy drzwi zamknęły się za Martą, otworzyłem okno na oścież, wróciłem do biurka, rozsiadłem się wygodnie w fotelu, założyłem ręce za głowę i zacząłem gapić się przed siebie. Może Marta miała rację? Może faktycznie wyskoczyłem z tym wszystkim za szybko? Wiedziałem tylko jedno. Nie byłem gotowy na to, że moja córka zmienia się w kobietę. To działo się zbyt szybko i zbyt gwałtownie jak na mój gust.

* * *

– Znowu coś cię zatrzymało? Nie przesadzasz trochę? – zapytała moja żona, kiedy wróciłem do domu tuż przed dwudziestą.

Słyszając to, zrobiłem w myślach szybki przegląd sytuacji. Wziąłem u Marty prysznic, więc Jola nie powinna wyczuć jej perfum ani zapachu seksu. U Marty w łazience miałem taki sam żel do mycia, jakiego używałem w domu. Nic nie jadłem, zatem z podejrzanym

brakiem apetytu też nie będzie problemu. Byłem czysty. Tylko fizycznie, ale czysty. Pozornie czysty.

Byłem jednym wielkim pozorem.

Dałem Joli całusa w pachnący kremem nawilżającym policzek, który nadstawiła z chłodną miną. Zdążyła się już wykąpać.

– Wiesz, jak jest – mruknąłem.

– Wiem. Zdążyłam się zorientować, i to już dość dawno temu.

Nie zareagowałem na jawną zaczepkę. Jola odwróciła się i zaczęła kroić chleb. Lekko wilgotne włosy miała spięte na czubku głowy, co wyeksponowało jej smukłą i zgrabną szyję. Kusy szlafrok frotté w kolorze cytryny odsłaniał zgrabne łydki i opinał nieco zbyt mocno zaokrąglone pośladki. Hmm, tak samo zaokrąglone jak mój brzuch. Starzeliśmy się, oboje...

– Gdzie Aga? – zapytałem.

– Wyszła na imprezę.

– Znowu? Dokąd tym razem?

– Mówiła, że do koleżanki.

– Której?

– Co za różnica?

– Zasadnicza. Nie interesuje cię, dokąd idzie twoja córka?

Odwróciła się, odłożyła nóż i spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Darek, o co ci chodzi? Jest prawie dorosła.

– „Prawie” robi w tym przypadku sporą różnicę, nie sądzisz?

– Nagle zainteresowałeś się, dokąd chodzi nasza córka?

– Skoro nie interesuje się tym nikt inny w tym domu...

– Nie przesadzasz?

– Nie. Nie przesadzam. I co miało znaczyć to „nagle”?

Dążyłem do konfliktu. Prowokowałem go i byłem tego świadomy.

– Nie wiesz, co to miało znaczyć? – zapytała Jola, mrużąc oczy. – Chcesz mi powiedzieć, że zwykle interesujesz się domem? Nami? Że tylko ostatnio trochę się nie interesowałeś, ale tylko przez chwilę? Nie będąc świadomy, że to „ostatnio”, ta „chwila” trwa już jakieś dziesięć lat? Dobre dziesięć lat?

Prowokacja to broń obosieczna. Zapomniałem o tym.

– Znowu zaczynasz dyskusję? – Dałem z siebie wszystko, żeby ton mojego głosu nie był już tak napastliwy. – Wiesz, że muszę długo pracować, rozmawialiśmy o tym, kiedy szykowali mi awans, i rozmawialiśmy o tym, kiedy już dostałem tego kopa w górę, prawda? Teraz mi to wyrzucasz? Przykro mi, nie każdy kończy pracę o piętnastej trzydzięci, zamyka drzwi i idzie zadowolony do domu...

Jola pracowała w urzędzie miejskim, była kierowniczką w jednym z referatów.

– Racja, panie niezastąpiony – rzuciła z goryczą w głosie. – Bez ciebie świat się zawali...

– Teraz ty przesadzasz.

– Może i przesadzam. – Przez chwilę miała minę, jakby zastanawiała się nad czymś. – Bo faktycznie nie wali się świat, tylko twój dom. I zauważ to wreszcie, zanim będzie za późno. Jeśli już nie jest.

– Co masz na myśli?

– Naprawdę jesteś tak ślepy? Czy ci już w ogóle nie zależy? Na mnie, na Agnieszce? Na nas? Żyjesz osobno. Masz swoje problemy i nie interesują cię nasze; moje i Agi.

Moja żona miała zwyczaj toczenia dyskusji za pomocą pytań. W większości były retoryczne, zarzucała mnie nimi, nie czekając nawet, aż odpowiem na te, na które dało się odpowiedzieć.

– Jola, jestem zmęczony... – Pomasowałem czoło. – To nie czas na takie dyskusje. Porozmawiamy w weekend, dobrze?

– Niedobrze, Darek. Bardzo niedobrze. Bo takich rozmów w weekend miało już być dziesiątki i zawsze coś stawało na przeszkodzie. Przeważnie twoja praca. Teraz będzie tak samo... Jak zwykle...

Odwróciła się ode mnie i zaczęła smarować masłem kromkę chleba. Robiła to nerwowo, szybkimi i zamaszystymi ruchami. Boczne powierzchnie ostrza noża migotały refleksami odbitego w nich światła lampek umieszczonych pod górnymi szafkami.

– Nie będzie jak zwykle... – odparłem z przekonaniem, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w te błyski.

– Będzie – rzuciła przez ramię Jola.

Miała rację. Było jak zwykle.

* * *

Kilka tygodni później tkwiłem po uszy w robocie. To nie znaczy, że nie myślałem o tym, o czym powiedziała mi Jola. Bo myślałem, naprawdę nad tym myślałem, i to sporo. Ale od tamtej pory nie mieliśmy okazji wrócić do tematu. Tak się jakoś złożyło. Zdarza się.

Plan operacji „Strela” krystalizował się powoli, w miarę jak spływały nowe informacje od Niemców. Nasz Wydział Kryminalny aktywizował ludzi w terenie, stąd wiadomo było, że wizyty chłopaków od „Ziętego” stawały się coraz częstsze. Ostatnio kursowali między Poznaniem a Szczecinem z regularnością, którą mogliby zawstydzić PKP. Ograniczyłem spotkania z Martą. Nie przestaliśmy się spotykać, nie było mnie na to stać, ale zacząłem częściej i wcześniej bywać w domu. Udało nam się nawet raz wyjść z Jolą na kolację, a potem wylądowaliśmy w łóżku i robiliśmy rzeczy, których nie robiliśmy od lat. Obiad w domu. Zdążyłem już zapomnieć, jak smakuje, a tym razem był pyszny, był jak egzotyczna kuchnia pełna zapomnianych, choć przecież sprawdzonych smaków.

Tylko z Agnieszką wciąż nie udało mi się porozmawiać.

Tego dnia wyszedłem z pracy trochę wcześniej niż zwykle. Nie chciałem, żeby Jola była przy rozmowie, którą zamierzałem w końcu przeprowadzić z córką. Miała dziś do siedemnastej dyżur w magistracie, więc postanowiłem wykorzystać sytuację i pogadać z Agnieszką jak ojciec z córką. Sam na sam. Wiedziałem, że kończy zajęcia w szkole o piętnastej, a nie mówiła, że zamierza potem dokądś pójść. Mimo że faktycznie powoli stawała się dorosła, licealne układy obowiązywały, bo w końcu była licealistką. Była również dziewczyną z tak zwanego dobrego domu: skoro mieszkała z nami, miała meldować o tym, gdzie wychodzi, kiedy i z kim. A przede wszystkim, kiedy zamierza wrócić. Choć ostatnio poczynała sobie nieco swobodniej. I nie podobało mi się to.

Wszedłem zamyślony do mieszkania, wciąż zastanawiając się, jak zacząć tę rozmowę

i jak ją prowadzić. I słabo mi szło to zastanawianie się, musiałem to przyznać sam przed sobą. Relacje z moją córką nie były już takie same jak kiedyś, zresztą Agnieszka nie była już dzieckiem, a etap jej życia, i mojego zresztą też, w którym przestała nim być, umknął mi jakoś niepostrzeżenie. Przekręcając zamek w drzwiach, wiedziałem już, że pójdę na żywioł. Pozwolę, żeby rozmowa toczyła się sama. Kto wie, może nawet nie będzie żadnej rozmowy, bo kiedy zadam jej wreszcie pytanie, które tłukło mi się po głowie od kilku tygodni, Agnieszka spłonie rumieńcem, potem spojrzy na mnie szeroko otwartymi oczami i wybuchnie śmiechem, a ja jej zawtóruję? Tak naprawdę nie wierzyłem, że moja córka może mi zrobić coś takiego.

Nie wierzyłem, chociaż sam straciłem dziewictwo w wieku piętnastu lat. Ale ja jestem facetem, a to zasadnicza różnica.

Zdjąłem kurtkę i buty. Z lekkim zdziwieniem usłyszałem muzykę cicho sączącą się zza zamkniętych drzwi pokoju Agnieszki. Zerknąłem na zegarek, kwadrans po trzeciej, jeszcze nie powinno być jej w domu. Podwijając rękawy koszuli, przeszedłem w samych skarpetkach przez przedpokój, niemal z rozpędu nacisnąłem klamkę i wszedłem do pokoju córki. To, co zobaczyłem, sprawiło, że najzwyczajniej w świecie mnie zamurowało. Na amen. Żona Lota była przy mnie trzęsącą się galaretą.

Widok był dla mnie zbyt abstrakcyjny, bym w pierwszej chwili przyjął go do wiadomości. Poczułem, że ważę tonę, a mój żołądek zwija się w ciasny, zimny węzeł i podchodzi do gardła. Nie byłem w stanie wydusić z siebie ani jednego pieprzonego słowa.

Moja córka była w łóżku z jakimś facetem. Leżeli naprzeciw siebie, na boku i całowali się. Oboje mieli rozpięte spodnie, jego sprzęt był na wierzchu, a zaciśnięta na nim dłoń mojej córki poruszała się rytmicznie w górę i w dół. Jego łapsko wepchnięte było w jej krocze i też poruszało się w górę i w dół. W trójkątnym klinie rozpięcia spodni widziałem jej majtki, czerwone jak wino, albo jak krew, wypchane jego obleśnymi paluchami. Nie zauważyli mnie jeszcze, tak byli zajęci sobą.

– Córeczko... – wykrztusiłem wreszcie, czując, jak paraliż powoli ustępuje.

Odskoczyli od siebie, zakrywając się niezdarnie. Agnieszka patrzyła na mnie z przerażeniem w oczach.

– Wyjdź – rozkazała mi zachrypniętym głosem, a ja to zrobiłem.

Wyszedłem, zamykając za sobą drzwi. Stałem pod nimi, oddychałem spazmatycznie jak po przebiegnięciu półmaratonu i próbowałem się jakoś ogarnąć.

– Niech on stąd wyjdzie! – zawołałem przez drzwi, nie poznając swojego głosu. – Słyszysz? Niech on natychmiast wyjdzie z mojego domu!

Stałem i czekałem, starając się uspokoić oddech i sprawić, żeby żołądek wrócił na swoje miejsce. Kilkadziesiąt sekund później otworzyły się drzwi. Śniady chłopak wyszedł z pokoju i minął mnie bez słowa, nie patrząc mi w oczy. Ja za to mu się przyjrzałem. Pizdowaty lalusz z żelem na włosach, wyglądających, jakby swoim soczystym jęzorem polizala je krowa. Pewnie spędzał godzinę dziennie, depilując starannie każdy niepotrzebny włos. Patrzyłem, jak wkłada buty i wychodzi z mieszkania. W drzwiach obejrzał się jeszcze i rzucił cicho, patrząc na mnie spode łba:

– Puka się.

– Żebym ja cię zaraz nie puknął, kutasie – warknąłem zduszonym z wściekłości głosem.

Kiedy zniknął na schodach, podszedłem do drzwi wyjściowych i przekręciłem zamek. Odczekałem chwilę, oddychając mocno przez nos, i odwróciłem się. Agnieszka, już ubrana, stała w przedpokoju.

Patrzyłem na swoją córkę. Była piękna. Ciemne oczy i śniadą skórę odziedziczyła po mnie, po Joli dostała burzę jasnych włosów, które teraz niezgrabnie odgarniała z twarzy, nie patrząc mi w oczy. To połączenie: ciemnych oczu i brwi z jasnymi włosami sprawiało, że jej uroda była egzotyczna i niezwykła. Nos, prosty i wąski, też miała po mnie, jej twarz była tą niewytłumaczalną kompilacją cech moich i Joli. Patrząc na nią, raz rzucało się w oczy podobieństwo do mnie, a innym razem do matki. Agnieszka była wysoka, zgrabna, miała duży biust, ładnie zaokrąglone, nie za szerokie biodra i długie nogi. Smukła szyja dźwigała proporcjonalną do reszty ciała głowę, włosy spadały na odrobinę zbyt szerokie ramiona, ale tak to jest, jak się dużo pływa. Poza tym drobnym, niemal niezauważalnym felerem, który mógł nim być wyłącznie dla mnie, całe jej ciało miało niemal idealne proporcje. Była piękną kobietą. Chryste, jak mogłem to przegapić? Jak mogłem nie zauważyć, że brzydkie kaczątko zmieniło się w łabędzia, jakim, do kurwy nędzy, cudem mogłem nie widzieć, jak z mojego dziecka wyrasta kobieta? I to jaka kobieta. Przecież to nie stało się w jednej chwili, nie trwało dzień, tydzień, miesiąc czy rok...

Uświadomiłem sobie nagle jedną rzecz. Mimo że przegapiłem coś ważnego, wciąż była we mnie jakaś nadzieja, że Agnieszka na zawsze zostanie moją małą córeczką. Bezpiecznie schowaną w naszym mieszkaniu, co jakiś czas tylko wypuszczaną na spotkania z koleżankami. Wyłącznie z koleżankami. Teraz ta nadzieja zamieniała się w popiół.

– Co to było? – zapytałem niezbyt mądrze.

Kiedy jest się w takim stanie jak ja w tym momencie, niełatwo ubrać myśli w słowa, które mogłyby w pełni je odzwierciedlić. Drewniany kołek jest bardziej elokwentny, niż ja byłem w tej chwili.

Agnieszka wzruszyła ramionami.

– A jak myślisz? – zapytała.

– Nie prowokuj mnie – ostrzegłem ją.

– To był mój chłopak.

Nabrałem głęboko powietrza w płuca i niemalże upadłem.

– Porozmawiamy później. Nie chcę go tu więcej widzieć.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– Ty mnie pytasz dlaczego!?

– Tak. Proszę cię o podanie racjonalnego powodu.

Prawie się roześmiałem. Nie, ja naprawdę się roześmiałem! Baranim śmiechem, jakim rzy się z głupiego, surrealistycznego dowcipu.

– Bo nie będę tolerował pedofilii pod swoim dachem! – ryknąłem. – Właśnie dlatego! Czy to jest dla ciebie wystarczająco racjonalny powód!?

– Nie. Moim zdaniem, nie – odpowiedziała spokojnie, znów wzruszając ramionami. – Mylisz pojęcia, tato. Nie jestem dzieckiem, jakbyś nie zauważył.

Zagryzłem wargi.

– Dobrze, w takim razie dam ci inny powód. Oto on: dopóki mieszkasz w moim domu,

masz się stosować do moich zasad!

– Twoim domu? – Roześmiała mi się w twarz. – Bo tak jest napisane w akcie własności? Żeby ten dom był twój, musiałbyś w nim częściej bywać!

Nie zastanawiając się, co robię, zdzieliłem ją otwartą dłonią na odlew i znów ryknąłem:

– Jak śmiesz, ty...

To nie był mocny cios, ledwie musnąłem jej twarz, ale głowa odskoczyła w bok, a na policzku wykwitła czerwona plama. Agnieszka stała na szeroko rozstawionych nogach i patrzyła na mnie. Tyle nienawiści i pogardy dla mnie nie było nawet w oczach Zimnej. Moja córka. Mój wróg. Przyłożyła dłoń do policzka, a oczy zaczęły jej błyszczeć, sam nie wiem od łez czy z gniewu.

– Powiedz to – wysyczała. – No, powiedz! Dokończ. Co chciałeś powiedzieć? Puszczałska szmato? Dziwko? Coś jeszcze gorszego?

Uświadomiłem sobie nagle, że moje oczy wyglądają tak samo jak jej. Temperament miała z pewnością po mnie, nie po Joli. Silne geny. Ja byłem jak mój ojciec, ona była jak jej ojciec, a wszyscy troje byliśmy tacy sami: tak samo w gorącej wodzie kąpani, tak samo wybuchowi i tak samo umieliśmy walczyć o swoje.

Staliśmy naprzeciw siebie: ojciec i córka, krew z krwi, i byliśmy o krok od rzucenia się jedno na drugie. Oddychaliśmy szybko i chrapliwie, pochyleni lekko ku sobie, jak gotowe do walki koguty albo psy. Nagle wyprostowałem się. Moment otrzeźwienia nadszedł w samą porę, bo nie wiem, co bym za chwilę zrobił. Zamiast tego włożyłem z powrotem buty, z wieszaka zdjąłem kurtkę i wściekły na córkę i samego siebie wyszedłem z mieszkania, nie zamykając drzwi na klucz, a jedynie trzaskając nimi z całej siły. W dupie miałem, co pomyślą sobie sąsiedzi. Minąłem jednego z nich na schodach, nawet nie wiem którego. W uszach miałem tylko jego „dzień dobry, panie Darku”, a w głowie tętent krwi. Wypadłem na zewnątrz i zaczerpnąłem głęboko chłodnego, rześkiego powietrza. Ruszyłem przed siebie, bez konkretnego celu, po prostu musiałem iść. Zrobić coś z sobą, zająć myśli ruchem, kurwa, nie wiem, czymkolwiek. Na szczęście w kurtce miałem papierosy. Wyjąłem jednego z paczki trzęsącymi się rękami i kiedy wkładałem go w usta, reszta wysypała się z paczki na ziemię, prosto pod moje nogi. Wściekły, schyliłem się, żeby je pozbierać i wypuściłem z rąk zapalniczkę, a pierwszy papieros, ten już przyklejony do wargi, odkleił się od niej i dołączył do pozostałych na chodniku. Tego było za wiele. Przekroczyłem granicę. O jednego pieprzonego szluga za daleko.

– Kurwa twoja jebana, pierdolona mać!!! – wrzeszczałem, w szale miażdżąc obcasami papierosy i zapalniczkę.

– Wszystko w porządku? – Czyjś głos, który usłyszałem przez swój wrzask, był nieco podejrzliwy, pobrzmiwała w nim też troska, ale tak się składało, że niektóre funkcje mojego mózgu odpowiadające za rozpoznawanie uczuć były akurat wyłączone. Te odpowiadające za samokontrolę również.

– Nie, kurwa! – ryknąłem w kierunku człowieka, zamiast niego widząc tylko czerwoną, rozmazaną plamę. – Nic nie jest w porządku!!!

Uspokoilem się równie nagle, jak wybuchnąłem. Czerwona plama przed moimi oczami przybrała w końcu ludzki kształt, który po chwili wypełnił się szczegółami: jasną kurtką, czapką cyklistówką, twarzą, okularami i spojrzeniem, w którym tak jak przed chwilą

w głosie mieszały się troska i obawa. Dopiero po chwili zobaczyłem psa, połączonego z panem czerwoną smyczą. Beagle właśnie sprawdzał, czy resztki bibuły i tytoniu wtarte w betonową kostkę obcasami moich butów warte są zainteresowania.

– Ma pan może papierosa? – wychrypiałem do jego właściciela.

Facet pokiwał głową z lekką ulgą. Moja ulga, kiedy wyciągał paczkę z kieszeni kurtki, była jeszcze większa. Pies zżerał filtr jednej z ocalałych fajek, ale jego pan nie zwrócił na to uwagi.

– Jeszcze o ogień poproszę. – Wskazałem wzrokiem smętne resztki plastikowej zapalniczki rozrzucone pod naszymi nogami.

Facet znów pokiwał głową. Przeciągnął pętlę smyczy przez nadgarstek, wieszając ją sobie w zgięciu łokcia, i podał mi nie ogień, tylko zapalniczkę. Pewnie wolał nie zbliżyć się do mnie za bardzo albo przynajmniej nie angażować w czynność obu rąk, zostawiając jedną na wszelki wypadek do obrony. Zapaliłem papierosa i oddałem człowiekowi jego zapalniczkę. Odszedł, mruknąwszy coś cicho, ciągnąc za sobą psa. Postawiłem kołnierz kurtki, włożyłem ręce do kieszeni i z wystającym z zaciśniętych warg papierosem już spokojniejszym krokiem poszedłem na spacer, żeby ochłonąć. Na przemyślenie sprawy nie miałem natchnienia. Najpierw musiałem ochłonąć. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Praktycznie każdy ojciec mający córkę znajdował się w końcu w takiej sytuacji jak ja. Być może nie każdy dowiadywał się o tym w taki sposób jak ja i być może córka nie każdego z nich miała, kurwa, tylko szesnaście lat. Ale na pewno nie każdy z tych ojców bił swoje dziecko. Co mnie napadło? Chryste, co się ze mną działo?

Dojście do siebie zajęło mi ponad trzy godziny i sam w sumie nie wiem, co dokładnie w tym czasie robiłem. Na pewno w osiedlowym kiosku kupiłem papierosy i zanim wylądowałem w domu, prawie wykończyłem paczkę, odpalając jeden od drugiego.

Wróciłem po dwudziestej, zmarznięty, ale w dużo mniej wojowniczym nastroju. W mieszkaniu było już ciemno. Drzwi do pokoju Agnieszki były zamknięte, do naszej sypialni też. Poszedłem do łazienki wziąć prysznic. Kiedy kwadrans później wsuwałem się pod kołdrę, Jola bez słowa odsunęła się, robiąc mi miejsce. Zrobiła to gwałtownie. Nie zadzwoniła do mnie ani razu przez te kilka godzin, więc musiała wiedzieć, co się stało. Nie chciało mi się już gadać z nikim, nawet z nią. Leżeliśmy plecami do siebie, wiedząc, że nie zaśniemy długo, ale żadne nie zaczęło rozmowy. Było po dwudziestej trzeciej, kiedy usłyszałem, że jej oddech się wyrównał. W końcu i ja zasnąłem.

* * *

Następnego dnia była sobota. Obudziłem się późno. Kiedy szedłem do łazienki, zobaczyłem, że drzwi do pokoju Agnieszki są otwarte, a jej samej nie ma. Musiała wyjść po cichu, kiedy spaliśmy, bo w kuchni też jej nie było. W sumie jej się nie dziwiłem. Mnie też jej nieobecność była na rękę. I miałem nadzieję, że pojechała na trening albo do babci, a nie uciekła z domu.

Kiedy skończyłem w łazience, poszedłem do kuchni zrobić sobie kawę. Jola, ubrana w swój cytrynowożółty szlafrok, stała przy blacie, oparta o niego pośladkami. Ekspres do kawy bulgotał i parsknął spienionym mlekiem. Moja żona miała żelazną zasadę: nie wypić kawy ani nie zrobić czegokolwiek innego, dopóki nie umyła zębów. A dziś nie umyła, jej

szczoteczka w łazience była dokładnie w tej samej pozycji co wczoraj wieczorem.

– Hej – powiedziałem dość chłodno.

– Hej – odpowiedziała takim samym tonem.

– Wrzucisz mi cynamonową kapsułkę, jak już skończy swoją kawę? – zapytałem obojętnie, wskazując na ekspres.

Skinęła głową i wzięła głęboki oddech.

– Nigdy wcześniej nie uderzyłeś naszego dziecka, Darek.

– Zgadza się – przytaknąłem.

Kiedy Agnieszka była naprawdę dzieckiem, też nie było mnie często w domu, ale chyba nie z tego powodu nigdy nie dostała ode mnie w skórę, choć broiła więcej niż jej koledzy z podwórka. A może jednak?

– Czy mogę więc dowiedzieć się, dlaczego zrobiłeś to wczoraj?

– Bo nie jest już dzieckiem.

Musiałem coś powiedzieć. Argument był słaby, choć rzuciłem nim tak pewnym tonem, jakbym o fakcie, że Agnieszka nie jest dzieckiem, wiedział od zawsze, a nie od kilku godzin.

– To ma być powód? Więc może mnie też uderzysz? Przecież także nie jestem dzieckiem. A fakt, że jestem kobietą, podobnie zresztą jak Agnieszka, nie ma, jak widzę, dla ciebie większego znaczenia.

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi.

– Nie, nie wiem, o co ci chodzi. Powiedz mi, proszę. Wytłumacz mi. Teraz.

Westchnąłem teatralnie.

– Nie będzie gówniara tak się odzywać do ojca. Nie pozwolę na to, rozumiesz?

– Byłeś kompletnie inną osobą, Darek. Kimś, kogo w ogóle nie znam. I jestem tym przerażona. Uderzyłeś własną córkę? Kobiętę!? Zaczynam się ciebie bać, człowieku!

– Nie było cię na miejscu – zauważyłem spokojnie. – O tym, jak to przebiegło, wiesz wyłącznie z relacji Agnieszki. Poza tym mężczyźni reagują inaczej w pewnych sytuacjach i nie staraj się, proszę, tego zrozumieć. Kobiety nigdy tego nie pojmą, tak jak my nie pojmujemy nigdy waszych reakcji. A Agnieszka nie była mi dłużna. Nie uderzyła mnie, ale niewiele brakowało. To o czymś świadczy, prawda? I nie mów do mnie „człowieku”, nie znoszę tego.

– I co, to ma cię tłumaczyć? Twoje zachowanie? To pod blokiem również? Tam Agnieszki już nie było...

Zacząłem zastanawiać się, jak dużą widownię miał mój wczorajszy występ. Jego echa niosły się, jak widać, daleko.

– Przesadzasz – mruknąłem. – To zdarzyło mi się dopiero raz. Czasem tak bywa, to normalne...

– Ten teatr, o którym trąbi pół osiedla, to jest normalne? To mi chcesz powiedzieć? Gośka widziała cię z daleka, podobno wyglądałeś, jakbyś miał zaraz dostać wylewu! Masz prawie pięćdziesiątkę na karku!

– Byłem zdenerwowany, okej? Tak kurewsko zdenerwowany, jak chyba nigdy w życiu, rozumiesz? Nigdy w życiu! Niech ci, co gadają, przyjdą tu i powiedzą mi prosto w oczy, że im się nigdy coś podobnego nie zdarzyło!

Nie patrzyła na mnie.

– Uważam, że powinieneś pójść do lekarza. I nie przeklinaj przy mnie, wiesz, że tego nie lubię. I nie podnoś głosu. Tego też nie lubię.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym pójść do lekarza?

– Takie napady agresji nie są zdrowe. To może o czymś świadczyć.

– Owszem. To może świadczyć o mojej... irytacji.

– Nie myl irytacji z napadem szału.

– Nieważne. Co ma z tym wspólnego lekarz?

– Czytałam gdzieś, że takie nagłe, bezsensowne ataki agresji mogą świadczyć o guzie mózgu.

– Nie strasz mnie, dobra?

– Nie straszę cię. Kocham cię i chcę dla ciebie dobrze. Dla swojej córki zresztą też. Udawanie, że nic się nie dzieje, nie jest najlepszym pomysłem.

– Mój atak... agresji, jeśli chcesz już tak to nazwać, wiązał się wyłącznie z sytuacją, której byłem świadkiem chwilę wcześniej. I już. Przed momentem o tym mówiłem, prawda? Więc zapomnijmy o guzie mózgu.

– W takim razie pomyśl o pójściu do specjalisty.

– Do jakiego znowu specjalisty?

– Do psychologa.

– Żartujesz sobie, Jola?

– Macie przecież w komendzie ludzi od tego, prawda? W czym problem?

Parsknąłem śmiechem.

– W czym problem? – powtórzyłem. – Ano w tym, że następnego dnia wszyscy w komendzie będą trąbić, że Suderowi odpięrdoliło. W tym problem. Przepraszam za bluzg.

– Ich nie obowiązuje tajemnica? Jak lekarzy?

Spojrzałem na nią rozbawionym wzrokiem. A może tylko wydawało mi się, że jest rozbawiony, bo w oczach Joli nie znalazłem potwierdzenia tego faktu. Westchnąłem i podszedłem do niej.

– Obowiązuje – powiedziałem cicho.

– Więc o co chodzi? Nie potrafisz się przełamać? To dla ciebie jakaś psychiczna bariera nie do pokonania? Chodzi o to, żeby ci pomóc. To żaden wstyd, Darek. Nawet nie wiesz, ilu moich znajomych z pracy korzysta z porady psychologa. I to im pomaga!

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Zwrócenie się do psychologa bez istotnego powodu, takiego jak na przykład doznanie stresu bojowego, może świadczyć co najmniej o jakiejś niestabilności emocjonalnej. A to jest przeciwwskazanie do pracy z dokumentami niejawnymi. Anulują mi poświadczenie bezpieczeństwa i będę się mógł pożegnać ze stanowiskiem, rozumiesz? I dopiero wtedy miałbym problem. Mielibyśmy go oboje.

Zacisnęła usta w odruchu niezdecydowania. Zmieniły się w wąską, ciemną linię, na której końcach pojawiły się dwa sympatyczne dołeczki.

– Masz coś z tym zrobić, Darek. Nieważne jak, ale masz to zrobić! Chodzi o twoje

zdrowie. – Nagle w jej oczach pojawiły się łzy. – Dłużej tego nie wytrzymam. Wróć do nas! Mam dość życia obok siebie, rozumiesz?

Oparłem się o lodówkę i zamknąłem oczy.

– Nie pójdę do żadnego psychologa, bo nie uważam, żeby była taka potrzeba. Czy taki wybuch zdarzył mi się wcześniej? Powiedz mi, zdarzył się?

– Uderzyłeś naszą córkę, do ciężkiej cholery!

– Wiem! – Podniosłem głos, ale po chwili opanowałem się i powtórzyłem już ciszej: – Wiem. Żałuję tego, nawet nie wiesz jak bardzo. I przyznaję, trochę mnie poniosło... Ale czy zdarzyło mi się to wcześniej? No powiedz?

Popatrzyłem na nią. Kręciła pochyloną głową, strząsając na podłogę kilka łez. Spadały z policzków i rzęs i rozpryskiwały się na beżowym gresie.

– No właśnie. Więc zostawmy to. Obiecuję, że to się nie powtórzy. Będę się kontrolował. Jeśli jednak się powtórzy, to faktycznie będzie sygnał, że coś powinienem z tym zrobić. I wtedy zrobię, obiecuję. Pójdę nawet na tomografię. Ale na razie zostawmy ten temat. A jeśli chodzi o nasze życie... – Urwałem, zastanawiając się, co powiedzieć dalej.

Gdzieś z tyłu głowy miałem obraz Marty. Jej twarzy, ciała... Jej wizerunek tkwiący pod moją czaszką był jak ten siedzący na ramieniu diabełek szepczący do uszka i namawiający do złego. Tylko że na drugim ramieniu nie było nikogo dla równowagi. Nie było aniołka. A może po prostu bałem się tam posadzić Jolę? Bo to byłaby konfrontacja, a tego nie chciałem. Było mi dobrze. Taki układ mi pasował. Byłem jak włóczący się kot, obskakujący dwa domy, w obu traktowany jak swój. Mrucząc z rozkoszy i oblizując z zadowoleniem wąsy, wpieprzałem i obiad, i hamburgera. Wyglądało na to, że w jednym z domów ktoś zaczynał się niepokoić, gdzie znika kiciuś, kiedy go nie ma. Jeszcze żadne konkrety, na razie tylko ziarno niepokoju. Ale to ziarno już kiełkowało. Było kwestią czasu, kiedy wykiełkuje konkretnym podejrzeniem, a potem rozkwitnie pełnią dowodów. Rozkwitnie jak dziwidło, egzotyczna roślina, która smrodem swego kwiatu przywołuje zapylające ją owady. I taki właśnie smród będzie się wtedy ciągnął za mną.

– Słucham – powiedziała Jola, ocierając oczy i pociągając nosem. – Co masz mi do powiedzenia na temat naszego życia? I nie mów, że porozmawiamy w weekend w wolnej chwili, bo teraz jest weekend i jest wolna chwila. Następnym krokiem będzie poradnia małżeńska, a jeszcze następnym... – Urwała nagle. – Słucham.

A więc przyszedł czas na to, co odkładałem od miesięcy, jeśli nie od lat. Skupiłem się.

– Ja... Ja wiem, że przeginam, Jola. Ale moja praca to nie tylko komenda... – *To bzykanie koleżanki z pracy...* – Wiesz, że te nieoficjalne spotkania po robocie i w soboty są nieodłączną jej częścią. Nie wszystko da się załatwić do szesnastej... – *bzykania z koleżanką z pracy się nie da* – ...więc muszę to robić później, również w domu... – *I poza nim...*

– Musisz ją ograniczyć! – Jola spojrzała na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Co? – Zamrugąłem i zrobiło mi się zimno.

Czyżby coś mi insynuowała? Wróć, insynuacja nie oznacza jeszcze niczego, to było raczej ultimatum. Czyżbym to ja był jeleniem, który nie domyślił się, że własna żona doskonale wie o jego romansie?

– Pracę. Lepiej organizuj sobie czas, nie bierz jej do domu, zlecaj ją ludziom, których

masz pod sobą. Od tego chyba są, co?

Odetchnąłem z ulgą. Więc nie o tym... Na złodzieju czapka gore. Jola wciąż wbijała we mnie wzrok.

– Ale to nie wszystko. Musisz sobie zadać ważne pytanie, Darek.

– Jakie?

– Czy ci jeszcze w ogóle zależy. Na mnie przede wszystkim. I na Agnieszce też. I odpowiedz sobie na to pytanie. Byle uczciwie. Nie: na odwal się i nie: później. Od razu. I uczciwie.

Podszedłem do niej, objąłem ją i przytuliłem. Zrobiłem to całkowicie spontanicznie i odruchowo. I to była odpowiedź na to pytanie. Uczciwa. Zależało mi na niej jak cholera i pomyśleć, że musiałem sobie to uświadomić dopiero w takiej chwili. Zależało mi, nawet jeśli nie potrafiłem strząsnąć z ramienia diabełka z twarzą Marty, szepeczącego mi prosto w ucho: jesteś pewien?

Byłem pewien.

– Kocham cię, Jola, nawet jeśli dawno ci tego nie mówiłem. Zmienię to. Będzie mnie więcej, obiecuję.

– Zaczynj od Agnieszki. Jak najszybciej. Ze mną masz jeszcze szansę się dogadać, bo ci ją daję.

Odsunąłem się od niej i milczałem z pochyloną głową.

– Nie mogę się otrząsnąć z tego, co wczoraj widziałem – powiedziałem cicho. – TO jest nasz główny problem, Jola, a nie nasze wspólne życie.

– Nie zgadzam się – przerwała mi.

– Proszę? – Spojrzałem na nią zdumiony.

– Mówię, że się z tym nie zgadzam. Z tym, że Aga jest naszym głównym problemem. Bo nie jest.

Poraziła mnie nagle straszna myśl. Skoro Agnieszka opowiedziała jej, co wydarzyło się wczoraj między nami, to przecież nie mogła pominąć powodu, z którego to się stało. A ja dopiero teraz zauważyłem, że nasza rozmowa z Jolą toczy się przez cały czas z pominięciem tego istotnego aspektu. Przyczyny.

– Ty... Ty wiedziałaś!!? – zawołałem.

Nawet nie próbowała zaprzeczać.

– Gdybyś choć trochę interesował się domem, zorientowałbyś się już dawno, że spotyka się z chłopakami. Jak każda dziewczyna w jej wieku. Zupełnie nie wiem, gdzie ty żyjesz, Darek. Na jakim świecie. Chyba kompletnie innym niż nasz.

Wyglądało na to, że to wszystko jest dla niej najzupełniej normalne i naturalne. Seks w wieku szesnastu lat też.

Przypomniałem sobie dziewiętnastoletnią Sabinę, wychowawczynię na koloniach w Rabce. Przypomniałem sobie jej udawane jęki, wątpliwą rozkosz, jaką przez dwadzieścia pięć sekund sprawiałem jej swoim piętnastoletnim nabrzmiałym z pożądania prąciem, chwilę jej rozczarowania i swojego wstydu, kiedy wycierała ze swoich ud i brzucha to, co jej dałem. I swoją dumę, kiedy już poszła do siebie, a ja zostałem w toalecie ośrodka czasowego, do której wszedłem jako dzieciak, a z której wyszedłem chwilę później jako mężczyzna. Ale wciąż byłem pewny swego. Dla Agnieszki było za

wcześniej. Zdecydowanie za wcześnie.

– Jezu... – sapnąłem. – Czy naprawdę nikt poza mną nie widzi w tym żadnego problemu? Co się z wami wszystkimi dzieje?

– Kogo jeszcze oprócz mnie masz na myśli? – zapytała Jola, marszcząc brwi.

Nerwy. To przez nie się wpada. Przez nerwy...

– Nikogo. – Zagryzłem wargę, mając na myśli oczywiście Martę. – Mówię ogólnie, sama wiesz, co się teraz dzieje. Te cholerne słoneczka w gimnazjach, trzynastolatki w ciąży, puszczane w telewizji klipy z panienkami świecącymi gołymi cyckami i tyłkami! Niedługo będą puszczać pornosy po wieczornych wiadomościach!

– Nie interesuje mnie to, Darek. Interesuje mnie wyłącznie moja córka...

– ...Która ma szesnaście lat i sypia z facetami!

– Daj już spokój, do cholery!!! – Podniosła głos, co zdarzyło się jej może ze trzy razy w naszym wspólnym życiu. – To jest moja córka! Nasza córka, rozumiesz? Nie jest zabójcą, nie jest złodziejem ani pijakiem czy narkomanem, tylko odkrywa uroki życia, jak każdy w jej wieku! My, kiedyś, również! I co z tego!? To jej życie i jej wybór! Chcesz je przeżywać za nią?

Czasami mam nieodparte wrażenie, że moja żona i moja kochanka ze sobą rozmawiają. Może to wynika z konstrukcji kobiety, z ogólnokobiecego punktu widzenia na pewne sprawy, ale takie chwile, kiedy w krótkim odstępie czasu słyszę niemal identyczne słowa padające z ich ust, mrozą mnie do szpiku kości. Tak było i teraz.

– I powiem ci coś. – Jola podeszła do mnie. – Coś, o czym nie wiesz, bo nigdy o to nie zapytałeś. Może nie chciałeś, może cię to nie interesowało, a może po prostu nie przyszło ci do głowy o to zapytać. Ale mnie przyszło. Pewnie dlatego, że w przeciwieństwie do ciebie mam z naszą córką dobry kontakt. W ogóle mam z nią kontakt. Nie wiesz, kiedy miała pierwszą miesiączkę. Nie wiesz, jak miał na imię chłopak, który był jej pierwszą prawdziwą miłością. Nie potrafisz podać imienia jej najlepszej przyjaciółki. Nie wiesz, ile nasze dziecko wie o seksie, o zabezpieczaniu się i tak dalej. Nie wiesz tego. A ja wiem. Ja wiem to wszystko, bo ją o to pytałam i jej o tym mówiłam. Rozmawiałam z nią. O seksie też. Będąc świadomą matką, nie pozostawiłam niczego przypadkowi. Agnieszka wie, że nie powinna się spieszyć, choć wie już też, że czasem nie wygra się ze swoim ciałem, co widziałeś na własne oczy. Wie, jak się zabezpieczyć przed różnymi rzeczami: ciążą, chorobami i tak dalej. Możesz być o to spokojny. Takie jest życie i skoro to się dzieje, wolałam wyjść temu problemowi naprzeciw. W przeciwieństwie do wielu swoich koleżanek Aga wie także, że umycie się tam na dole po wszystkim pod gorącym prysznicem nie załatwi sprawy antykoncepcji. Wie, że od seksu oralnego nie zajdzie w ciążę, ale może się to skończyć innymi problemami. – Nabrała głęboko powietrza. – I na koniec powiem ci coś jeszcze. To, że Agnieszka zaczyna życie seksualne, nie jest ani jej problemem, ani moim, tylko twoim, rozumiesz? Wyłącznie twoim!

– Wiem – powiedziałem nadzwyczaj spokojnie. – Zdaję sobie z tego sprawę. Co nie zmienia postaci rzeczy. Jestem tym zdruzgotany, Jola. Mimo wszystko. Sam nie wiem dlaczego. Może dlatego, że to stało się tak niespodziewanie?

– Czyli rozumiem, że skoro wczoraj nie było cię w domu cały wieczór, to spędziłeś go na rozmyślaniu o tym, co się stało? I wyciągnąłeś z tego jakieś wnioski?

Nie odpowiedziałem jej. Może i spędziłem ten wieczór na rozmyślaniu, jednak żadnych wniosków z niego nie wyciągnąłem. Szok zrobił swoje. Jola pokiwała głową, biorąc moje milczenie za potwierdzenie swoich przypuszczeń.

– Więc teraz zadaj sobie drugie ważne pytanie... – powiedziała – ...i odpowiedz na nie równie uczciwie jak na poprzednie. Jeśli cię na to stać. Wiesz, jakie to pytanie, prawda?

Wiedziałem. Odpowiedź też znałem. Tak, chciałem z nimi zostać. Nie wyobrażałem sobie życia bez swojej rodziny. Ale bez Marty też nie.

* * *

Tym razem zapukałem do pokoju Agi. Pierwszy raz w życiu zapukałem do pokoju córki. Kurwa, gdybym zrobił to wczoraj... Gdybym zapukał do drzwi, tak jak powinno się robić, szanując prywatność prawie dorosłego człowieka, może wszystko potoczyłoby się inaczej? Nie dowiedziałbym się o TYM w TAKI sposób.

Kiedy usłyszałem ciche i trochę obrażone „proszę”, wszedłem do środka. Agnieszka leżała na łóżku i czytała książkę. Stałem przez chwilę bezradnie na środku pokoju i rozglądałem się po ścianach, nie wiedząc, od czego zacząć. Zagapiłem się na wielki plakat, podklejony paździerzową płytą. Marylin Manson. Nie jakiś Justin Bieber, któremu podlotki rzucają na scenę misie maskotki, tylko facet, któremu fanki rzucają majtki i staniki. Nieważne, że wygląda jak przeterminowany salceson. Jak widać, to nie ma aż takiego znaczenia. Liczą się te majtki i staniki. Tak, ten plakat to kolejny znak, który przegapiłem. Być może nie był turpistycznym przejawem młodzieńczego buntu, tylko wyrazem pojawiającej się fascynacji samczą częścią mężczyzny. *Psyche* się jeszcze nie liczyło, nie do końca – na razie tylko *soma*.

Wreszcie przysiadłem na skraju łóżka, zerkając na córkę. Ona też bała się spojrzeć mi w oczy. I wcale jej się nie dziwiłem.

– Przyszedłem porozmawiać – zacząłem.

– Tak myślałam – bąknęła, odkładając książkę na kolana.

Jakoś zaczęliśmy. Dobrze i to. Teraz musiałem tylko powstrzymać natłok myśli. Wizji, które wwiercały się mój mózg jak robaki. I takie były, robaczywe. Wciskały się między normalne myśli: takie wtrącenia, które zbijały z tropu i plątały język. Przykład? Agnieszka z męskim członkiem w ręku. Drugi przykład? Moja córka z wypiętą pupą. Chyba wystarczy, zanim wybiegnę z pokoju z żołądkiem podchodzącym do gardła. Opanowałem się jakoś. Jakoś...

– Na początek mam jedno pytanie, słońce...

– Tak, jestem dziewczyną, tato.

Zatkało mnie. Nie o to chciałem zapytać, ale to, co powiedziała, sprawiło, że zeszło ze mnie napięcie. Byłem szczęśliwy, jak tylko szczęśliwy może być ojciec, który ma pewność, że jego maleńka córeczka jest wciąż tylko jego. Roześmiałem się z ulgą.

– Dziękuję – powiedziałem. – To miło...

– Miło? – W oczach miała łobuzerskie błyski.

– N-n-n-o, wiesz... Nie to miałem na myśli – kluczyłem. – Dobra, zostawmy to. Mama mi powiedziała, że dużo rozmawialiście, więc mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Wiem, tato. Nie musisz się martwić.

– Muszę ci zaufać, prawda?

– Musisz. – Pokiwała głową. – Ale myślę, że spokojnie możesz to zrobić. Postaram się nie przyjąć pewnego dnia z brzuchem.

Poczułem ukłucie buntu. Te słowa brzmiały mało zabawnie, za to brutalnie. Nie powinna tak mówić, nawet w żartach. Tak nie mówią szesnastolatki. Ale nie powiedziałem jej tego.

– Więc ufam ci. – Westchnąłem, bo nic innego nie mogłem powiedzieć ani zrobić.

Patrzyłem na jej piękną twarz i sprawdzałem, czy widać na niej ślady moich palców, które wczoraj się po niej prześlizgnęły. Nie było ich, miałem nadzieję, że nie zostały w jej duszy.

– Aguś... Czy... Czy ty jesteś absolutnie pewna?

– O czym mówisz?

– Że jesteś na to gotowa.

– Powiedziałeś przed chwilą, że mi ufasz.

– Zgadza się, powiedziałem. – Poczułem na sobie wzrok Mansona. „Zostaw ją w spokoju – mówił. – Jest moja. Chcę powąchać jej majteczki”.

Spierdalaj, odpowiedziałem mu w myślach, przypominając sobie widok z wczoraj: rubinową czerwień majtek mojej córki i wepchnięte w nie łapsko nazelowanego gogusia. Otrząsałem się i zapytałem Agnieszki:

– Kim jest ten chłopak?

– Ten, z którym mnie przyłapałeś?

Znów zadała pytanie beztroskim tonem, jakby nic się nie stało, a ja wciąż czułem tamten ucisk w piersi, a przed oczami miałem czerwień tych majtek, jakbym nic innego oprócz nich nie pamiętał. Tylko ta czerwona plama majteczek. I ta włożona w nie, poruszająca się rytmicznie dłoń.

– Właśnie ten – powiedziałem.

– Ma na imię Marcin.

– Uhm. A nazwisko jakieś ma?

– Ma. Bogutowicz.

– To na serio? Wasz związek?

– Tak – odparła, poważniejąc.

– Co on robi w życiu? Bo nie wygląda mi na licealistę ani nawet na studenta...

– Pracuje jako kelner w restauracji...

Pokiwałem smętnie głową. Agnieszka jednoznacznie zinterpretowała ten gest. Zresztą zupełnie słusznie.

– Nie jest przygłupem, tato! Skończył technikum gastronomiczne, jest z zawodu kucharzem i myśli o założeniu własnej restauracji. Jest ambitny i... Jest w porządku. To porządny facet.

– Za co założy tę restaurację? Uciula z napiwków?

– Co to dziś za problem? Słyszałeś o *crowdfundingu*? Albo znajdzie współnika z kasą! Marcin da pomysł i swój talent, tamten wyłoży forszę. Tak się dziś robi biznes! A jak skończę studia, będziemy razem to wszystko rozkręcać!

Agnieszka myślała o studiach na wydziale ekonomicznym albo na prawie. Nie jakaś

archeologia czy inna japonistyka; twardo stąpała po ziemi i wiedziała, czego chce. A teraz nagle taki tekst. Chryste, czy ja też byłem taki naiwny w jej wieku? – zapytałem sam siebie w myślach. I odpowiedziałem sobie natychmiast: Tak, byłem.

– Myślisz, że tego uczą na ekonomii? – To pytanie zadałem Agnieszce już na głos. – Szukania wspólnika z kasą?

Spojrzała na mnie z politowaniem.

– Tak dobrze znasz się na biznesie?

– Trochę więcej w życiu widziałem niż ty, słońce. Uwierz mi. Doświadczenie życiowe to bardzo ważna rzecz, choć zdaję sobie sprawę, że komuś w twoim wieku trudno to sobie uzmysłwić. To zrozumiałe, ale jest tak, jak mówię. I mówię ci to teraz nie jako twój ojciec, tylko jako pięćdziesięcioletni staruszek, rozumiesz?

Nikły uśmiech rozjaśnił jej twarz. Punkt dla staruszka. Atakowałem więc dalej.

– Jest sporo starszy od ciebie – rzuciłem.

– Ty też jesteś sporo starszy od mamy...

Tym razem punkt dla niej.

– Zgadza się, ale nie to miałem na myśli. Chodzi o to, że ja też miałem naście lat i spotykałem się z dziewczynami. Zanim poznałem mamę, oczywiście. I każda z tych dziewczyn, w której byłem zakochany na zabój, jawiła mi się jako ta jedyna. Jako żona, matka moich dzieci, babcia moich wnuków. A potem okazywało się, że... Jedna panna była puszczalska, mieli ją chyba wszyscy moi koledzy. Inna przysięgała, że mnie nigdy nie opuści, a potem wyjechała z rodzicami do NRF-u, na zawsze. Miałem doła kilka ładnych miesięcy. I tak dalej... Rozumiesz, o czym mówię? Istotne jest to, że tylko wydaje ci się, że to jest TEN jedyny. A tak naprawdę wcale go nie znasz. I nie wiesz, co będzie za miesiąc, rok, dwa lata. Zrozum, dziewczyno, to twój pierwszy chłopak! A ci pierwsi to rozczarowanie i litry łez! O tym mama ci nie mówiła, co? Mówiła ci o pszczołkach i motylkach, ale nie powiedziała, że faceci to świnię i w tym wieku chodzi im praktycznie tylko o jedno. Wyobrażasz sobie rycerza w białej zbroi, na białym rumaku i z naręczem białych róż, ale tak naprawdę zbroja i koń są pożyczone, a rycerz jest zwykłym kmiotkiem. Nawet róż już nie ma, bo koń je zeżarł. Przykro mi, jeśli w tym momencie rozczarowuję cię i burzę twój obraz idealnego świata, ale tak niestety jest. W większości wypadków. W znaczącej większości.

– Wychodzi z ciebie teraz gliniarz, tato. Podejrzliwy do bólu.

– Nie gliniarz. Ojciec. Ojciec martwiący się o swoją córkę. Ojciec, który ma trochę więcej doświadczenia niż ty...

– A jak ty zdobyłeś to swoje doświadczenie? Wyłącznie z lekcji u swojego ojca?

– Mój ojciec był inny niż twój ojciec. – Pomyślałem, że mała zagania mnie powoli w kozi róg.

Milczeliśmy przez chwilę, przegrupowując siły i szykując się na kolejne starcie.

– Dobrze... – spasowałem. – Nic o nim nie wiesz oprócz tego, co ci sam powiedział, prawda?

– Mylisz się. Marcin jest również moim przyjacielem. Nie wiem, co sobie wyobrażasz, ale nie chodzi o seks, tylko o uczucie... On najpierw został moim przyjacielem, a potem kochankiem. To znaczy... Tylko się dotykamy i całujemy... Jeszcze... – dodała, a ja znów

poczułem ten ucisk. – Jestem pewna, że mogę mu ufać. Jestem o tym przekonana, tato. Na sto procent.

– Od jak dawna go znasz?

Spuściła wzrok. Tak myślałem.

– Od miesiąca – bąknęła i spojrzała na mnie. – Ale to nie ma znaczenia. Jestem pewna swoich uczuć. Jego też.

Oczy błyszczały jej żarem. Nie pojęła, w czym rzecz. Wciąż nie mogła załapać, o co mi chodzi. Była młoda, bardzo młoda, mimo ciała kobiety pozostała jeszcze dzieckiem i nie mogłem winić jej za to, że nie rozumie. Że w jej przekonaniu miłość to uczucie, a nie uzależnienie od hormonów, które jak każde uzależnienie potrzebuje coraz więcej środków stymulujących, aż w końcu potrzebuje ich tyle, że tych hormonów po prostu nie wystarcza i wszystko powoli gaśnie. Nie rozumie, że życie to nie kolorowy film, tylko rozwleczony w czasie proces umierania, który zaczyna się w momencie urodzin. Ale, do cholery, chciałem ją uchronić przed błędem, który popełniają niemal wszyscy w jej wieku, mimo że odwodzą ich od tego niemal wszyscy w moim wieku. I taka chyba jest niezmienna kolej rzeczy, że zamiast uczyć się na czyichś błędach, uczymy się wyłącznie na swoich. Koniec dyskusji. Zrozumiałem to w tej jednej chwili.

– W porządku, Aguś – powiedziałem, wstając. – Twoja sprawa. Obym się mylił. I jeszcze jedno... Nie będę cię oszukiwał, że jestem szczęśliwy i że łatwo pogodzę się z... z tym... z tą sytuacją. Przykro mi, ale nie potrafię, po prostu nie potrafię. Jeszcze nie teraz. Nie powiem ci w najbliższym czasie: „poznajmy go lepiej, zaprosz go na obiad” albo „błogosławię wasz związek”, czy coś w tym rodzaju. Mówię ci to szczerze, bo nie znoszę niejasnych sytuacji...

Och, naprawdę? – myśli miały głos Marty.

– ...Lecz mimo to chcę, żebyś była szczęśliwa, pamiętaj o tym. Rozumiesz mnie? Masz o tym zawsze pamiętać. Zawsze. Nawet jak kiedyś spotkam was razem na ulicy i nie spodoba ci się wyraz mojej twarzy. Nawet wtedy.

Nie obraziła się ani nic z tych rzeczy. Po prostu wstała, podeszła i objęła mnie, mówiąc:

– Dobrze, tato. Zapamiętam. Dziękuję. I przepraszam za wczoraj...

– Ja ciebie też przepraszam... Boże, to ja cię tak strasznie przepraszam, córeczko...

Po chwili wahania odwzajemniłem uścisk. Myślałem o dłoniach tego chłopaka wsuwających się w majtki mojej córki. Zmusiłem się, żeby o tym nie myśleć, tylko chłonać chwilę niedoświadczaną od lat, które minęły jak miesiące, a nie lata, i to niemal bez mojego udziału. Moja córka przytulała się do mnie. Czułem jej biust, miękki brzuch, twarde spojenie łonowe, ciało prawie dojrzałej kobiety. To było dziwne uczucie, absolutnie pozbawione kontekstu erotycznego, po prostu dziwne. Moja córka była kobietą.

Była.

* * *

Następnego dnia w pracy tryskałem dobrym humorem. Byłem zadowolony z siebie, że dałem radę i wyjaśniliśmy sobie wszystko z Agnieszką, a także z tego, że napięta sytuacja w domu jakoś się unormowała. Zbliżały się święta, w tym roku atmosfera związanego z nimi szaleństwa udzieliła się i mnie. Może dlatego, że Marta miała ostatnio mniej czasu.

W listopadzie spotkaliśmy się tylko dwa czy trzy razy. Planowałem więc, co kupić bliskim pod choinkę. Marcie też.

O dwunastej zadzwonił Jacek Mołczun i poinformował o czekającym mnie w grudniu służbowym wyjeździe do Berlina, na Polizeitag, święto niemieckiej policji połączone z dniami otwartymi, czyli szopką dla gawiedzi: pokazami sprzętu i pozorowanymi akcjami Sondereinsatzkommando, pododdziałów antyterrorystycznych. KWP dostała zaproszenie na panel dyskusyjny, w którym miałem wziąć udział jako przedstawiciel zachodniopomorskiej policji. Zapewne wyłącznie dlatego, że jako jeden z niewielu funkcjonariuszy mówiłem płynnie po niemiecku i równocześnie potrafiłem odnaleźć się w tamtejszych policyjnych realiach.

Zupełnie nie miałem ochoty gdziekolwiek się ruszać, choć z dwojga złego wolałem Berlin od Warszawy. Pomyślałem jednak, że to może być świetna okazja do rodzinnej integracji. Sam się sobie dziwiłem i równocześnie zastanawiałem, czy robiłbym to z taką samą ochotą, gdyby Marta miała jednak dla mnie więcej czasu. Załatwiłem sobie na ten wyjazd użycie prywatnego samochodu zamiast przydziałowego, służbowego. Dostawałem wtedy zwrot za paliwo na przejazd Szczecin–Berlin–Szczecin i nie musiałem się martwić, że wyjeżdżiłem coś ponad te zgłoszone trzysta kilometrów. A potem zadzwoniłem do Joli, żeby na szesnastego wzięła urlop.

– Akurat szesnastego? – zapytała zdziwiona.

– Tak – potwierdziłem. – Grudnia.

– Po co?

– Pojedziemy na wycieczkę do Berlina – wyjaśniłem. – Jednodniową. Przed świętami na Potsdamerplatz jest fantastyczny jarmark bożonarodzeniowy. Wyjedziemy wcześniej rano, ty z Agnieszką powłóczycie się po mieście, pojedziecie sobie do Poczdamu czy gdzieś... A ja po południu do was dołączę i pójdziemy zobaczyć ten jarmark... – Spędziłem w Berlinie kilka lat jako oficer łącznikowy, więc znałem to miasto całkiem nieźle – ...Napijcie się grzańca, zjemy *wurst* w bułce, bakalie w czekoladzie... Wrócimy późnym wieczorem. Co ty na to?

– Szczerze mówiąc, jestem nieco zaskoczona...

– Jak mam to rozumieć?

– N-n-n-o... Pozytywnie zaskoczona. Pewnie, że pojedziemy.

– To fajnie. Będę dziś w domu normalnie, co ty na to?

– Znowu jestem zaskoczona.

– Znowu pozytywnie?

– Owszem.

– W takim razie do zobaczenia.

– Okej. – W jej głosie usłyszałem ostrożną rezerwę, jakby spodziewała się, że zaraz zmienię zdanie albo powiem, że żartowałem. – Aha, Darek... Kupisz pomarańcze po drodze?

– Kupię. Kilo, dwa?

– Dwa. Tylko popatrz, żeby nie były nadpsute albo obite. Pa.

– Pa...

Taak, wzorowy mąż – to ja.

A potem wykonałem jeszcze jeden telefon. Rafał Buryta, mój dobry znajomy, był zastępcą naczelnika Wydziału Kryminalnego w Komendzie Miejskiej.

– Cześć, Suder z tej strony – rzuciłem do telefonu, kiedy odebrał. – Możesz?

– Mogę. Wolne mam. Co tam?

– Sprawdzisz mi kogoś? Tylko KSIP. Na razie...

– A potem? – Roześmiał się.

– Mam nadzieję, że ten człowiek jest „niepotrzebny” i nie będzie żadnego potem.

– Dobra: imię, nazwisko, PESEL...

– Marcin Bogutowicz. PESEL-u nie znam. Chłopak ma około dwudziestu, dwudziestu pięciu lat, prawdopodobnie jest ze Szczecina lub okolic. Dasz znać?

– Dam – obiecał Rafał. – Góra w ciągu kilku dni. Tylko na wszelki wypadek prześlij mi jeszcze to imię i nazwisko „esem”. Cześć.

– Cześć... Aaa, Rafał! – zatrzymałem go jeszcze.

– No?

– Gdzie dostanę te zieloną plaketkę na wjazd do Berlina?

– *Umweltzone Plaquette?*

– Właśnie. Potrzebuję, wybieram się tam służbowo, ale tym razem chcę pojechać swoim autem.

Żeby wjechać do Berlina i wielu innych niemieckich miast samochodem, trzeba mieć na szybie specjalną winietkę, świadczącą o tym, że auto spełnia wymogi ekologiczne. Im nowszy samochód, tym wyższa kategoria, a gdy się chce wjechać do ścisłego centrum stolicy Niemiec, trzeba mieć najwyższą – zieloną „4”. Wiedziałem, że Rafał jest zapalonym modelarzem i zaopatruje się tam w elementy do makiet kolejowych, które buduje z kolegami po nocach.

– Kiedyś kupowało się je w warsztatach Dekry, ale słyszałem, że teraz to się zmieniło i obcokrajowcovi nie sprzedadzą. Dowiem się u kumpla i dam ci znać.

– Dzięki! – Rozłączyłem się.

Nie byłem z siebie zadowolony, prosząc Rafała o sprawdzenie Bogutowicza. Ale robiłem to dla dobra córki. Przyłizanemu gogusiowi nie patrzyło dobrze z oczu, takie było moje zdanie w tej sprawie. Innych aspektów wolałem na razie nie poruszać. Miałem tylko nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży i kiedy okaże się, że typ był karany, Agnieszka sam zrozumie: nie jest to partner dla niej.

Reszta dnia zleciała błyskawicznie. Z Martą nie widziałem się aż do końca pracy i chyba dobrze, bo jeszcze coś głupiego wpadłoby mi do głowy... Wychodząc z gabinetu, natknąłem się na Zimną. Oczywiście w sekretariacie była zawsze, jak kompot na stole w starym dowcipie, ale zwykle tak zajęta, że nie miała czasu na mnie spojrzeć. Tym razem było inaczej. Też udzieliła się jej chyba przedświąteczna atmosfera, a może zauważyła moją obniżoną aktywność w relacjach z Martą, bo miała nawet sympatyczny wyraz twarzy. „Do jutra, szefie” brzmiało jak zwykle „do jutra, szefie”, a nie jak: „obyś szczeł w piekle, hulako!”. Pomachałem jej, posyłając przy okazji dość ciepły uśmiech i w myślach dopisałem do listy zakupów drobiazg dla Zimnej. Minus rzadszych kontaktów z Martą: musiałem o tym pamiętać sam.

Kiedy wsiałem do zaparkowanego pod komendą samochodu, podświadomie planując

trasę do domu, przypomniałem sobie o tych cholernych pomarańczach, które miałem...

PO

– ...Myślisz, że mi oddała? Jeszcze pyskowała, że się upominam. Bezczelna suka...
 Czekaj, wenflon się przytkał, trzeba przepłukać...Wyobrażasz to sobie w ogóle?
 – Mówiłam ci, uważaj na nią... Nie, zostaw, trzeba już wymienić...

Coś jest nie tak... Rozmowa, którą słyszę, jest prowadzona po niemiecku...

Ból.

Nieokreślony, wszędzie. Wędruje po całym ciele. Ćmi. Nie wyję ani nawet nie jęcę, bo nie jest aż tak wielki. Raczej drażni, niż paraliżuje. Da się wytrzymać. Mam ochotę co najwyżej syknąć, ale jakoś nie mogę się do tego zmusić. Jestem w kokonie, ciepłym i przytulnym. Nie mogę się poruszyć, ale on mnie otacza w jakiś bezpieczny i niemal czuły sposób. Wiszę w nim jak w kombinezonie kos... koms... Jezu, jak się to mówi... Nie mogę sobie przypomnieć, nie pamiętam... Nie czuję rąk, nóg, nie czuję niczego. Z wyjątkiem bólu. Gdyby nie on, byłoby mi nawet przyjemnie... Zaszło mi w ustach, w dodatku nie jestem w stanie poruszyć językiem ani przełknąć śliny. Coś tkwi w moim gardle. Nie znam tych głosów, które dochodzą mnie skądś z boku, a słowa, które słyszę, nie mają sensu. Nie mają sensu, choć je rozumiem. Wypowiedziano je po niemiecku.

Wiszę.

Odpływam.

Zostawiam...

* * *

Obudziłem się.

Zerwałem się ze snu nagle i gwałtownie, jakby mój umysł został szarpnięty jakimś koszmarnym obrazem, którego nie pamiętałem już chwilę później.

Byłem odrętwiały. Przez głowę przelatywały mi jeszcze ostatnie, oderwane od siebie obrazy sennego marzenia, które mój mózg usiłował bez powodzenia odtworzyć, ale powoli, przeraźliwie wolno wracałem do rzeczywistości. Miałem dziwne uczucie, że moje powieki zlepia jakaś kleista substancja. Spróbowałem unieść rękę, żeby je przetrzeć, ale nie miałem siły. Poczulem ukłucie niepokoju. Spróbowałem jeszcze raz, ale efekt był wciąż taki sam. Bezwładna jak drewniana kłoda ręka wciąż leżała obok mnie. Mimo że czułem, jak napinają się mięśnie, przedramię wciąż dotykało mojego biodra. Kiedy w końcu udało mi się lekko uchylić powieki, obraz, jaki zobaczyłem, był rozmazany i prześwietlony.

Kolorowe smugi obracały się w prawo i lewo, kiedy zerkałem na boki, usiłując ustalić, gdzie jestem. Jakbym patrzył w dziecięcy kalejdoskop z kolorowymi kawałkami szkła. Mrugając szybko, złożyłem usta do wypowiedzenia jakiegoś zdania, ale wydałem z siebie jedynie dźwięk, który nie przypominał żadnego słowa. Nagle światło przesłonił cień i poczułem na czole ciepło czyjejś dłoni.

– *Vorsichtig*, leż, wszystko w porządku. Budzimy się. Spokojnie... – Kobięcy głos był lekko napięty, a słowa znów po niemiecku. – Rozumiesz, co mówię?

Pokiwałem głową, ale nie byłem spokojny. Kręciłem się i szeptałem: *Was ist passiert, was ist passiert?*, ale nikt mnie nie słuchał. Może dlatego, że tylko wydawało mi się, że szepczę? Ucisk w szyi i rozlewające się w niej zimno, zarejestrowałem na ostatku. Znów odpłynąłem w ciemność bez dna...

Kiedy obudziłem się ponownie, szumiało mi w głowie. Obraz, jaki miałem przed oczami, tym razem był wyraźny. I nie był miły.

Byłem w szpitalu. Byłem, kurwa, w szpitalu!

Szarpnąłem się w odruchu paniki. Nienawidziłem szpitali, białozielonych umieralni, w których życie ściga się ze śmiercią, ganiając się po łózkach jak dwa rozpuszczone bachory bawiące się w berka połączonego z koszmarną wyliczanką: ty pod oknem zdrowiejesz i wychodzisz, ty przy drzwiach: komplikacje i zgon w męczarniach. Ale znów nie mogłem się ruszyć. Pielęgniarka, która do mnie podeszła, musiała wiedzieć, co dzieje się w mojej głowie, bo położyła mi rękę na ramieniu i łagodnym tonem zaszczebotała:

– *Guten Tag, Kätzchen*. Witamy z powrotem.

Uśmiechnęła się. Była w moim wieku, niezbyt ładna i było jej o wiele za dużo, tak dużo, że aż wylewała się z fartucha, wypełniając swoim ciałem każdy jego fałd. Ale ten jej uśmiech jakimś cudem zdjął ze mnie napięcie. Wiedziała, co robi. Rzuciła okiem na otaczające mnie urządzenia i kroplówkę.

– Niczego nie dotykaj – powiedziała już poważnym tonem. – Masz w sobie parę rurek: cewnik, sondę żołądkową i jeszcze elektrody EKG. Wszystko ci zdejmujemy, skoro już nie śpisz. – Spojrzała mi w twarz i znów się uśmiechnęła. – Prawie wszystko, ale to, co zostanie, nie będzie ci za bardzo przeszkadzać, obiecuję.

Zadałem oczami to pytanie, które cisnęło mi się na usta. Zrozumiała, nietrudno chyba było domyślić się, jak brzmiało.

– Jesteś na OIOM-ie w szpitalu Charité w Berlinie. Trafiłeś tu z neurochirurgii. Zaraz przyjdzie doktor i wszystko ci powie. Nie denerwuj się.

Nie, skąd...

Chryste, co ja robię w berlińskim szpitalu? Trochę czasu zajęło mi uświadomienie sobie sensu jej słów. Z neurochirurgii, czyli nie serducho. Ale za to głowa, i tu już nie wiedziałem, czy to lepiej, czy gorzej. Udar? Wypadek? Byłem skołowany. Myśli były ciężkie jak ołów, nie mogłem przypomnieć sobie wielu słów, którymi chciałem je werbalizować. I nie chodziło o niemieckie słowa. Nie pamiętałem ich nawet po polsku.

Lekarz przyszedł chwilę później. A może dużo później, nie wiem, bo zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, nie miałem pojęcia, ile czasu minęło; chwila, godzina czy doba. Dołączył do pielęgniarki i stali teraz razem przy moim łóżku, przypatrując mi się w milczeniu. Był młody, miał ciemną karnację i czarne, rzadziejące nad czołem i na

czubku głowy włosy, a na nosie okulary bez oprawek. Wyglądał na Araba. Zajrzał mi w źrenice, delikatnie obmacał głowę, potem chwycił mnie za rękę, wkładając swoje kciuki w moje dłonie.

– Może pan ścisnąć moje palce? – zapytał po niemiecku z silnym, obcym akcentem.

Nie miałem pojęcia, czy jestem w stanie zrobić cokolwiek poza odpłynięciem z powrotem w nicość.

– Proszę ścisnąć – polecił. – Teraz. Obiema dłońmi naraz.

Ścisnąłem więc. Niezbyt mocno, ale jednak, co napełniło mnie niespodziewanie radością. Bo to oznaczało, że nie byłem sparaliżowany, przynajmniej od pasa w górę. Lekarz wysunął swoje ręce z moich i zaczął głaskać mnie po nogach, potem popukiwać w kolana.

– Czuje pan mój dotyk tak samo na obu kończynach?

Jeszcze większa radość. Tak, na obu kończynach tak samo. Tyle znaczyło moje otwarcie ust. Odchrząknąłem lekko i wreszcie wychrypiałem moje pierwsze słowa:

– Co... się... stało?

– Jaka jest ostatnia rzecz, jaką pan pamięta?

Jakoś dotarło do mnie, że to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Miałem kupić... Owoce...

– Jakie?

– Po... Pomarańczowe...

– Pomarańcze?

– Tak. – Odetchnąłem z ulgą. – Pomarańcze...

Pokiwał głową.

– Kiedy to było?

Oblizalem wyschnięte usta i skupilem się.

– Listopad... – szepnąłem i spojrzałem lekarzowi w oczy.

Chciałem wiedzieć, z jakiego powodu tu się znalazłem, i czułem, że on odwleka moment, w którym w końcu mi to powie. Guz mózgu? Coś jeszcze gorszego, jeśli w ogóle może być coś gorszego? Lekarz odwrócił na chwilę wzrok.

– Został pan postrzelony w głowę. – Zmarszczył brwi, a potem uniósł je, mrugając jak krótkowidz, który właśnie zdjął okulary. – Niecałe trzy miesiące temu, to znaczy w połowie grudnia... Był pan w śpiączce, potem wybudził się pan z niej, ale nastąpiły pewne komplikacje natury ogólnej, przez które został pan przeniesiony na oddział intensywnej terapii i wprowadzony ponownie w stan śpiączki, tym razem farmakologicznej. Wygląda na to, że wraca pan do życia. Ma pan silny organizm, więc...

Słowa wylewały mu się z ust potokiem, aż przestałem go w końcu słuchać. Nie miałem siły. Za to w głowie miałem pustkę.

– Moja żona... – zachrypiałem. – Zadzwoń...

Lekarz usiadł na skraju łóżka. Zrobił to powoli, z namysłem, a potem wziął głęboki wdech, wciskając podbródek w swoją pierś. Znów zerkał gdzieś w bok, jakby utrzymanie, a nawet nawiązanie ze mną kontaktu wzrokowego było dla niego zadaniem ponad siły. Stojąca przy nim pielęgniarka gdzieś zniknęła, nawet nie zauważyłem kiedy.

– Pańska żona... – powiedział cicho. – I córka... Niestety nie żyją. Przykro mi.

Zanim pojałem, co powiedział, zdążyłem zapytać:

– Co się...?

– Zostały zastrzelone...

Nie dałem rady. Zacząłem spadać, potem boleśnie zanurzyłem się w jakiejś ciemnej, gęstej toni i odpłynąłem tam, skąd kilka minut wcześniej przybyłem.

Miałem nadzieję, że już się nie obudzę.

Miałem nadzieję, że umrę.

* * *

– Jestem profesor Jürgen Schimmer, neurochirurg. To ja pana operowałem...

Facet w białym fartuchu i ze stetoskopem na szyi uśmiechnął się szeroko, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. Przysiadł na krawędzi mojego łóżka i poklepał moją dłoń. Profesor. Niemcy przywiązują ogromną wagę do swych tytułów naukowych.

– Jaki dzisiaj mamy dzień? – zapytał, patrząc mi uważnie w oczy.

– Piątek.

– A którego?

– Co: którego? – nie zrozumiałem.

– Miesiąca i roku?

– Trzynasty marca dwa tysiące piętnastego.

– Świetnie – pochwalił mnie, a ja poczułem się jak zdolny trzylatek, który właśnie nauczył się liczyć do dziesięciu i teraz prezentował nowo nabyte umiejętności przed wujkiem.

Nie powiedziałem mu, że na ścianie nad kontuarem, na którym pielęgniarki przygotowują leki, wisi wielki kalendarz z logo GlaxoSmithKline, a ja od paru lat jestem dalekowidzem, chociaż nikomu się do tego nie przyznałem. Nawet przed sobą. Pewnie przez próżność, co tu dłużej kryć.

– A jak pan się nazywa?

– Dariusz Suder. – Westchnąłem.

– No dobrze. – Pokiwał głową, szczerząc idealnie równe zęby, i powtórzył: – Dobrze... Nie powiem, że to był drobiazg. Nie chcę bluźnić, ale chyba przełamaliśmy czyjś monopol na cuda. – Wyszczrzył się jeszcze bardziej i wznosił oczy ku sufitowi. – Tak, cud to dobre określenie na to, co zrobiliśmy na sali operacyjnej. No, ale to w końcu najlepszy szpital w Niemczech...

Miał sympatyczny uśmiech. Tak sympatyczny, że wywrzeszczenie mu w twarz: „po chuj to zrobiliście!?” zostawiłem sobie na później. Na to zawsze będzie czas. Pokiwałem tylko głową z uznaniem. Skoro twierdził, że zrobili dobrą robotę, to nie miałem powodów, żeby mu nie wierzyć...

– Obrzęk mózgu zniknął, niestety jednak pocisk został w pańskiej głowie. – Spoważniał. – Nie dało się go usunąć. Ryzyko uszkodzenia naczyń i powikłań skutkujących zgonem na stole operacyjnym było zbyt duże, żebyśmy je podjęli... Cóż, nie będę ukrywał, że pana stan jest bardzo poważny. Bardzo. Powiem wprost, bo jako lekarz mam taki obowiązek i nie wolno mi niczego przed panem ukrywać: może pan z tym żyć jeszcze trzydzieści lat i więcej jak gdyby nigdy nic, a może pan się nie obudzi nawet jutro. To może się stać w każdej chwili, rozumie pan? W każdej. Przykro mi...

Poczułem uderzenie gorąca i pokiwałem głową, oblizując wyschnięte nagle usta. Kiwałem głową, mimo że nie docierało do mnie w pełni to, co powiedział. Czułem, że zaraz zacznę się trząść. Tak musi się czuć ktoś, komu właśnie przedstawiono wyrok śmierci bez podania terminu egzekucji. Miałem żyć w celi śmierci swojego ciała, nie wiedząc, kiedy nastąpi egzekucja wykonana przez kata, który w postaci małego kawałka metalu był w tej celi razem ze mną. Żyć, wiedząc tylko, że ta egzekucja jest nieunikniona. Chryste...

– Otrzymał pan postrzał w bok głowy, uszkodzone zostały struktury lewej półkuli. Niezbyt głęboka penetracja pocisku sprawiła, że uraz pierwotny nie był aż tak ciężki. Wynacznienie krwi do tkanki mózgowej spowodowało jednak obrzęk mózgu. Wprowadziliśmy pana w stan śpiączki farmakologicznej, był pan wentylowany mechanicznie. Przeszedł pan również leczenie przeciwobrzękowe. Ubytek w kości czaszki zastąpiliśmy tytanową płytką. Resztą szczegółów nie będę pana zanudzał, ważne, że jest pan w całkiem niezłej kondycji. Aż nie do wiary... Miał pan szczęście, że nie zostały uszkodzone głębsze struktury mózgu, te odpowiadające za ruch czy mowę, generalnie percepcję. Przy uszkodzeniu płatów czołowych zmieniałaby się pańska osobowość. To tyle, jeśli chodzi o dobre wiadomości.

– To będą jeszcze jakieś złe? – wyszeptalem, nie przepuszczając okazji do splunięcia jadem sarkazmu.

– Niestety tak. – Najwyraźniej Schwimmer nie zauważył tego albo w ogóle się tym nie przejął. – Ponieważ nawet przy obecnym zaawansowaniu wiedzy medycznej mózg ludzki wciąż pozostaje najmniej poznanym narządem, nie jesteśmy w stanie przewidzieć wszystkich komplikacji i możliwych następstw. W związku z tym niektóre objawy czy konsekwencje pańskich obrażeń są jeszcze nie do ustalenia i mogą nas zaskoczyć. Nas i pana, oczywiście. I to chyba właśnie jest najgorsze; ta niewiedza, ta niepewność... Lepsze znane zło niż straszna niepewność. To miałem na myśli, mówiąc „złe wiadomości”, bo mimo wszystko lepszy znany wróg niż nieznan, prawda?

Nie odpowiedziałem. Moim zdaniem, w porównaniu z poprzednimi, ta wiadomość nie była wcale gorsza. Ale zachowałem to dla siebie.

– Nie będzie pan mógł również przechodzić niektórych badań, takich jak na przykład rezonans magnetyczny – kontynuował Schwimmer. – Że nie wspomnę o drobnych niedogodnościach, z którymi jednak można żyć: bramki z wykrywaczami metalu na lotniskach, w sądach i tak dalej. No i prawdopodobnie dojdą do tego: bezsenność, bóle głowy oraz kłopoty z pamięcią, być może depresja... – Pokiwał głową. – Niekoniecznie, ale ryzyko jest duże. Czeka pana również dość intensywne rehabilitacja, w pierwszym okresie ze specjalistą, potem ogromna praca własna. Ma pan osłabione mięśnie, jeśli chce pan w pełni wrócić do sił i do poprzedniego życia, musi pan dać z siebie wszystko.

Kłopotów z pamięcią byłem już świadomy. Pomijając to, czego kompletnie nie pamiętałem z okresu kilku tygodni przed postrzałem, miałem w niej pełno innych luk. Moja pamięć przypominała ser szwajcarski albo jaskinie w wapiennych górach. Pocisk w ułamku sekundy zrobił z nią to, na co wypłukująca w skale groty woda potrzebuje tysiącleci. Nie pamiętałem daty urodzin Joli, imienia swojej pierwszej dziewczyny, numerów telefonów, które, jak sądziłem, mam niemal wdrukowane w głowie... Swojej matury, odebrania Agnieszki i Joli z ginekologii pomorzańskiego szpitala... A jeśli chodzi

o powrót do, jak to określił Schwimmer, poprzedniego życia... Do czego tu wracać?

Głowa opadła mi na poduszkę. Odwróciłem ją, żeby nie patrzeć na człowieka, który był posłańcem złych wieści. Tak złych, że gorszych nie można sobie wyobrazić.

– Co się stało z moją żoną i córką? – zapytałem.

Nastąpiła cisza. Trwała kilka sekund, aż odwróciłem głowę, żeby sprawdzić, czy Schwimmer czasem sobie nie poszedł. Siedział wciąż obok mnie.

– Przykro mi. – Pokręcił głową. – Nawet gdybym chciał, a proszę mi wierzyć: chciałbym, nie umiem panu odpowiedzieć. Po prostu nie wiem nic oprócz tego, że zostały zastrzelone. Policja nałożyła szlaban na informacje. Daliśmy znać gdzie trzeba, ktoś wkrótce do pana przyjdzie i wszystko wyjaśni...

– Kiedy?

– Co kiedy? – nie zrozumiał.

– Kiedy ktoś przyjdzie?

– Też nie wiem. Daliśmy znać, gdzie trzeba... – powtórzył.

Niewiele pamiętam z tego, co było dalej. Wiem tylko, że zacząłem krzyczeć i miotać się na łóżku, aż założyli mi pasy, które przypięli do ramy łóżka. Wiem, że przez następne kilka dni byłem otępiały i bezsilny dzięki lekom, które spływały z kolejnych worków kroplówek, zmienianych w dzień i w nocy. Jedna po drugiej, trzecia, czwarta, dziesiąta, aż w końcu straciłem rachubę. Patrzyłem tylko obojętnie, jak płyn z lekami ścieka z nich pojedynczymi kroplami do wężyka i znika w wenflonie, a potem we mnie. Patrzyłem na to i nie reagowałem. Leki zmieniły mnie w żywego trupa.

Dziś wiem też, że Schwimmer mnie wtedy okłamał. Do końca mojego pobytu w Charité nikt do mnie nie przyszedł.

* * *

Przez kilka pierwszych dni pobytu w szpitalu na Unii Lubelskiej leżałem na oddziale intensywnej terapii. Podróż z Berlina na pokładzie śmigłowca sanitarnego ADAC-u zniosłem całkiem dobrze, ale na wszelki wypadek położono mnie na OIOM-ie. Dochodziłem do siebie, aż mój stan fizyczny poprawił się na tyle, by lekarze uznali, że nie ma powodu trzymać mnie tam dłużej, żebym złapał gronkowca albo jeszcze gorszy syf. Poza tym bycie przytomnym pacjentem na OIOM-ie jest męczarnią zarówno dla pacjenta, jak i dla lekarza i pielęgniarek. Nawet dokładnie nie wiadomo, dla których z nich większą. W końcu przeniesiono mnie na oddział neurologii.

Senne dni zlewały się ze sobą, bezsenne noce również. Jedynym urozmaiceniem była rehabilitacja z Piotrem, sympatycznym fizjoterapeutą, który pomagał mi uczyć się na nowo chodzić. Podobno znaliśmy się z widzenia z osiedla, ale pocisk w głowie sprawiał, że szansa na przypomnienie sobie go była równie nikła, jak moja chęć do życia. Kuśtykaliśmy razem po korytarzu, Piotr masował moje nogi, w których od długotrwałego leżenia zaczęły zanikać mięśnie. Krótko mówiąc, facet przywracał mnie do życia. Ale tylko fizycznie.

Poza ćwiczeniami przeważnie leżałem na łóżku i tępo wpatrywałem się w okno, nie mogąc skupić myśli na niczym konkretnym. Atmosfera szpitala dodatkowo mnie przygnębiała i to tak cholernie, że odehciewało mi się wszystkiego: jeść, pić, gadać i żyć.

Krzyk mózgowy pacjenta, który leżał obok mnie sprawił, że miałem ochotę wstać, otworzyć okno, wyjść przez nie na zewnątrz i zakończyć swoje życie dwie kondygnacje niżej, w betonowym zagłębieniu doświetlającym piwnice budynku. Z powodu niezbyt dużej wysokości istniało jednak ryzyko, że to się nie uda, że tylko się połamię i pogorszę swoją i tak nie najlepszą sytuację. Na szczęście faceta zabrali w końcu tam, skąd przyszedłem, czyli na OIOM. Zostałem wreszcie sam.

Tylko ja i moje najczarniejsze myśli.

Wciąż nie docierało do mnie w pełni, co tak naprawdę się stało. Że nie zobaczę więcej żony ani córki. Że zostałem kaleką bez szans na powrót do poprzedniego, normalnego i intensywnego życia. Łapałem się na tym, że każdy wykonywany przeze mnie ruch jest ostrożny i precyzyjny, jakbym był istotą ze szkła, której nieprzemyślane działanie groziło destrukcją. Jakby każdy z tych ruchów mógł spowodować przesunięcie się pocisku w głowie. Jakby każdy ruch miał być ostatnim...

Pomyślałem nagle o Marcie. Zganiłem się po chwili za niestosowne w tej sytuacji myśli, ale nie mogłem ich od siebie odpędzić. Po prostu nie mogłem i było mi z tego powodu cholernie wstyd przed samym sobą. I przed Jolą, mimo że jej już nie było... Dziwiłem się, że Marta jeszcze się u mnie nie pojawiła. Taak, to bardzo dziwne.

Zostałem sam nie tylko tu, na oddziale, w małej sali o ścianach w cielistym kolorze, który po zmroku, w nikłym świetle plafonu nad umywalką przybierał odcień wymiocin. W życiu też już nikt mi nie został. Rodzice nie żyli, byłem jedynakiem, a z kuzynostwem nigdy nie utrzymywałem bliższych kontaktów. Z matką Joli kontakt miałem, ale na szczęście sporadyczny. Wyniosła, chłodna kobieta, która nigdy nie potrafiła zetrzeć z twarzy wyrazu wyższości, zwłaszcza przy mnie, odwiedziła mnie tu tylko raz. Wizyta nie była miła. Trwała kilka minut i polegała na przypatrywaniu mi się w milczeniu. Teściowa ubrana w futro siedziała na krzeselku z torebką na kolanach i wodziła oczami po mojej twarzy i ogolonej na łyso głowie. Skóra na czaszce oszpecona była łukowatą blizną i wypukłością w miejscu ubytku kości, w którym chirurdzy wstawili tytanową płytkę. Widok mnie, ledwie żywego, sprawiał chyba teściowej przyjemność, tłumiąc przynajmniej odrobinę żal po stracie córki i wnuczki. Nawet dla tej odrobiny było warto, widziałem to w jej oczach. „Dlaczego ona i Agnieszka, a nie ty?” – pytały te szare, zmęczone oczy, a ja nie potrafiłem jej na to odpowiedzieć. Niezadowolona z tego faktu poszła w końcu, nie zaszczyciwszy mnie ani słowem pożegnania czy choćby spojrzeniem od drzwi. To, że spędziłem z jej córką dwadzieścia pięć lat życia, nie miało dla niej najwyraźniej znaczenia. Poszła i zostałem naprawdę sam. Chociaż... Została mi przynajmniej Marta.

Kiedy teściowa wychodziła, zobaczyłem przez uchylone drzwi fragment granatowego rękawa i nogę w obuwiu taktycznym. Policjant siedzący przy drzwiach. Warowali przy mnie na zmiany dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dopadła mnie abstrakcyjna myśl: pilnują, żeby nie dopadł mnie ktoś z zewnątrz, czy chronią mnie przed sobą samym?

Nagle ogarnęła mnie chęć zadzwonienia do Marty. Pogadania z nią. Chciałem też zapytać, czemu jeszcze nie przyszła. Bała się? Bała się mojego widoku, bała się plotek? Chciałem o to zapytać, ale nie miałem jak. Nie miałem telefonu, pożyczanie go na chwilę od kogoś też nie miało sensu, bo nie pamiętałem numeru do niej. Nie pamiętałem nawet

swojego numeru. Poprosiłem lekarza o przekazanie informacji do komendy tylko dwa razy. Kiedy mimo to nikt się nie pojawił, dałem sobie spokój. Wciąż pamiętałem lekcję z Charité, tę z kroplówkami, i nie chciałem jej powtarzać. Minął prawie tydzień od mojego powrotu z Berlina, niemal trzy tygodnie od wybudzenia się, a nikt z komendy nie pofatygował się, żeby zobaczyć, jak się czuję i co się ze mną dzieje.

I to też mnie dobijało. Podobnie jak widok w lustrze. Przestałem w nie patrzeć. Wychudzona twarz, lekki zez w prawym oku, opatrunek z boku głowy leżący na siwiejącej szczecinie porastającej napiętą na czaszce skórę. Worki pod oczami, zapadnięte policzki – przegrana twarz przegranego człowieka. A raczej cienia człowieka... Byłem bliski totalnego upadku, przekroczenia granicy ostatecznego załamania, zza której nie ma już powrotu. Dzielił mnie od niej jeden krok i wciąż zastanawiałem się, czy go zrobić.

* * *

Pewnego dnia wreszcie ktoś do mnie przyszedł. Nie Marta. To był Jacek Mołczun.

Jacek był jednym z zastępców komendanta wojewódzkiego. Zналиśmy się kopę lat, spotykaliśmy się prywatnie, kiedyś częściej, dziś rzadziej, zналиśmy też swoje rodziny. Nie była to bliska przyjaźń, ale zawsze mogłem na niego liczyć i na pewno mogłem nazywać go kumplem. Dobrym kumplem. Dziwnie to brzmi w ustach pięćdziesięciolatka, ale tylko młodzi mogliby się dziwić. Jacek jest dla mnie kumplem. Kumplem, nie przyjacielem. Tacy ludzie, jak ja, nie mają przyjaciół. Smutne, ale prawdziwe.

Może ściągnąłem Mołczuna myślami? Był pierwszą osobą z pracy, która wpadła zobaczyć, co u mnie słyhać. Miałem nadzieję, że zrobił to właśnie jako dobry kolega, w końcu nie był moim bezpośrednim przełożonym. Że przyszedł nie z obowiązku, tylko z troski.

– Przypomnieliście sobie o mnie w końcu? – zapytałem zgryźliwie, widząc, jak zza uchylonych drzwi do środka zagląda jego siwa głowa.

Uśmiechnął się lekko i wszedł do sali. W ręku miał bukiet kwiatów. W uchylonych przez chwilę drzwiach znów mignął mi but policjanta.

– Po co on tam siedzi? – Wskazałem podbródkiem wejście do sali.

Jacek obejrzał się odruchowo.

– Wciąż nie znamy motywu – powiedział. – Boimy się, że ktoś będzie chciał dokończyć robotę...

– Nie przesadzacie?

– Nie. Pamiętasz „Kikira” z grupy markowskiej? Jak nasłany przez „Mutantów” kiler dobił go miesiąc po zamachu?

To akurat pamiętałem. Zabójca wszedł do szpitala w przebraniu księdza i zastrzelił ofiarę z broni z tłumikiem. Amen.

– No właśnie. – Mołczun pokiwał głową, siadając na stojącym przy moim łóżku taborecie na trzech nogach i kładąc kwiaty na szpitalnej szafce. – Strzeżonego i tak dalej...

Patrzył na mnie, na moją głowę, wychudzone ręce i nogi, wystające spod rozwłóczonej szpitalnej kołdry. Spojrzałem na bukiet, pytając o niego samymi oczami.

– Od Ani Tomaszewskiej – bąknął Jacek. – Prosiła, żebym kupił od niej. To kupiłem...

Sytuacja była lekko niezręczna, chyba dla nas obu. Bukiet był z róż i pachniał różami,

ale intensywnie jak odświeżacz powietrza. Zdziwiłem się. Ania wyglądała jak kobieta, ale zachowywała się jak facet. Nigdy nie podejrzewałbym jej o taki gest, jak wręczenie mi kwiatów. W ogóle to do niej nie pasowało.

– Co się stało, Jacek? – zapytałem niecierpliwie, podciągając się do siadu. – Powiedz mi w końcu, co się stało. Moja rodzina nie żyje, a ja wciąż nie mam żadnych informacji. Żadnych! Nikt do mnie nie dzwonił, nie odwiedził mnie... Kurwa mać! Nie wierzę w to! Nie wierzę, że można zostawić człowieka samego w takiej sytuacji. Wiesz, co ja czuję? Zdajesz sobie w ogóle sprawę? – Podniosłem głos, pozwalając słowom wylewać się z ust potokiem gorczy.

Jacek patrzył teraz w podłogę. Kiwał tylko smętnie głową, przytakując mi dla świętego spokoju. I to też mnie denerwowało.

Mołczun był wysokim facetem, dorównującym mi wzrostem, choć dużo szczuplejszym niż ja. Starszy ode mnie, kiedyś pracowaliśmy nawet w jednym wydziale, potem mnie oddelegowano do Niemiec, a on awansował i dochrapał się swojego obecnego stanowiska. Pogodny, spokojny człowiek, którego los nie oszczędzał, lecz mimo to jego pogoda ducha wciąż nie gasła. Od dłuższego czasu nie pił, ale te poprzednie lata, w których alkohol niemal całkowicie zawładnął jego życiem, odcisnęły na jego twarzy niezmywalne piętno w postaci siateczki drobnych, popękanych naczynek na nosie i wokół niego. Był tylko kilka lat starszy, ale spokojnie mógłby uchodzić za mojego ojca. Oczywiście w moim poprzednim życiu, w którym wyglądałem świetnie. Bo teraz ja również nie wyglądałem za ciekawie.

– Byliśmy u ciebie raz, w Berlinie – powiedział cicho Jacek. – Z Martą. Dwa dni po tym... Ale byłeś w śpiączce. Pomagałem też twojej teściowej załatwiać formalności związane z przewozem zwłok... Znaczą Joli i Agnieszki. A potem tylko czekaliśmy, sam rozumiesz... Co z tobą będzie... Czy w tę, czy w tamtą stronę... Niemcy też nie bardzo się kwapili do współpracy w tym zakresie, mówię o tej klinice. Marta się z nimi trochę użerała, żeby wydębić jakieś informacje...

Jacek zgarbił się lekko, oparł łokcie o uda, złączył palce obu dłoni w piramidkę i popukiwał nimi nerwowo. Szeroko rozstawione nogi stabilizowały pozycję, trójnogiemu stołkowi nie należał się nawet okruczeństwo zaufania. To prawda, naskoczyłem na Jacka, ale powinien tu być tydzień temu, jeśli nie wcześniej, w Berlinie... Nie wtedy, kiedy byłem pogrążony w śpiączce, tylko po tym, jak się już z niej wybudziłem i potrzebowałem go. Jego i Marty.

– W porządku, dzięki... – mruknąłem.

Zerknął na mnie spod brwi, nie podnosząc głowy.

– Dobra, co dokładnie się stało? – zapytałem, mimo wszystko już spokojniej. – Powiesz mi w końcu?

Podniósł wreszcie głowę i teraz popatrzył na mnie wprost, nie zmieniając jednak pozycji na taborecie. Słusznie.

– Niczego nie pamiętasz? – Zmarszczył czoło.

– Niczego. – Miałem sucho w ustach. – Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to to, jak po pracy wsadałem do samochodu pod komendą. Dwudziestego listopada.

Mołczun przygryzł wargę, a potem wziął głęboki oddech, jak ktoś, kto szykuje się do dłuższego przemówienia.

– To było we wtorek, szesnastego grudnia, jechaliście z Jolą i Agnieszką do Berlina – mówił bezbarwnym głosem. – Zabrałeś ich w służbową podróż własnym samochodem. Miałeś brać udział w spotkaniu z okazji Dnia Policji. To się stało rano, przed dziewiątą. Zatrzymaliście się na parkingu przy autostradzie, niedaleko Bernau bei Berlin. Kilka minut przed wami z autostrady zjechał motocykl, ścigacz. Kiedy dojechaliście wy, zatrzymaliście się w zatoczce, na jednym z miejsc postojowych. Twoja córka poszła do toalety, ty wysiadłeś z samochodu i zacząłeś chodzić wokół niego, pewnie chciałeś rozprostować nogi, Jola została w aucie. Ten motocykl stał niedaleko was. Facet nie zdjął kasku. Pokręcił się chwilę przy motorze, nagle rozpiął kombinezon, podszedł do ciebie, wyjął broń i strzelił ci w głowę. Potem... Potem strzelił do Joli, przez szybę. A... A kiedy Agnieszka wyszła z toalety i zobaczyła cię leżącego na ziemi... Ona zaczęła biec do ciebie i też dostała...

Jacek mówił cicho i urywanie, ale bardzo szybko, jakby chciał jak najprędzej to z siebie wyrzucić. Nie dziwiłem się. Miałem zamknięte oczy i zaciśnięte zęby, a moje ręce ścisnęły składaną poręcz łóżka.

– Złapali go? – Otworzyłem oczy i spojrzałem na niego.

Pokręcił głową.

– Uciekł z parkingu i zjechał z autostrady najbliższym *Ausfahrt*. Motor znaleziono między drzewami przy poboczu jeszcze przed Bernau; najprawdopodobniej przesiadł się do samochodu, który tam na niego czekał. Mówię najprawdopodobniej, bo pewności nie mamy. Motocykl był kradziony, ale właściciel, Niemiec z Pasewalku, nawet nie wiedział, że ktoś mu go zwinął. Wystawił go na sprzedaż na jakimś portalu aukcyjnym po tym, jak stracił nogę w wypadku samochodowym. Stał w garażu, do którego ktoś się włamał. Wiesz, złodziej wyprowadził motor, pewnie wtoczył go na jakąś przyczepę... Zresztą i tak miał okresową tablicę rejestracyjną, od kwietnia do końca października...

Skupianie się na nieistotnych szczegółach też jest jakimś sposobem na przekazanie niepomysłnych wieści. To w jakiś sposób pomaga, ale tylko temu, kto je przekazuje, a nie temu, kogo dotyczą.

– Skąd wiadomo, jak to wszystko się odbyło? Świadcowie, monitoring?

– Świadcowie... Każdy widział co innego, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa. Na parkingu były wtedy jeszcze trzy samochody, w tym polski bus z budowlańcami. W sumie trzynaście osób. Część z nich zorientowała się, że coś się stało, dopiero kiedy zabójca już odjeżdżał. Ale był monitoring na budynku toalety. Tam się wszystko nagrało. Prawie wszystko, a na pewno to... – urwał na chwilę – ...to, co najistotniejsze.

– Dlaczego? – Zadałem wreszcie to pytanie, mając nadzieję, że odpowiedź pomoże mi to wszystko jakoś pojąć. Zrozumieć.

– Śledztwo wciąż się toczy – odparł Jacek, a ja w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że nie dostanę od niego odpowiedzi, bo jej nie zna. I najprawdopodobniej nikt inny również jej nie zna.

– Macie ten film? Chcę go zobaczyć... – szepnąłem.

– Co ty mówisz? – Jacek powiedział to takim tonem, jakby obruszył się, że śmiem w ogóle żądać czegoś takiego.

– Chcę zobaczyć ten film – powtórzyłem dobitniej.

Mołczun zamilkł. Wyprostował się i spojrzał na ścianę z zagadkową miną. Wyglądał, jakbym go czymś uraził.

– Po prostu mi przynieś – poprosiłem już łagodniejszym tonem. – Mój służbowy laptop. Poproś Heńkę, to ci go da, jest w szafie przy oknie. Film zgraj na pendrive, wypal płytkę, nie wiem. Ale przynieś, dobra?

– To naprawdę nie ma sensu – upierał się, a teraz tonem głosu przypominał ojca tłumaczącego dziecku, dlaczego nie powinno próbować papierosów. – Wszystko sprawdziliśmy, Niemcy też się przyłożyli, naprawdę...

– Tak mocno się przyłożyli, że faceta do dzisiaj nie złapali? – zapytałem zgryźliwie. Jacek nic nie powiedział. Wyglądał jak siedem nieszczęść, dałem mu więc spokój. Nie musiał cierpieć, nie miał powodu. Wystarczyło, że ja go miałem, co jednak nie oznaczało, że wraz ze mną muszą cierpieć wszyscy dookoła. Kto by pomyślał, że taki ze mnie wspaniałomyślny gość...

– Jak w robocie? – zapytałem po chwili ciszy, żeby trochę polepszyć ten minorowy nastrój. I jemu, i sobie, bo atmosfera w małej szpitalnej sali aż pociemniała od tej żałoby.

Mina i poza Jacka się nie zmieniły, wciąż siedział jak skazaniec w oczekiwaniu na wykonanie egzekucji. Zdziwiło mnie to. Moje pytanie było dobrą okazją, może nie tyle nawet do eksplozji radości, ile przynajmniej do lekkiej poprawy nastroju. Jacek jej nie wykorzystał, z czego wyciągnąłem wniosek, że w robocie też nie było za ciekawie.

– A jak „Strela”? – zapytałem, kiedy wciąż nic nie mówił. – Te pięć kilo koki nie zgubiło się gdzieś w policyjnym magazynie? – dodałem cierpko, przypominając sobie wątpliwości Schymury z BKA. Usta Jacka wykrzywiły się na króciuteńką chwilę w wyrazie jakiegoś bliżej nieokreślonego, lecz z całą pewnością negatywnego uczucia, a palce znów złączyły się w piramidkę i zaczęły wystukiwać szybki rytm głuchym, ledwo słyszalnym: pop-pop-pop-pop.

– Coś nie tak? – drążyłem, patrząc na te jego długie palce drgające już jak w ataku febry.

W końcu się odezwał.

– Tak – powiedział i odchrząknął. – To znaczy... Można by rzec, że coś poszło nie tak...

– Poznam szczegóły?

– Pamiętasz w ogóle, co to za sprawa?

– To akurat pamiętam – mruknąłem.

Byłem trochę zły, że pamiętam akcję „Strela”, a nie pamiętam daty urodzin własnej żony. To było dołujące i niesprawiedliwe. I nic nie mogłem z tym zrobić.

– Cóż... Do pewnego momentu wszystko szło planowo. Dostaliśmy od Niemców ostateczne potwierdzenie, że transakcja dojdzie do skutku w terminie. W porcie w Stralsundzie wszystko poszło jak po maśle, ci od Kemala odebrali ładunek, zaszyli się w hotelu HanseDom i dwa dni później wyruszyli do Szczecina. Była dyskretna obstawa ze Stralsundu do granicy, gdzie czekali już chłopcy od „Malechy” i „Ziętego”. I, oczywiście my, tyle że niewidoczni. Dotarli do magazynu w naszym porcie, gdzie mieli wynajęte pomieszczenie. Wynajął je „Zięty”, a formalnie jego matka, i to już dawno temu, więc raczej nie tylko po to, żeby dokonać transakcji kupna woreczka kokainy. Może już na przyszłość, na większą partię? W każdym razie pełno tam jakichś hurtowni, składów i tak

dalej, i ten budynek też pełnił taką funkcję. I też był już obstawiony.

– I właśnie wtedy cały plan poszedł w... – przerwałem mu z lekkim uśmiechem, domyślając się, że ktoś coś spieprzył.

Szczerze mówiąc, gównu mnie obchodziło fiasko akcji „Strela”. Miałem swoje problemy, to już mnie nie dotyczyło, mogłem sobie pozwolić na lekką błazenadę. Ale Mołczun się nie uśmiechnął. Miał taką minę, że uśmiech zniknął mi z twarzy jeszcze szybciej, niż się tam pojawił. Pojąłem, że wydarzyło się coś niedobrego. Coś bardzo niedobrego. Jacek pokiwał głową, jakby wtórując moim myślom.

– Sama akcja została przeprowadzona bez zarzutu – powiedział, a w jego głosie było stuprocentowe przekonanie. – Tak twierdzą ci, którzy ją przygotowywali, ale ja się z tym zgadzam. Było dobre rozpoznanie, zabezpieczenie, saper, karetki i tak dalej... Wiesz, po Magdalence nikt nie pozwoli sobie na błędy.

Skinąłem głową. Podczas obławy na członków gangu „Mutantów” w Magdalence zginęło dwóch funkcjonariuszy, kilkunastu zostało rannych. Nikt nie spodziewał się podłożonych w ogrodzie min i ognia zaporowego prowadzonego z kilkunastu jednostek broni, w tym automatycznej. Czy to była kwestia niedoceny siły i desperacji gangsterów, czy braku rozpoznania i odpowiedniego wsparcia – jedno było pewne: to, co stało się w ogrodzie i niewielkim domku w podwarszawskiej dziurze, nie miało prawa się zdarzyć, ale się zdarzyło i nie można było tego nazwać inaczej niż po prostu rzezią. Bandydziści – Polak i Białorusin – zginęli; nie popełnili samobójstwa, jak chciały gazety, tylko zaczęli się w pożarze, który wybuchł w domu.

– Nie do końca ich zaskoczyli – kontynuował Jacek, strzelając oczami po kątach sali. – Otoczyli magazyn i wezwali do poddania. Tamci odpowiedzieli ogniem. Zaczęła się strzelanina, trwało to jakieś pół godziny. Mieli tylko kilka sztuk broni, więc z ich strony to było takie pukanie, choć groźne, bo udało im się trafić trzech naszych, na szczęście lekko. Ale zanim nadjechały posiłki, nastąpił wybuch. Potężny wybuch, Darek. Podobno dach tego magazynu pofrunął w powietrze, uniósł się jak strzepywane prześcieradło. I ta kula ognia i grzyb czarnego dymu... Zginęli wszyscy, którzy byli w środku: „Zięty”, trzech od „Malechy” i dwóch Turków. Oraz czworo naszych, którzy zdążyli dostać się tam od tyłu. Niektórych gangsterów nie dało się nawet zidentyfikować, tak byli popaleni. „Malecha” ocalał tylko dlatego, że podobno nie mógł przyjechać. Wysłał swoich ludzi. Formalnie nie jest nawet zamieszany w to wszystko.

Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszałem. Najgorszy scenariusz zdarzeń, jaki mógł się przytrafić. Pięknie. Pierdoliło się moje życie i wszystko wokół niego.

– Ładunki wybuchowe? – zapytałem.

Mołczun pokręcił przecząco głową.

– Butle z acetylenem i propanem-butanem. Kanistry z benzyną. Składowane w sąsiednim pomieszczeniu, w tym samym budynku. Strażacy wciąż dłubią przy ekspertyzie, co konkretnie spowodowało wybuch. Spaliło się niemal wszystko. Kasa, prochy, ci ludzie w środku, no mówię ci, wszystko. Teraz nazywają to „Magdalenka 2”. W pół godziny zginęło więcej naszych niż przez całą noc tam. My mieliśmy tylko mniej rannych. Szewczyk o mało nie poleciał ze stołka, ale jak wiesz, znają się z głównym. Wewnętrzne dochodzenie wciąż trwa, jeszcze nie postawiono nikomu zarzutów, na razie

wszystko traktuje się jak wypadek przy pracy. Na razie... – dodał znacząco, podnosząc palec wskazujący. – ...Bo tego nie da się zostawić ot, tak i wszyscy są tego świadomi, Szewczyk również. Ten cholerny magazyn był obserwowany na dwa tygodnie przed akcją, ale nikt nie mógł wiedzieć, że w pomieszczeniu sąsiadującym z tym wynajętym przez „Ziętego” jest kilkanaście butli z gazem, beczki z ropą i w cholerę kanistrów z benzyną. Oczywiście media mają używanie.

Miał smutną minę, tak smutną, jakby to dotyczyło go osobiście. Najprawdopodobniej tak było, w końcu jako zastępca komendanta też mógł odczuć konsekwencje tych zdarzeń na własnej skórze. Kręcił głową, kierując zdziwione spojrzenie gdzieś pod moje łóżko. W końcu westchnął ciężko.

– Słuchaj, Darek... – stęknął. – Nie wiem, jak ci to powiedzieć, tyle ostatnio przeszedłeś... Śmierć Joli i Agnieszki...

– Myślisz, że może mnie spotkać coś jeszcze gorszego? – zapytałem szyderczo. – Wal śmiało. Zostałem wylany z roboty?

Pytanie nie miało sensu. Zdawałem sobie sprawę, że nie wrócę do służby. Nikt nie przyjmie z powrotem kaleki z dziurą w czaszce i tysiącami następnych w pamięci. Ale musiałem sobie ulżyć, żeby zółć nie zalała mnie po czubek głowy.

Jacek pocierał dłonią policzek.

– Nic gorszego, mówisz... W sumie masz rację. – Spojrzał na mnie nagle lekko stropiony. – Przepraszam, wiem, jak to brzmi, ale fakt pozostaje faktem: masz, kurwa rację... Co może być gorszego od śmierci żony i córki?

Jacek był jedynym znanym mi funkcjonariuszem policji, który nigdy, przenigdy, nie użył przy mnie ani nikim innym słowa na „k”. Ani żadnego podobnego.

– Właśnie, co? – zapytałem cicho, przeczuwając, że zaraz znów usłyszę coś bardzo złego. – No to wal.

Nagle uświadomiłem sobie, że Jacek kilka minut temu powiedział „zginęło czworo naszych”. Czworo... Znów poczułem, jak w brzuchu rośnie mi bryła lodu, a palce dłoni drętwieją jak po zadaniu bardzo mocnego ciosu w coś twardego. Nie, to niemożliwe – zdążyłem pomyśleć.

– Tylko się nie denerwuj, Darek... Marta Kielan jest wśród tych policjantów, którzy zginęli w magazynie...

Zesztywniałem. Wpatrywałem się w Jacka jak w zjawę i kolejny raz czułem, jak spadam w przepaść bez dna. Powstrzymanie płaczu kosztowało mnie dużo, naprawdę dużo wysiłku. Nagle, w ułamku sekundy ogarnęła mnie wściekłość. Na siebie, na Jacka, na los, na Martę, na tych, którzy spieprzyli akcję. Bo nie ma siły: jeśli ginie tyle osób, to ktoś musiał coś spieprzyć.

– Co ona tam robiła? – wywarczałem zduszonym głosem. – Jakim cudem, do kurwy nędzy, policyjny urzędnik trafił zza biurka w sam środek akcji antyterrorystycznej!? Kurwa, czy... Czy to jakiś głupawy film? Koszmarny sen, z którego nie mogę się obudzić!?

– Taak, dziś wiele osób zadaje sobie podobne pytania...

– O co tu chodzi, Jacek? – Patrzyłem mu w oczy. – Wytłumacz mi to, bo nic z tego nie rozumiem. Nic-z-tego-nie-rozumiem!

Jego twarz rozmazywała mi się przed wypełnionymi łzami oczami.

– Widzisz, kiedy cię postrzelili, to Marta koordynowała współpracę z Niemcami. Skibiński się do tego nie nadaje, sam wiesz...

Wiedziałem. Mój nieformalny zastępca był „plecakiem” z rodzinnymi koneksjami w policji, a ponadto ograniczonym dupkiem z aspiracjami, które sięgały pierwszego piętra komendy. A konkretnie gabinetu pierwszego zastępcy komendanta wojewódzkiego. Ewentualnie jednego z dwóch pozostałych zastępców, czyli między innymi Jacka. A może nawet gabinetu samego komendanta.

– I wiesz, jaka była Marta...

To też wiedziałem.

– ...Wszystko musiało być dopięte na ostatni guzik. A jak już dopięła, to uprosiła kryminalnych, żeby mogła brać udział w akcji. Chodziła za tym tak długo, aż wychodziła i wyblagała. A sam wiesz, że miała siłę przebiccia i dar perswazji... – Popatrzyłem mu w oczy, czy czegoś nie insynuuje, ale wyglądało na to, że nie. – Kryminalni się zgodzili, miała tylko stać z boku i nie wtrącać się. W pewnym momencie, tuż przed rozpoczęciem akcji, po prostu wysiadła z samochodu na papierosa i zniknęła im z oczu. A potem, po wszystkim, znaleźli jej ciało w zgliszczach.

Milczałem długą chwilę, zastanawiając się, po co to zrobiła. Po co inteligentna, rozsądna i rzeczowa do bólu kobieta poszła w sam środek piekła. Była urzędniczką, ale i do cholery policjantką, i to nie krawężnikiem po szkółce, tylko oficerem po WSPol-u i dziesiątkach kursów. Musiała zdawać sobie sprawę, jak to wszystko może się potoczyć!

– Nie wiemy dlaczego. – Jacek jakby czytał mi w myślach, co nie było w tym przypadku specjalnie trudne. – Wciąż drepczemy w miejscu... Domyślamy się tylko, że to miało coś wspólnego z tobą.

– Ze mną? – Zesztywniałem. – To znaczy?

– N-n-n-o, z zamachem na ciebie.

– I na moją rodzinę... – dodałem.

– Oni zginęli dlatego, że byli świadkami. Widzieli zabójcę z bliska, więc musiał ich wyeliminować.

Zamknąłem oczy.

– Podobno miał kask? – przypomniałem mu. – I nie zdjął go. Więc jak mogli zobaczyć jego twarz? I wyjaśnij mi, jaki związek śmierć Marty może mieć z zamachem na mnie?

– Tego właśnie do końca nie wiemy – przyznał z rozbijającą szczerością. – Ale pewne fakty świadczą o tym, że te dwie rzeczy są jednak ze sobą powiązane. Popatrz, w krótkim czasie zostaje wyeliminowanych dwoje funkcjonariuszy jednego pionu, powiązanych z akcją „Strela”...

– Bardzo luźno powiązanych – rzuciłem. – Naprawdę bardzo luźno.

– Masz trochę racji – przyznał. – Ale to nie może być przypadek. Tak jak nie może być przypadkiem śmierć Marty. Oboje znaliście szczegóły akcji. Zamach na ciebie to jedna rzecz. Druga to to, po co Marta poszła do tego pieprzonego magazynu... Tego również nie wiemy, ale...

– Ale?

Spuścił głowę.

– To moja prywatna opinia, jeszcze się z nią z nikim nie dzieliłem.

– Ze mną się podzielił?

– Poszła tam, bo nagle na coś wpadła? – odpowiedział pytaniem. – I musiała to sprawdzić? Być może skojarzyła zamach na ciebie z czymś, co zobaczyła w pobliżu magazynu? Z czymś, czego nie powinno tam być...

– Albo z kimś? – dopowiedziałem.

– Albo z kimś. – Pokiwał siwą głową. – Kimś, kogo nie powinno tam być.

– Przede wszystkim jej nie powinno tam być!

– Oczywiście. Ale tego już nie zmienisz. Jak na razie śmierć komisarz Kielan traktowana jest jako nieszczęśliwy wypadek podczas akcji zatrzymania handlarzy narkotyków.

Westchnąłem i poprawiłem sobie poduszkę pod głową. Potem odwróciłem się na bok i uderzyłem w nią kilka razy pięścią, aż ułożyła się tak, jak chciałem. Uderzałem mocno, na pewno zbyt mocno.

– Więc twierdzisz, że ktoś chciał mnie zabić, bo dowiedziałem się o czymś w związku z planowaną akcją? – zapytałem. – O czymś istotnym, tak istotnym, że ten ktoś nie zawahał się zabić trzech osób, żeby to nie wyszło na jaw?

Jacek patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem.

– Mniej więcej tak sobie myślę – powiedział powoli.

– Co to miałyby być?

– O to ja powinienem ciebie zapytać.

Prychnąłem i odwróciłem głowę w stronę okna.

– Możesz sobie pytać, ale to ci nic nie da. Nie pamiętam niczego na kilka tygodni przed... – Urwałem i milczałem przez chwilę, a potem wróciłem do Jacka spojrzeniem. – Mam też kłopoty z przypomnieniem sobie przeróżnych faktów ze swojego życia. Jestem kaleką, Jacek. Mam popierdolone w głowie, w dodatku tkwi w niej coś, co zapewne wkrótce w ogóle wyłączy mnie z użytku. Na dobre i na zawsze, rozumiesz? Więc proszę, kurwa, pytaj, ile chcesz, ale ja i tak ci nie odpowiem, bo nie potrafię. Przykro mi...

Poczułem, że wilgotnieją mi oczy, a gardło robi się miękkie jak mokra lignina. Odchyliłem głowę, wgniatając ją w poduszkę, wbiłem wzrok w sufit i zrobiłem głęboki wdech. Pomogło.

– Przepraszam – powiedziałem cicho.

Jacek machnął niedbale ręką i przywołał na twarz grymas, który miał być półuśmiechem.

– Nie szkodzi – odparł. – Nie przejmuj się.

Coś nagle wpadło mi do głowy.

– Marta na pewno zginęła w wybuchu?

– Przecież ci powiedziałem, że tak... – Spojrzał na mnie uważnie, a w jego oczach zobaczyłem coś jakby troskę o stan mojej głowy.

– Mam na myśli bezpośrednią przyczynę jej śmierci. Wybuch czy coś innego, co eksplozja tylko zamaskowała, rozumiesz, co mam na myśli?

Pokiwał głową, wyraźnie uspokojony.

– Rozumiem. Czy ktoś jej wcześniej nie zabił i nie podrzucił ciała w pobliżu butli i kanistrów? Nic z tego. W raporcie patolog stwierdza jednoznacznie, że to był skutek

obrażeń odniesionych w wybuchu. To były obrażenia przyżyciowe. Miała zmiażdżoną klatkę piersiową, jej serce pękło od uderzenia jakimś ciężkim przedmiotem. Fachowo rzecz ujmując, żebra przebiły płuca i serce, krew wlała się do jamy osierdzia, nastąpiła tamponada, ostra niewydolność krążenia i wstrząs kardiogeny. Oczywiście było mnóstwo innych obrażeń...

Słuchając szczegółowego opisu mechanizmu śmierci mojej kochanki, doszedłem do wniosku, że Jacek mimo wszystko mógłby mi tego oszczędzić.

– Zresztą jakie to ma znaczenie? – Spojrzał na mnie ponuro i wzruszył chudymi ramionami, a ja zgodziłem się z nim w myślach, żałując tylko, że wpadł na to tak późno. – Nie żyje, cokolwiek to było... Siła tego ciosu była tak ogromna, że nie mógł zadać go człowiek. Uderzyło ją coś, co leciało uniesione nagłym podmuchem. To są ogromne siły, niewyobrażalne. Podsumowując: żyła, kiedy nastąpił wybuch. Ona... – Pokręcił głową. – Ona nie wyglądała dobrze, Darek. Zresztą żadne z nich nie wyglądało dobrze. Nie spaliła się całkiem, jak większość z nich, ale to i tak nie był miły widok. Jeszcze jej matka musiała na to patrzeć podczas identyfikacji. Ona podobno miała bardzo charakterystyczne znamię...

– Dobrze, Jacek, wystarczy... Już, dobrze?

Nie chciałem dłużej tego słuchać. Nie mogłem. Cisza, która nagle zapadła, była przytłaczająca. Westchnąłem i przełknąłem ślinę.

– Czyli nic się jej nie stało w czasie pomiędzy zniknięciem z samochodu a wybuchem magazynu? – upewniłem się. – Więc może jednak faktycznie jej śmierć to przypadek. I nie ma związku ze mną.

– Może tak, może nie. To, że zginęła od wybuchu, nie wyklucza mojej teorii. Bo mogła tam jednak pójść właśnie dlatego, że zauważyła coś niepokojącego. A twoje pytanie o to, czy na pewno zginęła w wybuchu, a nie wcześniej... – Jacek spojrzał na mnie dziwnie. – Brzmi zagadkowo w pewnym kontekście.

– W jakim kontekście? – zapytałem obojętnie.

– W kontekście kolejnych faktów, które moim zdaniem ewidentnie świadczą o tym, że śmierć twojej rodziny i Marty Kielan mają ze sobą wiele wspólnego. W zasadzie nie powinienem ci o tym mówić... Bo widzisz, Marta, owszem, zginęła w wybuchu, podobnie jak pozostali policjanci. Ale „Zięty” i reszta, nie do końca... – Zawiesił głos.

– Co to znaczy: nie do końca?

Wzruszył ramionami i położył ręce na udach, prostując się.

– Zostali zastrzeleni.

– Brawo my. Widać policji poprawiła się celność. Zwiększyli limity strzelania programowego z szesnastu pocisków na dwadzieścia, kiedy byłem w śpiączce?

Jacek uśmiechnął się kąciakiem ust.

– Nie zostali zabici przez policjantów. Każdy z nich dostał kulkę w łeb, niektórzy mieli ich w sobie nawet kilka. Ale to nie były kule policyjne.

– Nie?

– Nie. I powiem ci więcej. Zarówno one, jak i ta, którą masz w głowie, pochodziły z tej samej broni.

Parsknąłem, przewracając oczami.

– Skoro mam ją w głowie, to skąd możesz wiedzieć, z jakiej broni pochodzi? – zapytałem i po chwili zastanowienia sam odpowiedziałem sobie na to pytanie.

– Dokładnie. – Jacek pokiwał głową i dokończył, choć nie musiał: – Jola i Agnieszka. Taak, któryś z tych gnojów wystawił wszystkich do wiatru. Po prostu zachodził ich od tyłu, kiedy ci skupiali się na nas, i robił swoje. – Wycelował palcem wskazującym w szpitalną szafkę stojącą przy moim łóżku i szarpnął dłonią. – Bach!

Patrzyłem przez chwilę na jego rękę, jakbym spodziewał się, że za moment zobaczę wypływającą z palca smużkę dymu. Szafka też stała na swoim miejscu, nienaruszona. Jacek rozejrzał się po pustych ścianach, na chwilę zatrzymał wzrok na ciemnym ekranie telewizora wiszącego pod sufitem.

– Patolog twierdzi, że to musiał być ktoś wysoki, sądząc po kącie, pod jakim oddano strzały... Śledztwo w okręgówce prowadzi sam zastępca naczelnika wydziału śledczego, Osiński, podobno szczegółarz. Miejmy nadzieję, że się sprawnie uwinie, choć jeśli spojrzeć na dotychczasowe efekty, to nie ma jeszcze się czym pochwalić. Dobra, Darek, będę leciał – zakończył zupełnie niespodziewanie, klepiąc się w udo. – Odpoczywaj, zbieraj siły, może pomyśl trochę, co to mogło być. Wiesz, to, o czym mówiliśmy...

Zmarszczył brwi i pokiwał głową porozumiewawczo, jakby stał przy nas ktoś niepowołany albo jakby chciał się upewnić, że pamiętam w ogóle naszą rozmowę, mimo że dopiero co skończyliśmy o tym mówić.

– Postaram się jutro wpaść – obiecał, kręcąc się na niewygodnym taboreciku. – Przynieść ci coś? Słodycze, fajki?

– Nie chcę słodyczy ani fajek. Korzystając, kurwa, z nadarzającej się okazji, rzuciłem palenie. – Chrząknąłem, a potem dodałem: – Po prostu przynieś laptop i film. Jak najszybciej. Muszę to zobaczyć, rozumiesz?

– Po co, Darek? – zapytał jeszcze raz, patrząc na mnie smutno. – Po co chcesz na to patrzeć? Mało ci?

– Nie zrozumiesz. Sam do końca nie rozumiem. Ale muszę... Proszę cię...

– Zastanów się jeszcze.

– Nie muszę się nad niczym zastanawiać. Po prostu go przynieś, do cholery!

Znów pokiwał głową. Potem wstał, podał mi rękę i wyszedł, nie oglądając się. Drzwi zamknęły się i znów zostałem sam. Jeszcze bardziej samotny niż kwadrans temu, kiedy nie wiedziałem o śmierci Marty. Zastanawiałem się, co jeszcze może się wydarzyć. O czym nie wiem, o czym mi nie powiedziano, o czym nie pamiętam. Byłem wkurwiony. Musiałem coś z sobą zrobić, więc postanowiłem wstać i pochodzić trochę po korytarzu. Poćwiczyć mięśnie i rozruszać się trochę. Przestać myśleć o tym, co przydarzyło się mnie i moim najbliższym. I zacząć myśleć o tym, o czym mówił Jacek.

Było już po siedemnastej, więc z korytarza zniknęli lekarze oddziałowi, studenci, pielęgniarki i pacjenci dochodzący na konsultacje. Zrobiło się ciszej i spokojniej. Tego właśnie teraz potrzebowałem: ciszy i spokoju. Podciągnąłem nogi, żeby zwiesić je z łóżka i jakoś wstać, kiedy coś we mnie pękło. Zacząłem się trząść i uderzać otwartą dłonią w poręcz łóżka. Powoli, rytmicznie, ale z każdym uderzeniem kolejne stawało się coraz mocniejsze. Dłoń zacisnęła się w pięść, pięść zmieniła się w kamień, a cała konstrukcja łóżka trzęsła się i chrzęściła metalicznie, kiedy waliłem w nią z całej siły, zaciskając zęby

i połykając łzy. Nie krzychałem, nie wyłem ani nie płakałem w głos – po prostu uderzałem w poręcz dotąd, aż poczułem w dłoni przejmujący, promieniujący do łokcia ból i uspokoiłem się.

Jakiś czas temu, rozmyślając o miejscu, w którym jestem, stwierdziłem, że znajduje się ono tylko o krok od granicy, której przekroczenie spowoduje, że zostawię wszystko za sobą i już nie wrócę, dokądkolwiek bym stąd trafił. Śmierć Marty była powodem, by ten krok uczynić. Dołączyć do niej, do Joli, do Agnieszki. Zniknąć, przestać istnieć, przestać cierpieć, przestać czuć winę, rozpacz, strach. Jeden krok... Prosty, chwila bólu, chwila fizycznego cierpienia, które wobec bezmiaru tego odczuwanego przeze mnie teraz było zupełnie nieistotne.

Posiedziałem jeszcze trochę, wpatrując się w okno, za którym już lekko szarzało, a potem zwlokłem się z łóżka i zrobiłem wreszcie coś konkretnego. Nie, to nie był TEN krok. Ten, który zrobiłem, kosztował mnie o wiele więcej. Nie był prosty, ból nie miał trwać chwili, a potem rozmyć się w wieczności, której nawet nie byłbym świadomy.

Chwyciłem mocno balkonik, który był starszy ode mnie; nie miał kółek ani hamulców, był po prostu nieskomplikowaną konstrukcją z metalowych rurek i służył w tym szpitalu pewnie od czasów poprzedniego ustroju. Oparłem się o niego, witając się z nim i oznajmiając mu w myślach, że stanie się na jakiś czas moim najbliższym przyjacielem. Że będę na niego liczył i że będzie moim oparciem, i to dosłownie. Stukając jego nóżkami o posadzkę, poszedłem na krótki, bolesny i pełen cierpienia spacer po opustoszałym korytarzu. Cierpienie było fizyczne i miało tę zaletę, że na jakiś czas zagłuszyło to psychiczne. Jeśli coś cię boli, uderz się mocniej w inne miejsce, a poprzedni ból zniknie. Oczywiście to tylko wrażenie, bo on wcale nie zniknie, lecz stanie się o wiele mniej istotny, ale o to właśnie chodziło. To był mój sposób na oszukanie myśli. *Fight fire with fire*. Ból zwalczaj bólem. Tym, który mimo wszystko łatwiej ci znieść.

Tego wieczoru nie miałem już sił na walkę z bezsennością. Stłumiłem w sobie wrodzoną niechęć do wszelkich pigułek i prochów, których unikałem, nawet jeśli miały w sobie tylko zwykły ibuprofen czy paracetamol. Musiało mnie naprawdę kurewsko boleć, żebym je wziął z własnej woli. Mijając dyżurkę pielęgniarek, poprosiłem jedną z nich o coś mocnego na sen. Moja prośba została spełniona. Ściskając w ręku żółte tabletki estazolamu, pokuśtykałem do siebie, żeby je zażyć, zasnąć i zapomnieć.

Zażyłem, a tuż przed zaśnięciem przypomniałem sobie o kwiatkach od Ani, które wciąż leżały bez wody na szafce obok łóżka. Nie pachniały już tak intensywnie, ale może to kwestia przyzwyczajenia. Wiedziałem, że rano będą wyglądać jak ja: pólżywe, pokurczone i przywędłe, ale nie chciało mi się już nic z tym zrobić. Zasnąłem. W końcu zasnąłem, ale jeśli myślałem, że indukowany lekami sen pozwoli mi zapomnieć, to się myliłem. Bardzo się myliłem.

Nie zapomniałem. Śniła mi się Marta. Leżała na stole sekcyjnym. Naga i zakrwawiona. Zmasakrowana i martwa. Małą brązową Francję pokrywały skrzepy przypalonej krwi. A ja znów płakałem...

Mołczun przyszedł następnego dnia po południu, tak jak obiecał. Na ramieniu miał torbę z moim służbowym laptopem, a wzrok taki, jakbym zabił mu matkę.

– Obejrzysz film, jak już pójdę – powiedział sucho, odkładając torbę na stolik pod oknem.
– Pendrive jest w bocznej kieszeni.

Pokiwałem głową. Jacek powiesił kurtkę na wieszaku i usiadł koło mnie. Kwiatów na szafce już nie było, kolorowy snopek przywiedłego zielska zabrała rano salowa.

– Tak w ogóle to będę zaraz leciał, bo mam jeszcze lekarza Irki do załatwienia. – Sapnął, odkręcając szalik ciasno owinięty wokół szyi.

Znów pokiwałem głową. Żona Jacka miała stwardnienie rozsiane i to w takim stopniu zaawansowania, że jeździła już na wózku. Ja przynajmniej mogłem chodzić. Jeszcze nie najlepiej i z balkonikiem, ale zawsze jakoś...

Pogadaliśmy chwilę. Mołczun przekazał mi pozdrowienia z pracy: od Ani Tomaszewskiej, moich chłopaków z zespołu i od komendanta. Nie tryskałem entuzjazmem, dziękując za nie. Tak naprawdę nie mogłem się już doczekać, aż Jacek sobie pójdzie. Odpowiadając mu monosylabami, zerkalem na stolik i leżącą na nim torbę z laptopem. Przyciągała wzrok, była jak syrena wabiąca żeglarza swoim śpiewem, jak narkotyk dla uzależnionego: nie mogłem się jej oprzeć mimo nieznośnej świadomości, że wewnątrz niej jest śmierć i tylko śmierć.

– Lecę – powiedział w pewnej chwili Jacek.

Drgnąłem jak wyrwany z letargu, nie mając pojęcia, co mówił chwilę wcześniej. Podałem mu rękę, a on, zamiast ją uścisnąć, włożył mi w nią rączkę torby, kładąc mi ją na kołdrze. Poczułem jej ciężar na swoim brzuchu.

– Dalej uważam, że to bez sensu – ostrzegł mnie.

– Wiem – odparłem, otwierając zamek błyskawiczny torby. – Ale dla mnie prawie nic nie ma już sensu. Jeden bezsens więcej niczego nie zmienia, uwierz mi.

– Jak chcesz. – Skrzywił się, włożył płaszcz, owinał szalikiem chudą szyję i poszedł sobie.

Przez chwilę siedziałem w ciszy. Położyłem ręce na torbie, nie będąc pewnym, czy faktycznie chcę to zobaczyć. Może Jacek miał jednak rację?

Rozchyliłem torbę i wyjąłem z niej laptop. Z bocznej kieszeni wygrzebałem pendrive. Uruchomiłem komputer i kiedy na ekranie zobaczyłem znajomą tapetę pulpitu, włożyłem nośnik do gniazda USB. Na „palcu” był tylko jeden plik. Nie miał konkretnej nazwy, tylko ciąg liter i cyfr, jedynie rozszerzenie świadczyło o tym, że plik to film. Otworzyłem go od razu, bojąc się, że jeśli będę zwlekał, zmienię zdanie i już się na to nie odważę.

Zobaczyłem ten cholerny parking. Statyczny obraz, prześwietlony blaskiem słońca dopiero wychodzącego zza ściany lasu po drugiej stronie autostrady i świecącego niemal

prosto w obiektyw kamery. Jedynymi ruchomymi elementami były maleńkie, rozmazane sylwetki samochodów pędzących obiema nitkami *Autobahnu*. W kadrze widać było tylko jeden samochód, ciemnego passata na niemieckich tablicach zaparkowanego tuż pod kamerą. Nagle zobaczyłem ruch, ale dużo wolniejszy niż ten na autostradzie. Na parking wjeżdżał jakiś pojazd. Mały punkcik wyłonił się zza drzew i powoli powiększał się, aż mogłem rozpoznać coraz więcej szczegółów. Punkcik zmienił się w motocykl. Ścigacz polakierowany w jaskrawe barwy. Motocyklista nie miał na sobie kombinezonu w tych samych kolorach co motor, jak to się często zdarza. Ten, który miał na sobie, był ciemnoszary. Kask szczelnie zasłaniał głowę. Motor przejechał przed okiem kamery, jej rybnie oko zniekształciło sylwetkę efektem dystorsji. Po chwili zniknął poza kadrem i nie pojawił się więcej. Przez kilka minut nic się nie działo. A potem zobaczyłem kolejny pojazd zjeżdżający z autostrady. Serce zaczęło mi bić szybciej. To był mój opel.

To byliśmy my.

Podjechałem powoli na miejsce postojowe i zatrzymałem się. Widziałem, jak za przednią szybą migają jakieś cienie, chyba się odwracałem. Potem otworzyły się tylne drzwi i z samochodu wysiadła Agnieszka. Była uśmiechnięta. Rozejrzała się dookoła i ruszyła w stronę kamery. Widziałem ją dokładnie. Miała na głowie tę swoją śmieszoną czapkę, która wyglądała, jakby nałożyła ją do połowy, więc jej koniec wisiał aż na karku. Spod niej wystawały długie jasne włosy, które unosiły się na wietrze, kiedy Aga szła przez parking. Miała na sobie puchową kurteczkę, której nie kojarzyłem. Pewnie kupiła ją niedługo przed naszym wyjazdem, może nawet to ja ją kupiłem, nie pamiętałem. Kurteczka była rozpięta, a pod nią Agnieszka miała tylko T-shirt. Młodym nigdy nie jest zimno, wystarczy, że na niebie pojawi się promień słońca, a uważają, że przymrozek im nic nie zrobi. Reszty dopełniały obcisłe spodnie i buty, które na pewno spodobałyby się Mansonowi. Sylwetka mojej córki powiększała się, a kiedy minęła kamerę, zaczęła się zmniejszać, aż też zniknęła z kadru, jak wcześniej motocyklista. Znowu przez chwilę nic się nie działo. Cisza i spokój.

Cisza przed burzą.

Wysiadłem z samochodu. Zamknąłem drzwi i przeszedłem w stronę maski, pochylając się lekko, jakbym oglądał dół wozu albo koła. W tej pozycji obszedłem samochód dookoła. I wtedy pojawił się motocyklista. Na filmie widziałem jego plecy. Jedną ręką była wyprostowana, druga uniesiona i zgięta w łokciu, jakby dotykał swojej klatki piersiowej. Wciąż miał na głowie kask. Byłem z tyłu samochodu i wciąż wypatrywałem czegoś na dole, kiedy on spokojnie i opanowanie, powolnym krokiem podszedł do mnie z wymierzoną w moją głowę bronią.

Czułem, jak tętniąca w żyłach krew niemal rozsadza mi czaszkę. Serce waliło jak maszyna parowa, ręce drętwiały i pociły się, oddychałem płytko i szybko, nie chcąc i równocześnie chcąc na to patrzeć.

Motocyklista wystrzelił. Nawet go wtedy nie widziałem. Stałem pochylony, opierając się ręką o klapę bagażnika i zaglądałem pod zderzak. Nagle potrząsałem głową, drgnąłem i zacząłem pochylać się jeszcze bardziej ku ziemi. W tej zgiętej pozycji upadłem, znikając za samochodem. Widać było tylko moją rękę wystającą zza tylnego koła. Opanowanie zabójcy nagle zniknęło, jakby to, co zrobił, wyrwało go z zaprogramowanego schematu.

Podniósł ciemną owiewkę kasku, obiegł samochód od tyłu, nie patrząc więcej na mnie, i zajął pozycję strzelecką, mierząc w boczną szybę samochodu. Nie widać było, co dzieje się z Jolą. Znad dachu pofrunęła w powietrze delikatna mgiełka szkła, a może gazów wylotowych. Po chwili następna. Strzelił do mojej żony dwa razy, a potem energicznym, nerwowym krokiem ruszył ku niewidocznej dla mnie teraz toalecie. Spotkali się z Agnieszka w połowie drogi. Moja córka biegła ku niemu, łapiąc się za głowę. Nagle rozejrzała się dookoła, jakby w poszukiwaniu pomocy, której nikt jej nie udzielił. Coś krzyczała, usta, a także oczy miała szeroko otwarte. A potem upadła, kiedy kula przeszła jej czaszkę i strąciła czapkę z głowy. Agnieszka leżała na asfalcie jak szmaciana lalka, rzucona przez znudzone nią dziecko. Jeszcze raz poruszyła ustami i zastygła w bezruchu. Pojawiła się krew. Jej strumyk wypełzał spod głowy Agnieszki, pomiędzy jej włosów i powoli posuwał się w stronę samochodu. Potem krwi było coraz więcej, strumyk przyspieszył. Wpatrywałem się w niego, nie zauważając nawet, że morderca zniknął. Po kilkunastu sekundach ktoś podbiegł do Agi. Machał rękami, odwracał się, po chwili nadbiegł ktoś jeszcze, i jeszcze jeden, aż mały tłumek zasłonił ciało mojej córki, ukrywając je przed moim wzrokiem.

Film skończył się nagle i niespodziewanie. Na monitorze znów wyświetlił się jego pierwszy kadr: pusty parking, z kawałkiem szarego passata w rogu. Siedziałem tak przez chwilę, zaskoczony i wstrząśnięty, a potem zgarbiłem się i zacząłem płakać. Kiedy się uspokoiłem, dalej siedziałem w tej samej pozycji, odtwarzając film w myślach. Nie byłem w stanie obejrzeć go jeszcze raz. Wolałem oglądać go w swojej głowie, pewnie lekko przefiltrowany przez udręczony mózg, pozbawiony najdrastyczniejszych szczegółów, które zachowała zapewne jedynie podświadomość.

Siedziałem tak, aż na zewnątrz zrobiło się całkiem ciemno. Zapadłem w stupor, z którego wyrwał mnie dopiero lekarz podczas wieczornego obchodu. Kiedy poszedł, pielęgniarka zapytała mnie, czy chcę coś na sen. Tym razem odmówiłem.

W nocy znów śniła mi się Marta. Nie Jola czy Agnieszka, tylko Marta.

Jestem na jej pogrzebie. Na wieku trumny, w której spoczywa to, co z niej zostało, leży granatowa policyjna czapka. Ma biały pasek na daszku, a na otoku cztery gwiazdki, bo Martę pośmiertnie awansowano do stopnia nadkomisarza. Obok leży poduszka, a na niej srebrny medal „Za Zasługi dla Policji”. Również nadany pośmiertnie. Stoję w tłumie i patrzę, jak identyczni mężczyźni w identycznych szarych, niedopasowanych garniturach i białych rękawiczkach opuszczają ją do dołu, w którym ma zostać już na zawsze. I wtedy wieko trumny zaczyna drżeć i trząść się. Rozglądam się dookoła i orientuję się, że nie widzi tego nikt prócz mnie. Czuję, jak ogarnia mnie szaleństwo. Boję się. Boję się tego, co widzę. Boję się krzyknąć „Ona żyje!”, bo zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe. Nie można żyć, kiedy brakuje niemal połowy skóry i mięśni, a serce nie bije, bo rozerwało je potężne uderzenie. Ale wieko wciąż drży i wciąż nikt oprócz mnie tego nie widzi. Jeszcze raz rozglądam się dookoła po twarzach ludzi stojących wokół mnie i wiem już, że nie mogą tego widzieć, bo nie mają oczu. Nie mają powiek, rzęs, brwi ani gałek ocznych, oczodoły pokrywa skóra, taka sama jak na nosie, policzkach czy podbródku. Ocienione kośćmi jarzmowymi dołki są jak leje po bombach. Puste. Twarze bez wyrazu są niemal jednakowe, teraz wiem, ile w odczytywaniu z nich emocji znaczą oczy. W tych twarzach

nie ma ani oczu, ani emocji. Ludzie w szarych garniturach nie przestają robić, co do nich należy. Powoli opuszczają trumnę na linach, za chwilę długie pudło zniknie w grobie. I nagle jej wieko otwiera się z hukiem, upada na ziemię, a potem wsuwa się w szczelinę między trumną a krawędzią dołu, znikając w nim jak w mrocznej toni. Grabarze nie zwracają na to uwagi, liny prześlizgują im się w palcach, są skupieni na tym, by opuszczać trumnę idealnie równo. Nagle wyłania się z niej trup Marty. Siada i rozgląda się. Ma otwarte usta, w których bielą się zęby. Marta miała piękne, zdrowe i zadbane zęby. Takie czyste i równe. Teraz też są czyste. Tylko one. Reszta jest osmalona i brudna. Jej ładna twarz jest zniekształcona dotknięciem śmierci. Zmiażdżona klatka piersiowa robi upiorne wrażenie, tułów jest wykręcony w prawo, jak u źle złożonego sklepowego manekina. Marta również nie ma oczu. Wypląły albo wyparowały jeszcze tam, w magazynie. Jej oczodoły nie są zasłonięte skórą, wyglądają jak dwie koszmarne studnie, których płytkie dna wyścielone są płataniną popalonych ścięgien i żył przypominających system korzeniowy wyrwanego z ziemi drzewa. Zwraca twarz ku mnie i sztywno wyciąga ramię, wskazując gdzieś w bok. Patrzę w tamtym kierunku, ale nie wiem, o co jej chodzi. Kiedy znów na nią patrzę, jej ręka wskazuje na mnie, a z ust wydobywa się potworny, wibrujący i raniący uszy krzyk. Budzę się i wiem już, że to nie Marta krzyczy. To ja.

Kiedy wchodzi lekarz i pyta, co się dzieje, nie odpowiadam. On widzi otwarty laptop stojący na szafce i pyta, co oglądałem wieczorem. Wciąż nic nie mówię, ale on nie jest głupi. Nie może być głupi, skoro jest lekarzem. I skoro jest noc, a on nie śpi, tylko dyżuruje, naprawdę dyżuruje, a nie zdaje się na pielęgniarki, zamyka się w gabinecie i śpi. Nalega. Pyta drugi raz o to samo. Odpowiadam mu w końcu, trochę wbrew sobie. On z kolei odpowiada, że nie wolno mi oglądać takich rzeczy, że nie wolno mi się denerwować, bo mogę od tego umrzeć. I już sam nie wiem, czy lekarz jest mądry, czy jednak głupi, a może to ja jestem głupi, ale kiedy on wychodzi, dochodzę do wniosku, że chciał mną po prostu wstrząsnąć. Udało mu się. Nie mogę zasnąć do rana.

* * *

Wizyta człowieka, który odwiedził mnie dwa dni później, miała, jak się okazało, zmienić moje życie po raz kolejny w bardzo krótkim czasie. Tym razem na szczęście na lepsze. Tak sądzę. Po raz pierwszy ktoś miał mnie do czegoś zmotywować, a nie dać kolejny powód do pogrążenia się w marazmie depresji.

Przybysz był wysokim facetem w kremowym prochowcu żywcem wyjętym czy raczej zdjętym z porucznika Columbo. Nosił okulary bez oprawek, niemal takie same, jakie miał na nosie lekarz, który pierwszy badał mnie po przebudzeniu ze śpiączki. Były ledwie widoczne: dwa pobłyskujące fioletowawo pod jasnymi brwiami szkła optyczne, zza których wзираła para bystrych oczu. Blond włosy, które rozsypały się na boki, kiedy przybysz zdjął z głowy granatowy baskijski beret, który wypłówał z wiekiem. Były teraz nie tyle przyprószone siwizną, ile raczej popielate; jak grzywa starego lwa wylegującego się na sawannie. Nie wiem czemu, ale człowiek ten kojarzył mi się z nauczycielem angielskiego.

Kiedy wszedł do mojej sali, przedstawił się grzecznie, stając niemal na baczność.

– Dzień dobry, inspektorze Suder, jestem radca kryminalny Gerhard Wenk z Krajowego Urzędu Kryminalnego w Schwerin – powiedział po polsku, niemal bez śladu obcego

akcentu, choć sztywno, jakby dukał wyuczoną formułkę.

Przyjrzałem mu się uważnie, a potem skinąłem głową, co uznał widać za zaproszenie, bo zrobił kilka kroków w moją stronę i stanął obok łóżka. Kiedy skończył lustrować salę, zrobił coś, do czego zaczynałem się już przyzwyczajać. Zaczął przyglądać mi się tym specyficznym spojrzeniem, jakim w dziewiętnastym wieku w cyrkach obdarzało się kobiety z brodami, bliźnięta syjamskie i karły. Pomieszanie ciekawości ze współczuciem. I jakąś dziwną fascynacją. Ale powoli zaczynałem to rozumieć. Widok faceta, który stracił rodzinę i został kaleką, też wzbudziłby moje współczucie. A na pewno ciekawość; chorą, ale taką ludzką.

– Niech pan siada – mruknąłem, wskazując taboret niedbałym gestem.

Wenk skorzystał z zaproszenia i ulokował się na trójnożnym popisie designu: dwadzieścia pięć procent oszczędności stali, darmowe ćwiczenia mięśni odpowiadających za utrzymanie równowagi i niezapomniane wrażenia. A czasem twarde lądowanie na posadzce.

– Dobrze pan mówi po polsku jak na Niemca – zwróciłem uwagę.

– Zasadniczo nie jestem Niemcem, tylko Serbem łużyckim. Pochodzę z Dolnych Łużyc. W domu babki kultywowaliśmy tradycje, od dziecka mówiłem po łużycku... Nietrudno mi było nauczyć się polskiego, granica była niedaleko. Jeśli pan woli, możemy rozmawiać po niemiecku.

– Nie trzeba, może być... – mruknąłem, wzruszając ramionami i patrząc na swoje stopy.

Jakie to, kurwa, miało znaczenie?

– Przynajmniej poćwiczę język. – Uśmiechnął się z zadowoleniem. – Rzadko mam okazję. Choć ta akurat okazja nie jest przyjemna – dodał po zastanowieniu, a ja przyznałem mu w duchu rację.

Wenk jeszcze raz obrzucił spojrzeniem salę i, niewiarygodnie, założył nogę na nogę, nie wywracając się razem ze stołkiem na podłogę.

– Jak już wspominałem, jestem funkcjonariuszem LKA. Zostałem wyznaczony do przyjrzenia się sprawie i po to tu jestem.

– Sprawie? – zapytałem. – Jakiej sprawie?

– Pańskiej.

– Aha. – Pokiwałem głową bez przekonania, bo nie wiedziałem do końca, co konkretnie ma na myśli.

Ten brak przekonania musiałem mieć wypisany na twarzy, bo Wenk zareagował.

– Sprawa postrzelenia pana i zabójstwa pańskiej rodziny jest bardzo tajemnicza. W zasadzie w tej chwili wiemy niewiele więcej niż na początku...

Doznałem déjà vu, jakbym tkwił w tej konkretnej chwili już wcześniej. W tej sali, na tym łóżku, choć o innej porze i z inną osobą siedzącą na chybotliwym taboreciku. Jakbym słuchał Jacka Mołczuna.

– Pan prowadzi śledztwo w sprawie napadu? – upewniłem się.

– Skąd takie dziwne pytanie?

– Nie jest dziwne. – Uśmiechnąłem się. – Przedstawiając się, powiedział pan, że przygląda się sprawie. Przygląda się. Nie, że prowadzi postępowanie, śledztwo, dochodzenie, cokolwiek, tylko: przygląda się.

– Śledztwo prowadzi Landeskriminalamt – przyznał z dziwnym wyrazem twarzy, a może mi się wydawało, że jest dziwny. – A ja... No, cóż. Powiem wprost. Wygląda na to, że był przeciek.

Zachciało mi się śmiać. „Był przeciek”. Tekst jak z tandetnego filmu, coś jak „dzwonili z komendy”. Kilka prostych słów mających wyjaśnić w skrócie coś, czego w skrócie objaśnić się nie da, ale nie ma czasu, żeby zrobić to porządnie. Był przeciek... Zamilkłem. Zamknąłem oczy. Pod powiekami miałem obraz Marty idącej za jakimś cieniem i znikającej w budynku magazynu, a potem błysk, kulę ognia i słup dymu, które pochłonęły to wszystko: cień, magazyn... I ją. Wyobraźnia to czasem straszna rzecz. Chęć do śmiechu przeszła mi jak ręką odjął.

– Pokaże mi pan jakiś dokument? – zapytałem Wenka, otwierając oczy.

Bez słowa sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i po chwili podał mi plastikowy prostokącik, który wyciągnął z brązowego skórzanego portfela. Legitymacja urzędnika LKA Schwerin była bez wątpienia prawdziwa, a jej spoglądający ze zdjęcia właściciel miał trochę bujniejszą fryzurę niż ten siedzący koło mnie. Oddałem legitymację Wenkowi, a on schował ją z powrotem do kieszeni. Teraz już wiedziałem, po co Gerhard Wenk pofatygował się do Szczecina.

Niemcy nie mają policji w policji, która bada przypadki naruszenia prawa przez funkcjonariuszy. Nie mają odpowiednika naszego Biura Spraw Wewnętrznych czy angielskiego HMIC-u. U nich wygląda to inaczej. Takim przypadkiem „przyglądają się”, jak to określił Herr Wenk z LKA Schwerin, wyżsi funkcjonariusze tej samej jednostki, w której pracuje podejrzany policjant. To dlatego po tamtej stronie węszył właśnie on. Z zasady nie szukam nigdy dziury w całym i jak większość policjantów nie przepadam za funkcjonariuszami BSW, ale sposób, w jaki funkcjonuje to w Niemczech, w ogóle mnie nie przekonuje. Zwłaszcza w mojej obecnej sytuacji.

– Dlaczego pan sądzi, że to był przeciek? – zapytałem go.

– Wyeliminowano człowieka zaangażowanego w akcję przechwycenia transportu narkotyków. Krótco potem cała akcja pali na panewce, tak się mówi? Pali na panewce?

Przytaknąłem mu, mimo że zastosował wyrażenie nie do końca poprawnie. Nie szkodzi, to mi się nawet podobało. „Pali na panewce” to doprawdy dobre porównanie, zważywszy na to, co stało się w magazynie. Komendant Szewczyk nie ująłby tego lepiej.

– Owszem. – Westchnąłem. – Akcja spaliła na panewce, to prawda. Tylko dlaczego wszyscy upieracie się, że te dwie sprawy się wiążą?

Wenk zrobił wielkie oczy i wyprostował się, chybocząc się niebezpiecznie na stołku.

– Rozmawiał pan z kimś jeszcze na ten temat? – zapytał zdziwiony.

– Z zastępcą komendanta wojewódzkiego – uspokoilem go. – Takim odpowiednikiem waszego wiceprezydenta policji. I z nikim więcej.

Oczy Wenka wróciły do normalnych rozmiarów.

– Więc co z tym przeciekiem? – zapytałem.

– Gdzieś był. Ale nie mam pojęcia na jakim szczeblu.

– To będzie bardzo trudne do ustalenia. Wbrew pozorom o akcji wiedziało mnóstwo osób po obu stronach granicy.

– Zgadza się.

– Wasi i nasi kryminalni, współpraca międzynarodowa, szychy na górze...

– Osobiście skupiłbym się chyba najbardziej na współpracy – przerwał mi Wenk. –

A przynajmniej od tego bym zaczął.

– Bo?

– W końcu jednemu z nich stała się krzywda. Panu. – Spojrzał na mnie z wyrzutem w oczach, jakby dziwiąc się, że nie dociera do mnie oczywista prawda, którą podsunięto mi pod nos.

Fakt, jej kawałek wciąż tkwił w mojej głowie.

– To musiała być osoba, która знаła szczegóły operacji po obu stronach granicy. – Wenk palcami wskazał podłogę po obu stronach swojego taboretu. – Rola naszych kryminalnych, tych pracujących w terenie, skończyła się na granicy w Dobieszczynie, tam też zaczęła się rola waszych. I oni wszyscy znali tylko swoje role, rozumie pan? A wszystkie szczegóły dotyczące całej akcji znali wyłącznie ci z góry. Oraz koordynatorzy międzynarodowi.

– Na przykład ja – rzuciłem.

– Na przykład pan – zgodził się.

– Trudno uwierzyć, że z bandytami współpracuje aż tak wysoko postawiony funkcjonariusz policji.

– Owszem, trudno. – Łypnął na mnie zza okularów. – Ale takie rzeczy już się zdarzały, prawda?

Tu absolutnie musiałem mu przyznać rację. Zgniłe jabłka zdarzały się nawet w naszym polskim koszyku. A może wcale nie „nawet”.

– Ale ponieważ faktycznie niełatwo w to uwierzyć... – kontynuował Wenk – ... zacząłbym od koordynatorów.

– Musi pan w takim razie przyjrzeć się swoim kolegom z policji krajowej, a nawet pracownikom Wydziału IK w BKA, w Berlinie... – Specjalnie powiedziałem „przyjrzeć się”.

– Tak pan myśli? Sugeruje pan przeciek po niemieckiej stronie?

– Pomijając fakt prowadzenia śledztwa przez funkcjonariusza LKA, co jak dla mnie może oznaczać, że istnieją podejrzenia, że to stało się jednak u was, w Schwerinie... Wnioski nasuwają się same. Skoro to stało się w Niemczech, to egzekucję zorganizowali Niemcy. Ktoś z grupy... Kemala. – Nie pamiętałem nazwiska tego Turka i wkurzało mnie to. – Od kogo innego mogli dostać cynk? Od polskich policjantów? Jakim cudem?

– Mówi pan?

– Tak, mówię. Tylko po co to zrobili? Jako ostrzeżenie? Próbę storpedowania akcji? W takim razie dlaczego ja? Tylko dlatego, że pojawiłem się w Niemczech?

Wenk skrzywił usta, jakbym tym tekstem o przecieku po jego stronie dotknął go osobiście.

– Nie wyciągałbym od razu takich wniosków – powiedział powoli. – Morderstwo, owszem, popełniono na terenie Bundesrepublik, więc to nasza policja prowadzi śledztwo. Ale ofiarami byli Polacy, w tym wysokiej rangi policjant. To rodzi komplikacje, *Herr Inspektor*, jak sam pan wie. W śledztwo zaangażowane jest więcej ludzi, jest bariera językowa, a także, pomijając procedury współpracy międzynarodowej, to biurokracja w ramach struktur lokalnych zarówno po waszej, jak i po naszej stronie... Przeciek

niekoniecznie nastąpił po stronie niemieckiej. To, że napadnięto pana i pańską rodzinę na terytorium Niemiec, może być tylko czysto taktycznym zwodem, próbą skomplikowania śledztwa. Napad równie dobrze mógł zorganizować ktoś z Polski, z Poznania. Z grupy...

– „Ziętego” – odpowiedziałem. – Albo... Tego ze Szczecina.

Przez chwilę nie mogłem przypomnieć sobie jego ksywy i tym razem ogarnęło mnie uczucie lekkiej paniki.

– „Malechy” – powiedziałem po chwili, oddychając z ulgą.

– Właśnie – przytaknął Wenk.

– Skąd ma pan tak dokładne informacje? – zapytałem. – O Poznaniu? O akcji „Strela”?

Przez chwilę nie odpowiadał.

– Może trzeba będzie przyjrzeć się paru osobom w waszej komendzie – powiedział w końcu powoli.

Wkurwił mnie w tym momencie. Ubódł mój patriotyzm, niesłusznie wytknął czy raczej zasugerował brak profesjonalizmu mnie i moim kolegom. Ale nie dałem po sobie niczego poznać. I zrozumiałem to skrzywienie ust Wenka sprzed chwili. Moje musiały teraz wyglądać tak samo.

Uśmiechnąłem się do niego słabo.

– Tak najprościej, co? Tylko skoro facet niezwiązany w żaden sposób ze sprawą tyle o niej wie, to jakie mam gwarancje, że nie wiedziała o niej również połowa mieszkańców Stralsundu? Oraz niejaki Kemal... – wysiliłem pamięć i tym razem wygrałem punkt w tej rundzie –

...Dereli? I nieważne, że jest pan gliną. W końcu ktoś o tym wszystkim panu opowiedział.

– Przesadza pan. Zauważyłem u pana taką skłonność do przesady, wie pan? Ja jestem specjalnie delegowany... Umocowany, tak to się mówi? Rozkazem prezydenta policji. – Uniósł jedną brew, a ja odebrałem ten grymas jako kpinę.

Kto wie, może to faktycznie była kpina?

– Może jednak powinien pan zacząć kopać najpierw we własnym ogródku?

Wenk pociągnął nosem i popukał palcem w materac mojego łóżka.

– A kto powiedział, że nie kopię?

Zabrał palec z materaca i poprawił nim zsuwające się z nosa okulary. Znów skojarzył mi się z nauczycielem angielskiego, tym razem stawiającym mi gola za brak pracy domowej. *You haven't done your homework, naughty boy*, mówiła jego mina.

– Jechał pan do Berlina na *Polizeitag*. LKA nie miało o tym pojęcia, bo to było kompletnie niezwiązane z zakresem współpracy w sprawie „Streli”. Więc można z niemal całkowitą pewnością założyć, że to nie stamtąd poszedł cynk. Zatem z Berlina? To z kolei wydaje mi się zbyt grubymi nićmi szyte. Czyli zostaje Szczecin...

Wenk miał sporo racji, musiałem to przyznać.

– Co z *Koordinierungstelle* w Anklam i Świeckiem? – zapytałem, próbując jakoś ratować swoją koncepcję. – Skoro chce pan zacząć od funkcjonariuszy koordynujących działania międzynarodowe...

Przedstawiciel KOST z Anklam był na spotkaniu w naszej komendzie w listopadzie. Ale Polsko-Niemieckie Centrum Współpracy Służb Granicznych, Policyjnych i Celnych w Świecku to chyba faktycznie przesada.

Wenk wzruszył ramionami.

– Ten sam powód co poprzednio. – Zmarszczył brwi. – Skąd ktoś stamtąd wiedziałby o pana wizycie w Berlinie akurat tego dnia?

– Czyli zawężamy poszukiwania do strony polskiej? – zapytałem z przekąsem. – No to pan się nie napracuje. Wszystko spadnie na nasze BSW.

– Traktuję swoje zadanie bardzo poważnie, *Herr Inspektor* – powiedział cicho Wenk, a głos wibrował mu w gardle jak warkot psa szykującego się do ataku. – Bardzo poważnie...

Pokiwałem głową i posłałem mu lekki uśmiech, starając się, żeby nie było w nim śladu powątpiewania, a jedynie przyjazne przesłanie: wierzę panu, Herr Wenk. Może nawet i mu wierzyłem, ale i tak byłem pewien, że jego starania spełzną na niczym i cała para pójdzie w gwizdek. Miałem podstawy, by tak sądzić. Po prostu za dużo w życiu widziałem.

– Jest coś jeszcze. – Westchnąłem.

– Tak?

– Polska policja traktuje tę sprawę bardzo osobiście. Traktuje ją jak atak na siebie, zamach na aparat, rozumie pan, o czym mówię? – Wenk pokiwał głową. – Ktoś śmiał podnieść rękę na wysokiego rangą funkcjonariusza tego aparatu. Działania, jakie podjęła policja, nie tylko nasza zresztą, są bardzo szeroko zakrojone. Ale tu trzeba sobie zadać pytanie, bardzo istotne pytanie.

– Jakie?

– Podstawowe. Czy cała siatka, dobrze zorganizowana i umocowana w świecie przestępczym, w dodatku dbająca o brak szumu wokół siebie, ryzykowałaby wszystko dla stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy euro? – zapytałem. – Nawet dla tych hipotetycznych kilkuset tysięcy więcej? Ja rozumiem, że to był test. Macali się tylko, sprawdzali, jak idzie współpraca. I dopiero planowali coś większego. Sto siedemdziesiąt pięć tysięcy euro! Kurwa, odrobiliby to sobie w tydzień! Gdyby nawet ktoś od nas sypnął, to takie zlecenie na mnie, faceta, który tylko koordynował działania przeciwko nim, a nie je planował, nie miałyby żadnego sensu. Zmieniłoby termin transakcji, jej miejsce, poszukali naszych informatorów u siebie, jeśli wcześniej nie zostaliby wskazani przez ich wtyki w policji... I rozwaliliby gości, żeby więcej nie donosili. A potem zorganizowali przerzut jeszcze raz! Co za problem? To tylko pięć kilo koki, a nie tona! Można ją przenieść w tornistrze pierwszoklasisty albo w torbie po psiej karmie. Może być zaszyta w pluszowym mišku i leżeć na tylnej półce samochodu, gdzie nikt nie zwróci na nią uwagi. Rozumie pan? Nikt przy zdrowych zmysłach nie stawiałby na nogi policji, i to w dwóch krajach na dodatek, dla takich nędznych pieniędzy. Gdzie tu sens? Przyzna pan, że to dobry argument za tym, że to nie Polacy zorganizowali zamach na mnie?

– Gdzie sens, pyta pan... Wspominał pan o ostrzeżeniu?

– Zgadza się. Tylko że ta egzekucja jako ostrzeżenie też nie ma sensu. Tak się nie pogrywa z policją. A dlaczego? Bo nie ma się spokoju. Bo to są wymierne straty finansowe. W tym biznesie liczy się kasa, a udowadnianie, kto jest silniejszy, dotyczy raczej porachunków wewnętrznych. Dotyczy świata przestępczego.

– To ciekawe, co pan mówi – powiedział Wenk. – Zwłaszcza że takie pytanie o sens zadaje właśnie pan. Osoba, którą to wszystko dotknęło osobiście i która miałyby wszelkie

prawo do tego, żeby te nieco pośpieszne i rozdmuchane działania popierać.

– Kto wie, może to jednak da odpowiedź na pytanie: po co? Dorwą organizatora...

– Sam pan w to nie wierzy, co? Ile lat szukacie zabójcy tego waszego generała? Nie wspominając o tych, którzy za tym morderstwem stoją?

Milczałem przez chwilę.

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, Herr Wenk. I choć liczę się z tym, że być może cała sprawa dotknęła mnie osobiście czystym przypadkiem...

– A może nie? – Wenk zgarbił się i poprawił na taboreciku.

Długi płaszcz dotykał podłogi, zbierając z niej to wszystko, czego nie zebrał mop salowej.

– Z ust mi pan to wyjął – powiedziałem. – A może właśnie jednak nie. Mnóstwo pytań, żadnej odpowiedzi, żadnego tropu...

– W każdym razie miał pan nieliczne szczęście.

– To nazywa pan szczęściem? – Pokazałem swoją głowę. – To i martwych członków rodziny?

Wenk zgarbił się jeszcze bardziej. Poprawił nogę przerzuconą przez kolano i lekko się uśmiechnął.

– Kiedy byłem mały, przez jakiś czas mieszkaliśmy w Cottbus. W Chociebużu. To był początek siedemdziesiątego piątego, miałem wtedy dziesięć lat. Mama była w kuchni, a ja siedziałem z moją ciotką w pokoju i bawiłem się kolejką elektryczną, kiedy w ścianę naszego bloku wbił się wojskowy odrzutowiec. Coś zawiodło w silniku, pilot tego MiG-a, miał na imię Peter, tak samo jak mój ojciec, on próbował jeszcze przelecieć nad kombinatem tekstylnym i nad blokami, na takie pustkowie za osiedlem, ale zabrakło mu kilkunastu metrów wysokości. Eksplozja i pożar. On i pięć kobiet, w tym moja matka i ciotka, zginęli na miejscu. W tym bloku mieszkały podobno również Polki, które pracowały w fabryce. Ludzie skakali z okien, kilkanaście osób zostało rannych. Podmuch odrzucił mnie na łóżko. Wie pan, jaką temperaturę osiąga paląca się benzyna lotnicza? – Odsunął kołnierz płaszcza i pokazał koszmarną bliznę po oparzeniu z boku szyi, sięgającą pleców. – Całkowita abstrakcja, odrzutowy myśliwiec spadający na blok mieszkalny... Nikt nie wie, jakim cudem przeżyłem, nikt za to nie dziwił się, dlaczego nie przeżyły one. Też czułem to, co pan. Też wtedy myślałem to, co pan. A byłem przecież małym dzieckiem. Ale uważam, że miałem szczęście. Miałem cholerne szczęście i nie chwając się, mam je do dziś dnia! Miałem szczęście, *Herr Inspektor*, bo przeżyłem i mogłem potem zrobić wiele rzeczy. Dobrych rzeczy.

– Ja nie jestem dobry – zaskrzeczałem, czując, jak w gardle rośnie mi dławiąca kula.

Zabrzmiało to jak skarga. Skarga złożona w chwili słabości całkowicie obcemu człowiekowi. Żalonna, płaczliwa i dziecinna. Nagła, niespodziewana i niemęska. Wiedziałem, że będę się wstydził chwili, gdy wypowiedziałem te słowa, w tym samym momencie, w którym zacząłem je wymawiać. Lecz nie mogłem ich powstrzymać, wyszły same, bez mojej woli, wbrew mnie, jak w odruchu wymiotnym. Poczułem się, jakbym te słowa zwymiotował

Nie jestem dobry...

– Taką rzecz można powiedzieć o sobie, dopiero umierając – rzekł Wenk, krzywiąc się lekko, jakby i on wstydził się moich słów razem ze mną. – A nie, jak ma się przed sobą

jeszcze kawał życia. Trochę wiary, *Herr Inspektor!*

Ogarnąłem się jakoś. Przełknąłem ślinę i kula w gardle zmniejszyła się na tyle, że mogłem dalej mówić.

– Taki z pana gorliwy katolik? – zapytałem napastliwie, jakbym chciał zmyć tym poprzednie, nie najlepsze w końcu wrażenie. – Przykro mi, ale to beze mnie.

– Tak się składa, że jestem protestantem. – Splótł palce obu dłoni i złożył je na kolanie.

Nie wiedziałem, czy to kwestia wygody, czy głębokiej religijności. Taki odruch, który w tym drugim wypadku niektórzy ludzie nieświadomie wykonują przy każdym wspomnieniu o religii, którą wyznają. A jeśli chodzi o wygodę, to w przypadku trójnożnej pułapki, na której Wenk siedział, można było o niej zapomnieć.

– Katolik czy protestant... Jakie to ma znaczenie? – Pokręciłem głową z rezygnacją.

– Słusznie. Ale ja nie każę panu wierzyć w Boga, zostawmy Go. Ja panu radzę uwierzyć w siebie.

– Z kulą w głowie?

– Użala się pan nad sobą.

– Owszem. Wolno mi. Noszę w sobie tykającą bombę.

– Więc chyba nie ma pan nic do stracenia?

– Mam. I to sporo. Swoje życie.

– Jeśli nawet ma je pan stracić, to chyba bez różnicy, czy pan leży na kanapie w oczekiwaniu na śmierć, czy próbuje wyjaśnić, co się stało, że się pan tu znalazł. I dlaczego zabito pańską żonę i córkę. Nie mam racji?

Odchylił się lekko do tyłu, najwyraźniej zadowolony z siebie. Taboret zakołysał się niebezpiecznie, ale nie zwrócił na to uwagi. Za to przekorna mina, jaką Wenk przy tym zrobił, prawie sprowokowała mnie do wybuchu. Były tylko dwie rzeczy, które mnie przed tym powstrzymały. Kula w głowie i fakt, że facet miał tę swoją rację. Miał cholerną, pieprzoną rację.

– To nie takie proste – mruknąłem. – Teoretycznie to się może zdarzyć w każdej chwili. Wyłączę się jak robot, po prostu. Jak maszyna, której odcięto zasilanie. A co, jeśli w tym momencie będę prowadził samochód? Spowoduję wypadek i w zaświaty zabiorę ze sobą kilka osób...

– Dobrze, że nie umie pan pilotować jumbo jetów. – Spojrzał na mnie krzywo. – Mógłby pan zabrać i czterysta...

– Będę miał problem z lataniem samolotami nawet jako pasażer. – Dotknąłem delikatnie boku głowy. – Nie przepuszczą mnie przez bramkę z wykrywaczem metali.

– Cóż, jak widzę, woli pan jednak leżeć na kanapie...

– To nie do końca tak. Powiedzmy, że jako policjant mam głęboko zakorzenioną troskę o bezpieczeństwo innych ludzi. – Znów dotknąłem głowy. – Jest tam w środku, odpowiada za nią małeńki obszar mózgu położony tuż obok kuli, która najwyraźniej go nie dosięgnęła.

Wenk pochylił się nade mną i zbliżył twarz do mojej twarzy. Widziałem wyraźnie jego zmarszczki, małeńki odprysk na krawędzi lewego szkła okularów, odrastające włoski w nosie i szarobłękitne oczy błyszczące spod siwych brwi. Czuję zapach jego wody po goleniu.

– Pierdol to – powiedział konfidencyjnie, lecz dobitnie, wpatrując się we mnie intensywnie, a potem wyprostował się powoli, wracając do poprzedniej pozycji i kontynuując wątek, jakby nic się nie stało. – Nic już nie będzie takie samo. Nic. Czas na nowe życie, *Herr Inspektor*. To, które pan dostał od profesora Schwimmera. Trzeba je przeżyć. A przy okazji: jest wielu ludzi, dla których taka śmierć byłaby błogosławieństwem. Pstryk. Nie cierpisz. Nie czujesz smutku, bólu. Nic. Po prostu nagle cię nie ma tu na ziemi, a jesteś tam...

Skrzywiłem się. Facet naprawdę wiedział wszystko; nawet to, kto mnie operował w Charité.

– Mamy inny pogląd na sprawę, panie Wenk. Śmierć jest stanem nieistnienia. Permanentnym, nieodwracalnym. Nie ma żadnego „tam”. To po pierwsze...

– Przed chwilą wspomniał pan o zaświatach?

– Tak się tylko mówi. – Westchnąłem, przewracając oczami.

– Rozumiem. A po drugie?

– Po drugie: „pstryk” byłoby dla mnie błogosławieństwem czy raczej darem od losu, gdybym miał dziewięćdziesiątkę na karku i dość życia. A nie ledwie pięćdziesiątkę i... – Urwałem nagle.

– I? – zapytał chytrze Wenk. – Czyżby jednak jakieś plany?

Nie jest łatwo balansować na cienkiej linii rozdzielającej życie i śmierć, nie wiedząc dokładnie, gdzie przebiega i gdzie się kończy. To się tylko tak łatwo mówi.

Opadłem na poduszkę i spojrzałem w okno. Puszysty, ale mokry śnieg, pewnie ostatni tej zimy, oblepiał gałęzie drzew. Kto by się go spodziewał w marcu? Znow ogarnęło mnie to uczucie, jakbym przeniósł się w czasie.

– Dobrze – powiedziałem do siebie, czując, jak coś nieokreślonego obraca się nagle we mnie o sto osiemdziesiąt stopni. – Dowiem się, kto to zrobił, choćby nawet miało mnie to drogo kosztować. Zapłacę nawet najwyższą cenę, jeśli będzie trzeba. Ma pan rację – przyznałem to w końcu. – Nie mam nic do stracenia. Nic. Już naprawdę nic...

– Brawo. – Wenk oparł łokieć o kolano, skubał podbródek i przyglądał mi się z uniesionymi brwiami.

– Ale nie oszukujmy się. – Pokręciłem głową. – Nie jestem żadnym Franzem Maurerem, tylko gryzipiórkiem zza biurka. W dodatku z pamięcią dziurawą jak sito. Ale zrobię to.

– Kim jest Maurer?

– Nikim specjalnym. To wytwór czyjejś wyobraźni. Nieważne. Nie wiem, czy to mi się uda, ale zrobię co w mojej mocy, żeby dopiąć swego.

– Niech tylko wizja zemsty nie przysłoni panu drogi do celu.

– Zemsty? – Spojrzałem na niego. – Nie. Tu nie chodzi o zemstę. Zemsta nic mi nie da. Nie wskrzesi ich ani nie rozpuści kuli w mojej głowie. Ja po prostu chcę wiedzieć. Chcę wiedzieć dlaczego, panie Wenk...

Nagle pomyślałem o Marcie.

– Zginął przez nich ktoś jeszcze – powiedziałem, patrząc na ścianę przed sobą. – Ktoś bardzo mi bliski. Moja współpracowniczka, bardzo zdolna i ambitna funkcjonariuszka. Wspaniała kobieta... – Umilkłem, żeby nie wypsnęło mi się coś jeszcze, coś, co powie Wenkowi, kim naprawdę była dla mnie Marta.

Już raz wystarczy. Zresztą przez wzgląd na mój stan psychofizyczny nie byłem do końca sobą i zdawałem sobie z tego sprawę. Na szczęście.

– Słyszałem – mruknął Wenk, patrząc w podłogę. – Przykro mi.

Nie kontynuowałem tematu. Nie miałem na to siły ani ochoty.

– Widziałem film z monitoringu, z kamery na tym cholernym parkingu przy autostradzie – powiedziałem zamiast tego. – Widziałem wszystko. Ten motocykl przyjechał tam PRZED nami, a nie ZA nami, Herr Wenk. Skąd on wiedział, że zatrzymamy się akurat tam? Moja córka poszła do toalety, która była na tym parkingu. Czyli musiałem zjechać na niego po to, żeby mogła z niej skorzystać. Skąd zabójca mógł o tym wiedzieć?

– Hmm... – Wenk podrapał się w podbródek. – Widział pan na tym filmie siebie? Co pan zrobił po tym, jak wysiadł z samochodu?

Pokiwałem głową.

– Chodziłem wokół niego.

– Właśnie. Jakby pan czegoś szukał.

– Czego mogłem szukać? Kamera była zbyt daleko, żeby to zobaczyć – zwróciłem uwagę.

– Po prostu łąziłem, żeby rozprostować nogi po godzinie jazdy.

– Zgadza się. Ale dla mnie to wyglądało, jakby pan sprawdzał, czy z autem jest wszystko w porządku. Pyta pan, skąd motocyklista wiedział, że zjedzie pan właśnie na ten parking. Bo to on pana tam skierował.

– Jak?

– Po prostu mijając pana na autostradzie, pokazał na migi, że coś dzieje się z samochodem. A pan chciał to sprawdzić. On wyprzedził pana, zjechał wcześniej na ten parking i poczekał. Najprostsze rozwiązanie. – Uśmiechnął się lekko. – A pana córka tylko skorzystała z okazji, że zatrzymaliście się na parkingu z toaletą. Po prostu.

– Możliwe – powiedziałem ponuro. – Wie pan, moi koledzy mają teorię, że Jola i Agnieszka zginęły dlatego, że widziały zabójcę. Nie wierzę w to. Na parkingu było kilka innych osób, które też widziały całe zajście. A zabójca przez cały czas miał na głowie kask. Były celem tak samo jak ja. Tylko dlaczego? I jaki to ma związek z wybuchem?

Wenk patrzył na mnie przez chwilę.

– Wszystkie te rzeczy, o których rozmawialiśmy... – zaczął. – Dywagacje, domysły, podejrzenia... To wszystko może być zwykłym biciem piany. Nie wiemy nic. Jesteśmy na początku drogi. Trzymamy pęk nici i nie wiemy, dokąd one mogą nas zaprowadzić, przy czym tak naprawdę trzeba sprawdzić każdą z nich. – Poklepał mnie delikatnie po ramieniu i tym razem omal nie spadł z taboretu. – Dosłownie każdą! Ale sprawdzimy, *Herr Inspektor*, sprawdzimy. W końcu dowiemy się, kto za tym stoi!

Znów przypomniała mi się rozmowa z Mołczunem i wnioski z niej płynące, ale nic nie powiedziałem.

– Odwiedzę pana pewnie za jakiś czas – rzucił Wenk, wstając.

Jego uśmiech był pokrzepiający i ciepły. Kiedy wychodził, błysnął jeszcze fioletem szkieł okularów, a potem zniknął za drzwiami, zabierając ciepło tego uśmiechu ze sobą.

Nie zobaczyłem go nigdy więcej. Radca kryminalny Gerhard Wenk zginął trzy godziny później na autostradzie numer dwadzieścia nieopodal Rostocku. Kiedy dowiedziałem się

o szczegółach jego śmierci dwa dni po tym, jak to się stało, nie miałem żadnych wątpliwości, że była ona przypadkowa. W mojej sytuacji, a także w świetle tego, o czym mówił Wenk, podejrzliwość byłaby zrozumiała i jak najbardziej na miejscu. Ale byłem realistą i zdawałem sobie sprawę, że ciężko byłoby sfignować wypadek, używając do tego sarny. Oszalałego z przerażenia zwierzęcia, które jakimś cudem znalazło się na pasie drogowym autostrady, a następnie wylądowało na przedniej szybie bmw Wenka, sprawiając, że ten stracił panowanie nad kierownicą i przy prędkości stu czterdziestu kilometrów na godzinę uderzył w betonową ścianę wiaduktu drogowego prowadzącego w stronę południowych przedmieść Rostocku. Kolejna śmierć w koszmarnym paśmie, które zapoczątkowała kula w mojej głowie.

Jednak to, co przytrafiło się Wenkowi, nie miało nic wspólnego ani ze mną, ani w ogóle z jego dochodzeniem. Widocznie tego dnia Herr Wenk po prostu przestał mieć to swoje cholerne szczęście... I ja chyba trochę też, bo od tamtej chwili niemiecka strona nie dała więcej żadnego znaku, że w „mojej” sprawie coś się dzieje.

Cokolwiek.

Wyszedłem ze szpitala trzeciego kwietnia. Ze skierowaniem na rehabilitację i stosem innych papierów, stanowiących moją dokumentację medyczną. W trzy i pół miesiąca zebrało się tego więcej niż przez całe moje życie. I to o czymś świadczyło: byłem wrakiem człowieka. I tak też się czułem, fizycznie i psychicznie.

Kiedy opuszczałem szpital, nie dostałem z powrotem swojego ubrania, zniknęło jeszcze w Niemczech, podejrzewam, że nie wyglądało za ciekawie po tym, co się ze mną stało. Pewnie zostało zniszczone, kiedy wieszono mnie na stół; gdy liczy się każda minuta, a nawet sekunda, nikt nie będzie się certolił z jakimiś szmatami. Ale ku mojemu zdziwieniu zwrócono mi portfel, telefon i zegarek. Oraz telefony Joli i Agnieszki. Nie przyszło mi wcześniej do głowy w ogóle zapytać, czy coś mojego złożono w szpitalnym depozycie. Kiedy ubrałem się w ciuchy, które przyniósł mi z mojego mieszkania Jacek, wziąłem do ręki te przedmioty i zacząłem im się przyglądać, zastanawiając się, czy rzeczywiście są mi jeszcze do czegokolwiek potrzebne. Może z wyjątkiem portfela. Nie wiedziałem, ile czasu mi zostało, po co mi więc zegarek? I do kogo mogłem dzwonić, skoro większość tych, do których zwykle dzwoniłem, nie żyła? Komórki Joli i Agi też były już bezużyteczne, bezpieczne. Mój telefon i tak nie działał, był rozładowany, podejrzewałem też, że operator go wyłączył, bo nie było nikogo, kto zapłaciłby za niego rachunek. Z telefonem Joli sprawa wyglądała podobnie, każde z nas opłacało abonament. Tylko komórka Agnieszki była na kartę. Założyłem zegarek na rękę, komórki schowałem do kieszeni dzinsów i pojechałem taksówką do domu.

W mieszkaniu panował zaduch, śmierdziało stęchlizną i zepsutym jedzeniem. W lodówce zgniło kilka rzeczy, kwiaty uschły na wiór, po podłodze latały koty z kurzu. Woda w kranach miała barwę rdzy. Mój dom wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Usiadłem w fotelu, rozejrzałem się, a potem wstałem i wyszedłem. Klucz zacinał się jeszcze w nowym zamku, którego wymianę na moją prośbę Jacek zlecił w spółdzielni mieszkaniowej. Kiedy przekręcałem klucz, palec przylepił się do szarej plamy brudu na futrynie.

Był środek dnia, więc większość sąsiadów siedziała w pracy. I dobrze, bo nie miałem ochoty na żadne rozmowy. Poszedłem na przystanek, wsiałem do autobusu i pojechałem na Cmentarz Centralny. W Zakładzie Usług Komunalnych sprawdziłem, gdzie leżą Jola i Agnieszka. I Marta. Moją żonę i córkę pochowano w grobie ojca Joli, w jednej z kwater położonych niedaleko starego holenderskiego wiatraka. Teściowa musiała maczać w tym palce, miałem tylko nadzieję, że nigdy się tam nie spotkamy. To było pojedyncze miejsce grzebalne, pozostawało wobec tego pytanie, gdzie pochować teściową. Oraz mnie.

Minąłem ceglana bramę i zanurzyłem się w inny świat.

Spacer po cmentarzu był trochę jak podróż w głąb siebie, połączona z zadawaniem sobie

pytań, których nigdy dotąd sobie nie zadawałem. Podróż smutna, w zasadzie bez konkretnego, realnego celu. Przez cały spacer celem była właściwie ona, sama w sobie, a nie grób bliskich. Mijałem kwatery dziecięce i kombatanckie, stare poniemieckie grobowce rodzinne i kamienne albo betonowe stele, które ostały się mimo upływu lat. Marność nad marnościami i wszystko marność, w otoczeniu imponującej, bogatej i różnorodnej zieleni, rozkwitającej do życia pośród świadectw śmierci, a wszystko to w promieniach wiosennego słońca przedzierających się przez gałęzie majestatycznych platanów, buków i jodeł.

Kiedy tylko dotarłem na grób, od razu pomyślałem, że nie byłem tu ładnych parę lat. Chwilę potem – że powinienem leżeć tu z nimi. Gnić w ziemi toczony przez robactwo, a nie żyć z poczuciem głębokiej niesprawiedliwości i winy, że to mnie się udało, a im nie. Żyć dalej samotnie i bez perspektyw. Żyć jak za karę.

Na granitowym nagrobku nie było jeszcze wyrytych nowych nazwisk ani dat, jedynie to należące do mojego świętej pamięci teścia. Na razie na szarej płycie leżały dwie czarne tabliczki zdjęte z krzyży po pochówku, typówka zakładu pogrzebowego z ręcznie wypisanymi srebrnym markerem imionami i nazwiskami oraz cyferkami wyklejonymi z foliowych gotowców. Wieńców już nie było, pewnie zwiędły, zmokły i zmarniały jak oni, więc teściowa wyrzuciła je na śmietnik. Wiedziałem, że Jola i Agnieszka zostały na życzenie teściowej skremowane. Starej kutwie nie opłacało się widać wykupienie nowego miejsca. Po chwili stwierdziłem, że miała jednak trochę racji. Jakie ma znaczenie, czy pożrą nas robaki, czy pochłoną płomienie? Żadne. A przynajmniej się kobieta nie nachodzi. I znajdzie się miejsce na kilka następnych urn. Również te z jej i z moimi prochami. Same zalety...

Stałem ze wzrokiem wbitym w te tabliczki i nie wierzyłem, że to dzieje się naprawdę. Nie miałem nawet ze sobą żadnego znicza ani kwiatów. Nic. Poza tym nie umiałem się modlić. Stałem tak, nie wiedząc, co robić, kiedy za plecami usłyszałem głos.

– Masz, zapal im.

Odwróciłem się. Moja teściowa kładła właśnie na ławce torbę, w której głucho brzęczało szkło. Drugą ręką podawała mi znicz. Był krwistoczerwony, miał plastikową czapkę pokrytą złotem i rozmiar latarni z żaglowca „Kruzensztern”. Czerwień szkła wzbudziła we mnie rozpacz. Wziąłem znicz w milczeniu z rąk teściowej i zdjąłem pokrywkę. Pamiętałem, że w kieszeni kurtki mam jeszcze zapalniczkę. Wyciągnąłem ją i zapaliłem knot. Lekki wiatr szarpał płomieniem, więc włożyłem wkład do środka znicza i zamknąłem go, a potem schyliłem się i postawiłem na płycie. Wpatrywałem się w niego, jak przed chwilą w te tabliczki.

Czerwony punkt na szarym tle, jak koniec wieńczący dzieło abstrakcjonisty, który zaplanował każdy akt tego wydarzenia, począwszy od prologu na parkingu. Wizualna forma owego końca była oszczędna do przesady. Podniosłem głowę ku niebu, jakby chcąc spojrzeć w oczy owemu szalonemu twórcy, uświadamiając sobie poniewczasie, że tam, na górze, nikogo nie ma. Kiedy odwróciłem się i spojrzałem za siebie, teściowej już nie było. Na ławce stał tylko drugi znicz. Poczułem ucisk w piersiach. Dla kogo go zostawiła? Miałem zapalić oba na grobie naszych bliskich czy może wiedziała o Marcie? A jeśli tak, to czy zdawała sobie sprawę, co mnie z nią łączyło? Mogła się tego dowiedzieć tylko w jeden

sposób. Od swojej córki. Od mojej żony. Czyżbym był tak ślepy? Czyżbym był wart aż tyle, że własna żona nie była w stanie delikatnie mi zasugerować, że wie o kochance, nie mówiąc o żądaniu zerwania z nią? A może wręcz przeciwnie, byłem tak żałosny, że uznała to za niewarte uwagi...

Wyrzuciłem te myśli z głowy. Wszystkie. Zacząłem wyobrażać sobie górę. Majestatyczną, zaśnieżoną, stojącą samotnie wśród pagórków niedorównujących jej ogromem, zasłoniętych przed palącym słońcem jej bezpiecznym cieniem, omijanych przez wichry, które zamiast na ich stokach wytracały swój pęd na graniach zbiegających się na wyniosłym szczycie ich wielkiej siostry. Trzymałem się tego obrazu przez kilka minut, aż wreszcie mogłem się ruszyć.

Po raz ostatni spojrzałem na nagrobek. Pożegnałem się z nimi krótko, obiecując im, że niedługo znów się pojawię. A potem zabrałem z ławki drugi znicz i poszedłem na grób Marty.

* * *

Nazajutrz rano zszedłem do kiosku i kupiłem doładowanie do karty telefonicznej. Odłączyłem swój telefon od ładowarki, sprawdziłem numer Jacka Mołczuna i z telefonu Agnieszki zadzwoniłem do niego, pytając, czy nie zawióźłby mnie na tamten parking. Było mi trochę niezręcznie go o to prosić, w końcu miał własne kłopoty, ale mimo to poprosiłem. Zgodził się. I dobrze, bo nie było chyba nikogo innego, kto mógłby to dla mnie zrobić. Smutna konstatacja człowieka, któremu nie zostało już prawie nic, nawet przyjaciele. Zresztą przecież nigdy ich nie miałem.

Wiosna eksplodowała niemal z dnia na dzień. Jeszcze wczoraj dorodne pąki na drzewach były tylko dorodnymi pąkami, a dziś stały się soczyście zielonymi liśćmi. Jeszcze pokurczonymi od ciasnych łupin, w których cisnęły się niemal miesiąc, ale już liśćmi. Przebiśniegi przekwitły i stały się wspomnieniem, trawniki opanowały teraz fioletowe i żółte krokusy.

Pojechaliśmy do Niemiec następnego dnia rano. Milczeliśmy praktycznie przez całą drogę. Prawie półtorej godziny ciszy, tylko głuchy huk powietrza rozcinanego maską i przednią szybą samochodu. I szum opon. Zjazd numer czternaście na Wandlitz minęliśmy około dziesiątej, zaraz potem dotarliśmy na feralny parking. Miał nawet nazwę. Probstheide. Przez chwilę pomyślałem, że to nawet dobrze. Dobrze, że miejsce śmierci mojej rodziny ma jakąś nazwę, że nie jest miejscem bezimiennym, że kiedy ktoś zapyta, gdzie zginęły, nie będę musiał się zastanawiać, jak ładnie określić wybrukowany plac, na którym stoją śmietniki i publiczna toaleta, tylko będę mógł spokojnie odpowiedzieć: w Probstheide. Zabito je w Probstheide. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie...

Parking był pusty.

Jacek zaparkował na jednym z miejsc postojowych i powiedział:

– Tu stanąłeś. Dokładnie tu.

Pokiwałem głową.

– Upadłeś z tyłu samochodu. Jola... – Urwał, a ja znowu pokiwałem głową.

Widziałem to na filmie. Z nas dwojga widziałem tylko siebie, Joli nie. Dlatego że została

zabita w samochodzie, tu, na tym miejscu, na którym siedziałem teraz ja. Na filmie nie było tego widać, więc niektóre szczegóły dodała moja wyobraźnia. To jej oczami zobaczyłem, jak przestrzelona szyba matowieje, a potem jakby osuwa się i strzaskana w drobny mak rozsypuje się po parkingu i w środku samochodu.

– Agnieszka wracała z toalety. – Jacek wskazał niski, przykryty dwuspadowym dachem budynek stojący kilkanaście metrów dalej. – Upadła w połowie drogi...

– Obejrzałem ten film, Jacek – powiedziałem cicho i Mołczun zamilkł.

Wysiadłem z samochodu i poszedłem w kierunku małego budyneczku. Stałem w tym miejscu, w którym zginęła moja córka. Kucnąłem i dotknąłem ręką ciepłej nawierzchni z betonowej kostki barwionej na kolor piasku. Potem rozejrzałem się dookoła. Zwykły parking przy autostradzie. Śmietniki wypełnione opakowaniami po kanapkach, puszkami i petami, kibel, stoliki z ławkami, zmęczone zimą trawniki, które dopiero nabierały soczystości, i płot z siatki, za którym ciągnęły się las i pola. Byłem pewien, że gdzieś pod tym płotem albo pod ścianą budynku będą jakieś znicze albo kwiaty. Już dawno zgasłe, wypalone znicze i zwiędłe, wyschnięte kwiaty. Coś, co świadczyłoby jednak o tragedii, która tu się rozegrała. Cokolwiek. Może nawet jakiś krzyż, wbity przez dobrego chrześcijanina. Znak pamięci.

Nic. Nie było niczego. To zrozumiałe. Od tamtej pory minęło sporo czasu, pewnie nawet już nikt nie pamiętał o tym, co tu się wydarzyło, mnie jednak z jakiegoś nieokreślonego powodu zrobiło się przykro. Wstałem z kucek i jeszcze raz rozejrzałem się wokół siebie. Napotkałem wzrok Jacka, spoglądającego na mnie zza kierownicy swojej skody. Skinąłem mu głową i zamknąłem oczy. Tak wyglądało moje pożegnanie z rodziną. Najpierw na cmentarzu, a teraz tu.

Wolnym krokiem poszedłem w stronę samochodu. Szedłem niespiesznie, chłonąc ostatnim spojrzeniem widok parkingu, kiedy coś zabłyszczało na asfalcie, bijąc mnie po oczach krótkim refleksiem słonecznego światła. Schyliłem się i podniosłem to coś. Kawałek szkła. Jak mały, w dodatku fałszywy brylant o nieregularnym kształcie, z ostrymi, ale nie tnącymi krawędziami. Małeńki fragment szyby samochodowej. Czy to z mojego opla? Czy to po prostu ślad włamania, które zdarzyło się na małym parkingu, kiedy właściciel jakiegoś auta przypilony potrzebą zostawił na przednim siedzeniu teczkę czy laptop, a ktoś inny skorzystał z okazji? Zamknąłem dłoń, zaciskając palce na znalezisku. Wolałem wierzyć, że to szyba z mojego samochodu. Ostatnia rzecz, jaka miała kontakt z moją żoną, kiedy tuż po tym, jak dosięgła ją kula, grad małych, fałszywych brylantów spadł na nią niczym ulewa. Może właśnie ten kawałek zaplątał się w jej zakrwawione włosy, a potem wypadł na ziemię, kiedy Jolę wyciągano już z samochodu. Potem opłukał go deszcz, jeszcze później wystrzelił spod opony jakiegoś przejeżdżającego tędy samochodu i potoczył się pod krawężnik, gdzie go przed chwilą znalazłem. Nigdy nie byłem sentymentalny. Nigdy wcześniej. Takie przemyślenia były mi obce. To nie ja.

Schowałem znalezisko do portfela, wsiałem do samochodu i powiedziałem cicho:

– Już.

Jacek przekręcił kluczyk w stacyjce. Zamruczał silnik i rozległa się cicha muzyka. Antenne MV, lokalna stacja. *Blue Suede Shoes* Presleya właśnie się kończyło, za chwilę weszli ZZ Top z *Legs*. Kompletnie bez sensu, jak śmierć moich bliskich, Marty,

policjantów w porcie... I Gerharda Wenka. Zapiąłem pasy i gapiłem się na las.

Dotarliśmy do zjazdu Bernau Nord, opuściliśmy autostradę i wiaduktem zawróciliśmy na jej drugą nitkę prowadzącą w stronę Szczecina.

– Trzeba żyć dalej, Darek – powiedział cicho Mołczun, patrząc przed siebie.

– Właśnie to robię – odpowiedziałem, słuchając monotonnego wizgu opon. – Właśnie to robię...

Dojechaliśmy w milczeniu do Szczecina. Jacek podwiózł mnie do domu. Kiedy zaparkował pod moim blokiem, podaliśmy sobie ręce, patrząc w oczy.

– Dzięki. Naprawdę. – Głos miałem zachrypnięty, dawno nic nie mówiłem.

– Nie ma sprawy, przecież wiesz.

Wiedziałem.

Wysiadłem i nie oglądając się, poszedłem w kierunku swojej klatki. Na trzecie piętro wjechałem windą. Musiałem trochę odpocząć. To był męczący dzień, a ja musiałem jeszcze zmierzyć się z panującą w domu ciszą.

* * *

Nazajutrz zadzwoniłem do Jacka, żeby jeszcze raz mu podziękować.

– Ogłoszenie zamów z podziękowaniami, w gazecie – sarknął.

– Nie stać mnie. Jestem na zwolnieniu i dostaję mniejszą pensję – odparłem, zresztą zgodnie z prawdą. – Słuchaj, w tych papierach ze szpitala mam skierowanie do psychologa. To jakiś żart? Co ja mam z tym zrobić? Puścić faksem do Koszalina? – zażartowałem.

To oznaczało wrzucenie dokumentu do niszcarki.

– Masz zastosować się do zalecenia.

– Chyba kpisz – prychnąłem. – Zostałem postrzelony, a nie popierdoliło mi się w głowie.

– Mylisz pojęcia – zauważył. – Między psychologiem a psychiatrą jest dosyć istotna różnica. Rzekłbym, że wręcz zasadnicza.

– Nie potrzebuję psychologa, Jacek. Jestem normalny. Jestem co prawda kaleką, ale normalnym kaleką. Tak myślę.

– Radzę ci, potraktuj to poważnie, Darek. Nie chodzi o to, co myślisz. Wiem, że jesteś normalny, wbrew temu, co ci się wydaje, nikt tego nie neguje, ale tu chodzi o inne kwestie. To zwykła procedura, jak po użyciu broni czy po doznaniu stresu bojowego. Jeśli nie zgłosisz się tam, będziesz miał kłopoty w pracy. Po prostu.

– To dotyczy funkcjonariuszy pracujących w terenie – upierałem się.

– Nieprawda. – Jacek robił dokładnie to samo, upierał się. – To dotyczy wszystkich. Nas wszystkich.

– Co do kłopotów w pracy: ja już nie mam pracy – odparowałem. – Chyba nie sądzisz, że ktoś mnie do niej przyjmie z powrotem, jak skończy mi się zwolnienie? Jestem już rencistą, chłopie. – Znów poczułem, jak w gardle rośnie mi ten cholerny żal do losu.

– Ocenę tego zostaw innym, tak? Zgłoś się do Mileny Korcz z naszego zespołu psychologów. Ostatnio pracowała z chłopakami, którzy brali udział w akcji w porcie. To podobno fajna dziewczyna, bardzo im pomogła. Ma nawet doktorat.

Zamknąłem oczy i pokręciłem głową.

– Nawet doktorat ma... Nie przekonałeś mnie, wiesz? – rzuciłem po chwili.

– Nie?

– Nie.

– A co cię przekona? Pisemko z kadr? Nie dyskutuj z rzeczywistością, Darek. Po prostu zrób to. Odpękaj to, jak wolisz, ale miej to załatwione, żeby nikt się nie czepiał. Myśl o przyszłości. Musisz z czegoś żyć. To układ zerojedynkowy: zgłosisz się, jak ci kazali – będzie dobrze, nie zgłosisz się – będziesz miał problemy. Po co ci one? Mało ich masz?

– Niemało – przyznałem.

– No właśnie. – Przerwał na chwilę i dodał cicho: – Jest dobra. Naprawdę dobra.

– Skąd wiesz?

– A jak myślisz, Darek? – W jego głosie pobrzmiwała kpina, lekka, ale jednak słyszalna. – Skąd JA mogę o tym wiedzieć, co?

Fakt... Westchnąłem. Głośno, żeby Jacek usłyszał.

– Zastanowię się jeszcze – burknąłem.

– Proszę bardzo. Zastanawiaj się, jeśli ma to ci jakoś pomóc, byle nie za długo. Wyślę ci numer do tej Mileny. Nie musisz nawet ruszać się z domu, załatwię ci go sam. Zadowolony?

Milczałem. Nieruszanie się z domu było niezbyt dobrym pomysłem, miałem wrażenie, że to miejsce stało się dla mnie przestrzenią opresyjną, z której miałem ochotę wyrwać się jak najczęściej i na jak najdłużej. Na hotel nie było mnie stać, u przyjaciół też nie mogłem przez jakiś czas pomieszkać. Nie można mieszkać u kogoś, kto nie istnieje.

– Dzięki – powiedziałem.

– Proszę bardzo. Czekaaj na wiadomość. Na razie.

– Na razie...

Wiadomość od Mołczuna przyszła godzinę później. Cały ten czas w oczekiwaniu na jej przyście spędziłem na bezmyślnym gapieniu się w telewizor. Kiedy usłyszałem sygnał nadchodzącego esemesa, leniwym ruchem wziąłem komórkę do ręki i otworzyłem go. Był w nim numer telefonu oraz dopisek: „Milena Korcz. Dzwon. Masz priorytet, możesz jechać na tirarira”. Kończył ją uśmiechnięty emotikon. Roześmiałem się niespodziewanie, a potem odłożyłem telefon na stół, wyłączyłem telewizor i poszedłem się zdrzemnąć.

* * *

Zadzwoiłem do niej, kiedy obudziłem się z drzemki. Byłem jeszcze trochę zaspany, ale może to i dobrze; gdybym całkiem oprzytomniał, mógłbym nie zrobić tego w ogóle.

– Tak, słucham? – Głos po drugiej stronie był miły i spokojny.

Ja odbieram telefony z nieznanego mi numeru nieco natarczywym tonem, a to dlatego, że przeważnie z drugiej strony odzywają się dupotruje, chcący wcisnąć mi jakąś ofertę. Ton Mileny Korcz brzmiał, jakby dzwonił do niej stary dobry znajomy.

– Dariusz Suder z tej strony, dzień dobry – przedstawiłem się, bo w końcu nie byłem jej starym dobrym znajomym. – Dostałem numer do pani od Jacka Mołczuna. Również z jego polecenia. Czy... Czy możemy się spotkać? W miarę szybko? W sprawie, ee... konsultacji?

Jąkałem się jak dziecko wykonujące telefon po raz pierwszy w życiu. Stres. Co robić, w końcu nie rozmawiałem towarzysko, tylko z obcą osobą, której będę musiał wywalić na

stół samego siebie... Doszedłem też do wniosku, że skoro już do niej zadzwoniłem, to im szybciej się spotkamy, tym lepiej. Mołczun dobrze ujął sprawę: miejmy to po prostu z głowy.

– Dzień dobry – odpowiedziała, a w jej głosie nie było śladu zdziwienia moim dukaniem. Założę się, że nie z takimi świrami rozmawiała. – Oczywiście. Zapraszam nawet dziś. Osiemnasta panu pasuje?

– Pasuje – odpowiedziałem ostrożnie, ale prawda była taka, że nawet druga w nocy by mi pasowała. – W wojewódzkiej, w miejskiej?

– Mam gabinet na Bandurskiego. – Podała dokładny adres. – Tam się zobaczymy.

– Nie w komendzie? – zdziwiłem się.

Zarówno w budynku naszej komendy, jak i komendy miejskiej były specjalne pomieszczenia przeznaczone na tego typu atrakcje dla zainteresowanych nimi funkcjonariuszy.

– Nie. Przyjmuję również prywatnie.

– Uhm – powiedziałem, zastanawiając się, co knuł Jacek i czy to rzeczywiście podyktowane było wyłącznie tym, że gabinet psycholożki znajdował się całkiem niedaleko mojego bloku.

– Jakże kosztuje sesja? – zapytałem jeszcze.

– Niech się pan tym nie martwi. Proszę wpaść o osiemnastej.

– W porządku. Będę. Do zobaczenia, pani Mileno.

– Do widzenia.

Następne dwie godziny spędziłem, tępo wpatrując się w ekran telewizora. Zaczynałem robić to coraz częściej. Byłem świadomy, że w ten sposób zabijam czas i po prostu nie myślę o Joli, Agnieszce i Marcie, wszystkich kobietach mojego życia. Byłem również świadomy tego, że rykiem telewizora wypełniam okropną ciszę panującą w mieszkaniu, ale to zaczynało robić się wręcz niebezpieczne. Przystawałem powoli używać mózgu, chłonąc papkę sączącą się z ekranu. Zrastałem się ze swoim fotelem w jeden bezrozumny organizm.

Kiedy po raz kolejny spojrzałem na zegarek, stwierdziłem, że już czas. Nie miałem daleko, więc postanowiłem się przejść. Włożyłem kurtkę i nie oglądając się za siebie, zamknąłem drzwi mieszkania. Straciłem nawyk obrzucania go ostatnim spojrzeniem tuż przed wyjściem. Kiedyś sprawdzałem w ten sposób, czy niczego nie zapomniałem. Od jakiegoś czasu tego nie robiłem. Po prostu wiedziałem, że mam przy sobie wszystko, czego mi potrzeba, i już nie chciałem go oglądać niepotrzebnie. Nie przyzwyczajam się do miejsc, tylko do ludzi, którzy w nich są. Tu, z wyjątkiem mnie, nie było już nikogo.

Na Bandurskiego dotarłem po kwadransie. Nowy budynek koło targowiska mieścił sieciową kawiarnię i gabinety lekarskie prywatnej przychodni. Też sieciowej, jak prawie wszystko dziś. Pod tabliczkami z ich nazwami wisiała trzecia, na której przeczytałem: „Gabinet psychoterapii, dr Milena Korcz, II p.”. Nic więcej, nawet numeru telefonu. Wszedłem do środka i dotarłem na górę schodami, zamiast skorzystać z windy. Musiałem się oszczędzać i tak ćwiczenia rehabilitacyjne często mnie wykańczały, ale mimo to wybrałem schody. Lubiłem wysiłek, a w moim stanie było nim nawet pokonanie dwóch pięter. Lubiłem wysiłek, bo poprawiał mi nastrój. Być może na zasadzie katowania

samego siebie jako substytutu kary za to, co się stało. I być może zapytam nawet o to panią Korcz, panią doktor Korcz...

Kiedy stanąłem pod drzwiami, na których wisiała taka sama tabliczka jak na dole, przez chwilę poczułem ukłucie paniki. Zupełnie irracjonalne, zdawałem sobie z tego sprawę, ale mimo to przez chwilę byłem o krok od odwrócenia się w tył i pokonania drogi, którą przebyłem, jeszcze raz, tyle że w odwrotnym kierunku. Czułem, że za moment przekroczę pewną granicę. Chyba ostatnio zbyt często zbliżałem się do różnych granic, choć ta miała inny wymiar niż tamta, przed którą stanąłem w szpitalu. Mołczun miał rację, różnica między psychologiem a psychiatrą jest diametralna. Mniej więcej taka, jak między kamieniem węgielnym a węglem kamiennym. Ale mimo wszystko jakaś niepewność kołatała się w sercu, sprawiając, że biło nieco szybciej niż normalnie, nawet pomijając kwestię tych dwóch pięter, które pokonałem truchtem.

Ponieważ dalsze zastanawianie się groziło rejteradą, nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. Była za trzy osiemnasta, a przynajmniej tak pokazywał zegar wiszący na ścianie holu, w którym się znalazłem. Dostrzegłem w nim wyłącznie wieszak z nierdzewnej stali i wysoką blondynkę z krótkim włosami i skośną grzywką opadającą na czoło. Miała buty na koturnie, obcisłe spodnie i luźny sweter o dziwnym, asymetrycznym kroju i wywiniętym kołnierzu. Obejmowała się w pasie, przekrzywiając odrobinę głowę, jak gdyby chciała, żeby grzywka pod własnym ciężarem opadła nieco bardziej na bok, odsłaniając ciemne oczy.

– Dzień dobry. – Chrząknąłem. – Dariusz Suder, byliśmy umówieni...

Stałem, nie wiedząc, co robić dalej. Kobieta podeszła do mnie i wyciągnęła rękę, drugą wciąż obejmując się w pasie.

– Milena Korcz – powiedziała zdecydowanym tonem.

Uścisnąłem jej dłoń, była ciepła, a oddany uścisk po kobiecemu delikatny.

– Zapraszam. – Odwróciła się i otworzyła jedne z drzwi.

Na nich też była tabliczka z napisem „Gabinet”. Na drugich były symbole toalety, męskiej i damskiej. Więcej drzwi nie było. Kiedy wchodziłem za nią do gabinetu, zauważyłem, że nie jest naturalną blondynką. Podcięte i cieniowane z tyłu włosy były ciemne, tlenione były tylko te na górze i na grzywce. Kiedy weszliśmy do środka, ze zdumieniem rozejrzałem się dookoła.

W pokoju były jedynie dwa fotele i lampa, stojąca na podłodze pod ścianą. Oraz roślina, chyba dracena. Nic więcej. Żadnej leżanki, regałów z mądrymi książkami o okładkach z połączanymi grzbietami, biurka z fotelami. Nic. Byłem przekonany, że gdy coś powiem, usłyszę echo własnego głosu. Fotele ustawiono w rogach pomieszczenia, skośnie do siebie. Na podłodze obok tego, który wskazała mi psycholożka, stało kartonowe pudełko z jednorazowymi chusteczkami. Prawie parsknąłem śmiechem.

Usiadłem, czując, jak serce wciąż bije mi szybko, o wiele za szybko jak na siedzenie bez ruchu w wygodnym fotelu. Lampa okryta finezyjnym abażurem z jakiegoś sznurka dawała przyjemne światło, które przeciskając się między szpagatowymi zwojami, rzucało na jedną ze ścian fantazyjny cień draceny, stanowiący równocześnie jedyny wystrój tego ascetycznego wnętrza. Ale mimo to nie czułem się tu wyobcowany. Zdenerwowany – tak, ale nie wyobcowany.

Siedzieliśmy w ciszy, nie dochodził nas żaden dźwięk. Ani z za okna, które musiało być bardzo szczelne, bo przecież ruch na Przyjaciół Żołnierza był jak zwykle spory, ani z za ścian, za którymi znajdowały się gabinety lekarskie. Nawet tykanie zegara z za drzwi, z holu. Patrzyłem w okno. Na gałęzi rosnącego za nim drzewa miziały się do siebie dwa gołębie. Wiosna. Dalej widać było tylko jedenastopiętrowe bloki o elewacjach w różnych odcieniach pastelowych barw, jednakowo omszałych i przybrudzonych zanieczyszczeniami powietrza.

– Sesja trwa godzinę, niestety, mam umówioną kolejną osobę, więc będziemy sztywno trzymać się czasu – przerwał nagle ciszę głos psycholożki. – Następne spotkania będą nieco dłuższe. Proszę powiedzieć, dlaczego pan tutaj jest?

To tyle tytułem wstępu – pomyślałem nieco zdziwiony.

Żadnych grzeczności, uśmiechów, spojrzeń...

Cóż, zamierzałem być szczery. Z takim założeniem tu przyszedłem, inaczej to nie miałoby sensu. Kiedy dojdę do wniosku, że ta szczerość zaczyna mnie męczyć, po prostu zrezygnuję z tych wizyt. Głowy mi za to nie urwą, co najwyżej uszczkną coś z renty.

– Kazano mi tu przyjść – odparłem. – I chyba też trochę dlatego, żeby nie siedzieć w domu, w którym już nikogo nie ma...

Uznałem, że to wystarczy, przynajmniej na początek. Cisza się przedłużała. Psycholożka milczała, siedząc bez ruchu w swoim fotelu, więc ja robiłem to samo. Kiedy zorientowałem się, że nie zamierza mnie popędzać, postanowiłem rozwinąć odpowiedź. Oczywiście bardziej z powodu chęci przzerwania krępującej mnie ciszy niż potrzeby uzewnętrznienia się.

– Zostałem do pani wysłany przez przełożonych. Z powodu pewnych... Pewnych wydarzeń, które miały miejsce w moim życiu. Zginęła moja rodzina, a ja sam zostałem ciężko ranny...

Urwałem. Byłem pewien, że ona dobrze wie, kim jestem i po co tu przyszedłem. Nie padły żadne słowa, żadne „uhm”, po którym mógłbym sądzić, że mnie słucha. Jej pozycja się nie zmieniła. Ponieważ widziałem ją bokiem, a twarz zakrywały włosy, nie mogłem mieć nawet pewności, że nie zasnęła. Widziałem już ludzi, którym do tego, by zasnąć, wystarczyło kilkadziesiąt wypowiedzianych monotonnym tonem słów i tyleż sekund. Dopiero kiedy poprawiła grzywkę opadającą jej na czoło, zyskałem pewność, że mnie słucha. Albo że wyłącznie słyszy. I wciąż na mnie nie patrzyła.

Coś przyszło mi do głowy. Postanowiłem trochę odbiec od tematu. Trochę, ale nie do końca, bo to, o czym chciałem jej powiedzieć, nurtowało mnie, a ona być może mogła temu zaradzić.

– Zmieniłem się – powiedziałem, ciesząc się tym razem, że jednak nie mam kontaktu wzrokowego z nią, tylko ze ścianą przed sobą. – Zrobiłem się jakiś taki miękki, wie pani? Wzruszam się łatwo. Nie łatwiej niż kiedyś, bo kiedyś w ogóle się nie wzruszałem. Wzruszam się ŁATWO. Widokiem dziecka na ulicy. Rozjechanego gołębia. Przeszkadza mi to uczucie. Mam głęboką nadzieję, że minie.

Nie jestem dobry...

– Dlaczego? – zapytała niespodziewanie.

– Bo... – Aż mnie zaskoczyła tym, że się odezwała. – Bo... Z tym ciężiej żyć. Po co mi to?

Dodatkowy ładunek emocjonalny, jakbym miał ich mało ostatnio... Całkowicie zbędny. Jak pani myśli, minie?

Usłyszałem delikatny świst wydychanego nosem powietrza, kiedy się roześmiała, a właściwie próbowała śmiech powstrzymać. Zrobiło mi się nawet miło. Zdawałem sobie sprawę, że pytanie nie jest za mądre, choć zdecydowanie wolałbym usłyszeć na nie odpowiedź twierdzącą. Ale chodziło o to, że ten ludzki odruch świadczył o tym, że nie spowiadam się maszynie, tylko człowiekowi z krwi i kości.

– Nie wiem, czy minie – powiedziała.

– A wie pani chociaż, skąd się wzięło?

– Na pewno nie wzięło się znikąd. Za mało o panu wiem, żeby stawiać jakiegokolwiek hipotezy, ale sądzę, że miał pan to w sobie, tylko ukrywał gdzieś w zakamarkach umysłu, nie dopuszczając tego drugiego „ja” do głosu. Ujawniło się nagle i tu mogą być dwa powody: postrzał, czyli uwarunkowania fizjologiczne, albo wstrząs wywołany śmiercią rodziny. Stawiałabym raczej na to drugie.

Czyli jednak dobrze wiedziała, co mi się przydarzyło... Pokręciłem głową.

– Jakoś trudno mi uwierzyć w drugie „ja”. Pani rozumie, że nie przyszedłem tu z własnej woli? – Milczała, więc brnąłem dalej. – Uważam, że psychologia to... Nie pamiętam tego słowa...

– Szarlataneria? – odpowiedziała.

– Tak, dokładnie! To szarlataneria, proszę nie brać tego do siebie, bo nie mam nic do pani osobiście. Nie wierzę w zagłębianie się we własny umysł, odkrywanie tego drugiego „ja”, o którym pani mówi, bo nie mam drugiego „ja”. Jestem swoim jedynym „ja”. Jestem twardo stąpającym po ziemi sukinsynem. Zimnym i wyrachowanym, jeśli już mam być szczerzy... Poza tym grzebanie w umyśle jest niebezpieczne.

– Szczerłość jest absolutnie pożądana. A jeśli chodzi o to, co pan przed chwilą powiedział... Nie widzi pan w tym sprzeczności?

– W którym miejscu?

– Nie wierzy pan w drugie „ja” ani psychologię w ogóle, ale twierdzi pan, że zagłębianie się w umysł jest niebezpieczne...

– Naturalna obawa przed czymś, czego nie znamy?

– Więc zaprzecza pan istnieniu czegoś tylko dlatego, że pan o tym niczego nie wie? A może zaprzecza pan temu na wszelki wypadek, bo jednak boi się pan, że odkryje w sobie coś niepokojącego? Obie te postawy są trochę dziecinne, nie sądzi pan?

Zastanowiłem się nad tym, co powiedziała, i odkryłem nagle, dlaczego ludzie niewierzący chcą się często na łożu śmierci wypowiadać. Ze strachu przed nieznanym albo na wszelki wypadek. Lub z obu tych powodów jednocześnie.

– Jest pani młoda – stwierdziłem. – Dawno pani skończyła studia?

– Dawno. – Nie patrzyła na mnie, kiedy to mówiła, ale ja patrzyłem na nią i widziałem, jak przez jej twarz przebiega jakiś cień. – Ponad dziesięć lat temu.

– To jednak nie tak dawno... Duże ma pani doświadczenie? Oprócz doktoratu?

– Wystarczające, żeby wiedzieć, że pański umysł nie jest odporny na takie rzeczy, jakie pan przeżył w ostatnim czasie. Żaden umysł nie byłby odporny, chyba że zmieniony patologicznie. A pański patologiczny nie jest. To po pierwsze. Po drugie, był pan przez

dość długi czas w śpiączce. Umknęło panu kilka miesięcy życia i z tym mózg też sobie nie radzi, to jest potwierdzone badaniami klinicznymi. U większości takich pacjentów po jakimś czasie pojawiają się następstwa w postaci zaburzeń psychicznych. Tu naprawdę nie ma żartów, nie mówię nawet o względnym komforcie życia; tu stawką jest pańskie zdrowie, rozumie pan? Więc dlatego chcę panu pomóc. Ale najpierw musi pan sam tego chcieć. Bez pana niczego nie zdziałamy. Zacznijmy jeszcze raz. – Zobaczyłem, jak zerka na zegarek. – Proszę powiedzieć, dlaczego pan tutaj jest...

Rozejrzałem się po niemal pustym pomieszczeniu. Panował w nim spokój, który zaczął mi się udzielać. Niespieszność. Cisza. Spokój. Jej spokój. Mój spokój. Rozluźniłem się i przywarłem do fotela niemal całą tylną powierzchnią ciała. Ale to nie było to samo uczucie, które miewałem, siedząc przed telewizorem. Tu było inaczej. Zrobiłem się ciężki, ale równocześnie poczułem się swobodniej.

– Dalej nie będzie pani na mnie patrzeć? – zapytałem.

Pokręciła głową.

– Nie będę. Nie widzimy się, panie inspektorze. Pan ma się skupić na sobie, a nie na mnie. Proszę, zaczynajmy...

– Nazywam się Dariusz Suder – powiedziałem cicho, opierając głowę o zagłówek fotela.

– Jestem szefem Zespołu do spraw Międzynarodowej Współpracy Policji, pracuję w Komendzie Wojewódzkiej w Szczecinie. Kilka miesięcy temu zostałem ciężko ranny, straciłem również rodzinę: żonę i córkę...

Opowiedziałem jej o swojej stracie. O żonie, córce i kochance. O sobie. O tym, że jest mnie tylko kawałek, resztę zabrała kula. O pustym mieszkaniu, o samotności, o niepamięci... Otworzyłem się przed nią, jak przed nikim innym do tej pory. Jak nie ja. Zupełnie jak nie ja. Ale byłem już chyba innym człowiekiem i to spotkanie uświadomiło mi to z całą mocą. Kiedy się już wygadałem, okazało się, że pora kończyć. Miałem sucho w ustach, a w głowie czułem lekki szum.

– Zobaczymy się jutro o szesnastej. – Milena dyskretnie zerknęła na zegarek. – Pasuje?

Patrzyłem na nią. Ona na mnie nie, zresztą tak było przez cały czas. Nie spojrzała ani razu w moją stronę, nawet kiedy coś do mnie mówiła. Chrząknąłem.

– Specjalnie unikamy krzyżowania spojrzeń, pani Mileno? – zapytałem.

Zerknęła na mnie i uśmiechnęła się.

– Raczej tak. Mówiłam już, to nie jest konieczne, a może rozpraszać.

– Teraz też? Jest już po sesji – zauważyłem.

– Zgadza się, jest już po sesji...

– Rozumiem. Naprawdę rozumiem, pogodzę się z tym jakoś, ale jednego nie mogę przeboleć.

– Czego nie może pan przeboleć?

– Tego, że muszę zwracać się per „pani” do osoby, której pokazałem całego siebie.

– Jeszcze nie całego. – Pokręciła głową z rozbawieniem. – To dopiero początek.

– W porządku. Prawie całego siebie. Początek całego siebie.

– A zamierza pan przychodzić dalej? Czy jednak nadal twierdzi pan, że psycholog nie jest panu potrzebny?

Zastanowiłem się przez chwilę, analizując swoje odczucia. Było mi różniej i lżej, nie

miałem co do tego żadnych wątpliwości. Czułem się oczyszczony. Jeśli choćby z tego względu miałem tu przychodzić, po prostu dla lepszego samopoczucia, to czemu nie? Skoro firma stawia...

– Będę przychodził pod jednym warunkiem – zastrzegłem.

– Pan chce mi stawiać warunki? Hmm...

– Nie będę bardzo naciskał. Niech to będzie raczej propozycja, a nie warunek. Może być?

– Słucham zatem pańskiej propozycji.

– Ale liczę na zrozumienie – zastrzegłem.

– Zobaczymy, co da się zrobić. – Uśmiechnęła się lekko, odgarniając niesforną grzywkę.

– Mówmy sobie po imieniu.

– Aż tak to panu potrzebne? – zdziwiła się.

– Myślę, że tak. Nie chcę zaprzętać sobie tym problemem głowy, kiedy się tak spowiadam przed tobą. Nie skracam teraz dystansu, nie pajacuję ani nic z tych rzeczy. Mówię absolutnie poważnie: naprawdę będzie mi łatwiej i wygodniej. To jak, w porządku?

Patrzyła mi w oczy.

– To jednak skróci dystans, Darek. Odrobinę, ale skróci. No, ale jeśli jest ci to naprawdę niezbędne, to nie ma sprawy. Myślę, że mogę to dla ciebie zrobić.

– Dla siebie również. To ułatwi pracę również tobie, prawda?

– Nooo, masz poniekąd rację. Jeśli nie będziesz się spinał, faktycznie pójdzie nam szybciej...

– Otóż to. – Wstałem z fotela i przeszedłem do holu. – Nie będę się spinał. To co, do jutra?

– Do jutra.

Znów się uśmiechnęła. Zdjąłem z wieszaka kurtkę i włożyłem.

– Dzięki – rzuciłem jeszcze w drzwiach, a ponieważ Milena wciąż nie wspomniała nic o zapłacie, zmyłem się.

Do domu dotarłem kwadrans po siódmej. Przebrałem się w dres i odrobiłem zestaw ćwiczeń, potem poszedłem wziąć prysznic. O wpół do dziewiątej zadzwoniłem do Jacka Mołczuna. Odebrał szybko, widać miał telefon pod ręką, pewnie Irka już spała.

– Byłem u niej – powiedziałem. – U tej twojej Mileny.

– I jak?

– Pytasz, czy mi pomogło?

– Pytam, jak pierwsze wrażenia. Taki rodzaj pomocy rozciąga się w czasie. Chyba nie oczekiwałeś, że po godzinie wyjdiesz od niej uzdrowiony duchowo?

– Fakt, dopiero zaczęliśmy – powiedziałem ostrożnie. – Ale wrażenia raczej pozytywne. Czemu właśnie ona?

– Uwierz mi, ta dziewczyna potrafi postawić człowieka na nogi. Wiem, co mówię.

– Długo do niej chodziłeś?

– Długo. Bardzo długo. Ale warto było. Jak sam widzisz.

– Widzę.

– Ostatni raz wypilem siedemset osiemdziesiąt pięć dni temu. Od tamtej pory nawet nie zerknąłem w stronę butelki. A kusiło. Irka, stres w pracy... Sam dobrze wiesz.

– Gratuluję. Ale to nie tylko dzięki niej, co? Głównie dzięki sobie samemu.

– Otóż to. I pamiętaj o tym. To ty masz się zebrać do kupy, ona pokaże ci tylko, gdzie leżą te kawałki, z których masz z powrotem posklejać swoje życie.

Pomyślałem, że nawet jeśli uda mi się je jakoś posklejać, to będzie jak pęknięty płaszcz dzwonu. Taki dzwon, mimo sprawnego serca, już nigdy nie zabrzmie czysto. A jeśli będzie się w niego bić zbyt często, znów pęknie, tym razem na dobre.

– Jasne – mruknąłem. – Pozdrów Irenę. Dobranoc, Jacek.

– Dzięki. Dobrej nocy.

– Nie będzie dobra.

– Moja też nie. Raczej nie.

– To witaj w klubie...

– Darek... Kiedy wpadniesz do roboty?

– Nie wiem. Muszę pozałatwiać jeszcze kilka spraw. Telefony, notariusz, zaległe opłaty, licznik gazu mi zdjęli, prąd już mam. Muszę ogarnąć siebie i to wszystko, rozumiesz?

– Jasne. Jakby co, dzwoń.

– Dzięki. Ty też, jakby co. Od jutra już pod mój numer. – Wciąż używałem telefonu mojej córki.

Pożegnaliśmy się po raz kolejny, tym razem na dobre. Tej nocy spałem o wiele lepiej. Nie miałem snów, a przynajmniej nie pamiętałem ich. Nie obudziłem się zlany potem i z krzykiem na ustach. Zasnąłem szybko i mocno. Jak kiedyś. Ale nie miałem złudzeń, że tak będzie już zawsze. Miałem za to pewność, że to był wyjątek. Mały prezent od własnego umysłu, drobiazg, dzięki któremu trochę odpocznę, zanim coś we mnie pęknie jak w tym dzwonie i zwariuję.

Powrót do świata żywych nie jest prosty. Wymaga dużo zachodu, mnóstwa wizyt w przeróżnych miejscach i to bez samochodu, do którego nie chciałem wsiadać z dwóch przyczyn.

Po pierwsze, z powodu pocisku w głowie, a po drugie... W tym samochodzie, stojącym obecnie na parkingu pod blokiem, zginęła moja żona. Na fotelu zostało kilka plam krwi, na podłodze trochę drobin szkła z przestrzelonej bocznej szyby, którą do dziś zastępował kawałek mocnej folii przyklejonej do ramy taśmą. Takich samych drobin jak ta, którą podniosłem z asfaltu na parkingu. Traktowałem swojego opla trochę jak relikwię i wciąż nie wiedziałem, co z nim zrobić. Ciężko rozstać się z czymś takim i jeszcze ciężiej to mieć.

Jeździłem więc po całym mieście autobusami i tramwajami, załatwiając różne sprawy związane z życiem codziennym, do którego chcąc nie chcąc, musiałem wrócić. Pierwszą rzeczą było odblokowanie telefonu u operatora. Zajęło to trochę czasu, ale wreszcie miałem kontakt ze światem i mogłem zacząć działać. Zacząłem od skasowania kilkunastu esemesów, przeważnie reklam, które zapełniły skrzynkę odbiorczą, zanim operator wyłączył telefon za brak opłat. Jadąc przez miasto w kolebiącym się tramwaju, machinalnie klikałem klawisz „skasuj” raz za razem, kiedy nagle nazwisko nadawcy jednej z wiadomości zwróciło moją uwagę. Zupełnie zapomniałem o tej sprawie, zresztą to przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, bo przecież Agnieszka nie żyła.

To była wiadomość od Rafała Buryty. Była otwarta, czyli musiałem już wcześniej ją przeczytać, choć kompletnie tego nie pamiętałem. Kiedy przeczytałem ją teraz, wszystko stanęło nagle w miejscu, a ja poczułem, że robi mi się gorąco. „Miałeś nosa. Bogutowicz był karany. Podrzędny bandzior i złodziej samochodów kojarzony z »Malechą«. Jakby co, wpadaj na kawkę! Aha: plaketkę *Umweltzone* kupisz w KFZ-Zulassungsstelle w Bernau, Jahnstrasse 45 – jakieś pięć euro. RB.”

Kojarzony z „Malechą”... Tramwaj akurat zatrzymywał się na przystanku. Rzuciłem się w kierunku drzwi, nerwowo wciskając przycisk „otwórz”. Wypadłem na zewnątrz, rozgarniając ludzi i wybierając numer Rafała. Na szczęście odebrał od razu.

– Jeezu, Suder, człowieku! Słyszałem, co się stało...

– Jesteś w robocie? – zapytałem, przerywając mu.

– Noo... Jestem.

– Sprawdzaleś mi tego Bogutowicza...

– No tak. Jak prosiłeś. Przecież o nim rozmawialiśmy – zdziwił się.

– To porozmawiamy jeszcze raz. Zaraz u ciebie będę! – rzuciłem bez tchu i rozłączyłem się.

Złapałem tramwaj jadący w przeciwnym kierunku. Dziesięć minut później wysiadłem na placu Zawiszy i pobiegłem w stronę komendy miejskiej na Kaszubskiej. Jak zwykle

uderzył mnie kontrast między otoczeniem mojego miejsca pracy a tą ponurą okolicą, w której zieleni było jak na lekarstwo, a zamiast niej królowała powszechna szarość o wszelkich odcieniach brudu. Kilka kwartałów tej części miasta, wypełnionych szczelną zabudową o wojskowej architekturze, zajmowały budynki związane z wymiarem sprawiedliwości: sądy, prokuratura, areszt, no i komenda, chyba najbrzydsza z nich wszystkich. Wydawać by się mogło, że taki ich natłok spowoduje, że okolica będzie bezpieczna, ale nic bardziej mylnego; nie była bezpieczna, a przynajmniej nie bardziej niż inne części miasta.

Wszedłem do budynku komendy, w którym mieścił się również komisariat Szczecin-Śródmieście. Strzegły go wiszące nad wejściem godła: dwa betonowe orły, brzydkie i zdeformowane, jak wszystko inne dookoła. Przypominały bardziej rozjechane przez ciężarówkę nietoperze niż te ptaki i wzbudzały więcej litości niż obrzydzenia. Nikt o nie nie dbał, nie miały nawet koron, oba zerkwały tęsknie w kierunku ulicy Czarnieckiego, w stronę grupy drzew rosnących za garażami.

Przedstawiłem się dyżurnemu i chwilę później byłem już u Buryty. Kiedy wszedłem do pokoju, który zajmował, Rafał wstał zza biurka i podszedł do mnie, kręcąc głową ze zgrozą. Nie przejąłem się tym, wiedziałem, jak wyglądam teraz, a jak wyglądałem, kiedy widzieliśmy się ostatni raz.

– Jezu... – wysnęło mu się.

– Nie, to tylko ja – zażartowałem ponuro.

Spojrzał na mnie z lekkim zgorszeniem.

– Chodź, siadaj. – Dotknął mojego łokcia i niczym pielęgniarz pacjenta poprowadził mnie w stronę stojącego pod ścianą fotela.

– Rafał, spokojnie – powiedziałem trochę skrępowany. – Już jest okej.

Odsunął się, kiwając głową. Kiedy usiadłem, wrócił za biurko.

Rafał Buryta wyglądał jak archetyp twardziela. Potężny, szeroki w barach, z wypiętą klatką i podbródkiem jak Kirk Douglas. Spod ciemnych, gęstych i szerokich brwi spoglądały bystro szare oczy, a za wydatnymi ustami kryły się olśniewające i równe zęby. Ciacho, jak powiedziała kiedyś o nim moja córka, kiedy nie wiedziałem jeszcze, że staje się kobietą i że za niecałe dwa lata będzie martwa.

– Wiesz, co mi się przytrafiło, więc nie będę się rozgadywał – zacząłem, starając się, żeby mój ton brzmiał w miarę beztrąsko. Nie chciałem robić z siebie męczennika i nie w tej sprawie tu przyszedłem. – W zasadzie wpadłem po to, żeby zapytać cię o tego Bogutowicza.

– Nie pamiętasz, że o nim rozmawialiśmy? – zapytał, przyglądając mi się uważnie.

Znów poczułem się, jakbym cofnął się w czasie do dziewiętnastego wieku i był brodatą kobietą albo karłem.

– Nie pamiętam, więc musisz mi przypomnieć. To dość ważne, jak się okazuje...

– Dlaczego ważne?

– Być może... Widzisz, nie za bardzo mogę o tym mówić...

Sam nie wiedziałem, z jakiego dokładnie powodu jest to takie ważne. „Malecha”. Ogniuwo łączące chłopaka mojej córki, a więc w jakiś sposób i mnie, z nieszczęsną akcją „Strela”. To mogło być bardzo luźne powiązanie albo wręcz czysty przypadek. A może właśnie nie?

Po to tu byłem. Żeby to sprawdzić.

– Co z tym Bogutowiczem? – zapytałem.

Rafał oparł się o biurko. Przyszło mi do głowy, że musi wyglądać niezwykle, gdy bawi się z kolegami w swoim wieku sterowaniem ruchem kolejowym na makiecie, w którą włożył mnóstwo pieniędzy i czasu i która zajmowała cały wynajmowany na Warzemicach garaż. Prawdę mówiąc, sam bym się chętnie z nimi pobawił...

– Facet ma powiązania z „Malechą”, jak już wiesz – powiedział Rafał, nieświadomy moich myśli. – Karany kilka lat temu za ciężkie uszkodzenie ciała, naruszenie czynności narządu ciała i trwałe uszczerbek na zdrowiu. Wyobraź sobie, sąd uznał, że działał nieumyślnie. To była jakaś bójka w bramie, jego kolega dostał w łeb i upuścił nóż, który trzymał w ręku. Bogutowicz go podniósł i pochlastał jednego z napastników, niby w obronie własnej. Przeciął mu ścięgna i żyły przedramienia. Odsiedział pół roku. Potem został złapany w kradzionym samochodzie, ale wyłgał się „pożyczeniem”. Fura była rąbnięta handlarzowi, od którego mieli dostać okup. Koledzy Bogutowicza musieli po jego zatrzymaniu porozmawiać z tym handlarzem, bo przyznał, że faktycznie pożyczył mu to auto. Widać byli przekonujący... – Buryta wzruszył ramionami.

Czyli dobrze gnoja wyczułem.

– Coś ci zrobił? – zainteresował się Rafał.

– To już nieważne. Nieważne... – Pokręciłem głową, mając na myśli jego związek z Agnieszką. – Chodzi mi o coś innego.

Chodziło mi już tylko o jego związek z „Malechą”.

– Aha. – Buryta wzruszył lekko ramionami. – Ale chyba powinienes najpierw wiedzieć, że chłopak nie żyje.

– Co powiedziałaś?

– Mówię, że nie żyje.

– Jak... Skąd wiesz?

– A bo prowadzimy czynności na zlecenie prokuratury.

– Co się stało?

– Znaleziono go w Odrze, na Gocławiu, niedaleko pętli tramwajowej. To było jeszcze w lutym. Nie miał głowy i trochę go ryby poskubały. Znalazł go jakiś chlor, zawiadomił policję...

Działo się coś, czego zupełnie nie rozumiałem. Poczułem się nagle jak dziecko we mgle.

– Słuchaj, Rafał... – Podrapałem się po nieogolonym podbródku; nieogolonym, bo i dla kogo miałbym się golić i po co. – Gdybym cię poprosił o możliwość przejrzenia akt tej sprawy... Zabójstwa Bogutowicza.

Buryta spojrzał na mnie z lekką niechęcią.

– Po co? Nie wierzysz w nasze umiejętności?

– Wierzę – mruknąłem. – Chyba nie myślisz, że ja, urzędas, będę podawał w wątpliwość kompetencje dochodzeniowców? Nie o to chodzi...

– A o co? – Założył ręce i patrzył na mnie, marszcząc czoło.

Mina zbitego psa. Żalność wzierająca z oczu. Zgarbione ramiona i spojrzenie wbite w czubki własnych butów. To na Burytę niestety nie działało. Nie miałem więc wyjścia i musiałem się przełamać.

– Pytałeś, co mi zrobił Bogutowicz... – Rafał pokiwał głową, a ja przysiadłem na skraju jego biurka, mimo że nie cierpiałem, jak ktoś robił to w moim gabinecie. – Powiem ci, ale to musi zostać między nami. I to dlatego chcę zobaczyć akta. Żeby potwierdzić bądź zaprzeczyć teorii, którą mam na temat jego związku z moją osobą i którą nie chcę na razie dzielić się z nikim. Nawet z osobą prowadzącą postępowanie w tej sprawie. Rozmawiamy nieformalnie, Rafał, okej?

Pokiwał głową, stojąc z wciąż założonymi rękami. Nabrałem w płuca powietrza i kontynuowałem.

– Moi koledzy z wojewódzkiej mają podejrzenie, że istnieje pewien związek między zakończoną fajerwerkami akcją policyjną w porcie, o której pewnie słyszałeś, a zamachem na mnie...

– Żartujesz? – Jego brwi powędrowały do góry, niemal dotykając linii włosów.

– Nie, nie żartuję. Ostatnio jakoś nie mam ochoty na żarty. Nie pytaj, jaki te sprawy mają ze sobą związek, bo oni też tego nie wiedzą. Jak mówiłem, to tylko podejrzenie. Ale jest coś, co również może je łączyć. Właściwie nie coś, tylko ktoś.

– Chłopak bez głowy? Bogutowicz?

– Zgadza się.

– W jaki sposób te rzeczy się wiążą?

– To był... To był chłopak mojej córki – wykrztusiłem.

– Co!?! – W jego głosie było zaskoczenie, ale nie zmienił pozycji, dłonie pozostały wciśnięte pod ramiona.

– Był chłopakiem mojej córki, Rafał, rozumiesz? – Nie czekałem, aż zareaguje, tylko pędziłem dalej. – Złapałem ich kiedyś w łóżku, w moim mieszkaniu. Nakryłem ich, jak się... Nieważne. Moja córka wcześniej nie miała chłopaka... *a może po prostu nie wiedziałem o jej chłopakach, bo skupiałem się na czymś innym?* ...więc fakt, że nagle złapałem ją w łóżku z mężczyzną, był dla mnie dość szokujący. W każdym razie to był ten... Bogutowicz. Aga opowiedziała mi o nim, i to akurat pamiętam. Wspominała, że jest kucharzem, że chce otworzyć restaurację, że go kocha... Że są parą.

– Kiedy wysłałem ci wiadomość, że był karany, i rozmawialiśmy o nim kilka dni przed twoim postrzeleniem, nie byłeś za bardzo zdenerwowany. – Rafał usiadł. – No, może trochę, ale nie aż tak.

– Możliwe, tego akurat nie pamiętam. Ale może nie byłem aż tak zdenerwowany, bo po pierwsze, chociaż moje podejrzenia były słuszne, okazał się zwykłym złodziejaszkiem. A po drugie: wtedy jeszcze nie zabili mi rodziny ani nie wysadzili w powietrze kilkorga ludzi.

– Rozmawiałeś o tym z córką? Już po naszej rozmowie, wtedy?

– O Bogutowiczu? Tego też nie pamiętam. A jeśli nawet, to podejrzewam, że jej reakcja była... Nie uwierzyła mi, tak myślę. Pewnie sądziła, że skoro jestem przeciwny... Że skoro go nie polubiłem... – pociągnąłem nosem – ...to zrobię wszystko, żeby jej go obrzydzić. Łącznie z posądzeniem o najgorsze zbrodnie. Albo chociaż złodziejstwo.

Wstałem z biurka, włożyłem ręce do kieszeni i stanąłem przed Rafałem.

– Więc rozumiesz, czemu chciałbym sprawdzić pewne rzeczy sam. Nie chciałbym, żeby ktoś, przypadkiem bądź nie, dowiedział się, że Agnieszka i Bogutowicz byli ze sobą. Nie

chciałbym tego przez wzgląd na pamięć mojej córki. Jej reputację. I moją trochę też, rozumiesz? – Rafał pokiwał głową. – Poza tym fakt, że Bogutowicz był kojarzony z „Malechą”, który z kolei powiązany jest z wybuchem w porcie, może coś oznaczać. A do tego śledztwa, które prowadzi KWP, już nie możecie się mieszać. Zatem możemy się ewentualnie umówić, że jeśli zdobędę jakieś informacje wiążące się ze śmiercią Bogutowicza, które byłyby użyteczne w waszym dochodzeniu, to przekażę je wam. Nieoficjalnie.

– Masz dostęp do sprawy tego wybuchu? – zdziwił się Rafał.

– Mam – skłamałem. – Koordynowałem tę akcję antynarkotykową. Częściowo.

– Ty?

– Mówię o współpracy międzynarodowej. Akcja była przygotowywana razem z Niemcami.

– Fakt – mruknął i westchnął. – Sam nie wiem, Darek...

Podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu i wybrał jakiś wewnętrzny numer.

– Lewandowski jest? – rzucił. – Daj mi go... Jerzyk, podrzuc mi na chwilę akta tego „szuwarka” bez głowy. Taaa, Bogutowicza. Tak, teraz. Na razie.

Rafał odłożył słuchawkę, założył ręce za głowę i rozparł się w fotelu, który pod jego ciężarem odchylił się do tyłu i dotknął zagłówkiem ściany. Musiał często tak robić, bo na tapecie na jego wysokości widać było wyraźnie wytartą, ciemną smugę. Siedział tak, patrzył na mnie, ale już nieco innym wzrokiem niż na początku. Po chwili ktoś zapukał i od razu wszedł. Młody facet, ubrany po cywilnemu, pod pachą ścisnął teczkę aktową.

– Podkomisarz Jurek Lewandowski, inspektor Suder z wojewódzkiej. – Rafał dokonał krótkiej prezentacji, nie zmieniając pozycji w fotelu.

Młody podkomisarz spojrzał na mnie z ukosa z lekkim zdziwieniem w szarych oczach, a potem takim samym spojrzeniem obrzucił swojego przełożonego.

– Nie pytaj, biorę to na siebie. – Rafał zmarszczył nos i potarł czoło. – Objasnij mi sprawę.

Młody wzruszył ramionami, położył teczkę na biurku Buryty i otworzył ją. Na pierwszej stronie zobaczyłem zdjęcie legitymacyjne Bogutowicza, przypięte do niej spinaczem. Pamiętałem go. Lepiej, niż myślałem. Polizane przez krowę włosy i to bezczelne spojrzenie.

– Denat, Marcin Bogutowicz, syn Małgorzaty i Stanisława, lat dwadzieścia siedem, zamieszkały przy ulicy Księżnej Przybysławy dwa przez trzydzieści jeden, w Szczecinie. Niepracujący, mieszkał z rodzicami. Karany...

– Dobra – przerwałem mu. – To pomińmy. Jak zginął?

– Raport patologa nie daje pełnej odpowiedzi. Był w wodzie ponad tydzień, no i nie miał głowy. Ale na pewno ją odcięto, a nie odpadła sama – zażartował. – Brzegi rany po dekapitacji, mimo że nadgniłe, wyraźnie świadczyły o tym, że zrobiono to ostrym narzędziem. Niezbyt fachowo, ale skutecznie.

– Nie znaleziono jej?

– Nie. Przeczesano teren, nurkowie przegrzebali ten rejon Odry, ale nic nie znaleźli. Na ciele nie było głębokich obrażeń, więc najprawdopodobniej zginął od uderzenia w głowę, uduszenia albo poderżnięcia gardła. – Lub strzału w głowę – pomyślałem, na głos pytając:

– Pokażesz mi fotki?

Lewandowski wyjął z teczki plik zdjęć, włożonych we wpiętą w nią ni to koszulkę, ni to kopertę foliową. Widok nie był przyjemny. Trup leżał prostopadle do linii brzegowej, z korpusem częściowo zanurzonym w płytkiej wodzie. Nogi leżały na brzegu, a szeroko rozrzucone ramiona obejmowały rzekę. Niemal biała, odłóżąca całymi płatami i pokryta sinozielonkawymi plamami skóra opinała nabrzmiąte i spuchnięte ciało, w którym trudno było rozpoznać człowieka. Brak głowy nie pomógł, trup wyglądał jak wyrzucona na brzeg olbrzymia, gnijąca ryba. Miał na sobie tylko resztki spodni od dresu, obok leżał czarny portfel. Palce rąk i stóp nie miały paznokci i były ogryzione przez ryby. W policyjnym slangu na ciała znalezione w wodzie mówi się „pływak”, „spławik” albo „szuwarek”, a na zwłoki w stanie daleko posuniętego rozkładu: „zgniłek”. Ten na zdjęciu był kompilacją. Wstrząsające. Do takich rzeczy nie idzie się przyzwyczaić.

– Ciemne trochę te zdjęcia – zauważyłem.

Lewandowski wzruszył ramionami.

– Szarówka była. Wcześniej rano i pochmurnie. To i tak wyszły, ciemne...

– W ten sposób leżał? – zapytałem.

– Tak, tylko portfel był w kieszeni spodni. Technik go wyjął i położył obok, do zdjęcia.

– Rzeka go tak wyrzuciła?

– Chyba tak, nikt go raczej nie ruszał. Patolog napisał, że ciało było przez cały czas w wodzie. To faktycznie wygląda tak, jakby fale wyrzuciły je na brzeg. No i zaraz potem został znaleziony.

– Odra to nie morze – zwróciłem uwagę. – Nawet jak przepłynie barka, to nie robi takich fal, które mogłyby wyrzucić coś tak ciężkiego jak ciało na brzeg. Mam na myśli tę dziwną pozycję. Raczej leżałby równolegle do linii brzegu. A ten, tu, ma nogi półtora metra od rzeki...

– Może wypłynął po tygodniu? – rzucił Rafał. – Był czymś obciążony, ja wiem, workiem z cegłami, pękł sznur, którym go do niego przywiązali, i po prostu wypłynął jak boja. A potem go wyhuściło na brzeg.

– Widzicie gdzieś resztki tego sznurka?

– Czepiasz się, Darek. Może pękła właśnie ta pętla na rękach czy nogach.

– Nie ma żadnych śladów na ciele, żadnych bruzd, które po tygodniu w wodzie sznurek wyżarłby w skórze i mięsie, jak kwas.

– Może miał tę pętlę na szyi. I to właśnie spowodowało odpadnięcie głowy – powiedział Rafał.

– Kolega... – wskazałem na Lewandowskiego –

...przed chwilą powiedział, że brzegi rany świadczą o cięciu. Czyli nie miał pętli na szyi. Musiał przyplynać skądś z nurtem...

– Możliwe – zgodził się Rafał. – Na miejscu nie było żadnych istotnych śladów, tak, Jurek?

Lewandowski potwierdził leniwym skinieniem głowy.

– Kto to prowadzi w rejonówce? – zapytałem z nadzieją, że będzie to ktoś dobre mi znany albo chociaż przelotny znajomy. Albo chociaż znajomy znajomego. – Szczecin-Zachód, tak?

– No właśnie tego nie prowadzi rejonówka – powiedział Lewandowski.

– Nie? – zdziwiłem się, i to całkiem porządnie. – A kto?

– Okręgowa.

– Dlaczego?

– Prokurator z rejonowej, taki młody szczawik, jest tam od niedawna, poinformował mnie tylko, że sprawa przekazana zostaje do okręgowej. Nic więcej nie wiem.

– Dziwne. – Skrzywiłem się.

Rafałowi nie wydawało się to dziwne.

– Jeśli przemawia za tym waga czy zawilość sprawy... – zaczął z przekonaniem – ...to postępowanie prowadzi prokuratura okręgowa. Normalna procedura.

– Zgadza się, wiem o tym. Tylko czy chcesz mi właśnie powiedzieć, że trup, co prawda bez głowy, ale za to z kompletem dokumentów jest szczególnie zawiłą sprawą?

Lewandowski spojrział na szefa, rozłożył ręce i odpowiedział zamiast niego:

– No, nie jest, zresztą tożsamość potwierdziła analiza DNA. Ale może uznali, że to coś związanego z przestępczymi porachunkami? Te gangowe sprawy zawsze śmierdzą...

– Tak ci powiedzieli?

– Nie. Nikt nic nie mówił. Po prostu przyszło pismo, że od teraz sprawę prowadzi Wydział V okręgowki. Czyli śledczy.

– Wiem, że śledczy – mruknąłem, zastanawiając się, do kogo mógłbym tam uderzyć. – Jakieś nazwisko?

– Prokurator Marek Osiński.

Teraz to już naprawdę porządnie się zdziwiłem. Chłop roboty się nie bał, jak widać. Jacek przecież wspominał, że ogarnia również zgliszcza po „Streli”.

– No dobra. – Westchnąłem. – Wróćmy jeszcze do Bogutowicza. Mówiłeś, że zgłoszenie o znalezieniu zwłok było od pijaczka?

– Tak jest. Edward Krępisz. Miejscowy element. Na izbie nocował kilkanaście razy.

– Mieszka gdzieś w pobliżu?

– Na Lipowej. Numer piętnaście, całkiem niedaleko tego miejsca, gdzie znalazł trupa. Jego mieszkanie to melina. Smród taki, że nie idzie wytrzymać. Kręcił się gdzieś tam w okolicy, szukał puszek, no i znalazł, tylko nie to, czego szukał. – Lewandowski prychnął z rozbawieniem.

– Akurat tam szukał tych puszek?

– To takie ustronne miejsce, niedaleko pętli tramwajowej, tuż obok mariny. Miejscowe żule robią tam sobie biby. Na łonie natury i w miłym odosobnieniu. Więc zachodzi tam dopić to, co zostało w butelkach i puszkach, a potem zanoszą je do skupu i na wymianę.

– Jak zawiadomił policję? – zapytałem.

– Zadzwoił.

– Skąd zadzwonił? Z budki?

W tym mieście budek telefonicznych zostało mniej niż nieuważnemu stolarzowi palców, a już na pewno nie było ich w tej dzielnicy. Skonały pod gradem kopnięć jej co bardziej krewkich mieszkańców.

– Z komórki chyba... – Lewandowski zerknął do papierów. – Zgłoszenie telefoniczne, szósta pięćdziesiąt sześć, numer nieznany. Czyli komórka na kartę prepaidową... –

Wzruszył ramionami.

– Skąd chlor ma komórkę?

– Dzisiaj wszyscy mają komórkę, panie inspektorze. Nawet moja ośmioletnia córka. Takie czasy.

– No dobra. – Westchnąłem i spojrzałem na Lewandowskiego, wskazując teczkę z aktami. – Mogę sobie cyknąć parę fotek?

Zerknął na szefa. Rafał skinął głową, więc odwrócił się i podszedł do okna, udając, że nic nie widzi. Wyjąłem komórkę i zrobiłem kilka zdjęć interesujących mnie rzeczy. Zamknąłem teczkę.

– Już – oznajmiłem.

Lewandowski wrócił z uśmiechem błakającym się na wydatnych wargach.

– Dzięki, panowie – powiedziałem, chowając telefon do kieszeni. – Wiszę wam...

– Zgadza się. – Rafał miał na twarzy wyraz jakiejś satysfakcji. – Wisisz nam. Dzięki, Jerzyk.

Lewandowski zrozumiał, że ma nas opuścić. Zabrał teczkę z biurka i wyszedł. Odprowadziłem go spojrzeniem. Sympatyczny gość.

– Co teraz? – zapytał Buryta.

– Co teraz? – powtórzyłem. – Zastanowię się. Na razie pojedę sobie na małą wycieczkę. Ładna pogoda się robi.

Pożegnałem się i zniknąłem, nie dając nieco zdziwionemu Rafałowi szansy na przemyślenie sprawy i zmianę zdania. Wyszedłem z budynku komendy i wolnym krokiem ruszyłem w kierunku ulicy Kolumba, gdzie złapałem „szóstkę”. Kiedy tramwaj mijał dworzec, Wały Chrobrego i na wpół wymarłą stocznię, ja rozmyślałem nad tym, czego dowiedziałem się w miejskiej. A ponieważ niewiele wymyśliłem, postanowiłem poczekać, aż dojadę na miejsce i dowiem się czegoś jeszcze...

* * *

Miejsce zbrodni wyglądało najzwyczajniej w świecie. Dokładnie tak samo, jak parking koło Bernau. Jak Probstheide. Nie było tu nic, co mogłoby świadczyć o tragedii, która się na tym odludziu wydarzyła. A w zasadzie nie tyle wydarzyła, ile tu została odkryta. Odra i życie płynęły dalej, śmierć młodego bandyty nie mogła zmienić odwiecznych praw natury.

Miejsce ustaliłem na podstawie nieco nieporadnego szkicu i zdjęć, które udostępnił mi Lewandowski i które pstryknąłem aparatem swojego telefonu. Dokumentacja fotograficzna z czynności dochodzeniowych przeprowadzonych w lutym pozwoliła mi się zorientować, gdzie dokładnie znaleziono zwłoki Bogutowicza. Zrobiłem to trochę na zasadzie triangulacji; tak długo łąziłem, porównując tło zdjęć z komórki z rzeczywistością, aż znalazłem. Zanim tam dotarłem, zdążyłem się dwa razy wywrócić, trzy razy wdepnąć w psie gówno, a raz zapadłem się w błoto aż po kostkę. „Trolownia” pełna puszek i butelek, których Krępisz widać jeszcze nie zdążył zebrać. Witamy na Gočławiu, w dzielnicy, której lepiej unikać wieczorową porą. Każdą porą.

Nie wiem, czego się spodziewałem, odwiedzając to miejsce. Odkrycia czegoś, czego nie ujawnili technicy? Jakichś rewelacji? Chciałem poczuć atmosferę miejsca zbrodni?

Tymczasem jedyne, co czułem, to smrodek mułu z rzeki zmieszany z zapachem rozgrzanej ziemi, wieszczącym rychłe nadejście kolejnej pory roku. I to uczucie przeskoku w czasie, z grudniowego splinu do kwietniowych pierwocin wiosny... Postąpiłem chwilę na brzegu, wpatrując się w nurt Odry mieniący się refleksami ciepłych promieni słońca odbitych w maleńkich, wzbudzanych lekkim wiatrem falach. Grzałem w słońcu twarz i swoje wnętrze, zastanawiając się, co dalej. Nie byłem ekspertem, ale jakoś nie chciało mi się wierzyć, że ciało Bogutowicza przypłynęło tu samo. Akurat tu, w odludne miejsce, gdzie kręcą się wyłącznie srające na potęgę psy i alkoholicy, przepijający swe życie w tak pięknych okolicznościach przyrody.

Wróciłem na ulicę i poszedłem na północ. Minąłem tory linii kolejowej prowadzące do fabryki nawozów w Policach i dalej, do Trzebieży, i kilka minut później znalazłem się przed kamienicą numer piętnaście przy ulicy Lipowej.

Dwukondygnacyjny budynek oraz identyczne sąsiednie były tak samo odrapane. Wyglądały, jakby upadły razem ze stoczną, hutą i papiernią na Skolwinie, a nie zawaliły się jedynie dlatego, że ludzie, którzy stracili pracę w tych zakładach, robili wszystko, żeby nie stracić również domów. Jedno z mieszkań na górze miało okna do połowy zabite płytami OSB. Podejrzywałem, że to tam wegetuje Krępisz i że jest jedynym, który ze swoim mieszkaniem nie zrobił nic, a w zasadzie zrobił wszystko, żeby wyglądało jak ruina. Wszedłem do środka budynku i po dotarciu na górę okazało się, że miałem rację – mieszkał tam. Choć jak miałem przekonać się za chwilę – nie do końca.

Kiedy stanąłem pod brudnymi drzwiami, zacząłem zastanawiać się, czy jak dotknę dzwonek, to za kilka dni nie stracę palca z powodu zakażenia nieznanymi nauce formami życia. Nagle usłyszałem za sobą trzask klamki. Odwróciłem się.

– Pan do kogo? – zapytała kobieta w okularach o oprawkach z materiału, którego produkcji zaprzestano w zeszłym wieku.

Chyba kobieta. Mogła mieć czterdzieści pięć lat, a mogła i ze sześćdziesiąt. Zmarszczki, które porały jej twarz, uznałem w większości za mimiczne. Była nijaka, nieokreślona, może z wyjątkiem włosów: miała przedziwną, misterną grzywkę, nastroszoną nad czołem na całej jego szerokości jak szczotka do pielęgnacji psów ras ozdobnych. Wpatrywała się we mnie z jakąś naganą w oczach i wyglądała, jakby pożyczyła fryzurę od Dani Klein. W każdym razie przypominała mi ją trochę, choć wyłącznie od linii brwi. *Nah, neh, nah...* Poza tą grzywką w ogóle nie przypominała ani Dani Klein ani żadnej innej znanej mi istoty płci żeńskiej.

Zawsze dziwiło mnie, jak można się tak zapaść. Podobno nie ma brzydkich kobiet, są tylko zaniedbane, i nie mówię tu nawet o tuszy ani o wrodzonej brzydocie, ani o innych defektach urody, na które nie ma się wpływu. U kobiety stojącej przede mną trudno było stwierdzić, gdzie kończy się kobieta, a zaczyna wieloletnie zaniedbanie. Nie była otyła ani przeraźliwie chuda, wszystkie części ciała miała na swoim miejscu, ale mimo to wyglądała beczkowo. Brak kobiecego stylu, brak chęci bycia kobietą, brak czegokolwiek, co kobiecość choćby zaznaczy i pozwoli mieć nadzieję, że ona gdzieś tam drzemie i wystarczy ją zbudzić łobuzerskim uśmiechem, błyskiem w oku, kurwa, nawet butelką wina... Nie znałem powodu, z którego przestała być kobietą, tak jak nie wiedziałem, dlaczego w ogóle przestała starać się nią być.

– Ja do pana Krępisza – odparłem uprzejmie, odwracając się, i wskazałem drzwi przed sobą, czy teraz już raczej za sobą. – Tu mieszka, prawda?

– Prawda i nieprawda. – Kobieta pokiwała głową, swoimi słowami wzbudzając we mnie coś w rodzaju dysonansu poznawczego.

Barwę głosu też miała bezpłciową; słysząc ją przez telefon, miałbym wątpliwości, czy rozmawiam z facetem, czy z babką.

– A wyjaśni mi to pani? – Uśmiechnąłem się do niej, niemal zapominając, że mój obecny wygląd, nawet z przywołanym na twarz uśmiechem, diametralnie różni się od tego sprzed kilku miesięcy.

Uratowały mnie chyba te jej okulary. Miały dość grube szkła.

– Edziu tu mieszkał, ale to już nieaktualne. – Wyraz lekkiej, acz złośliwej satysfakcji wykwitł na jej poranej zmarszczkami twarzy.

– Wyprowadził się?

– Owszem, Ku Słońcu.

Przestałem się uśmiechać. Byłem pewien, że nie ma na myśli tamtejszych osiedli, tylko Cmentarz Centralny.

– Co się stało? – zapytałem cicho.

Chyba jednak widziała mój wcześniejszy uśmiech, bo kiedy zszedł mi z twarzy, wyraźnie się zaniepokoiła.

– Kim pan jest? – zapytała.

Wyciągnąłem swoją błyskotkę i podsunąłem jej pod nos.

– Policja – rzuciłem.

– To pan, policjant, nie wie, co się stało? – zapytała zdumiona.

– Nie, nie wiem. Niech pani mi powie...

Schowała głowę w ramiona jak zółw, który nie chce już więcej sałaty.

– Zapił się na śmierć.

– Kiedy to się stało?

– Bo ja wiem? Pod koniec lutego, o ile pamiętam. Konkretnego dnia panu nie powiem. Niech pan prokuratora spyta, przyjechał tu, jak go znaleźli.

– Prokurator? – zdziwiłem się.

Na drzwiach mieszkania Krępisza nie było policyjnej plomby ani żadnego śladu po niej; zdartego papieru z resztkami pieczęci i napisów albo taśmy czy plam kleju, jak u mnie. Prokurator raczej nie jeździł do nieboszczyków, którzy zostali nieboszczykami z powodu zaaplikowania sobie śmiertelnej dawki alkoholu.

– Ja tam nie wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami i grzywka się zakołysała. – Lekarz mówił do niego „panie prokuratorze”. No to chyba prokurator, nie?

– Bez wątpienia – mruknąłem pod nosem.

Ciało Bogutowicza Krępisz znalazł szesnastego lutego. Tydzień czy dwa później już nie żył. Przypadek? Jak Wenk? Czy może nie przypadek?

– Ma pani klucz do jego mieszkania? – zapytałem.

Bez słowa ruszyła w moim kierunku. Kiedy mnie minęła, nie poczułem żadnej kobiecej woni. Nawet proszku do prania. Jej zapach był bezpłciowy, jak ona cała: tylko materiał ubrania i lekka woń świeżego potu. Kobieta podeszła do drzwi mieszkania Krępisza,

wyciągnęła przed siebie rękę i oparła ją o nie. Otworzyły się bez żadnego oporu. Ze środka, jak z tunelu metra, z którego za chwilę wyłoni się pociąg, buchnął słodkawo-kwaśny fetor stęchlizny.

– Dziękuję pani serdecznie – powiedziałem, widząc, że kobieta szykuje się, by wejść tam ze mną. – Poradzę już sobie...

Wszedłem do mieszkania, które w niczym mieszkania nie przypominało. Resztki mebli oblepione były brudem, w kącie jednego z pomieszczeń leżał podarty materac ze zwiniętym w kłęb kocem. Panował półmrok, światło dnia wdzierało się do środka przez szczeliny między płytami OSB a nadprożami okien, kurz wirował w stęchłym powietrzu, wdzierając się do nosa i oczu. Nigdzie nie było drzwi, być może padły ofiarą siekiery i Edzia, a następnie ognia buzującego zimą w poobtłukiwanym piecu kaflowym, stojącym w rogu jednego z pokoi. Wszędzie walały się flaszki po przeróżnych rodzajach alkoholu, musiałem uważać, żeby nie nadepnąć żadnej i nie przejechać się na niej jak w starej slapstickowej komedii. Nawet kwadratowa butelka po luksusowej mogła w tych warunkach stanowić zagrożenie. Przeważały jednak butelki po piwie. Zdziwiła mnie lekka niekonsekwencja Krępisza. Skoro Lewandowski mówił, że Edziu znalazł zwłoki Bogutowicza, szukając surowców wtórnych, to znaczy, że zapewne było to jego źródłem utrzymania. Oddawanie butelek w sklepie też jest formą zarobku lub chociaż oszczędności przy kupowaniu kolejnej porcji piwa. Czemu więc ich nie oddawał? Może nie były zwrotne? Nie wiedziałem tego, w końcu zagadnienie było mi z gruntu obce.

W pewnej chwili moją uwagę zwróciły trzy z butelek. Stały elegancko w rzędzie obok brudnego, poplamionego materaca. Wszystkie trzy puste i wszystkie po johnny walkerze. Czarnym. Zdziwiłem się nieco, może nawet lekko mnie to rozbawiło, kiedy wyobraziłem sobie pijaka raczącego się lepszą whisky, zamiast owocowym winem czy denaturatem.

Wszystko się zmieniło, kiedy po chwili w drugim kącie pokoju zauważyłem pudełko. Też trzy i też po whisky Johnny Walker Black Label. Zatrzymałem się w pół kroku. To było coś w rodzaju uczucia ogarniającego dziecko, które nagle zrozumiało, jak to się dzieje, że dwa i dwa to cztery. Że to nie formułka, którą trzeba wykuć ku uciesze dorosłych, tylko że jest w tym sens i logika. Zaskoczenie: jakie to proste i dlaczego wcześniej na to nie wpadło? W jednej chwili rozbawienie zmieniło się w podejrzenie. Skąd u pijaka taki drogi alkohol? Przecież nie za oszczędności. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to prezent za przysługę. Sam nie raz, nie dwa, podobne prezenty dostawałem. Ale jaką przysługę może komukolwiek wyświadczyć taki gość jak Krępisz? Może na przykład zadzwonić pod 997 i powiedzieć, że właśnie znalazł zwłoki. To chyba naturalne, podejrzenia dotyczące sposobu poinformowania policji o zwłokach tłukły mi się po głowie, odkąd wyszedłem z komendy miejskiej. Oczywiście Edziu nie zadzwonił ze swojego telefonu, bo go nie miał. Pewnie nawet nie potrafiłby go obsłużyć.

Kucnąłem, poświeciłem sobie komórką i obejrzałem butelki. Potem pokręciłem się jeszcze trochę po zrujnowanym mieszkaniu, ale niczego więcej nie znalazłem. Przynajmniej niczego, co mogłoby mnie jeszcze zainteresować. Wszedłem stamtąd z niemalą ulgą i zapukałem do drzwi naprzeciwko. Pukanie rozległo się wokół głośnym echem. Starsza kobieta, z którą rozmawiałem przed chwilą, otworzyła mi i wyszła na klatkę, stając przede mną w pozycji pensjonarki – z rękami złożonymi na brzuchu i ze

spuszczoną głową wyglądała trochę jak niegrzeczna gosposia, która czeka na opieprz za źle starte kurze. Jedynie jej lekko urażona mina świadczyła o przekonaniu, że starła je dobrze, tylko jaśnie pan się czepia. Chyba miała mi za złe, że nie pozwoliłem jej wejść do nory Krępisza. W sumie nie wiem dlaczego, przecież mogła tam wejść w każdej chwili. Na przykład zaraz po tym, jak stąd zniknę.

– Z czego żył Edziu? – zapytałem.

Jej nijaka twarz odrobinę się rozjaśniła, oczy błysnęły chęcią pomocy.

– Z niczego – odparła. – Nie miał renty ani emerytury, dostawał czasem coś z MOPR-u. Zbierał złom, butelki i puszki. Jeździł do miasta, nie wiem po co, ale wracał pijany. On już ledwo chodził, panie. Jak szedł do sklepiku, tu, niedaleko, wysepić wino owocowe, to wracał po godzinie, ledwo powłócząc nogami. To... – wskazała drzwi za mną – ...była tylko kwestia czasu. Umarł, jak żył. Przynajmniej nie męczył się w szpitalu przez miesiąc, jak mój Józus. – Oczy zaszyły jej łzami.

A więc kiedyś musiała być kobietą. Przypuszczalnie to śmierć męża zgasiła w niej potrzebę bycia nią dalej, a może jednak nie do końca zgasiła, gdyby grzywkę Dani Klein uznać za coś, co o kobiecości ma świadczyć.

– Wie pani, że znalazł tu niedaleko zwłoki?

Ożywiła się, łzy zniknęły w jednej chwili.

– Taak, słyszałam. Pytałam go nawet o to, ale tylko coś mruczał. Nie chciał o tym gadać. Nawet jak mu piwko chciałam postawić.

– Niczego nie powiedział? Ani słowa?

Pokręciła głową.

– Zapał się jak osioł. Kto by pomyślał, że Edziu tak się tym przejmie. Przecież siedział w więzieniu.

– Czemu pani sądzi, że tym się przejął?

– Bo tylko burczał, gdy go o to pytałam. Tak to gęba mu się nie zamykała, mówię panu. Dużo wolnego czasu miał, to plotkował z każdym i o wszystkim. A o tym nie chciał, no.

W jej oczach widziałem wyraźną pretensję i żal do Edzia.

– Hmm... – mruknąłem. – A nie wie pani przypadkiem, za co siedział?

– Za kradzieże. Starym doliniarzem był, ale po wódce to już ręce nie takie sprawne. – Pokazała mi swoje dłonie i zaczęła nimi potrząsać. – Złapali go kilka razy, to przestał... Ile można siedzieć w kiciu? Chociaż... – Zastanowiła się. – Mówił, że tam fajnie, tylko wódki brak.

– Widziała pani kiedyś u niego telefon?

– Telefon? – Wytrzeszczyła oczy. – Jaki telefon?

– Komórkowy – wyjaśniłem.

– Żartuje pan sobie? – Odchyliła głowę do tyłu i zaniósła się perlistym, zaskakująco młodzieńczym i kobiecym śmiechem.

Stwierdziłem, że mam dosyć. Wiedziałem już, co chciałem wiedzieć.

– Dziękuję pani w takim razie, do widzenia – powiedziałem szybko i zszedłem na dół, by po chwili łykać łąpczywie świeże powietrze, jakbym właśnie wypłynął na powierzchnię wody po długim, stanowczo zbyt długim nurkowaniu.

Poszedłem na pętlę, wsiałem w tramwaj i wróciłem do centrum, gdzie przesiadłem się

w „dziewiątkę”, kończąc jazdę na ulicy Wawrzyniaka. Do budynku prokuratury rejonowej Szczecin-Zachód wszedłem bez problemów, mimo że wciąż lekko śmierdziałem. Fetorem z mieszkania Edzia przesiąkło chyba całe moje ubranie. Będąc już w środku, musiałem wykazać się nieco większą kreatywnością. Dotarłem do części budynku, w której mieściły się pokoje Działu Śledztw prowadzącego najpoważniejsze sprawy kryminalne. Zaglądałem do każdego z nich, przedstawiałem się grzecznie i pytałem zastanych tam prokuratorów o Krępisza. W czwartym z pokoi, znów po przedstawieniu się i ujrzeniu na twarzy prokuratora uprzejmego zainteresowania świadczącego o skupieniu na mnie swojej uwagi, wyrecytowałem po raz kolejny te same słowa.

– Szukam osoby, którą w lutym wezwano na Gocław, na ulicę Lipową, na miejsce zgonu pewnego alkoholika...

Facet za biurkiem się wyprostował.

– To chyba kolega... – powiedział niepewnie, marszcząc brwi, i wskazał ręką na sąsiednie biurko, które było jednak puste.

– Jest w pracy? – zapytałem.

– Jest... – Odetchnąłem z ulgą. – ...Zaraz wróci, chyba poszedł do toalety.

Cofnąłem się na korytarz i poczułem, że na kogoś wpadam. Odwróciłem się i zobaczyłem młodego bruneta w garniturze i okularach.

– Andrzej, pan do ciebie – usłyszałem z pokoju.

– Słucham? W jakiej sprawie? – zapytał brunet, nie wchodząc do środka.

– Edward Krępisz. Melina na Gocławiu. Luty. Kojarzy pan?

– Tak. – Pokiwał głową po krótkiej chwili. – A o co chodzi?

– Porozmawiamy? – zapytałem, lekko odpychając go od drzwi.

Wolałem, żeby rozmowa odbyła się na korytarzu. Zdażyłem też zerknąć na tabliczkę z nazwiskami prokuratorów. Andrzej. Czyli Andrzej Kruk.

– Kim pan jest? – zapytał.

Pokazałem mu legitymację. Obejrzał ją i oddał mi.

– Słucham.

Podeszliśmy do okna.

– Był pan na miejscu, prawda? W mieszkaniu?

– Owszem. Typowy obrazek. Niestety...

– Oglądał pan je dokładniej?

– Pewnie, skoro już przyjechałem, to rozejrzałem się. Straszny syf...

– Nie zdziwiła pana obecność butelek po dość drogiej whisky? – zapytałem.

– A były takie?

– Owszem.

– Nie zwróciłem na to uwagi. – Wzruszył ramionami. – Tam były dziesiątki butelek.

Przeróżnych.

– To prawda. Ale gdyby pan zauważył właśnie te, o których mówię, po dość dobrej, drogiej whisky, nie zdziwiłoby to pana?

– Czemu miałyby mnie to dziwić? – zapytał zdumiony. – Przecież mówię: tam były dziesiątki innych butelek.

– Tak, ale po jabolach, spirytusie i piwie. Ale taka whisky? Czarny johnny walker.

– Musiał je gdzieś znaleźć...

Nie powiedziałem mu o swojej teorii, że ktoś mu je przyniósł. Ten sam ktoś, kto wcześniej zabrał go na miejsce zbrodni i dał do ręki telefon z wybranym numerem 997, każąc zgłosić odkrycie zwłok. A potem zniknął razem z telefonem, zostawiając Krępisza, by na zasranej przez psy polanie koło mariny czekał na przyjazd policji.

– Słyszałem, że alkoholicy z takim stażem jak nasz denat raczej nie przepadają za tak wysublimowanymi alkoholami – dodał jeszcze Kruk. – Wolą to, do czego przywykli. Przeważnie jabcoki.

Młody był, więc mógł nie wiedzieć, że alkoholicy z takim stażem jak nasz denat nie są wcale wybredni i wypiją wszystko, co ma procenty, nie dbając o kolor i smak, a czasem nie zwracając nawet uwagi, czy jest to trucizna, czy nie.

– Nie zlecił pan sekcji? – zapytałem.

– Po co? Nie było takiej potrzeby. I tak byłem zdziwiony, czemu policja, ulegając naciskom lekarza, zawiadomiła prokuraturę. Badanie krwi pobranej ze zwłok wykazało takie stężenie alkoholu, że zabiłoby go trzy razy.

– Nie miał żadnych podejrzanych otarć, ran?

Kruk spojrział na mnie z rozbawieniem.

– Widział pan kiedyś człowieka jego pokroju, który nie miałby ran, zadrapań i tym podobnych? – Podrapał się w głowę, chyba odruchowo. – Na miejscu był lekarz pogotowia, który stwierdził zgon, tak? Poczekał na mnie, przyjechałem na miejsce dosłownie kilka minut po policji. Kiedy go przycisnąłem, prawdopodobieństwo udziału osób trzecich określił na raczej znikome...

– Przyciskał go pan? – zdziwiłem się.

– Nooo... Dyskutowaliśmy o tym, to mam na myśli. Chciałem dowiedzieć się, czy rzeczywiście były solidne podstawy do wezwania prokuratora. Denat miał na twarzy jakieś otarcia, wyglądały dość poważnie, ale nie aż tak, żeby wzbudzić moje podejrzenia. Goiły się już, więc nie były świeże. W końcu doktor przyznał mi rację. Wie pan, widziałem dziesiątki, jeśli nie setki takich ludzi i takich twarzy, niech mi pan wierzy. Uznałem więc, że te jego otarcia nie są warte uwagi. Poza tym nie miał na ciele śladów pobicia. Sąsiadka z naprzeciwka ani sąsiedzi z dołu nie słyszeli niczego podejrzanego, żadnych hałasów, krzyków czy nawet podniesionych głosów. Więc dla formalności zleciłem tylko badanie krwi i zamknąłem sprawę. Powiem panu szczerze: nie miałem absolutnie żadnych wątpliwości, że ten człowiek zmarł na własne życzenie. I teraz też ich nie mam, panie inspektorze. Zadowolony? – Uśmiechnął się.

– Ale wiedział pan, że Krępisz niedaleko swojego domu znalazł jakiś czas temu zwłoki ofiary zabójstwa?

Prokurator zamilkł zaskoczony.

– Skąd pan to wie? – zapytał po chwili.

– Od sąsiadki. Z naprzeciwka. Tej z Vaya con Dios...

Kruk się roześmiał. Miło wiedzieć, że młodzi ludzie nie słuchają tylko hip hopu i disco polo, ale liznęli trochę ogólnie pojętej klasyki. Kiedy skończył się śmiać, wzruszył ramionami.

– Nie, nic o tym nie wiedziałem. Uważa pan, że to ma jakieś znaczenie?

– Być może. Ale to moja prywatna opinia.

– I co, oczekuje pan teraz ode mnie jakiejś reakcji? – Patrzył na mnie lekko zaskoczony.

– Niczego od pana nie oczekuję – zapewniłem go z uspokajającym uśmiechem. –

Chciałem tylko porozmawiać. To wszystko.

– Rozumiem – rzekł uprzejmie, choć byłem pewien, że niczego nie rozumie. – Coś jeszcze?

Podziękowałem mruknięciem i pożegnałem się. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem po raz ostatni i zniknął w swoim pokoju.

Czy byłem zadowolony? Nie. I czy prokurator mnie przekonał? Również nie. Być może ten, kto przyniósł Krępiszowi trzy butelki drogiej whisky, po prostu mu je zostawił i pozwolił, by dalej wszystko toczyło się samo. A być może dokończył dzieła, wmuszając w niego alkohol lub nawet wstrzykując mu go do żyły, kiedy stracił już przytomność. A może whisky była nawet zaprawiona czymś trującym? Lecz skoro nie było sekcji zwłok, a tylko badanie na obecność alkoholu, nie przeprowadzono badań toksykologicznych. Mimo wszystko musiałem zachować obiektywizm i liczyć się również z tym, że młody prokurator miał jednak rację. Że Krępisz ukradł whisky albo nawet znalazł puste butelki z resztką alkoholu i przyniósł je do domu. Razem z pudełkami, bo leżały obok i były ładne. Śmierć Krępisza mogła być przypadkiem, tak jak bez wątpienia była nim śmierć Wenka. Oceniając sprawę obiektywnie, śmierć Bogutowicza również można było zaliczyć do przypadków; przypadków, nie wypadków – być może nastąpiła z przyczyn zupełnie niezwiązanych z moją sprawą. Ale takie nawarstwienie przypadków nie mogło być przypadkiem. To pachniało premedytacją.

Wróciłem do komendy miejskiej. Było już po czternastej, kiedy wszedłem do pokoju Rafała i zająłem miejsce w jednym z foteli. Buryta spojrział na mnie z lekkim zdziwieniem.

– Nawet dobrze wyglądasz – rzucił. – A na pewno dużo lepiej niż trzy godziny temu.

– Przewietrzyłem się trochę. – Uśmiechnąłem się do niego. – Mały spacer nad Odrą dobrze mi zrobił.

– Nad Odrą. – Rafał zmarszczył gęste brwi. – Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że pojechałeś... Tam?

– Owszem – przyznałem z zadowoleniem. – Właśnie tam.

– Po cholere?

– Zweryfikować informacje. I nie przychodzę z pustymi rękoma. Mam wieści. Złe wieści.

I sądzę, że powinienesz przekazać je potem Lewandowskiemu.

– Co się stało?

– Krępisz nie żyje.

– Krępisz?

– Pijak, który znalazł zwłoki Bogutowicza.

– To dlaczego o tym nie wiemy?

– Nie wszczęto śledztwa. Prokurator uznał, że zgon nastąpił bez udziału osób trzecich.

Nie z przyczyn naturalnych, ale bez udziału kogokolwiek. Podobno zapisał się na śmierć.

– No to nie rozumiem, w czym problem?

– W tym, że coś mi się tu nie podoba.

– Znowu?

– Popatrz. Krępisz znalazł ciało Bogutowicza przed siódmą, szesnastego lutego. O tej porze zimą jest zimno i ciemno jak w dupie u Eskimosa w najczarniejszą noc polarną, Rafał. No, może przesadziłem, ale to jeszcze porządna szarówka. Co Krępisz robiłby tam o takiej porze? Zbierał puszkę i butelki nad brzegiem rzeki, w miejscu, gdzie nie ma latarni, za to jest mnóstwo drzew i krzaków? I dziur? I psich gówien? Byłem też w jego norze...

– Włamałeś się do niego? Darek, czy ci...?

– Ja? Skąd? – zaperzyłem się. – Dotknąłem palcem drzwi, a one się otworzyły. To wszedłem do środka i w tym syfie znalazłem trzy butelki po whisky. Czarny johnny walker, kosztujący taką kupę forsy, za którą mógłby pić przez kilka miesięcy... No, tygodni, to wszystko, co zwykle pił. Przecież nie kupił ich sam. Bo za co? To po pierwsze. A po drugie, ta cholerna komórka. Naprawdę sądzicie, że on ją miał? A za co kartę ładował? Facet przepijał każdy grosz. Każdziutki. Wydałby pięć złotych na doładowanie? Za pięć złotych mógłby się ostro napruć. Na przykład dyktą. Albo chociaż zmulić się jabcockiem. Rozumiesz? I po cholerę mu komórka? Do kogo by dzwonił? Kto dzwoniłby do niego?

– Mógł znaleźć te butelki puste i przytargać je do domu.

– Po cholerę? Poza tym były czyściutkie, miały prawie nieuszkodzone, przerwane w jednym miejscu banderole akcyzowe. I były też pudełka po nich. Też trzy.

– Może zajebeł z „Żabki”?

Okazja czyni złodzieja, to prawda. Z Krępisza nie musiała go czynić, bo już nim był. Ale ze słów jego sąsiadki wynikało, że to już przeszłość i bynajmniej nie była to sprawa zawrócenia na dobrą drogę, tylko efekt permanentnego stanu upojenia alkoholowego. W takim stanie trudno ukraść trzy butelki drogiego alkoholu, który albo stoi wysoko na półce za kontuarem, albo ma chociaż zabezpieczenia na szyjce. Nawet gdyby te butelki jakoś capnął, zaraz wyleciałyby mu z rąk. No i były w pudełkach. Czegoś takiego nie schowa się w gaciach czy pod kurtką. A gdyby jakimś cudem je złapał i uciekał z nimi z tej „Żabki”, to dogoniłaby go nawet emerytka dorabiająca jako ekspedientka.

– Nie sądzę, żeby je zajebeł – odparłem. – Sąsiadka mówiła, że miał tak zlasowany mózg, że ledwo powłóczył nogami. W takim stadium choroby alkoholowej, w jakim był, motoryka nie pozwala już nawet na porządne podtarcie tyłka.

– Co sugerujesz, Darek?

Wstałem z fotela i zacząłem chodzić po pokoju, jak jakiś pieprzony Sherlock ze starego angielskiego serialu, którego akcja rozgrywa się wyłącznie w pomieszczeniach.

– Moim zdaniem mamy do czynienia ze spektaklem, w którym główny aktor jest martwy – nieświadomie ciągnąłem konwencję. – Aktor drugoplanowy zresztą też... To był teatrzyk, Rafał. Ktoś podrzucił ciało Bogutowicza w to miejsce. Ktoś zorganizował drobnego pijaczka, który odkrył ciało w poniedziałkowy poranek. A potem ten ktoś pomógł pijaczkowi opuścić ten padół łez. Ale ten ktoś przegiął. W zasadzie przedobrzył. Przerost formy nad treścią. Powiedz to młodemu Lewandowskiemu, może wyciągnie z tego jakieś wnioski. – Widząc minę Buryty, dodałem: – A może nie...

– Powiem mu – obiecał. – Tylko zdradź mi, po co ktoś miałby to robić. Zadawać sobie

tyle trudu? Ryzykować? Zabijać kolejne osoby, realizując jakiś chory plan?

Przygryzłem wargę i milczałem. Też chciałbym to wiedzieć.

– W ostatnim czasie w Szczecinie zginęła masa ludzi – powiedziałem powoli. – To miasto robi się niebezpieczne. Polecieliśmy w statystykach nagłych zgonów kilkanaście oczek w dół. Mam nadzieję, że na twoje pytanie już niedługo odpowie Lewandowski. A kto wie, może nawet ja na nie odpowiem? Tego mi życz.

Podszedłem do biurka i wyciągnąłem rękę. Buryta uścisnął ją mocno, patrząc mi w oczy.

– Nie zwariowałem, Rafał. – Mój głos brzmiał grobowo. – Robię, co mogę, żeby jakoś wrócić do równowagi psychicznej. Ale to, co się dzieje, to nie przypadek. I nie żadna moja teoria spiskowa. To się dzieje. To się dzieje naprawdę.

W uścisku jego ręki był żal, współczucie i szczerą chęć pomocy. Ale po oczach widziałem, że go nie przekonałem. Tak musiałem wyglądać, kiedy pewnego dnia pod komendą wojewódzką zaczęła mnie jakaś kobieta. Byłem wtedy w mundurze. Podeszła do mnie, by poufałym szeptem poinformować, że maszty radiowe z Rugii ciskają pioruny do środka jej głowy, a w przewodach kominowych jej domu znajdują się akumulatory jonowo-aradowe. Też pewnie miałem wtedy taki wzrok jak Rafał teraz...

Nie przejąłem się tym za bardzo. Oddałem uścisk i wyszedłem z jego pokoju, by po chwili znaleźć się na zewnątrz. Ulica była pełna słońca, choć wcale dzięki temu nie wypiękniała. Orło-nietoperze wciąż tęsknie zerkały w stronę drzew. Ale ponurym widokiem również się nie przejmowałem. Zapiąłem kurtkę i ruszyłem do domu.

Gdzieś z tyłu mojej głowy tłukła się tylko niezbyt jeszcze nachalna myśl, że może jednak popadam w lekką paranoję. Że w przypadkowych zgonach upatruję działanie diabolicznego mordercy, usuwającego po kolei świadków... Właśnie: świadków czego?

W nocy znów nie mogłem spać. To stawało się już niemal rutyną. Rozmyślałem nad tym wszystkim i przewracałem się w pościeli tak długo, aż rozboleła mnie głowa i musiałem wziąć ketonal. Kiedy nadszedł wreszcie ten moment, w którym poczułem, że odpływam i zanurzam się w miękkim, ciepłym puchu, wiedziałem już, jaki będzie mój następny krok. Postanowiłem spotkać się z kimś, z kim zdecydowanie nie powinienem się spotykać, i to z wielu powodów. Sen nadszedł chwilę później i przyniósł obrazy, dźwięki i zapachy. Kiedy obudziłem się nad ranem, pamiętałem tylko, że był krótki, ale wyrazisty. Był jak drobny fragment filmu, wyjątek z dłuższej sceny.

Nigdy w życiu moja noga nie powstała na pokładzie jachtu czy łodzi, nigdy też nie byłem w marinie czy porcie jachtowym. Po prostu brakowało okazji. Nie wiedziałem więc, skąd się wziął ten sen, jakie zdarzenia w realnym życiu spowodowały, że mój umysł stworzył taki, a nie inny jego scenariusz. A może jednak wiedziałem? Sny nie są przecież dosłowne. W tym śnie stałem na niknącym we mgle pomoście, wiszącym nad taflą ciemnej, zimnej wody, nad którą unosiły się szare tumany wilgoci. Słyszałem ciche chlupotanie pchanych słabym wiatrem drobnych fal nacierających na pale jedna po drugiej. Widziałem wyraźnie misterny rysunek słoju kilku najbliższych desek pomostu spłowiałych od słońca, plamki rdzy na polerze i sploty poprzecieranej ze starości liny, zawiązanej na nim ciasno jak pętla na szyi wisielca. Poza tym nic. Reszta była rozmyta we mgle, istniała w domyśle; początek i koniec pomostu, brzeg, horyzont... Istniała albo nie istniała. Tylko liny nie było naprawdę. Jej koniec zwieszał się nad wodą, muskając powierzchnię puklem przetartych włókien. Tyle...

Starłem z powiek resztki snu i nie wstając z łóżka, wróciłem do wieczornych rozmyślań o człowieku, z którym musiałem się spotkać. Możliwość, że zamach na mnie zorganizował „Malecha”, istniała. I była całkiem prawdopodobna, mimo że nie znałem przyczyny, dla której chciał to zrobić. Może uznał, że ryzyko związane z zabójstwem policjanta w jakiś sposób mu się opłaci, może faktycznie myślał, że stanowią dla niego jakieś realne zagrożenie, a może po prostu najzwyczajniej w świecie mu odpierdoliło. Takie rzeczy się zdarzają, ogromna większość ludzi nie zdaje sobie nawet z tego sprawy. Ale skoro nie miałem nic do stracenia, skoro prowadziłem prywatne śledztwo z zaangażowaniem graniczącym z obłądzeniem, nie mógłbym nie zrobić tego, co zaplanowałem. Spotkać się z „Malechą” i pogadać z nim, zwłaszcza o pewnej trapiącej mnie sprawie, która nie dawała mi spokoju. Po prostu pogadać. To było błędzenie na ślepo i wiedziałem o tym, ale miałem nadzieję, że nawet przypadkiem chwycę po omacku jakąś nić. Najwyżej, jeśli w trakcie spotkania okaże się, że za wszystkim stoi jednak „Malecha”, to po prostu dokończy to, co zaczął, i wtedy reszta przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Przynajmniej dla mnie...

Zdawałem sobie sprawę, że dotarcie do tego rodzaju człowieka wbrew pozorom nie jest

łatwe. Potrzebowałem wsparcia, przynajmniej na początku. Wziąłem z nocnego stolika telefon i skontaktowałem się z Anią Tomaszewską z Wywiadu Kryminalnego.

– Cześć – powiedziała ostrożnie, kiedy mnie usłyszała. – Jak żyjesz?

– Żyję. W ogóle żyję – odparłem, starając się, żeby mój głos brzmiał ciepło. – Dzięki za kwiaty. Długo stały, znaczy, że ze szczerego serca.

Lubiłem Anię. Mimo swej przebojowości i nieco androgynicznego charakteru była miła i sympatyczna.

– Cieszę się. – Roześmiała się z lekką ulgą. – Cieszę się, że żyjesz, i cieszę się, że kwiaty ci się podobały. I że długo stały, bo naprawdę były ze szczerego serca. Zdziwiłeś się trochę, nie?

– Owszem. Naprawdę dobrze mnie znasz, Aneczka. – Uśmiechnąłem się.

– Nawzajem, co? – Nie wiem, jak to możliwe, ale usłyszałem, jak też się uśmiecha. – Wpadniesz do roboty?

– Na razie nie. Mam zwolnienie, trochę się rehabilituję i... No, wiesz... Układam swoje sprawy.

– Rozumiem.

– I właśnie w takiej jednej sprawie do poukładania dzwonię. Mam prośbę do ciebie...

– Wal śmiało.

– Masz tam u siebie jakiegoś kumatego chłopaka, który wie, co piszczy w półświatku? Co słyhać na mieście?

– Po co ci to? – zapytała ostrożnie.

– Muszę coś wyjaśnić. Widzisz, mam pewną teorię dotyczącą tego, co się stało. Ze mną, z Jolą i Agnieszka... I chciałbym to... Chciałbym to sprawdzić.

– Działanie na własną rękę sprawdza się znakomicie, ale tylko w Hollywood, a nie w Szczecinie, Darek. Proszę cię, żebyś o tym pamiętał. – Ania też mnie chyba bardzo lubiła, chociaż nie wiem zupełnie za co.

– Widzę, że też uważasz mnie za szajbusa? Podobno ta kula w głowie narobiła mi tylko kłopotów z pamięcią, a nie przemeblowała klepki.

– Nic takiego nie powiedziałam, Darek, przestań – zachnęła się.

– Żartuję przecież.

– Martwię się o ciebie.

– Wiem. – Chciałem zapytać, czemu więc nie odwiedziła mnie w szpitalu, ale zrezygnowałem z tego pomysłu.

W końcu dostałem kwiaty. I gdyby było na odwrót, pewnie też wysłałbym jej tylko bukiet róż, mimo że martwiłbym się o nią jak cholera. Takie życie. Pędzi.

– Nie zrobię nic głupiego, obiecuję – przyrzekłem. – Chcę tylko rozeznaczyć się nieco w tym światku. To naprawdę pomoże mi poukładać pewne sprawy.

Ania westchnęła.

– Dam twój numer Piotrkowi Kucharskiemu, zadzwoni do ciebie, kiedy będzie mógł. To wywiadowca, zna ich wszystkich, zna powiązania i tak dalej. Był zresztą w zespole, który rozpracowywał Leśniewskiego. Może być?

– Wybornie. Dziękuję ci.

– Nie ma za co – mruknęła. – Jeśli jednak zrobisz coś głupiego, to urwę ci jaja i ukrecę

łeb przy samej dupie. Osobiście. I sama jeszcze nie wiem, w jakiej kolejności.

– Powiedziałbym, że trzymam cię za słowo, ale trochę się boję. – Roześmiałem się. – Pa, słońce.

– Pa. Wpadnij jednak kiedyś, co? Tęsknimy trochę za tobą.

– Podejrzewam, że w końcu będę musiał. Mówię o pracy, generalnie. Wtedy cię odwiedzę. Cześć, Aneczka.

Rozłączyłem się. Leżałem jeszcze chwilę, tępo wpatrując się w jasny kwadrat okna, a potem zwlokłem się z łóżka, bardziej z obowiązku niż z entuzjazmu odrobiłem poranny zestaw ćwiczeń i poszedłem do sklepiku kupić bułki na śniadanie. Wychodząc, pomyślałem, że może dobrze by było sprawić sobie psa.

Sam nie wiem, czemu tak pomyślałem...

* * *

Piotrek Kucharski zadzwonił kilka godzin później. Przez telefon brzmiał rzeczowo, mówił krótko i na temat. Umówiliśmy się wieczorem na deptaku Bogusława, pod zegarem.

O dwudziestej byłem na miejscu, on już na mnie czekał. Był młody, dość niski, ostrzyżony na króciutkiego języka i ubrany, jak podejrzewam, bardzo modnie. Wąskie, lekko wytarte spodnie z opuszczonym krokiem, puchowy bezrękawnik na grubej swetropodobnej bluzie i czarne buty za kostkę. W rękę trzymał plik papierów oprawionych w czerwoną plastikową okładkę. Całość przypominała zeszyt i miała być znakiem rozpoznawczym.

Podszedłem do niego i przywitałem się. Zwinął papiery w rulonik i schował za pazuchę bezrękawnika.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponowałem.

Skinał głową.

– Może być. Piotrek.

– Darek.

– Inspektor, he?

– Darek. – Mrugnąłem.

– Ale inspektor. – Też mrugnął.

Weszliśmy do jednego z lokali na deptaku.

– Mają fajne piwa – wyjaśnił krótko Piotrek.

Nie miałem nic przeciwko. Zajęliśmy część kontuaru pod ścianą, na samym końcu wąskiego pomieszczenia, dalej była już tylko toaleta. Zamówiliśmy jakieś czeskie piwo i czekaliśmy, aż dziewczyna w małej czarnej i obcisłej nam je przyniesie.

– Czemu akurat „Malecha”? – zapytał.

Sprecyzowałem swoje oczekiwania wcześniej, podczas rozmowy telefonicznej, żeby Kucharski mógł się przygotować.

– Powiedzmy, że jest w kręgu moich zainteresowań – odparłem.

– Tylko on?

– A kto jeszcze miałby w nim być?

– Spiknął się ostatnio z takim jednym...

– Słyszałem. Tylko że los ich znów rozdzielił, co? Tym razem na zawsze.

Uśmiechnął się lekko.

– Znasz, widzę, tę wzruszającą historię o szkole dzudo i przewodniczce „Ziętego” do Poznania?

– Znam. – Pokiwałem głową.

Dziewczyna przyniosła piwo, postawiła szklanki i butelki na blacie i odeszła, obdarzając nas uśmiechem.

Kucharski wyciągnął zza pazuchy swój czerwony zeszyt. Rozejrzał się dyskretnie, chyba odruchowo, ale zrobił to w taki sposób i z taką miną, że wyglądał przy tym najzupełniej naturalnie. Zdolności aktorskie czy lata praktyki? Wyciągnął z niego koszulkę foliową, a z niej jej zawartość. Odsunął zeszyt na bok, a papiery położył przed nami z cichym plaśnięciem. Zobaczyłem czarno-białe kserokopie jakichś akt i zdjęć.

– Nie muszę ci mówić, że nigdy tego na oczy nie widziałeś? – zapytał, a ja skinąłem głową i popatrzyłem na niego takim wzrokiem, jakby wymierzył mi policzek.

– Tylko się upewniam, inspektor – mruknął. – Nie mam dobrych doświadczeń z ludźmi na waszych stanowiskach.

– Nie przejmuj się, ja też – uspokoilem go.

Nie drażył dalej tematu, tylko szybko przeszedł do rzeczy. I to mi się podobało.

– To jest „Malecha”. – Położył palec na nosie typa widocznego na pierwszym zdjęciu, które mi pokazał.

Zrobiono je z ukrycia, to było widać na pierwszy rzut oka. Niepozowane, naturalne i niezbyt korzystne.

– Jarek Leśniewski – kontynuował Piotrek. – Czterdzieści sześć lat, żona, trzy córki, w tym jedna już dorosła, własny biznes...

– Jaki biznes?

Spojrzał na mnie rozbawionym wzrokiem.

– W zasadzie kilka. Knajpy z kebabem, lombardy, jakaś firma sprzątająca – standard... Ale przez jeden z tych interesów w końcu pójdzie siedzieć. Sprowadza z zagranicy samochody techniczne pomocy drogowej. Ostatnio porsche panamera. Miał pomarańczowego koguta na dachu, a na drzwiach naklejki „Pomoc Drogowa”, uwierzysz?

– Piotrek parsknął śmiechem. – Chyba jest pierdolnięty, jeśli myśli, że to interes na dłuższą metę. Skarbówka go dupnie, zanim się obejrzy...

– Wiesz, gdzie mieszka? – zapytałem.

Spoważniał.

– Tak się składa, że wiem – odparł. – Tylko coś ci powiem. To nie jest typowy gangster, on zawsze ma białe rękawiczki, rozumiesz? Jest śliski, ale nie jest bandziorem, jakim był na przykład „Zięty”. Lecz mimo wszystko, cokolwiek planujesz, inspektor, nie radziłbym ci odwiedzać go w domu. Z wiadomych względów. Chata jest terenem neutralnym i nienaruszalnym. Te gnoje traktują swoje domy jak świętość, jedyną, jaką w ogóle uznają. – Popukał w szklankę. – Nawet porachunków między sobą nie załatwiają w domach. Ale mogę ci powiedzieć, gdzie „Malecha” bywa na mieście. Gdzie go można złapać...

– Chętnie dowiem się, gdzie bywa – potwierdziłem skwapliwie.

Piotrek sapnął i upił potężny łyk piwa. Odstawił szklanę z głuchym stukiem, a ponieważ zrobił to odrobinę zbyt szybko, trochę złocistego płynu wylało się na blat.

– Kurwa, co za strata – mruknął żartobliwie, a ja pomyślałem: Co ty, mój młody przyjacielu, wiesz o stracie?

Patrzyłem, jak wyciera usta wierzchem dłoni i czekałem.

– Łazi do „Ipanemy”, „Sashy” albo „Elephanta”. – Piotrek zakrył płamę z piwa kartonową podstawką z logo „Bosmana”. – Takie kluby w mieście – dodał, widząc mój wzrok. – Wrywa tam siuśmajtki, które później obciągają mu na tylnej kanapie jego „mietka” klasy S. Z dezaprobatą pokiwał głową swojej szklance, a ja zacząłem się gorączkowo zastanawiać, czy Agnieszka odwiedzała z koleżankami te lokale. Stałem na wizytach w „Galaxy” albo „Kaskadzie” po szkole, to było kilka lat temu i nie przyszło mi nawet do głowy pytać o takie rzeczy Joli. Galerie handlowe uważałem za w miarę bezpieczne, mimo że słyszałem oczywiście historie o nastolatkach oddających się brzuchatym i łysym mężczyznom za parę markowych džinsów, telefon albo bluzeczkę. Miałem tylko nadzieję, że przynajmniej moja żona miała nad tym kontrolę i Agnieszka chadzała tam wyłącznie na frytki i lody, choć teraz to nie miało praktycznie żadnego znaczenia. Nie miało, ale mimo to wolałem o tym nie myśleć.

Piotrek obrzucił mnie spojrzeniem, w którym nie było śladu aprobaty.

– Tylko że kiedy ty pojawisz się w tych lokalach... – wycedził powoli, odwracając głowę. – Cóż...

– No? – zainteresowałem się.

Oderwał wzrok od szklanki i znów otaksował mnie nim od stóp do głowy.

– Wzbudzisz, powiedzmy, niemałe zainteresowanie. Tak uważam.

– Dlaczego miałbym wzbudzić zainteresowanie?

– Mówiąc „zainteresowanie”, nie mam na myśli nic fajnego, inspektor. Sorry, nie w twoim przypadku.

– Bo?

– Bo jesteś zgredem. Wybacz, ale taka jest prawda. Kiedy pojawia się tam ktoś w twoim wieku i jak ty ubrany, wzbudza wesołość. Bo jest to albo tatuś szukający córki, albo naiwny i zagubiony zgred szukający chętnej dupy...

– Albo „Malecha” – dokończyłem. – Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że on też wzbudza wesołość i śmiech na sali? A jest tylko kilka lat młodszy ode mnie, choć wygląda, jakby było na odwrót.

– Będę teraz szczery. Brutalnie szczery. Ostrzegam.

– Proszę uprzejmie. Mnie naprawdę trudno obrazić.

– Nie wyglądasz jak „Malecha”. On nosi na sobie w sumie kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy, następne kilkaset tysięcy czeka pod klubem na ulicy. Pewnie, że jest łysy i grubawy, ale te tysiące wynagradzają z nawiązką niedostatki urody. Przynajmniej siuśmajtkom. No i to w końcu „Malecha”. A ty? Ty nie masz nic, co mogłoby wynagrodzić twoje niedostatki. Nawet paszportu Polsatu. Nie znasz „Piaska”, no i nie jesteś „Malechą”.

Wiedziałem dobrze, o czym mówi, i zgadzałem się z tym. Byłem policyjnym gryziopiórkiem, miałem na sobie ciuchy warte kilka stów, a opel na parkingu pod blokiem, do którego wciąż bałem się wsiąść, był wart mniej niż zegarek Leśniewskiego. Z mięsistą

blizną na czaszce, ledwo przykrytą odrastającymi siwiejącymi włosami, z lekkim zezem i wychudłą, bladą twarzą przypominałem bardziej zbierającego się do kupy po tygodniowym ciągu alkoholowym menela niż bywalca lokali. Dawny Suder, przystojniak z błyskiem w oku, odszedł w niebyt na parkingu nieopodal Bernau bei Berlin. Parkingu Probstheide. Smutne, ale prawdziwe. Tylko że ja miałem w dupie to, jak teraz wyglądam i jak się ubieram.

– Powiem ci coś, Piotrek – powiedziałem poufale do Kucharskiego, pochylając się w jego stronę. – Jeśli myślisz, że wejście w szmatach do dobrego lokalu jest dla mnie niewykonalne z powodu przejścia się łątką zgreda... Że jest to dla mnie przeszkoda nie do pokonania, psychiczna bariera nie do przejścia, to się grubo mylisz.

– Cieszę się – powiedział. – I gratuluję dobrego samopoczucia. Powiesz to bramkarzowi na selekcji przed lokalem?

– Na czym? – zapytałem, prostując się gwałtownie i mrugając.

– Na selekcji – powtórzył.

– Co to, kurwa, jest? Hollywood? – Usłyszałem w swoim głosie zdumienie. – Czy jakiś pieprzony „Mam talent”?

– Witaj w nowych czasach. – Kucharski z wyszczerzonymi zębami i jawną kpina w oczach klepnął mnie lekko w ramię. – Ale nie przejmuj się. Widzę światełko w tunelu. Mruga do ciebie zachęcająco.

– Jakie światełko?

– „Kafe Tango” na Jagiellońskiej. Znasz ten lokal?

Pokręciłem głową.

– To poznasz. Bo „Kafe Tango” to twoja szansa. „Malecha” też jest zgredem i nie zmieni tego ani breitling na nadgarstku, ani oprawki od Gucciego na nosie. W „Ipanemie”, „Sashy” i „Elephancie” jest głośno, tłoczno, zamiast lustrzanych kul po oczach wałą stroboskopy, wywołujące u co wrażliwszych napad padaczki. Dźwięki, pomijając ich natężenie, są niezrozumiałe dla zgredów. Są seriami jęków i pisków, raniącymi uszy kakofonicznymi torturami. W „Kafe” jest inaczej. Są lustrzane kule. Jest Modern Talking, Doktor Alban i Abba. I są inne zgredy. Również te z półświatka. Rozumiesz mnie, inspektor?

Pokiwałem głową. Fajnie mi się gadało z Kucharskim. Nie musiałem prawie nic mówić, wystarczyło tylko ruszać głową w poziomie albo w pionie.

– No. – Kucharski zrobił to samo co ja z wyraźnym zadowoleniem w oczach. – To jedziemy dalej.

Klepnął skserowanego „Malechę” w czoło i przesunął zdjęcie na bok. Pojawiło się kolejne. To ewidentnie pochodziło już z policyjnych akt. Przedstawiało tęgiego faceta o byczym karku wylewającym się z koszuli. Miał dziobatą twarz, obojętne spojrzenie bezmyślnego kretyna, krzywo zrosnięty nos i wydatne łuki brwiowe, upodabniające go do neandertalczyka.

– Niech cię nie zmyli jego ryj – ostrzegł mnie Piotrek. – Facet jest całkiem inteligentny. To „Lichy”, Jurek Lichota, ochroniarz Leśniewskiego i jego prawa ręka. Kapciowy. Mieszka w domu „Malechy”. – Spojrzał na mnie krzywo. – Ty wiesz, kiedyś myślałem, że jak w *Ojcu chrzestnym* ci wszyscy mafiosi mieszkają ze swoimi goryłami, to chyba muszą

być pedałami, no bo jak?

Wzruszyłem ramionami. Jakoś nigdy mnie to nie zastanawiało.

– Mówiłeś, że Leśniewski jest bardziej biznesmenem niż gangsterem. To po co mu ochroniarz? Goryli mają zwykle mafiosi?

Piotrek zmarszczył brwi.

– No, właśnie to jest trochę dziwne – powiedział. – Chyba że Leśniewski lubi odmianę i od czasu do czasu lubi pobawić się czymś ptaszkiem. A jego żona o tym nie wie albo po prostu to toleruje. Ale to tylko domysły. Moje domysły – zaznaczył.

– Okej – mruknąłem.

– Lichota ma swój pokój z łazienką z tyłu domu. On i „Malecha” razem wyjeżdżają i razem przyjeżdżają... Leśniewski widzi się z nim częściej niż z żoną czy dziećmi. „Lichy” jest już po pięćdziesiątce, ale podobno trzyma formę. Wypieprzyli go z wojska za pobicie przełożonego, jeszcze w latach osiemdziesiątych. Uciekł do Francji i zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. To były jeszcze czasy, kiedy brali wszystkie szumowiny. Służył parę lat w sekcji zwiadowczej w regimencie spadochroniarzy na Korsyce, skąd latał do Afryki, spędził trochę czasu w Gujanie, aż nagle mu się znudziło. Dosłużył się stopnia kaprała szefa, ale zwiął przed zakończeniem trzeciego kontraktu. Niby inteligentny, a idiota... Ukrywał się gdzieś w Europie, wrócił do Polski, działał trochę na własną rękę, dostał krótki wyrok za rozbój, aż w końcu spiknął się z Leśniewskim. Na niego musisz uważać. Gdybyś pytał mnie o zdanie, to sądzę, że mimo swojej inteligencji facet jest pierdolnięty. I przez to niebezpieczny.

– Przyjmuję do wiadomości – mruknąłem.

Piotrek pokazał mi następne zdjęcie. Było dość niewyraźne. Zrobiono je na jakiejś imprezie, towarzystwo było ewidentnie wstawione. Panowie obejmowali swoje partnerki zdecydowanie śmiało, by nie rzec: władczo, ich ramiona oplatały od tyłu smukłe szyje niczym w geście duszenia czy odwróconego chwytu Nelsona, a dłonie pakowały się w dekolty eleganckich i seksownych sukienek. Niektórzy wywalali jęzory i pokazywali znak, który za mojej młodości pokazywało się wyłącznie na koncertach zespołów metalowych.

– To dwa kolejne przydupasy Leśniewskiego – wyjaśnił Piotrek, wskazując dwóch mężczyzn, których czerwonoookie twarze zakreślono markerem. – Czasami zabiera ich ze sobą, gdy odwiedza swoje lokale z kebabami albo autokomisy. Papużki nierozłączki. Bracia Rulewscy, niespełnieni zawodnicy MMA.

Obaj mieli wielokrotnie łamane i krzywo zrosnięte nosy, świadczące o tym, że na wczesnym etapie kariery pozbawieni byli opieki profesjonalnego trenera, a walki nie odbywały się na macie lub w klatce, tylko w bramach kamienic i na blokowych podwórkach.

– Dlaczego niespełnieni? – zapytałem.

– Jeden, Mariusz, był po prostu cienki, ciągle zbierał baty. A Marek za to wręcz przeciwnie, ale nie miał szczęścia. Złamał piszczel podczas walki. Tak kopnął koleś w biodro, że mu po prostu pękł. No i pożegnał się z karierą, a przywitał ze śrubami w nodze. Bracia Rulewscy to dwa dobrze wytresowane psy, które raczej nie wykazują inicjatywy, więc jeśli chodzi o nich, to możesz być w miarę spokojny. „Lichy” natomiast

owszem, wykazuje jej sporo. Czasem w zupełnie nieoczekiwany sposób.

Kucharski złożył kserokopie i schował do kieszeni.

– Zapamiętałeś te mordy, inspektor? – zapytał. – Lepiej, żebyś zapamiętał, bo chyba rozumiesz, że nie mogę dać ci tych papierów?

– Rozumiem. – Pokiwałem głową i wziąłem do ręki swoją szklankę z nietkniętym jeszcze piwem.

Z zapamiętywaniem twarzy problemu nie miałem. Za to miałem coś innego. Motywację, która mi w tym pomagała. Dzięki niej właśnie mogłem zapamiętać naprawdę dużo rzeczy. Między innymi te mordy.

Podniosłem szklankę do ust. Piwo miało gorzki smak. Nigdy nie przepadałem za piwem, ale to smakowało mi wyjątkowo. Nagle przypomniałem sobie słowa Ani Tomaszewskiej, kiedy mówiła o Piotрку, że był w zespole rozpracowującym „Malechę”.

– Byłeś tam, w porcie? – zapytałem, nie patrząc na niego.

– Byłem – potwierdził.

– Widziałeś to?

– Finał?

– Tak.

– Z daleka. Nie brałem bezpośredniego udziału w akcji SPAP-u. Siedziałem z chłopakami w wozie i czekałem. Zwłaszcza gdy zaczęła się strzelanina. A potem pierdolnęło, aż zatrzęsło się auto i zobaczyłem słup czarnego dymu. Pobiegliśmy tam chwilę później, ale w zasadzie już było po wszystkim, tylko się fajczyło. Jak, kurwa, stos pogrzebowy hinduskiego maharadży. A później zaczęło tak śmierdzieć, że szło się normalnie porzygać... Ta komisarka od was, co zginęła, była wcześniej z nami w wozie, wiesz?

Zesztywniałem.

– Wcześniej? – zapytałem, a pytanie ledwo przeszło mi przez wyschnięte nagle gardło. – Co to znaczy wcześniej?

– No, razem z nami przyjechała na miejsce. Zabraliśmy ją z Małopolskiej.

– I?

– I była z nami w wozie. Przez cały czas.

– Widziałeś, jak wysiadała? – Postarałem się, żeby mój głos brzmiał normalnie.

– Co masz na myśli? Czy widziałem ten konkretny moment, jak otworzyła drzwi i wysiadła?

– Tak. Coś powiedziała?

– Że idzie zapalić. I wysiadła.

– To wiem. Ale czy zrobiła to nerwowo, czy spokojnie? Czy rzuciła przy okazji, że zobaczyła coś dziwnego albo że chce coś sprawdzić?

Kucharski się zastanowił.

– Gdyby powiedziała, że chce coś sprawdzić, tobyśmy kazali jej siedzieć na dupie. Byliśmy na terenie portu, ale nie wjechaliśmy bezpośrednio pod te magazyny. Mimo to był prikaz, że wszyscy zostają na wyznaczonych miejscach. Jak wszyscy, to wszyscy, więc ona też. Słuchaliśmy tylko komunikatów radiowych i czekaliśmy. Nagle oświadczyła, że musi zajarać, i wysiadła. Przecież nie powiemy jej, że nie? Stała obok i paliła. Widziałem

ją, chodziła obok samochodu i zaciągała się fajką. Gadałem w tym czasie z pozostałymi chłopakami i po prostu w pewnym momencie straciłem ją z oczu. Myślałem, że jest gdzieś z tyłu, albo przeszła do innego samochodu, nawet trochę się na nią wkurwiłem, że zamiast siedzieć na tyłku, jak jej kazaliśmy, to gdzieś się włóczy. Taka była umowa: jedzie z nami, ale robi, co jej każemy. A potem... – Piotrek spuścił głowę – ...potem się okazało, że ją tam w środku znaleźli. Sorry, ale wtedy jeszcze bardziej się na nią wkurwiłem. Szkoda kobiety, ale narobiła mi trochę bajzlu. W końcu byłem za nią w jakiś sposób odpowiedzialny w tamtym momencie, no nie? Fajna babka z niej była, tylko trochę nieoswojona. Dzikuska. Zimna jak to piwo. – Podniósł swoją szklankę.

Pewnie próbował się do niej przystawiać, czego Marta nie znosiła. Piotrek spojrzał na mnie z niemą skargą w oczach i wziął potężny łyk piwa.

– I tyle, kurwa... – Odstawił szklankę, ale nie wypuścił jej z dłoni.

– Co mówili przez radio? – zapytałem.

– Hę? – nie zrozumiał.

– Pytam, o czym była mowa przez radio tuż przed tym, zanim wysiadła?

– Co ty, Darek? – Znowu spojrzał na mnie, tym razem zdziwiony. – Myślisz, że pamiętam?

– A gdybyś tak postarał się sobie przypomnieć?

Pokręcił głową.

– Nic z tego. Sprawdzanie gotowości, potwierdzanie lokalizacji, standard. Lekka nerwówka jak zwykle, ale naprawdę lekka. Widzisz, ja osobiście mam tak, że więcej adrenaliny wywołują u mnie akcje w nocy, a to był biały dzień. Tu był taki luzik, nawet się nie spinałem, chłopaki chyba też nie. Czysta formalność. Więc nie pamiętam za bardzo, co tam pieprzyli przez radio. Po prostu.

Pokiwałem głową. Być może istotne było nie tyle to, co mówiono, ile kto to mówił. A Kucharski nie znał pewnie wszystkich głosów. Może Marta znała? Może usłyszała głos, którego nie powinna usłyszeć?

– Dzięki, Piotrek. Naprawdę. – Uśmiechnąłem się do niego.

Jego twarz pozostała tym razem poważna.

– Wracając do tematu naszego spotkania: nie wyobrażaj sobie za dużo – powiedział, klepiąc się w pierś, gdzie za kurtką spoczywała teczka z Leśniewskim, Lichotą i Rulewskimi. – To skurwysyny. Nie wiem, co kombinujesz, inspektor, ale nie sądz, że będziesz panem sytuacji. Bywa, że z nimi pijemy, że się nieformalnie spotykamy, żeby ubić jakieś interesy: wy nam wystawicie tego, a my wam zgarniemy tamtego, normalka. Ale to wciąż skurwysyny. Jak niedźwiedzie z cyrku. Taki niedźwiedź tańczy, jak mu zagrasz, ale bywa, że coś mu się nie spodoba i atakuje. Nawet nie wiesz, kiedy to się dzieje. Atakuje swojego tresera, gościa, który dawał mu mleko w butelce ze smoczkiem i opiekował się nim od takiego małego misia... – Wystawił rękę jakieś pół metra nad blat kontuaru. – Niedźwiedzie są nieobliczalne. I oni też tacy są. Nieobliczalni.

– Będę pamiętał, obiecuję.

– Mnie nie musisz niczego obiecywać. To twoja sprawa, jesteś dorosły. Ja cię tylko ostrzegam.

– I za to też ci dziękuję.

Pokiwał głową, chyba niezbyt przekonany. Co mogłem więcej powiedzieć, żeby go przekonać? Raczej niewiele, zważywszy na to, co chciałem zrobić.

Odstawiłem szklankę i pożegnałem się z Kucharskim, który dopiwszy swoje piwo, najwyraźniej czekał, aż podaniem ręki przypieczętuję ten akt. Piotrek rzucił ciche: „Na razie, inspektor”, wyszedł z pubu i zniknął w mroku za przeszklonymi drzwiami, a ja wróciłem do swojej szklanki. Nie musiałem się nigdzie spieszyć, a do pustego mieszkania jakoś mnie nie ciągnęło.

Postanowiłem jednak nie zwlekać, tylko spokojnie dopić piwo, a potem odwiedzić pewien klub. W końcu co innego miałem do roboty?

* * *

Na bramce przy szatni w „Kafe Tango” nikt nie robił mi problemów. Nie było żadnej selekcji. Dwóch łysych, a przez to sprawiających wrażenie identycznych młodzieńców otaksowało mnie tylko wzrokiem, szczególną uwagę zwracając na obuwie. Przez chwilę myślałem, że to Rulewscy, których pokazał mi Piotrek. Jeden z nich skasował dwie dychy, drugi odebrał moją kurtkę i powiesił ją na haczyku w szatni, oddając w zamian numerek. Wszystko odbyło się w milczeniu i ciszy, jak doskonale znany i przećwiczony tysiące razy rytuał.

Wszedłem do ciemnej sali, czując się, jakbym wkraczał do jaskini lwa. Ale lwa, czy „Malechy”, tam nie było, a przynajmniej nie wypatrzyłem go pośród nielicznych jeszcze o tej porze gości. Kucharski miał rację: „Kafe Tango” było oazą zgredów. To pewnie dlatego dobrze się tam poczułem, praktycznie od razu, od momentu, w którym znalazłem się w środku. Przedział wiekowy zgredów wahał się w granicach trzydziści–sześćdziesiąt lat. Pasowałem tam jak ulał. Usiadłem przy barze i zamówiłem kolejne tego wieczoru piwo, zastanawiając się, czemu wcześniej mi nie smakowało.

Słyszałem kiedyś o człowieku, któremu przeszczepiono serce. Nigdy nie znosił piwa, ale kiedy wrócił do zdrowia, zaczął je z upodobaniem żłopać. Okazało się, że dawca za życia je uwielbiał. Zastanawiałem się tylko, jakim cudem biorca się o tym dowiedział, skoro dane dawców nie są ujawniane, a więc fakt, co lubili, a czego nie, tym bardziej. Ale historia była dość zabawna, choć w zasadzie dość trudno było przełożyć ją na mój przypadek: ja nie miałem czyjegoś serca w piersi, tylko bezużyteczny i groźny implant w głowie.

Siedziałem tak i zamawiając kolejne szklanki, zastanawiałem się nad tym ważkim problemem aż do pierwszej w nocy. Kiedy spojrzałem na zegarek i zorientowałem się, która jest godzina, uznałem, że wystarczy. „Malecha” musiał mieć dziś inne plany i widać skończył zabawę na tylnej kanapie swojego mercedesa przed jednym z klubów w mieście. A może w ogóle nie miał dziś na nią ochoty i został w domu, spędzając wieczór w rodzinnym gronie? Może siedzi teraz i pomaga dzieciom odrabiać lekcje albo uczy je obsługi broni palnej oraz tego, jak bez udziału chemika odróżnić kokainę od cukru pudru?

Zostało mi do wyjścia może ćwierć szklanki piwa, kiedy poczułem na ramieniu czyjąś dłoń o drobnych, delikatnych palcach. Kątem oka zobaczyłem czerwone, ładnie wymanikiurowane albo doklejone paznokcie. W dzisiejszych czasach niełatwo poznać, czy poszczególne części kobiety są prawdziwe, czy nie. Zwłaszcza jeśli nie jest się ekspertem.

– Hej, masz może papierosa? – Kobieta o rudych, upiętych w kok włosach oparła się

o mnie całym ciężarem swojego starzejącego się już powoli ciała i zadała to pytanie, zionąc mi w twarz oparami jakiegoś kolorowego alkoholu.

Byłem za bardzo wstawiony, żeby się skrzywić.

– Nie palę. – Pokręciłem głową.

Zrobiłem to zbyt gwałtownie, więc kiedy już przestałem nią kręcić, okazało się, że mózg jeszcze przez chwilę robi to dalej wewnątrz czaszki.

– E, piękny, zalewasz. – Na twarzy rudzielca pojawił się szelmowski grymas.

– Nie, nie zalewam – odparłem tak szczerze, jak tylko w tym stanie potrafiłem.

– No co ty! – zajęczała. – Damy nie poczęstujesz?

W takim lokalu, a zwłaszcza o takiej porze, damy naprawdę ciężko uświadczyć, ale nie chciałem pozbawiać jej złudzeń. W końcu miała na sobie obcisłą czerwoną jak papryczka chili sukienkę z dekoltem i ten kok; to mogło istotnie dać jej poczucie bycia kimś więcej niż tylko zwykłą kobietą. Może biedaczka nie miała nikogo, kto by to przekonanie w niej podtrzymywał. Ja na pewno nie miałem ochoty być tą osobą, ale kiedy poczułem silne pchnięcie w plecy, zrozumiałem, że nie muszę. I że nie będę.

Powoli postawiłem przewróconą własną piersią szklankę i odwróciłem się. Zobaczyłem czerwonego na twarzy faceta z rozchełstaną pod szyją i mokrą od potu koszulą. Lekko chwiało się na nogach.

– Czego się, kurwa, dostawiasz do mojej dziewczyny? – zapytał, marszcząc brwi i lekko unosząc ramiona, jakby miał pod pachami niewidzialne torby z zakupami.

Kiedy niedźwiedź chce nastraszyć przeciwnika, robi tak zwaną drabinę – staje na tylnych łapach, unosi przednie i głośno ryczy. W zasadzie podobnie robi wiele zwierząt, człowiek nie jest tu żadnym wyjątkiem. W wykonaniu faceta stojącego za mną ta drabina była zaledwie drabinką biurową, z rodzaju tych, których używają sekretarki, żeby dostać się do górnych, niedostępnych z poziomu podłogi półek. Był co prawda wysoki, ale miał posturę patyczaka. I to takiego w końcowej fazie diety gwiazd, zanim jeszcze dopadnie go efekt jojo.

– Nie dostawiam się – powiedziałem spokojnie do typa. – To ona dostawia się do mnie.

Oczy kobiety się rozszerzyły. No, może nie do końca to miałem na myśli w drugiej części wypowiedzi, ale co się wysnęło, tego się już nie cofnie.

– Nie słuchaj go! – zawołała, odsuwając się ode mnie. – To on mnie zaczepił!

Kłamczuszka. Ale nawet nie byłem na nią zły. Być może mógłbym spróbować wytłumaczyć sobie samemu jej zachowanie. Może bała się patyczaka, bo był zazdrosny i nie trzymał afektu, kiedy zaczynał podejrzewać swoją partnerkę o zachowania niegodne osoby będącej w związku, zwłaszcza w związku z nim? Zazdrość to straszna rzecz. Zaślepia i to jest chyba główny problem. To zapewne dlatego patyczak nie zauważył, że to ruda trzymała rękę na moim ramieniu, a nie ja na jej, i to ruda leżała na mnie, a nie ja na niej. Jednak nie chciało mi się niczego tłumaczyć, nikomu: ani sobie, ani facetowi za mną. Podniosłem do ust szklankę, zapominając, że jest już pusta, bo przed chwilą leżała na blacie. No, ale to rozumiałe – w końcu byłem pijany.

– Wychodzimy! – zażądał patyczak.

Parsknąłem do szklanki, nie przejmując się zupełnie sytuacją.

– To wychodźcie – odpowiedziałem lekko rozbawiony, wierzchem dłoni ocierając usta ze

śliny. – Czy ja was zatrzymuję?

– My dwaj wychodzimy! Ale już! Bo ci wpierdolę na miejscu!

Poczułem, jak tężeją mi mięśnie i rośnie mi ciśnienie. Ktoś tu zaczynał mnie wkurwiać. Szklanka była już pusta, rachunek opłacony, nie było więc przeszkód, żeby opuścić lokal. Patyczak też nie stanowił przeszkody, trząsał się ze złości, nie mogąc się doczekać, aż zwlekę tyłek ze stołka i pójdę z nim na zewnątrz, by po dżentelmeńsku mógł dochodzić satysfakcji. Rudej udzielił się jego zapał, patrzyła na niego błyszczącymi oczami. Wyzierało z nich chyba szczęście, że wszystko poszło w tę, a nie inną stronę. Podejrzewam, że gdyby patyczak zauważył, jak było naprawdę, jego gniew skupiłby się na niej, a nie na mnie, a żądanie satysfakcji skończyłoby się paroma sińcami, ale u rudej.

Wstałem i chwiejnym krokiem ruszyłem ku szatni. Nie licząc wyjść do toalety, siedziałem od kilku godzin, więc mięśnie miałem nieco zdrętwiałe. Po przejściu tych kilku metrów rozruszałem nogi na tyle, że mrowienie ustąpiło i mogłem iść już niemal normalnie. Patyczak siedł obok mnie, dysząc przez nos jak wkurzony buhaj. Ruda szła z tyłu i pewnie zacierała rękę.

Oddałem łyseму w szatni numerek i wziąłem swoją kurtkę.

– Wyjdzie człowiek na chwilę do klopa i już mu dziewczynę odbijają – powiedział patyczak do szatniarza. – Kmiotów trzeba uczyć szacunku do kobiet, no nie?

Wzrok szatniarza pozostał obojętny, nawet nie prześliznął się po naszych twarzach.

Podziwiałem pewność siebie patyczaka. Ludzie prezentujący w życiu taką postawę mają pewnie łatwiej. Przeważnie wszystko im się udaje, a nawet jak coś im nie wyjdzie, składają to na karb braku szczęścia, niekompetencji innych, nigdy swojej. To wygodne. Wiem coś o tym, też taki jestem. Nie, nie jestem, byłem. Życie dało mi naukę. Prędeż czy później każdemu da. Moją nauką był motocyklista na parkingu, a kto będzie nią dla patyczaka? Widząc jego wykrzywione złością i pogardą usta, postanowiłem wziąć to brzemień na swoje barki. Kompleks sędziego czy co? I nie pomogło nawet to, że ostatni raz lałem się z kimś w podstawówce. W dodatku dostałem wtedy bęcki.

Włożyłem kurtkę i nie oglądając się, wyszedłem na dwór. Patyczak nie wziął swojej kurtki, widać zamierzał wrócić, a ja nagle zmieniłem zdanie. Mimo wszystko postanowiłem dać mu ostatnią szansę. Czasem potrafię wzbudzić w sobie odruch człowieczeństwa.

– Dajcie mi spokój – powiedziałem do czającego się za mną typa. – Chcę iść do domu.

– Myślisz, że tak łatwo się wywiniesz? – syknął patyczak, podchodząc do mnie z zaciśniętymi pięściami. – Było nie zaczepiać mojej kobiety, kutasie!

To nie było ładne. Ani mądre. Byliśmy mniej więcej tego samego wzrostu. On był mizerny, ja wyglądałem podobnie. W trakcie tułaczki po szpitalach straciłem jakieś piętnaście kilo, odrobiłem niecałe pięć, ale wcześniej ważyłem ponad sto. Nawet teraz byłem jakieś dwadzieścia kilo cięższy od niego i powinien wziąć to pod uwagę. Nie wziął, a błędy lubią się mścić. Kolejny raz zmieniłem zdanie. Dzisiejszego wieczoru byłem niezwykle chwiejny emocjonalnie, jak kobieta przed miesiączką.

Nie czekałem dłużej, tylko wyprowadziłem prawy prosty w jego nos. Taki ruch nazywa się atakiem wyprzedzającym i jest to bardzo skuteczna forma obrony. Usłyszałem chrupnięcie, a potem krótki, głuchy okrzyk zaskoczenia i bólu. Patyczak usiadł na ziemi.

Siedział z szeroko rozrzuconymi i wyprostowanymi nogami, jedną ręką trzymając się za krwawiący nos, a drugą podpierając się o bruk. Wyglądał jak pajacyk rzucony na ziemię przez znudzone nim dziecko. I pomyśleć, że to wszystko przez kobietę... Ruda stała z rozdziawionymi ustami, patrząc to na niego, to na mnie. Wzruszyłem ramionami, odwróciłem się i poszedłem w stronę postoju taksówek.

– Ty sukinsynu! – usłyszałem za sobą, ale nie zareagowałem.

Odwróciłem się dopiero, kiedy poczułem na tyłku jakieś ukłucie. Ruda stała na szeroko rozstawionych nogach, pochylona, z torebką dyndającą na pasku ściszanym w zaciśniętej pięści. Wysunęła podbródek do przodu, pokazując dolne zęby. Drugie kopnięcie było bolesne. Obcas jej szpilki wbił mi się w wewnętrzną stronę lewego uda, jakieś dziesięć centymetrów od najwrażliwszego miejsca w ciele mężczyzny. Zrobiło się nieprzyjemnie. Patyczak, wyłączony z gry na dobre, wciąż siedział na bruku i jęczał, ale ruda miała w oczach żądzę krwi. Następny cios stopą był godny samego Bruce'a Lee. Jej wrzask też. Nie mam pojęcia, jak zdołała utrzymać równowagę na jednej, obutej w szpiłkę nodze, drugą, całkiem wyprostowaną, mając na wysokości mojego nosa. Odchyliłem się i złapałem za but. „Równowaga, głupcze!” – powiedział ktoś i miał rację. Wystarczyło przekręcić nogę rudej o dziewięćdziesiąt stopni, żeby wylądowała na ziemi całkiem niedaleko od patyczaka. Jej ręka głośno plasnęła o bruk. Patyczak nawet nie zwrócił na to uwagi, zresztą nic pewnie nie widział przez łzy w oczach.

– Kutas! – usłyszałem za sobą wściekły, pełen bezsilności wrzask rudej.

– Przecież mówiłem, że nie palę – mruknąłem do siebie i powlokłem się w stronę przejścia prowadzącego na Jagiellońską.

Byłem spokojny i wyluzowany. No i trochę wcięty. Zawsze twierdziłem, że sprawcą wszelkiego zła na tej ziemi jest alkohol. A czasami kobiety. Ale umówmy się: takie rzeczy jak spuszczenie wpierdol jakiemuś dupkowi pozwalają mężczyźnie uwierzyć w siebie. I z tą konkluzją, a także z ciężką głową i jeszcze cięższym żołądkiem zostawiłem patyczaka i jego damę daleko za sobą, na bruku przed „Kafe Tango”, gdzie przeżywali gorycz porażki. Powlokłem się na postój taksówek, tym razem dotarłem do niego wreszcie bez przeszkód. Piętnaście minut później byłem już w domu; tak zmęczony, że nie miałem nawet siły na prysznic. Walnąłem się do zimnego łóżka z dawno niezmienianą pościelą i zasnąłem kamiennym snem.

Następnego dnia znów pojechałem do „Kafe Tango”. Efekt był podobny do tego z poprzedniego wieczoru, czyli żaden. Na szczęście nie przydarzyła mi się już przygoda podobna do tej wczorajszej, nikt mnie nie zaczepiał, nikt niczego ode mnie nie chciał. Słuchałem Ala Bano i Rominy Power oraz innych wykonawców, którzy o swoich sukcesach w branży muzycznej opowiadają już wnukom albo nawet prawnukom. Oparty stopami o rurę biegnącą wzdłuż baru, tyłkiem o hoker, a łokciami o kontuar sączyłem niespiesznie piwo, rozglądając się leniwie dookoła. Leśniewski nie pojawił się, za to ja znów wracałem do domu o kilka dych w portfelu lżejszy, w dodatku opity piwskim.

Mimo to nie poddawałem się.

* * *

Poprzednie niepowodzenia rozleniwiły mnie do tego stopnia, że na trzeci dzień zjawiłem

się w „Kafe Tango” grubo po dwudziestej trzeciej. Dziś z Mileną roztrząsaliśmy wydarzenia związane z moim dzieciństwem i dorastaniem, podczas sesji spięliśmy się lekko w kwestii ich wpływu na moje życie. Wychodziłem od niej lekko podminowany i wieczorem zamierzałem przemyśleć jeszcze to, co powiedziała. To nie tak, że zawsze musiała mieć rację. Ale ja też nie i świadomość tego sprawiała, że czułem się lepszy. W końcu nie każdy potrafi zdobyć szczyt obiektywizmu, obiektywizmu wobec siebie. Przeważnie wszyscy kończą wspinaczkę u jego podnóża, przekonani, że wystarczy na niego popatrzeć z tego miejsca, gdzie są. I dlatego właśnie chciałem to przemyśleć. Spojrzeć na to ze szczytu. Tak obiecałem Milenie.

W klubie było już tłoczno i gorąco. Wchodziłem do środka z mocnym postanowieniem unikania piwa i byłem tą myślą tak pochłonięty, że z zaskoczenia prawie ukloniłem się Leśniewskiemu, na którego wpadłem przy barze. „Malecha” siedział na hokerze z szeroko rozchylonymi, niczym do porodu kolanami, pił chyba whisky albo rum, w każdym razie coś z colą, i rozglądał się po parkiecie. „Lichy” siedział obok niego, patrząc spode łba na strumienie ludzi przepływające wokół nas we wszystkich kierunkach: w tańcu, w kręceniu się bez celu czy w rozpaczliwym biegu do toalety. Rulewscy stali oparci o kontuar kilka metrów dalej i pili to, czego ja miałem dziś nie pić.

Ci dwaj, Leśniewski i Lichota, tworzyli naprawdę dziwną parę. Coś jak dyrektor cyrku, który wyprowadził na spacer ulubioną małpę. Obaj w przeciwieństwie do mnie byli świetnie ubrani, a z oczu wyzierała im pycha i pogarda dla maluczkich, śmierdzących obok nich. Sącyłem gin z tonikiem i starałem się nie patrzeć w ich stronę.

Miałem plan.

Wiedziałem, że nie podejść do Leśniewskiego ot, tak i nie zagadam do niego. Lichota zrobi ze mną to, co ja przedwczoraj z patyczakiem, albo nawet gorzej: wdepcze mnie w parkiet, zanim w ogóle zdążę otworzyć usta, a potem dobiegną Rulewscy i na plamie, która ze mnie zostanie, zatańczą radosne pogo. Ale miałem nadzieję, że któryś z nich wyjdzie w końcu na papierosa na zewnątrz. Nawet jeśli zrobią to razem, będzie mi łatwiej niż tu, w środku, bo zagadam do nich z dala od „Malechy”. Doczekałem się po kwadransie. „Lichy” spojrzał na szefa, ten skinął mu głową. *Idź, małpko, idź, tylko wracaj szybko.* Zakląłem w myślach. Szkoda, że to właśnie on, a nie któryś z Rulewskich, ale trudno. Trzeba realizować plan. Piąć się po szczeblach drabiny, zaczynając jednak od „Lichego”, a nie sięgać szczytów, mając zbyt krótkie nóżki. I Rulewskich w pobliżu.

Lichota wyszedł na zewnątrz, a ja kilkanaście sekund później zrobiłem to samo. Nie wziąłem z szatni kurtki, więc kiedy wyszedłem z rozgrzanego wnętrza na ciemny dziedziniec, zimno oblepiło mnie swoimi mackami, wślizgując się pod koszulę i nogawki spodni. Zadrżałem, sam nie wiem, właśnie z zimna, czy raczej z powodu tego, co miałem zaraz zrobić.

Kiedy w ciemności nocy dostrzegłem ognik żaru papierosa, jarzący się pod ścianą kamienicy, skierowałem się w tamtą stronę. Mająca w mroku sylwetka odpowiadała kształtom Lichoty. Podeszedłem do niego, uspokajając siłą woli szalejące w piersi serce. A miałem się nie denerwować... Zobaczyłem, jak Lichota tężeje, widząc, że się do niego zbliżam. Raz kozie śmierć, Suderowi dwa razy – pomyślałem i zagadałem do małpy:

– Chcę porozmawiać z „Malechą”.

Odpowiedziała mi cisza. Staliśmy rozdzieleni dość wyraźną granicą cienia: ja obleczony marną, ale zawsze jakąś poświatą mizernej lampy znad wejścia do klubu, „Lichy” natomiast tonął w absolutnej, kosmicznej czerni. A teraz w ciemności przede mną jarzyły się już trzy punkciki: żar papierosa i para oczu, łyskających dziko białkami.

– Przekaż mu, że chcę z nim porozmawiać – powtórzyłem. – I że to bardzo ważne. Nazywam się...

– Nie znam. – Usłyszałem mokry odgłos strzyknięcia śliną przez zęby i koło moich stóp wylądowała lepka pacyna. – Spierdalaj, koleś.

Spojrzałem na glut, ciesząc się, że nie dosięgnął moich świeżo wypastowanych butów, które tutaj, w „Kafe”, były na wagę wejścia. Głos „Lichego” mnie oczarował. Był głęboki, pięknie ustawiony, starannie modulowany i równie starannie wymawiał głoski. Gdzieś już słyszałem podobny, ale w tej chwili nie potrafiłem przypomnieć sobie gdzie. To musiało być dawno temu. A ten głos, a w zasadzie jego ton i modulacja, faktycznie mogły świadczyć o inteligencji jego właściciela. Zasób słownictwa świadczył o tym nieco mniej, ale z takim głosem Lichota mógłby spokojnie szukać zatrudnienia w radiu albo telewizji. Co prawda w tym drugim medium wyłącznie jako lektor, bez prawa wejścia na wizję, ale zawsze.

Barwa głosu to jedno, lecz znaczenie wypowiedzianych nim słów to już zupełnie inna rzecz. Zorientowałem się, że źle zacząłem.

– W porządku. – Westchnąłem. – Chciałbym widzieć się z panem Leśniewskim w bardzo ważnej sprawie. Tu jest moja wizytówka... – Sięgnąłem do kieszeni koszuli.

Teoretycznie byłem przygotowany na to, co wydarzyło się chwilę potem, ale to i tak zawsze jest szokiem. Lichota to nie patyczak. Uważałem się za człowieka mającego w życiu sporo szczęścia, a to, że przeżyłem tam, na parkingu, tylko utwierdziło mnie w tym przekonaniu. Ale mogło być również tak, że tym razem moje szczęście zostało w „Kafe Tango”. Wenk też był przekonany, że jest szczęściarzem, i co?

Z ciemności wychynęła wielka jak bochen ręka i wciągnęła mnie w strefę mroku. Niebieski kartonik z logo policji i moimi danymi wypadł mi z ręki, pofrunął na ziemię i cicho pacnął o bruk; tak cicho, jakby nie śmiał nam przeszkadzać. Ogarnęła mnie ciemność i poczułem smród papierosa, buchający „Lichemu” z ust. Dla kogoś, kto rzucił palenie, ten smród jest sto razy bardziej obrzydliwy niż normalnie.

– Przewentylować ci uszy, chuju jeden? – Nawet teraz głos „Lichego” brzmiał cudownie; mógłbym go słuchać całą noc.

Poczułem na skroni coś zimnego, o wiele zimniejszego niż otaczające nas powietrze i mrok. Kątem oka zobaczyłem matowy refleks światła na czarnej stali i poczułem, jak kurczy mi się moszna, a włoski na karku stają dęba. Glock. Taki jak na wyposażeniu naszej policji. Chichot losu.

– Nieodbezpieczony – kwiknąłem, usiłując spowodować, żeby uścisk jego przedramienia na mojej szyi nieco zelżał. Choć odrobinę.

– Chcesz mnie sprowokować? – zapytał Lichota i usłyszałem ciche kliknięcie bezpiecznika. „Lichy” zrobił to bardzo fachowo, kciukiem, a broń nie zmieniła pozycji.

– Nieprzeładowany – zacharczałem, ryzykując tym razem o wiele więcej.

– Zawsze jest przeładowany, kutasie – wysyczał mi do ucha. – Zawsze.

Tak właśnie sobie pomyślałem, kiedy zobaczyłem, że to Glock. Ten model ma trójstopniowy system zabezpieczeń, który pozwala bezpiecznie przenosić go z nabojem w komorze, niwelując ryzyko przypadkowego wystrzału niemal do zera.

– Przekonałeś mnie – sapnąłem i oklapłem, dając mu wyraźny sygnał, że się poddaję. – Naprawdę mnie przekonałeś...

Puścił mnie. Upadłem na bruk, kaszląc i prychając. Lichota stał nade mną, rozglądając się na boki, czy przypadkiem ktoś nie widział całego zajścia. Na szczęście świadków nie było. Na szczęście dla niego i na szczęście dla mnie.

– Tylko nie w głowę – zdążyłem zakwilić, kiedy zobaczyłem jego nogę, biorącą potężny zamach.

Zasłoniłem ten mój głupi łeb, odsłaniając brzuch. Lichota zobaczył to i wykorzystał sytuację. Czubek jego eleganckiego buta wbił się w mój żołądek i zanim zalała mnie fala bólu, zdążyłem w myślach pogratulować sobie decyzji, że dziś piwo sobie daruję. To była dobra decyzja. Innych myśli już nie było. Zniknęły, kiedy straciłem dech w piersiach i zacząłem charczeć, czując, że odchodzę tam, skąd nie tak dawno temu wyrwały mnie złote ręce profesora Schwimmera. Trwało to kilka albo kilkanaście minut, a może nawet parę lat, bo chyba o tyle się w tym czasie postarzałem. Kiedy wróciłem do świata żywych, Lichoty już nie było. Pozbierałem się z ziemi, usiłując powstrzymać wymioty, podniosłem swoją wizytówkę, dmuchnąłem na nią i wytarłem ją z kurzu, a potem zgięty wpół pobiegłem w stronę ulicy. Odetchnąłem z ulgą. Czarny mercedes stał zaparkowany po buruńsku na chodniku. Musiał należeć do „Malechy”. Korciło mnie, żeby sprawdzić, czy na tylnej kanapie są plamy, ale koniec końców, dałem sobie spokój. Założyłem, że to jego, i wystarczy. Wróciłem do „Kafe” po kurtkę. Ubierając się koło szatni, zapuściłem żurawia do wnętrza lokalu. Dyrektor cyrku i jego małpa byli na miejscu. Braci Rulewskich nie widziałem, widać szaleli gdzieś na parkiecie przy muzyce, która powstała, zanim w ogóle ktoś ich zaplanował.

Plan wymagał małej modyfikacji. Wiedziałem już, że nikt nie dopuści mnie do Leśniewskiego dobrowolnie, jak zakładałem wcześniej. Nie było sensu czekać, aż na fajkę wyjdą Rulewscy. Lichota pewnie opowiedział im o mnie. Trudno. Nie pozostało mi nic innego, jak wprowadzić plan B.

Zerknąłem na zegarek. Do północy zostało kilka minut. Zapiąłem się szczelnie po samą szyję i opuściłem przybytek, kierując się w stronę Jagiellońskiej. Tam przyczałem się w sąsiedniej bramie, mając na oku mercedesa. Czekałem. Do tej pory wszystko szło jak po maśle. Mniej więcej. Gdyby nie obite trzewia, byłbym się nawet uśmiechnął do siebie, ale jakoś nie miałem ochoty. Przypomniałem sobie smród buchający z ust „Lichego” i zachciało mi się palić. Zdusiłem w sobie to pragnienie, włożyłem ręce do kieszeni, żeby mi nie latały z zimna i emocji, i drżąc jak osika, czekałem...

* * *

Wyszli niecałą godzinę później. Zadowoleni, podchmieleni, rozluźnieni i z osłabioną czujnością. To zabawne, że większość zabójstw na zlecenie dokonywanych na gangsterach odbywa się w takich okolicznościach. A jeszcze zabawniejsze jest to, że następnymi nie wyciągają z tego żadnych wniosków. Absolutnie żadnych. No, chyba że Leśniewski

naprawdę był tylko biznesmenem obracającym się po prostu w nieodpowiednim towarzystwie...

Kiedy „Lichy”, jak przystało na porządnego goryla, otwierał Leśniewskiemu tylne drzwi mercedesa, ruszyłem z bramy, wciskając ręce głęboko w kieszenie, a podbródek w postawiony kołnierz zimowej kurtki. Wyglądałem jak lekko zawiany gość, który chce dotrzeć do domu, zanim alkohol na dobre zabije w nim chęć powrotu w domowe pielesze, rozbudzając zamiast tego żądę przygód. Rulewscy stali przy zaparkowanym kilka aut dalej granatowym bmw i palili papierosy. Kiedy mijałem Lichotę, nagle zatoczyłem się w jego stronę i przyparłem go do otwartych na oścież drzwi.

– Co jest, kurwa? – zapytał z bezbrzeżnym zdumieniem w głosie.

– To jest, kurwa! – powiedziałem, wyciągając mu broń z kabury i odbezpieczając ją w tym samym momencie.

Nie przyłożyłem mu lufy do czoła ani nie zrobiłem niczego tak głupiego, co pozwoliłoby mu opanować sytuację. W końcu był wyszkolonym zabójcą, i to pewnie z praktyką. Po prostu wcisnąłem mu broń szczelnie pod pachę i przywarłem do niego całym ciałem w taki sposób, żeby wiedział, że cokolwiek zrobi, i tak zdążę strzelić. Czy walnie mnie z dyńki, czy załatwi fachowym chwytem albo rzutem jakiegoś systemu walki, ja zawsze zdążę, bo glock jeszcze przez chwilę pozostanie wciśnięty w jego lewą pachę. A skoro był inteligentny, to wiedział też, co się stanie, kiedy strzelę z broni o zatkaną jego cielskim lufie. Ja być może stracę palce, ale on coś więcej. Chyba nie był z gatunku półgłówków, którzy sądzą, że można chodzić z nawet pięcioma kulami w ciele i tylko syczeć co jakiś czas z bólu, jak człowiek, który zaciął się kartką papieru albo skaleczył maszynką do golenia. Skoro był w Legii Cudzoziemskiej, to wiedział, czym jest prawdziwy ból.

Taką przynajmniej miałem nadzieję.

– Przeładowany, prawda? – Uśmiechnąłem się do „Lichego”.

Rozpoznał mnie. W oczach miał czystą nienawiść, gdyby wzrok mógł zabijać, nie żyłbym już ja i moi wstępnicy do trzeciego pokolenia wstecz. Mimo że już nie żyli.

– Przysiędę się, jeśli pan pozwoli, panie Leśniewski – rzuciłem do wnętrza wozu. – Jeśli pan nie pozwoli, też się przysiędę. Rulewscy jadą grzecznie do domciu. Zobaczą ich samochód koło nas, to w mercedesie będą świstać kule, jasne?

Z wnętrza samochodu dobiegły mnie jakieś słowa, ale ich nie zrozumiałem. Może były wypowiedziane za cicho, a może zagłuszył je łomot krwi w moich skroniach i uszach. Usłyszał je za to Lichota.

– Do domu i czekać na telefon! – Odwrócił głowę i zawołał głośno do Rulewskich, przekazując im słowa szefa.

Jako że byłem ukryty za potężnym ciałem Lichoty i prawie nie wystawałem ponad jego ramieniem, ci dwaj mnie nie widzieli.

– Co?! – zawołał jeden z braci.

– Jajco! – Opanowanie Lichoty powoli znikało. – Wypierdalać do chaty. Już!

Rulewscy nie dyskutowali. Rzucili niedopałki na chodnik, wsiedli do beemy, która po chwili ruszyła z piskiem opon i pognęła w stronę centrum. Wepchnąłem „Lichego” do środka samochodu, na tylną kanapę, zatrzasnąłem za nim drzwi, a sam szybko zająłem miejsce z przodu, na siedzeniu pasażera. Odwróciłem się błyskawicznie i wymierzyłem

broń w przestrzeń między nimi. Musiałem być ostrożny, jak powiadają: Lichota nie śpi.

– Przysuńcie się do siebie, ręce leżą na udach, widzę je cały czas. – Słowa wylatywały z moich ust z prędkością dostępną tylko Hance Bielickiej, ale nerwy robią swoje. – Żadnych numerów. Nie jestem cynglem, chciałem z panem porozmawiać, panie Leśniewski, ale pański kolega nie dał mi dojść do słowa, jeszcze to czuję w żołądku. – Podałem Leśniewskiemu swoją wizytówkę i poczekałem, aż ją przestudiuje.

Mina mu się wydłużyła, kiedy zobaczył ośmioramienną policyjną gwiazdę, którą refreshing speców od marketingu zmienił nie do poznania. Kiedy odwrócił wizytówkę i zobaczył, kim jestem, przestał cokolwiek rozumieć. Spojrzał tylko na „Lichego” i pokręcił głową, a potem strzelił go w twarz. Otwartą dłonią i niezbyt mocno. Lichotę bardziej zabolala duma niż neandertalska facjata, ale wiedziałem, że moje notowania u niego właśnie osiągnęły dno, z którego już się nie odbiją. Byłem świadkiem jego upokorzenia i to mu się nie podobało. Mnie zresztą też. Walenie faceta z liścia jest uwłaczające, tak uważam.

– Na początku wyjaśnię sytuację – powiedziałem, opierając rękę z bronią o siedzenie i zapierając się łokciem o zagłówek.

Równocześnie zasłoniłem broń drugą ręką przed wzrokiem ciekawskich przechodniów, którym mogłoby przyjść do głowy zerknąć do wnętrza auta. Kiedy upewniłem się, że panuję nad sytuacją, kontynuowałem:

– Ta krępująca sytuacja nie miałaby miejsca, gdyby nie nerwowa i grubiańska reakcja pana Lichoty. Na dowód moich czystych intencji wykonam teraz gest kompromisu.

Sięgnąłem lewą ręką do rękojeści pistoletu i zwolniłem zatrzask magazynka. Wysunął się, zjechał po oparciu fotela, odbił się od miękkiego siedziska i z głuchym stukiem upadł na podłogę, gdzieś pod deskę rozdzielczą. W brzuchu miałem stalową kulę. Ciężyła mi niemiłosiernie, tak jak pistolet, w którym pozostał nabój. Tkwił w komorze, był moim atutem i ubezpieczeniem.

I był tylko jeden. Jeden jedyny. Wiedzieliśmy o tym wszyscy trzej.

– Cóż. – Uśmiechnąłem się nieco nerwowo. – Szanse powoli się wyrównują, co? Mimo wszystko nie radzę niczego próbować. Wyłuszczam sprawę, gadamy sobie i znikam. Pewnie dziwicie się, dlaczego robię to w taki sposób? Ano dlatego, że nie widzę innego, zwłaszcza po bliskim spotkaniu z flekiem pana Lichoty. Czy wiem, że ryzykuję? Och, ostatnio ryzyko to moje drugie imię. Zastanawiam się nawet, czy nie zmienić go na pierwsze. Czy wiem, co być może grozi mi z waszej strony, kiedy już się rozstaniemy? Jak najbardziej, nie jestem idiotą, choć pewnie myślicie, że jednak jestem, skoro robię to, co robię. Ale tylko pozornie, moi panowie. Słyszeliście o szczecińskim gliniarzu, któremu rozwalili rodzinę i którego prawie wysłali na tamten świat?

Pokiwali w milczeniu głowami.

– No właśnie. Oto jestem. Powiem więcej: moja podróż na tamten świat wciąż trwa, choć zapewne niezbyt długo. – Popukałem się lekko w głowę. – Kula, która została w moim mózgu, w każdej chwili może zmienić położenie i dokończyć to, co zaczęło się kilka miesięcy temu. W każdej chwili, rozumiecie? Patrzycie na człowieka, który nie ma nic do stracenia. Nic. Nawet jeśli dorwiecie mnie za kilka dni, tygodni czy miesięcy, żeby dokonać słodkiej zemsty, to nie będzie miało znaczenia. Bo tylko dopełnicie tego, co

nieuchronne. Nawet jeśli dożyję tego momentu, w co wątpię... – uderzyłem w smutny ton, bo choć Schwimmer wspominał nawet o trzydziestu latach, oni nie musieli o tym wiedzieć – ...skończą się moje cierpienia i rozterki.

– Pomożemy ci je skończyć – warknął Lichota. – Bardzo, kurwa, chętnie.

– Zamknij się, „Lichy” – rzucił cicho „Malecha”.

– A, dziękuję. – Skinąłem uprzejmie Lichocie. – Stan psychiczny, w jakim się obecnie znajduję, ma w sobie coś z boskości, wiecie? Czuję lekki strach, ale też moc, wielką moc wynikającą z faktu, że bez względu na to, co zrobię, uniknę konsekwencji. Naprawdę dziwne uczucie... Ale przedtem mam do załatwienia jeszcze tylko jedną rzecz, panowie. Planuję dorwać skurwysyna, który mi to zrobił. Ręce widzę, „Lichy”. – Przerwałem nagle swój wywód, widząc, jak lewa dłoń Lichoty znika powoli za jego biodrem.

Może coś kombinował, a może po prostu chciał tylko podrapać się w tyłek? Nie miałem pojęcia, ale nie miałem również zamiaru ani ochoty tego sprawdzać. Kiedy wielka łapa z powrotem pojawiła się w polu mojego widzenia i grzecznie spoczęła na udzie, wróciłem do przerwane go wątku.

– Nie zamierzam wymierzać sprawiedliwości na własną rękę, od tego są odpowiednie organy i służby. Tak, wiem, jak to brzmi, ale mimo wszystko jestem policjantem. Jeszcze... Chodzi o to, że ja chcę wiedzieć, rozumiecie? Dowiedzieć się kto i przede wszystkim – dlaczego. I po to właśnie się spotkaliśmy. A skoro już wyjaśniliśmy sobie wszystko dogłębnie, to pora przejść wreszcie do rzeczy.

– Co ja mam z tym wspólnego? – odezwał się Leśniewski.

– Mam nadzieję, że nic – odpowiedziałem, mocniej zaciskając dłoń na glocku. – Choć różnie to może być...

Dopuszczałem przecież możliwość, że zlecenie na mnie wyszło od „Malechy”. Ale przecież Leśniewski nie przyzna mi tego wprost.

– Że jak? – Jego mina wyrażała święte oburzenie. – Że co, że niby ja pana kazałem odpalić? Zwariował pan?

– Nic takiego nie powiedziałem. – Wzruszyłem ramionami, bo faktycznie nie było o tym mowy, choć ja myślałem o tym coraz więcej. – Już mówię, o co chodzi. Niejaki Bogutowicz. Zna pan to nazwisko?

„Malecha” oblizał usta.

– Znam – odpowiedział.

– Miał coś wspólnego z panem?

– Pracował dla mnie – przyznał Leśniewski.

Odetchnąłem z ulgą. Gdyby odpowiedział na moje pytanie przecząco i równocześnie na tyle przekonująco, że bym mu uwierzył, cały ten cyrk, który urządziłem, nie miałby za grosz sensu. Musiałbym grzecznie przeprosić „Malechę” za ekscesy i zajęcie jego cennego czasu, licząc, że konsekwencje nie będą bolesne.

– Już dla pana nie pracuje? – pytałem dalej jak gdyby nigdy nic.

– Nie.

– Bo? – Ta lakoniczność wypowiedzi zaczęła mnie lekko wkurzać. – I proszę o nieco bardziej rozbudowane odpowiedzi. Skończymy wtedy szybciej. Chyba nam wszystkim na tym zależy?

Oczywiście znałem odpowiedź, ale chciałem usłyszeć ją od niego. Leśniewski westchnął i uciekł spojrzeniem w bok.

– Bo jest martwy.

– O! – Udałem zdziwienie. – Wypadek czy sobie zasłużył?

– Może i zasłużył.

– U pana?

„Malecha” spojrzał na mnie z czymś w rodzaju rozbawienia w oczach.

– Normalny pan jest, panie inspektorze? – zapytał.

– Ustaliliśmy już, że nie do końca – przyznałem.

– Naprawdę sądzi pan, że odpowiem na takie pytanie?

– Racja, w takim razie inaczej. Czy zaszły okoliczności skłaniające pana do podjęcia decyzji o zakończeniu współpracy z tym człowiekiem? A jeśli tak, to z jakich względów?

– Nie zaszły. Po prostu zniknął, a potem okazało się, że ktoś nakarmił nim ryby w Odrze. Nie mam z tym nic wspólnego.

Nie znam się, ale jego słowa i wyraz twarzy wyglądały na szczere. Miał twarz Shreka: nieco pospolitą, pełną łagodności i... szczerą. Jak to pozory czasem myślą...

– Tylko pan przeżył akcję w porcie – zauważyłem. – Dwóch pańskich ludzi, „Zięty” z kolegą, i dwóch Turków poległo na placu boju, że się tak wyrażę. Paru gliniarzy również.

– Co z tego? – Wzruszył ramionami.

– Policja dobrze wie, że pan też tam miał być, niech pan nie zaprzecza. Ja też to wiem.

– Gadka, szmatka. Gdzie dowody?

– A, to inna sprawa – zgodziłem się. – Ale faktem jest, że pana tam jednak nie było.

– Czysty przypadek – przyznał w końcu, uznając widać, że może sobie na to pozwolić. – Córka rodziła trochę za wcześnie.

Ostatnie zdanie wymruczał cicho, jakby był lekko skrępowany. Nie wiem czym: tym, że rodziła przedwcześnie, czy tym, że wolał być z nią, niż finalizować transakcję narkotykową.

– Wnuk czy wnuczka?

– Darujmy sobie te głupawe grzeczości, co?

– Słusznie, przecież głównie mnie to obchodzi. Chciałem być miły, tylko sam nie wiem po co...

– Długo jeszcze?

– Pan wybaczy, panie Leśniewski, wiem, że przywykł pan raczej do tego, że to pan ustala zasady. Ale ten jeden raz pan musi przecierpieć. – Upajałem się swoją władzą.

I chyba też nieźle się bawiłem. Przecież potwierdziłem, że nie jestem do końca normalny, a dodatkowy stres, niczym narkotyk, czynił mój stan niemal ekstatycznym doznaniem. To nie było zdrowe i wiedziałem o tym, ale nic sobie z tego nie robiłem. Opanowała mnie jakby euforia. Coś jak narkoza azotowa u nurka. Przekraczasz pewną granicę. Ostatnią, bo dalszych granic już nie ma. Nie istnieją. Dalej jest już tylko ekstaza, głębia i śmierć.

– Bogutowicz wiedział o transporcie ze Stralsundu? – zapytałem.

„Malecha” zastanawiał się przez dłuższą chwilę, czy odpowiedzieć mi na to pytanie.

– Wiedział – wydukał w końcu.

Doceniłem to, bo przecież mógł nie odpowiadać albo skłamać.

– Data, ilość, pozostałe szczegóły?

Leśniewski pokiwał głową.

– Okej, to mi wystarczy. Temat portu wyczerpany...

Milczałem przez chwilę, a potem zapytałem:

– Nie ma pan kłopotów?

– W jakim sensie?

– Turcy nie pytali, o co w tym wszystkim chodzi?

– To moja sprawa – warknął i spojrzał w okno. – Gównu panu do tego.

Był jedyną osobą zamieszaną w deal, która przeżyła. To mogło dać Turkom wiele do myślenia.

– Czyli pytali... – dowaliłem mu i uznałem kwestię za zamkniętą.

Leśniewski wciąż gapił się w okno, Lichota wciąż gapił się na mnie. Nieruchomo i nie mrugając powiekami. Wyglądał jak wąż wyczekujący momentu dogodnego do ataku.

– Czy Bogutowicz miał ostatnio dziewczynę? – zapytałem jeszcze „Malechę”. – Taką na stałe?

I tak naprawdę, choć zostawiłem je na koniec rozmowy, to pytanie było chyba najważniejsze ze wszystkich, które do tej pory zadałem. Po to głównie chciałem porozmawiać z Leśniewskim.

– Co?

– Czy pannę miał?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? – „Malecha” był wyraźnie zaskoczony.

– Miał – mruknął nagle Lichota.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Mówił kiedyś. Niedawno nawet to było...

– Co konkretnie mówił?

– Że ma pannę na stałe. Że się zabujał w niej. Znaczący, kocha ją.

– A to takie dziwne?

– W jego przypadku? – odpowiedział pytaniem Lichota. – Tak. Raczej tak.

– Bo?

– Bo nigdy nie podejrzewałbym go o coś takiego.

– Tak dobrze się znaliście?

Lichota skrzywił się i niedostrzegalnie zerknął na swojego szefa.

–Przeważnie działaliśmy razem – mruknął.

– Rozumiem. – Pokiwałem głową. – A wasza robota jest często podobna do naszej, operacyjnej. Czekanie. Czekanie i sruchy-pogaduchy...

– Właśnie – przytaknął.

– Więc dlaczego nie podejrzewałbyś go o zakochanie się w dziewczynie?

– Nie był kochliwy. Ale za to lubił ruchać.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Pamiętałem, jak Agnieszka wspomniała, że jest jeszcze dziewicą. Czy TO stało się w okresie, którego nie pamiętam? Czy stało się w ogóle? I znów: czy to miało teraz jakieś znaczenie?

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Co cię tak to interesuje, glino? – Lichota zmarszczył brwi.

Leśniewski nie odzywał się, a jego ręce grzecznie spoczywały na masywnych udach.

– Skąd wiesz, „Lichy”? – powtórzyłem pytanie, wracając spojrzeniem ku jego nalanej twarzy.

– Jeździliśmy razem na dziwki. Zaliczał często dwie po kolei albo naraz i strasznie się tym jarał. Chyba miał nadmiar testosteronu.

– Znałeś tę jego pannę?

Pokręcił przecząco głową.

– Nie.

– A wiesz, jak miała na imię?

– Nie. Mówił o niej „moja dupcia”.

Znów to uczucie chłodu.

– Tak się mówi o swojej wielkiej miłości? „Moja dupcia”?

– On tak mówił. Co mnie zresztą obchodzi, jak on mówił o swojej pannie? Mówił różne rzeczy. Jej podobno powiedział, że jest, kurwa, kucharzem i kelnerem w restauracji. – Zarechotał nieprzyjemnie, a ja poczułem na twarzy drobiny jego śliny.

Nabrałem nagle ochoty, żeby zrobić mu to samo co przed chwilą „Malecha”, tylko pięścią, a nie otwartą dłonią. Wbić mu do gardła te krzywe, pożółkłe zęby, zmiażdżyć chrząstkę nosa, tak żeby zniknęła w jego mózgu, wyłączając go na zawsze, zetrzeć ten głupi uśmiech z brzydkiej, nieforemnej twarzy. Albo, oszczędzając siły oraz kości dłoni, po prostu wsadzić mu w usta lufę glocka i pociągnąć za spust, zmieniając tylną szybę mercedesa w malowniczy witraż z krwi, tkanki mózgowej i przyklejonych do nich włosów.

Lichota zauważył moją minę.

– Glina nam coś zamarkotniał – powiedział do Leśniewskiego.

Ten nie zareagował.

– Masz dzieci, „Lichy”? – zapytałem.

– Pewnie sporo. Byłem chyba w połowie burdeli we Francji. W paru afrykańskich wioskach też pewnie znalazłyby się jakieś Mulaty. – Roześmiał się.

– To dla ciebie powód do dumy?

Przestał się śmiać, ale na ustach został mu ten grymas; wredny, skurwysyński uśmieszek.

– Gównu cię to obchodzi, glino. Pytałeś, czy mam dzieci, to dałem ci odpowiedź. Ciesz się nią.

– Ja miałem jedno dziecko – powiedziałem cicho. – Córkę. Niedługo przed śmiercią poznała chłopaka, który był kelnerem. I kucharzem. Chciał otworzyć restaurację. Tak mówił. Ja też mam mówić dalej?

Lichocie uśmiech spełznął z ust. Przełknął ślinę i spuścił wzrok. Wzrok, nie głowę. Aż tak się nie przejął.

Zamilkłem. Z jakiegoś powodu Bogutowicz uwiódł mi córkę. Po co? Czy faktycznie był zdolny do zakochania się w kimkolwiek oprócz samego siebie? Czy naprawdę kochał Agnieszkę? Powiedział Lichocie o swojej dziewczynie, ale sądząc po reakcji ludzi po drugiej stronie lufy glocka, raczej nie wspomniał, czyją jest córką. To z kolei mogło dowodzić, że

istniał ku temu jakiś ważny powód. A ja nie miałem pojęcia co to za powód, mogłem się go tylko mgliście domyślać. Teoretycznie dostałem odpowiedź na najważniejsze pytanie, które chciałem zadać Leśniewskiemu, w dodatku dostałem ją nawet nie od niego, ale i tak mi ona niewiele dała. Choć niewiele jest przecież lepsze niż nic...

– Widzicie – powiedziałem w końcu. – Tyle zamieszania, a to tylko parę pytań. Przykro mi, panie Leśniewski, że tak to wyszło, ale nie miałem wyjścia, a byłem zdesperowany. Bardzo zdesperowany. Zresztą wspominałem już o tym, no nie?

„Malecha” odruchowo pokiwał głową, co uznałem za wyraz mojej lekkiej przewagi psychologicznej.

– Cóż, dostałem to, czego chciałem, w takim razie możemy się już pożegnać. Bez żalu, mam nadzieję? Poproszę z powrotem swoją wizytówkę i życzę dobrej nocy. – Wyjąłem ją Leśniewskiemu z ręki i sięgnąłem do klamki, nie spuszczając z oczu pasażerów mercedesa.

Lufa pistoletu wciąż skierowana była w ich stronę. Strzeżonego Pan Glock strzeże.

– Spotkamy się jeszcze – warknął Lichota, a jego oczy wciąż wpatrywały się we mnie nieruchomo. Już nie były spuszczone.

– Możliwe – powiedziałem, otwierając drzwi. – Ale mimo wszystko nie radzę. Bo musisz pamiętać o jednej rzeczy, „Lichy”. Kiedy się spotkamy, to ja wciąż będę tym, który nie ma nic do stracenia. Nic, rozumiesz? I nie bierz do siebie tego, co się dziś między nami wydarzyło. Jak dla mnie, jesteście kwita. Ciebie przynajmniej nie bolą bebechy.

Nie odpowiedział, tylko wpatrywał się we mnie wylupiastymi oczami. Wysiadając, nie wiedziałem, czy on też uważa, że jesteście kwita. Szczerze mówiąc, miałem co do tego poważne wątpliwości. Zanim trzasnąłem drzwiami, zabezpieczyłem glocka i wrzuciłem do środka, na przednie siedzenie. Nie było sensu przeładowywać go, żeby usunąć jedyny tkwiący w nim nabój. Koło nóg Leśniewskiego i Lichoty leżał cały, wypełniony nimi magazynek. Kto wie, może miałem przed sobą tylko parę sekund życia? Tylko tyle, ile potrzeba na załadowanie magazynka, przeładowanie broni, wycelowanie i naciśnięcie spustu? Szczerze mówiąc, nie dbałem o to za bardzo. Po prostu włożyłem ręce w kieszenie kurtki i ruszyłem przed siebie, czekając podświadomie na dwa dźwięki: otwarcia drzwi i wystrzału. Trzeciego: łoskotu upadającego na chodnik ciała, swojego ciała, już bym nie usłyszał. Pierwszy dźwięk, otwierania drzwi, usłyszałem kilkanaście sekund później. Serce przyspieszyło mi i poczułem, jak podnoszą mi się włosy na karku. Drugi dźwięk nie był wystrzałem, tylko zamknięciem drzwi. Najwyraźniej „Lichy” przesiadł się za kółko. Trzeci, ryk potężnego silnika, był głośny jak cholera. Mercedes minął mnie z taką prędkością, jakby miał zaraz przekroczyć barierę dźwięku. Kiedy zniknął mi z oczu, skręcając w Bohaterów Warszawy, ból brzucha stał się nie do zniesienia. Wróciłem truchtem na dziedziniec przed „Kafe Tango”, schowałem się w cieniu, oparłem rękę o ścianę, pochylałem się i opróżniłem żołądek. Ból zelżał, za to zaczęły mi się trząść nogi.

Byłem najprawdopodobniej jedynym człowiekiem na świecie, który mierzył do „Lichego” z broni i jeszcze żył. Kwestia tego, jak długo tak pozostanie, była inną sprawą. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że zrobiłem coś takiego. Ale, jak już wspominałem, nie byłem sobą. A na pewno nie byłem całkiem normalny.

I już pewnie nigdy nie będę...

Budynek na ulicy Księżnej Przybysławy, do którego wszedłem, był typową śródmiejską kamienicą. Stał wetknięty w pierzeję, zaniedbany i pozostawiony sam sobie, z upstrzoną łatami cementowego tynku elewacją. Tylko smętne resztki kutych balustrad balkonów połączonych smukłymi, zdobnymi słupkami świadczyły o jego dawnej świetności. Naprzeciwko znajdował się zajmujący cały kwartał ulic budynek Wydziału Budownictwa i Architektury Politechniki Szczecińskiej czy – jak się teraz to nazywało – Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego, a właściwie jego zaplecze.

Wspiąłem się po skrzypiących schodach na trzecie piętro i przyłożyłem palec do starego dzwonka, pod którym ktoś lata temu niemal wbił w tynk tabliczkę z nazwiskiem „Bogutowicz”. Teraz była zamalowana farbą i gdy tak wtapiała się w ścianę, wyglądała jak kartusz pośród hieroglifów na egipskim grobowcu. Nacisnąłem przycisk, dziwiąc się sobie, że zdołałem zapamiętać adres podany mi przez komisarza Lewandowskiego w zwykłej rozmowie. Profesor Schwimmer miał rację, mózg ludzki jest niezbadany. Zapamiętałem adres Bogutowicza, a zupełnie nie pamiętałem, jak wyglądał sam Schwimmer...

Wielkie drzwi otworzyły się po chwili i zobaczyłem w nich mężczyznę w koszuli w czarno-czerwonej kratę. Miałem taką dwadzieścia kilka lat temu. On zaś miał wąsy jak Wałęsa w czasach karnawału „Solidarności” i staranną zaczeskę na łysinie.

– Dzień dobry, policja. – Machnąłem legitymacją. – Pan Bogutowicz?

Kiwnął głową z lekkim zaskoczeniem widocznym na płaskiej twarzy.

– Pan w sprawie Marcina? – zapytał i w jego oczach zobaczyłem jakiś błysk.

– Tak – potwierdziłem oficjalnym tonem i chrząknąłem. – Mogę wejść?

Mężczyzna odsunął się w głąb mieszkania i wpuścił mnie do środka.

Dziwnie się czułem, wchodząc do mieszkania rodziców człowieka, który był kochankiem mojej córki. I bandytą. Normalne mieszkanie. Zapach smażonego mięsa, plastikowe panele na ścianach korytarza, obniżony sufit z płyty gipsowo-kartonowej z małymi lampkami, gres udający marmur i stare, ponemieckie, prawie trzymetrowe drzwi do przechodnich, ułożonych w amfiladzie pomieszczeń. I ten mężczyzna, stojący pod ścianą i bacznie mi się przyglądający. Oraz kobieta, która zjawiała się w drzwiach jednego z pokoi. Ludzie, którzy spłodzili bandytę. Czy byli winni temu, że nim został?

– To żona – powiedział krótko Bogutowicz.

Przedstawiłem się imieniem, nazwiskiem i stopniem. Kobieta podeszła do mnie i nie patrząc na męża, powiedziała do niego:

– Idź, oglądaj sobie film. Ja porozmawiam z panem.

Bogutowicz bez słowa sprzeciwu potulnie spełnił polecenie. Odprowadziłem go spojrzaniem, patrząc, jak jego fatalnie zamaskowana łysina i zgarbione plecy znikają za

drzwiami pokoju, z którego dochodziły dźwięki jakiejś muzyki.

– Proszę ze mną – rzuciła Bogutowiczowa, ale zabrzmiało to nie jak prośba, tylko jak rozkaz.

Poszedłem za nią. Weszliśmy do kuchni, wąskiej, wysokiej i ciemnej. Nowe meble kontrastowały z pożółkłymi od gazu ścianami i lastrykową posadzką. Pod oknem wychodzącym na otoczone oficynami podwórko-studnię stał stół, na którym leżała książka kucharska. Spomiędzy stron wystawały kawałki papieru, pewnie zostały wyrwane z czegoś, co leżało akurat pod ręką, i wetknięte w miejsca warte szczególnej uwagi: stek, rostbef czy skrzydełka w miodzie. Coś, czego nie jadłem od miesięcy.

Bogutowiczowa zapaliła światło i usiadła przy stole, zachęcając mnie gestem do zrobienia tego samego. Usiadłem więc, zerkając na nią z niewytłumaczalną ciekawością. Jakby była karłem albo miała brodę.

Była kilka lat starsza ode mnie. Wyglądała dość świeżo, miała pasującą do twarzy fryzurę, jej figura dopiero zaczynała zanikać pod warstwą właściwego naszemu wiekowi tłuszczu. Na tle męża niewątpliwie błyszcziała, starzeli się fizycznie – psychicznie chyba też – bardzo nierówno. Widząc ją teraz, a także po tym, co zobaczyłem w korytarzu, nie miałem wątpliwości, kto w tym domu nosi spodnie.

– O co chodzi tym razem? – zapytała lekko napastliwym tonem, a ja wyciągnąłem z tego wniosek, że po pierwsze musiała sporo przejść w związku ze śmiercią syna, a po drugie, policja lub prokuratura nie postarały się, by pomóc jej znieść to lepiej.

I w sumie nic w tym dziwnego. Nagannego – być może, ale nie dziwnego.

Postanowiłem odpuścić sobie kondolencje i zwyczajowe pomruki wyrażające żal ze straty. Nie czułem tego żalu, poza tym byłem wręcz pewien, że to mogłoby ją tylko rozdrażnić. Mnie też to drażniło.

– Mam kilka pytań dotyczących syna... – zacząłem.

– Zmieniliście zdanie? – Popatrzyła na mnie kpiąco, ale na jej ustach nie było cienia uśmiechu.

– Nie rozumiem? – bąknąłem.

– Czyli to jednak nie Marcin? To chce mi pan powiedzieć?

– Nie rozumiem, o czym pani mówi...

Wstała, odwróciła się i otworzyła szafkę nad swoją głową. Zrobiła to nerwowo, zamaszyście, niemal gniewnie. Wzięła coś z niej, zamknęła drzwiczki i usiadła. W dłoni miała paczkę papierosów, LM-ów, cienkich jak gwoździe. Wyciągnęła jednego i zapaliła, nie częstując mnie ani nie pytając, czy palę. Stół był niewielki, siedzieliśmy po obu jego stronach blisko siebie, więc widziałem wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Wpatrywałem się w płomień zapalniczki, w pomarańczowy żar pochłaniający kolejne wiórki tytoniu. Patrzyłem, jak trawi delikatne, błękitne prążki bibuły, jeden za drugim. Słyszałem jej syk, kiedy się tliła, i delektowałem się wonią świeżego dymu. Poczułem, że muszę zrobić coś z rękami. Położyłem łokcie na blacie i splótłem palce.

– Nie rozumie pan, o czym ja mówię... – Bogutowiczowa, przymykając powieki, patrzyła mi w oczy znad swojej dłoni trzymającej papierosa. – To po co pan przyszedł? Dręczyć mnie? Nas? – Skinęła głową w bok, w stronę drzwi.

– Nie przyszedłem nikogo dręczyć. Przyszedłem zapytać państwa o kilka rzeczy

dotyczących syna. To wszystko. – Zmarszczyłem lekko nos, kiedy dotarła do niego nitka dymu. – Co pani miała na myśli, pytając, czy zmieniliśmy zdanie?

– Pan prowadzi śledztwo?

Uznałem, że to pytanie stanowi wstęp do odpowiedzi.

– Nie, jestem z komendy wojewódzkiej i wyjaśniam jedynie wątek poboczny śledztwa w sprawie zabójstwa pani syna – odparłem. – Więc, co pani miała na myśli?

– Tak pan wyjaśnia ten wątek, że nawet nie wie, co się działo tuż po znalezieniu ciała?

Zgarbiłem się lekko. Tu mnie miała...

– Proszę pani – powiedziałem cicho, przenosząc wzrok z jej papierosa na swoje palce – przyszedłem tu wyjaśnić kilka wątpliwości. Możemy dalej przerzucać się sarkastycznymi uwagami na temat pracy policji, o której chyba jednak nie ma pani zbyt dużego pojęcia, albo możemy sobie nawzajem pomóc. Decyzja należy do pani, a ja zamierzam ją uszanować. Słucham.

Odzyskałem przewagę, jeśli w ogóle miałem ją wcześniej. Kobieta wychyliła się i strzepnęła popiół do zlewozmywaka. Dopiero potem wzięła z blatu spodeczek od filiżanki i postawiła go przed sobą.

– Nie palę – wyjaśniła. – To znaczy rzuciłam tydzień temu, ale teraz mnie pan zdenerwował.

– Błąd.

– Jaki błąd?

– Popełniła pani błąd, trzymając papierosy w pobliżu.

– Jest pan ekspertem od rzucania palenia? – Przyjrzała mi się, mrużąc oczy.

– Rzuciłem po trzydziestu latach. To chyba mogę coś o tym powiedzieć.

– A ile czasu już pan nie pali?

Zastanowiłem się. Wliczając śpiączkę, czy od momentu, w którym mogłem utrzymać papierosa w palcach, mimo że koniec końców tego nie zrobiłem?

– Od połowy grudnia. Około czterech miesięcy.

Bogutowiczowa jeszcze bardziej zmrużyła oczy.

– I taki z pana chojrak?

– Owszem. – Wytrzymałem jej kpiące spojrzenie. – Skoro wciąż nie palę...

Palilem tylko dwa razy. We śnie.

– A ja myślę, że dopiero w momencie śmierci możemy oświadczyć z niezachwianą pewnością: rzuciłem palenie. Te dwie rzeczy następują równocześnie, rozumie pan, o czym mówię? Wcześniejsze deklaracje nie mają sensu. Zawsze mogą zdarzyć się chwile takie jak ta... – Wskazała papierosem na mnie.

Przyszło mi do głowy, że ma trochę racji. Tak było ze mną: rzuciłem, kiedy umarłem.

– Dlatego właśnie nie można mieć ich pod ręką. – Ostrożnie dotknąłem leżącej pomiędzy naszymi łokciami paczki papierosów; ostrożnie, bo mimo wszystko kusiła jak cholera.

– To półśrodek – odpowiedziała kobieta. – Wystarczy zejść do najbliższego kiosku czy sklepiku, których naokoło jest w cholere i trochę.

– Owszem, ale przynajmniej po drodze ma się czas na otrzeźwienie – zauważyłem, chyba nie bez racji.

Bogutowiczowa, jakby robiąc mi na złość, a może całkiem nieświadomie, zaciągnęła się

głęboko i z wyraźną przyjemnością, a potem wydmuchnęła dym w stronę okapu i wróciła do sedna sprawy.

– Byłam na okazaniu zwłok Marcina. Ja, matka – powiedziała, znów skinęła głową w stronę drzwi i domyśliłem się, że będzie mówić o mężu. – On się do tego nie nadaje, zresztą do niczego się nie nadaje... Wie pan, że ciało nie miało głowy? – Pokiwałem w milczeniu głową, więc nie darowała sobie okazji i wtrąciła kpiącym tonem: – Chociaż tyle pan wie... Ale miał przy sobie dokumenty. I to załatwiło sprawę. Nie zostałam wezwana, żeby rozpoznać ciało syna, tylko żeby potwierdzić, że to on. Wyczuwa pan tę subtelną różnicę? Nie zapytali: „Czy to pani syn?“, tylko: „Czy potwierdza pani, że to syn?“. Dla nich wszystko było jasne, proszę pana. Dla policji, dla prokuratora, tego bezczelnego chama, który nie ma za grosz empatii. Dla wszystkich było jasne! Tacy byli pewni, chociaż nawet ja teoretycznie nie mogłam go rozpoznać! Własna matka! Rozumie pan to!? Bo ja nie...

– Czyli miała pani wątpliwości? – zapytałem.

– To chyba naturalne? – Spojrzała na mnie krzywo. – Pan by ich nie miał?

Patrzyłem, jak nerwowo zaciąga się papierosem.

– Jasne – przyznałem. – Dlatego zlecono analizę DNA.

Niespodziewanie zaniósła się nerwowym śmiechem, a kłęb dymu, którego nie zdążyła wciągnąć do płuc, buchnął jej z ust i popłynął w powietrzu ku sufitowi, mijając moje nozdrza o kilka centymetrów. Zacząłem się zastanawiać, czy to ja coś źle zapamiętałem, czy komisarz Lewandowski.

– Analizę... – prychnęła. – Gdybym nie naciskała, nie wydzwaniała i nie łąziła na prokuraturę, nic by nie było z tej analizy. A i tak gównu z tego wyszło.

– Nie rozumiem. Wyjaśni mi to pani?

– To nie był Marcin.

– Zaraz, zaraz... Przed chwilą powiedziała pani, że ponieważ nie miał głowy, nie była pani w stanie go rozpoznać?

Zacisnęła usta i lekko poczerwieniała na twarzy.

– Powiedziałam: teoretycznie. Bo rozpoznałam go po czym innym. A właściwie po tym czymś rozpoznałam, że to NIE jest mój syn. Nie jest, rozumie pan? I powiedziałam to temu dupkowi. Prokuratorowi. Powiedziałam mu to.

– Jak pani to rozpoznała? I co to było?

– Marcin miał w dzieciństwie stulejkę i był operowany, wie pan, o czym mówię? A prokurator nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

– Wie pani... – powiedziałem ostrożnie. – Ciało pani syna było w stanie...

Urwałem, bo za cholerę nie miałem pojęcia, jak powiedzieć kobiecie, że być może napletkiem jej syna poczęstowała się jakaś ryba. Takich rzeczy nie mówi się matce, która straciła dziecko, nawet jeśli ono było bandytą. Bogutowiczowa sama wybawiła mnie z opresji.

– Co, myśli pan, że to z powodu rozkładu? Albo ryb? – Poczulem, że teraz ja się czerwienię. – Jego członek był niemal nienaruszony, jeśli o to panu chodzi. Skóra moczona w wodzie przez tyle czasu maceruje się, a potem, po wyjęciu ciała z wody, bardzo szybko wysycha. I obkurcza się, co faktycznie mogło spowodować odsłonięcie żołądki. Ale on miał

napletek! Widzi pan, jestem pielęgniarką. Widziałam w życiu więcej męskich przyrodzeń niż niejedna prostytutka. Co to, ja obrzezanego nie poznam? Wiem, co mówię. – Odłożyła papierosa na talerzyk, założyła ramiona i spojrzała w okno zagniewanym wzrokiem. – Prokurator się pomylił. A może to laboratorium się pomyliło. Ale mnie nie stać na walkę z prokuraturą ani w ogóle z kimkolwiek, proszę pana. Mój brat kiedyś walczył z prokuraturą i z komornikiem. I nie wyszedł na tym najlepiej. Stracił pieniądze, zdrowie, a potem umarł na zawał. Marcin aniołem nie był, ale nie zostawiłby nas. Nie wyjechałby nigdzie bez powiedzenia nam o tym, rozumie pan? Więc pogodziłam się z tym, że nie żyje, mimo że to nie on leżał na tym stole w prosektorium. I może faktycznie dobrze, że mogłam go pochować. Nawet jeśli to nie on, to temu nieborakowi też należał się porządny pochówek. – Otarła nos wierzchem dłoni. – Nawet jeśli za moje pieniądze.

– Przecież analiza porównawcza DNA bezsprzecznie wykazała, że to Marcin – powiedziałem cicho, czując, że wypowiadając jego imię, nieświadomie zacisnąłem dłoń w pięść. – Tu nie ma możliwości pomyłki. No dobrze, jest, ale tak mała, że praktycznie nie bierze się jej pod uwagę. Pani, jako pielęgniarka, powinna to wiedzieć.

Bogutowiczowa spojrzała na mnie.

– Owszem, wiem to. Dlatego pochowałam tego człowieka jak własnego syna. Miałam zwariować? A tak mam przynajmniej komu znicz zapalić na cmentarzu. Inaczej nie mogłabym zrobić nawet tego...

– Pani syn był karany, prawda?

– Prawda. – Wzruszyła ramionami. – Już się nasłuchiłam od prokuratora, że wychowałam kryminalistę...

Spodziewałem się, że zaraz zacznie go tłumaczyć, że usłyszę historię o nożu podniesionym z ziemi w ciemnej bramie, że syn się tylko bronił, a nie atakował, ale nic takiego nie nastąpiło. Bogutowiczowa po prostu siedziała i miażdżyła niedopałek papierosa na talerzyku z taką siłą, że aż białały jej paznokcie.

– Miał dziewczynę? – zapytałem.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Kto?

– Pani syn.

– Co to ma do rzeczy?

– Mówiłem, że badam poboczny wątek śledztwa. Więc ma do rzeczy. Odpowie mi pani na pytanie?

– Myśli pan, że dziewczyna może mieć coś wspólnego z jego zaginięciem? Z jego zabójstwem? – Patrzyła na mnie, odchylając się do tyłu na swoim krześle.

– Taki wątek pojawił się w śledztwie. – Pokiwałem powoli głową, dziękując w myślach za odpowiedź, która dość zgrabnie pozwoliła mi przejść do następnej części rozmowy. – Więc miał dziewczynę?

Prychnęła po swoim i zaczęła bawić się pudełkiem papierosów leżącym pomiędzy nami na blacie.

– Nie wiem, czy miał. Znaczy nie do końca w tym sensie, że nie mam pojęcia. On raczej miewał dziewczyny, rozumie pan? Przyprawdzał je czasem i czasem nawet zostawały na noc. Miał swój pokój – wyjaśniła. – Słyszałam, że nie czytają książek. Ale nie miał nigdy

takiej na stałe. Takiej, z którą chodziłby do kina, na lody czy gdzie tam teraz młodzi chadzają.

Pomasowałem czoło. Czułem z boku głowy delikatne pulsowanie, aurę zwiastującą rychłe nadejście fali bólu. Lekki szum. Światło wiszącej nad nami lampy zaczęło mnie boleśnie razić.

– Ostatnio nie zdarzyło się, że przyprowadził tę samą dziewczynę kilka razy?

Bogutowiczowa bez wahania pokręciła głową.

– Zauważyłabym to.

Odetchnąłem w myślach z ulgą. Chociaż tyle... I znów zadałem sobie to pytanie: czy to ma jakieś znaczenie, wobec faktu, że mojej córki nikt nigdy więcej nie dotknie, ani ona nigdy więcej nikogo nie dotknie; ani ona, ani jej matka...?

– Miała pani dobry kontakt z synem? – zapytałem.

– Nie – przyznała i uciekła spojrzeniem. – Był dorosły, miał swoje życie, swoje sprawy.

Skąd ja to znałem?

– Ale mieszkał z wami?

– A gdzie miał mieszkać? Był bezrobotny.

– Nie pracował jako kelner?

– Nie – rzuciła gorzko. – Nie pracował. A przynajmniej nie na jakimś etacie. Nie wiem, skąd miał pieniądze. Ale miał. Czy raczej miewał. Jak te swoje dziewczyny.

– Rozumiem... A mąż? Jaki mieli ze sobą kontakt?

Jej mina wystarczyła mi za odpowiedź.

– Mąż i tak spędza cały czas, łowiąc ryby – rzuciła bezbarwnym tonem. – Robi się ciepło, znów zaczniesz jeździć na działkę moczyć kij. Może to i dobrze? – zapytała samą siebie, a w jej oczach znalazłem odpowiedź.

– Macie państwo działkę nad jeziorem? – zapytałem. – Gratuluję.

Myślałem o tym kiedyś. Mała działeczka, najlepiej na Pojezierzu Drawskim, z dostępem do jeziora, domek rekreacyjny, może nawet całoroczny... Wypady na weekend, z rodziną, samemu... Albo z Martą. Teraz to już nie miało najmniejszego sensu. Jak niemal wszystko w moim życiu.

– Nie, nie taką – sprostowała Bogutowiczowa, czerwieniąc się lekko, a na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech, który niespodziewanie przydał jej odrobinę ciepła. – Na RODOS, zna pan to? Rodzinne Ogrody Działkowe Otoczone Siatką. Zwykle działki, tylko przy Odrze. Na Wiszesława. Niedaleko znaleziono Marcina... – Uśmiech zgasł, a twarz znów stężała w kamienną maskę.

Coś przyszło mi do głowy. Impuls. Niesprecyzowana myśl, jeszcze mało konkretna, ale już obiecująca. Jak ta w mercedesie „Malechy”.

– Moglibyśmy tam pojechać? – zapytałem nagle, zapominając o szumie w głowie.

– Słucham?

– Czy moglibyśmy razem pojechać na państwa działkę?

– Ale... Ale po co?

– Jeszcze nie wiem – powiedziałem. – Chciałbym ją zobaczyć. Rozejrzeć się.

Wydęła policzki, wyraźnie zaskoczona moją propozycją.

– Nie musi pani iść do pracy? – upewniłem się.

– Dziś zaczynam o dziewiętnastej.

– Pięknie. Pojedziemy taksówką, co pani na to?

– Policjant bez samochodu? – zdziwiła się.

– Samochody czasem się psują – wyjaśniłem enigmatycznie, dodając w myślach: Policjanci też.

* * *

Dwadzieścia parę minut później byliśmy na Gołęczynie. Kierowca taksówki zatrzymał się za zajezdnią tramwajową, w miejscu, które wskazała Bogutowiczowa. Zapłaciłem za kurs i wysiedliśmy. Weszliśmy w małą dróżkę, na której końcu migotała tafla rzeki, i nie dochodząc do Odry, skręciliśmy ku bramce prowadzącej na działki. Kiedy dotarliśmy do jednego z ogródków, rozejrzałem się po nim zaskoczony. Był starannie urządzony, choć jeśli chodzi o nasadzenia, jeszcze nie za wiele mógłbym o nim powiedzieć. Ale był zadbany, Bogutowicz senior musiał tu spędzać sporo czasu.

– Nie widzę wody – powiedziałem, lekko zaskoczony.

Faktycznie, zamiast Odry widziałem ściany jakichś baraków, zestawionych ze sobą w jeden długi ciąg. Stały za płotem, oddzielone od niego rzędem tui i ścieżką prowadzącą wzdłuż niego.

Bogutowiczowa wzruszyła ramionami.

– Chciał pan zobaczyć działkę. Tak pan powiedział.

– Noo, tak... Ale mówiła pani, że mąż łowi na niej ryby.

– Aha... To chodźmy.

Podeszła do płotu. Była w nim furtka, której wcześniej nie zauważyłem. Poszedłem za Bogutowiczową i po chwili znaleźliśmy się na ścieżce za ogrodzeniem. Kilkadziesiąt metrów dalej w ciągu baraków pojawił się wąski przesmyk, szczelina między dwoma z nich, prowadząca ku rzece. Przepisnęliśmy się nią oboje i znaleźliśmy się na czymś w rodzaju kładki biegnącej wzdłuż brzegu, tuż nad taflą wody. Mały, wychodzący z niej rozchybotany pomost wrzynał się w wodę na jakieś dwa metry. Był drewniany, stary i zmurszały, miał kilka wymienionych desek, ale reszta wołała o remont i naprawę każdym omszałym słojem i sękiem. Nie ośmieliłem się na niego wejść, na żaden z sąsiednich też bym się nie odważył. Wystarczyło, że wszedłem na tę kładkę, która była w niewiele lepszym stanie niż pomost.

Staliśmy przy ścianie blaszaka, tuż nad wodą. Bogutowiczowa popukała knykiem w ścianę. Rozległ się pusty, metaliczny odgłos.

– Ten jest nasz – powiedziała.

– Co w nim jest? – zapytałem.

Objęła się wpool, trzęsąc z zimna, a po chwili odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

– Łódka – wykrztusiła przez zaciśnięte zęby i cofnęła się w głąb przejścia między barakami. – Zwykła blaszana płaskodenka, mąż używa jej do łowienia na rzece, kiedy nie biorą z pomostu, albo zasadza się na rybę, która raczej nie weźmie z brzegu... Tak jakoś tłumaczył, ale nie jestem pewna, nie znam się na rybach. Ale teraz nawet wędek mąż tu nie trzyma, bo zimą kradną na potęgę...

Patrzyłem, jak woda chlupocze o zardzewiałą blachę. Spod jej krawędzi wystawał

kawałek sznura, był kolorowy i kołysał się na wodzie w rytm niewielkich fal. Pewnie lina alpinistyczna. Przypomniałem sobie swój niedawny sen, w którym otoczony mgłą stałem na jakimś pomoście, wpatrując się w zawiązany na polerze gruby, postrzępiony na końcu sznur. Przednia ściana blaszaka, będąca jednocześnie wrotami, nie sięgała dna rzeki, jak pozostałe ściany, tylko kończyła się kilka centymetrów nad lustrem wody, która swobodnie wpływała do środka baraczkę. Zadrżałem nagle. Też poczułem ziąb, pogoda dziś była zdradliwa, mimo pięknego słońca wiał lekki, ale przejmująco zimny wiatr.

Zamyślony wróciłem do Bogutowiczowej, tak jak ona chroniąc się przed jego zimnymi podmuchami.

– I co? – zapytała.

Spojrzałem na nią nieprzytomnym wzrokiem.

– Co ma pani na myśli?

– Zobaczył pan działkę, tak jak pan chciał. I barak. Teraz pytam, o co panu chodziło. Po co tu marzliśmy? A przynajmniej ja marzłam...

Włożyłem ręce do kieszeni kurtki i zapatrzyłem się w wodę i pas zieleni na przeciwległym brzegu. Refleksy światła migotały matowo na ścianach i rozświetlały szczelinę, w której tkwiliśmy. Przecisnąłem się obok Bogutowiczowej i wyszedłem na ścieżkę za barakami. Bogutowiczowa zrobiła to samo.

– Przepraszam panią – powiedziałem, wzruszając ramionami. – Myślałem, że to coś da. Czasem takie wizyty w miejscach związanych ze zbrodnią uruchamiają proces myślowy, kierują te myśli na nowe tory, są jak swego rodzaju olśnienie czy pobudzenie umysłu – plotłem trzy po trzy. – Ale tym razem to nie wypaliło. Przepraszam, że zająłem pani tyle czasu. I za to, że pani zmarła.

– Jaki ta działka ma związek z zabójstwem mojego syna? – zapytała zdumiona. – Z miejscem zbrodni?

Spojrzałem na nią.

– Przecież nie wierzy pani, że to był pani syn?

Odpowiedź była bez związku z pytaniem, lecz wyraźnie zbiła ją z tropu, a o to mi chodziło. Bogutowiczowa otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Opuściła głowę i patrzyła na swoje stopy, udeptujące trawę odrastającą między kamykami żwiru wbitymi w piach.

– Ciało znaleziono nie tak daleko stąd, sama to pani mówiła.

Pokiwała głową i szarpnęła nią, żeby strząsnąć z twarzy włosy targane podmuchami wiatru. Byliśmy schowani za ciągiem blaszanych bud, a jednak wciąż wiało, choć nie tak mocno jak nad samą wodą. Dłonie ciągle miała wciśnięte pod pachy i grzała je ciepłem własnego ciała.

– To bardzo dziwna sprawa – powiedziałem cicho, ale niesione wiatrem słowa na pewno do niej dotarły. – Tu nic nie jest pewne oprócz tego, że jeszcze może się pani zdziwić. Bardzo zdziwić.

– Co pan ma na myśli?

– Dam pani znać – obiecałem.

Nie zamierzałem tego robić, ale przecież coś musiałem odpowiedzieć.

Poszliśmy inną drogą, nie wracając już na działkę. Wyszliśmy na zarośnięty chaszczami

plac Koczego z drugiej strony ogródków i wróciliśmy do centrum taksówką. Wydałem na nie ostatnio sporo pieniędzy, ale tym razem czułem się w obowiązku odwiedzić Bogutowiczową do domu. W końcu wyciągnąłem ją z niego, w dodatku z powodu, którego jej do końca nie wyjaśniłem. Stojąc już pod bramą jej kamienicy, podałem jej rękę i powiedziałem:

– Dziękuję pani, pani...

Lewandowski wspominał, jak matka Bogutowicza ma na imię, ale tego akurat nie zapamiętałem.

– Małgorzata. – Chwyciła moją dłoń, popatrzyła na mnie i zapytała, lekko zakłopotana:

– Co się panu stało w głowę?

Puściłem jej rękę.

– Miałem niedawno wypadek – powiedziałem, odruchowo dotykając blizny i zastanawiając się, czemu, do cholery, nie noszę czapki.

– Samochodowy?

– Można tak powiedzieć. – Chrząknąłem z lekkim zakłopotaniem. – Wydarzył się na autostradzie...

Pokiwała głową, jak ktoś, kto dobrze rozumie, o czym mowa, i weszła do bramy, znów obejmując się w pół własnymi ramionami. Nie czekałem, aż zamkną się za nią drzwi, tylko ruszyłem szybkim krokiem na przystanek. Po pierwsze, trzeba było zacząć oszczędzać, a po drugie, w ruchu lepiej mi się myślało.

Nie powiedziałem Bogutowiczowej prawdy, kiedy pytała, co dała mi wizyta na działce. Bo dała, a mój bełkot o torach myśli miał zamaskować jedynie zaskoczenie tym, co wpadło mi nagle do głowy podczas oglądania blaszaka. Jezu, jakie to było proste! Nieśmiała z początku myśl nabrała kształtów. Nad pewnymi faktami nie dało się przejść do porządku; udawać, że wynikły ze zbiegu okoliczności czy czyjejs niekompetencji.

To na tej działce trzymano zwłoki przez ten tydzień, w ciągu którego zmieniły się w gnijącą kupę mięsa ledwo przypominającą człowieka. Zimą nikt tu nie przychodzi, smród rozkładającego się ciała nie będzie nikomu przeszkadzał. Nawet jeśli zwróci czyjaś uwagę, o wyjaśnienie nietrudno. Martwe koty czy piźmowce śmierdziały tak samo, ich truchła nierzadko można było napotkać wzdłuż brzegów rzeki. Zwłoki znalezione przez Krępisza półtora kilometra dalej pływały w wodzie najpierw tu, w baraku na łódź, albo uwiązane do małego pomostu, schowane pod nim przed wzrokiem przypadkowych działkowców, którym mogłoby wpaść do głowy, żeby sprawdzić, czy nikt nie włamał się do ich baraku. Przypomniałem sobie, że zwłoki nie miały na kończynach śladów po pętaniu liną. Może pływały w jakimś worku, z którego wystawały tylko ręce, żeby ryby mogły zrobić, co trzeba? Pływały tak dotąd, aż przestały przypominać ludzkie ciało. Smród też niekoniecznie musiał być nie do wytrzymania, jeśli ciało było przez cały czas pod wodą... Ktoś, kto to zrobił, pomyślał niemal o wszystkim.

Założenie, że powodem odcięcia ofierze głowy była chęć maksymalnego utrudnienia bądź wręcz uniemożliwienia ustalenia przyczyny śmierci, było bardzo prawdopodobnie. Ale czy to miało aż takie znaczenie? Teraz byłem prawie pewien, że chodziło głównie o to, żeby uniemożliwić identyfikację, a nie przyczynę zgonu. Nawet jeśli twarz, podobnie jak palce, a więc i linie papilarne, zjadłyby żyjące w wodzie stworzenia, zawsze zostawała czaszka

i nowoczesne techniki badań antropologicznych: superprojekcja, aproksymacja czy nawet rekonstrukcja plastyczna starą, dobrą metodą Gierasimowa... Prawdopodobna była również odpowiedź na pytanie, co w kieszeni trupa robił portfel z dokumentami. Fatalne w skutkach przeoczenie zabójcy? Nie.

Kiedy woda i czas zrobiły swoje, sprawca przewiózł zwłoki łódką, może przeholował je w worku, ułożył na brzegu, potem poszedł po Krępisza, z którym musiał być umówiony już wcześniej, i razem zadzwonili na policję. A potem Krępisz zamilkł na zawsze. Pijak miał przebłysk i domyślił się, o co chodzi? Zaczął się domagać czegoś więcej niż tylko dobrej whisky? A może sprawca zabił go po prostu na wszelki wypadek?

Sprawca... Kto mógłby zrobić to wszystko akurat na tej działce? Przygotować ciało, przewieźć je w nieodległe miejsce? Kto mógłby dysponować portfelem Bogutowicza, wypełnionym jego dokumentami? Mieć klucz do baraku z łódką? Znać dobrze okoliczne tereny?

Wszystko wskazywało na to, że Bogutowicz sfingował swoją śmierć. Dwa plus dwa jest cztery; najprostsze i jedyne rozwiązanie, szukanie na siłę innego byłoby głupotą. Portfel w kieszeni trupa nie był przeoczeniem, tylko fałszywym tropem, na który miały się nabrać prokuratura i policja. Miały się nabrać i nabrały. Tylko że w tym wypadku pojawił się pewien zgrzyt, który przeczył mojej teorii. Ta cholerna zgodność DNA. I to właśnie nie dawało mi spokoju. Tego przecież nie da się oszukać i wiedziałem to równie dobrze, jak Bogutowiczowa. Prawdopodobieństwo pomyłki jest tak znikome, że aż niewarte brania pod uwagę. Czyżby jednak, przeciwnie niż w matematyce, w kryminalistyce dwa i dwa to pięć?

Żeby wyjaśnić wszelkie wątpliwości i mieć stuprocentową pewność, postanowiłem przeprowadzić małe dochodzenie, w które nie angażowałem już nikogo ze swoich znajomych policjantów. Nie było takiej potrzeby.

Pierwsza rzecz, jaką sprawdziłem po powrocie do domu, nie wymagała dużego nakładu pracy. Na stronie internetowej komendy miejskiej przejrzałem zawartość zakładki „Zaginieni”. Oglądałem twarze młodych i starych ludzi, mężczyzn i kobiet, żywych i martwych, zwłok o nieustalanej tożsamości, chłopaków, którzy uciekli z domu, i dziewczyn, których ciał zapewne nigdy nikt nie odnajdzie. Z monitora spoglądały na mnie oczy ludzi, którzy w momencie robienia zdjęcia – do paszportu albo nawet na imprezie – mieli plany na przyszłość, rodziny, kogoś, kto ich kochał, kogo oni kochali. A może byli samotni, nie mieli nikogo, kto by ich kochał i kogo oni mogliby kochać, ale jednak ktoś dał to zdjęcie policji? Inne oczy były martwe, jak cała stężała w grymasie śmierci twarz; patrzyły spod zmrużonych powiek, a na brzegach zdjęć widać było obleczone w gumę rękawiczek palce rąk technika podtrzymującego rozczochną głowę trupa. I właśnie na tej pełnej ludzkich tragedii stronie znalazłem chłopaka bardzo podobnego do Marcina Bogutowicza. Nazywał się Mateusz Gunicki, był studentem drugiego roku ZUT-u, miał dwadzieścia jeden lat i nie wrócił do domu z imprezy. Zaginął niecałe dwa tygodnie przed odnalezieniem zwłok na brzegu Odry. Jego zwłok. Konkluzja była następująca: to Bogutowicz najprawdopodobniej zabił dwóch ludzi „Malechy”, „Ziętego” i jego człowieka, a przy okazji Turków oraz paru policjantów. I Martę. A potem zniknął i znów wypłynął, ale już martwy. Tylko że jak właśnie się okazywało – nie do

końca martwy. To była jedynie teza, ale przecież od tego się zaczyna. A potem się tę tezę potwierdza albo nie.

Sprawdzenie następnego dnia drugiej rzeczy w laboratorium Zakładu Medycyny Sądowej w szpitalu na Pomorzanach kosztowało mnie już nieco więcej trudu, użycia uroku osobistego oraz legitymacji policyjnej. Tego uroku chyba niewiele we mnie już zostało, bo informację, na której mi zależało, uzyskałem dopiero po telefonicznej interwencji jednego ze znanych mi ze starych czasów patologów. Laborantka sprawdziła mi tę rzecz dopiero po rozmowie z nim.

Dojrzewające we mnie powoli przekonanie o własnej paranoi zwiędło nagle jak kwiat podlany kwasem. Zniknęło w jednej chwili. Dwa i dwa to jednak cztery. Nie powiem, ulżyło mi. Bardzo. Mogłem spokojnie jechać na sesję do Mileny.

Następnego dnia postanowiłem zjawić się w pracy. Nie tęskniłem za nią, chodziło bardziej o wyjście z domu, bo panująca w nim cisza wciąż doprowadzała mnie do szału. Wyjście dokądkolwiek jak zwykle powinno mi dobrze zrobić, a praca była miejscem równie dobrym, jak każde inne. Zwłaszcza że dawno tam się nie pokazywałem. Jak się miało wkrótce okazać, nie był to najszcześniejszy pomysł, choć nie wiem, jak potoczyłyby się moje dalsze losy, gdybym tam jednak nie poszedł. No, ale obiecałem Mołczunowi, że w końcu wpadnę, poza tym tego dnia umówiłem się z Mileną w południe.

Do komendy wchodziłem chyłkiem, jak akwizytor chcący uniknąć przyłapania w budynku, w którym obowiązuje zakaz handlu obnośnego. Przemknąłem szybkim krokiem przed przeszklonym stanowiskiem dozoru i kiedy przykładam kartę do czytnika przy wewnętrznych drzwiach wejściowych, niemal wcisnąłem głowę w ramiona, żeby nie rozpoznały mnie siedzące za szybą panie.

Idąc po znajomych korytarzach budynku, odpowiadałem na nieśmiałe pozdrowienia i uśmiechy, nie zwalniając kroku ani na moment. Zwolnienie groziłoby dłuższą pogawędką, na którą jak zwykle nie miałem ochoty. Dotarłem w końcu do siebie, nieco zdyszany i zasapany. Wciąż jeszcze nie wróciłem do pełni sił, mimo że starałem się ćwiczyć w miarę systematycznie.

Moja sekretarka, widząc mnie w drzwiach, zerwała się zza biurka. Uśmiechnąłem się do niej niepewnie i powiedziałem:

– Dzień dobry, pani... – Zacząłem pstrykać palcami i przywołałem na twarz wyraz skupienia. – Pani... Emm...

Zatrzymała się w pół drogi i załamała rękę. Kiedy zobaczyłem w jej oczach łzy, zrobiło mi się Heńki szkoda.

– Pani Heniu, bardzo panią przepraszam, żartowałem... – zacząłem ją pocieszać, usiłując oderwać ją od siebie, bo rzuciła mi się na szyję.

– Niech pan z tego nie żartuje, szefie. Tak nie można – powiedziała z wyrzutem, ocierając łzy.

– A co mi pozostało, pani Heniu? – zapytałem smutno i sam sobie odpowiedziałem. – Tylko zwariować.

– Proszę tak nie mówić...

Stała i patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Nie było w nich ciekawości, jak u innych, wyłącznie smutek. Taki matczyzny. Nie czułem się teraz jak karzeł czy albinos, tylko jak syn marnotrawny.

Westchnąłem ciężko.

– Wszystko dobrze? – zapytałem, rozglądając się po ciasnym sekretariacie.

Kolor ścian w świetle białych jarzeniówek bił w oczy specyficznym odcieniem żółci, który

drażnił moje fotoreceptory, a w konsekwencji mózg.

– Jakoś się kula, szefie. – Uśmiechnęła się lekko, spuszczać wzrok.

Wiedziałem, że „kula się” dzięki niej, i ona też to wiedziała.

– Jak komisarz Skibiński?

Pani Henia lekko zmarszczyła nos.

– Robi, co może, żeby to jakoś ogarnąć – powiedziała cicho.

– Ale niewiele może, co? – Cmoknąłem. – Zrobi mi pani kawki?

– Oczywiście! – krzyknęła z entuzjazmem.

Chyba jednak Zimna Henia trochę mnie lubiła. Może nawet więcej niż trochę. Wszedłem do swojego gabinetu i nie zapalając światła, rozejrzałem się po nim. Te same biurko, fotel, stolik z krzesłami dla gości, mały sejf w rogu, szafy na akta... Wszystko takie samo, ale jednak nie takie samo. Od szesnastego grudnia nic już nie było takie samo. Byłem zdumiony ciasnotą i spartańskim umeblowaniem, do których przywykłem przez parę lat, a o których już zdążyłem zapomnieć. Usiadłem za biurkiem i spojrzałem w okno. Błękitny prostokąt wykadrowany białą ramą osadzoną w ścianie o tym samym kolorze co te w sekretariacie. Na tle okna, niczym pociągnięte pędzlem, pierzaste chmurki, bijące w oczy bielą lekko skażoną ołowianą szarością. Wiosna. Wiosna za oknem, zima we mnie. Czy tak już pozostanie?

Nie mając kompletnie nic do roboty, zacząłem machinalnie przestawiać przedmioty na biurku. Organizery z długopisami, szklany przycisk do papieru, teczkę, do której moi pracownicy wkładali pisma do podpisu, zszywacz, dziurkacz i inne atrybuty urzędnika. Sprawdziłem, co mam w szufladach. Ten sam bajzel co zwykle. Marty już nie było, nie mogła mi już pomóc go jakoś ogarnąć, jak to czasem zwykła robić.

Kiedy otwierałem jedną z nich, coś wystającego z boku zawadziło o prowadnicę i wystrzeliło w górę, kręcąc się w powietrzu i lądując na leżącej w szufladzie stercie papierzysk, obok mojej służbowej pieczętki. Mały, biały prostokątny kartonik. Wziąłem go do ręki i obejrzałem. Wizytówka. Nie miałem pojęcia, co robiła w szufladzie mojego biurka, bo nie widziałem jej nigdy wcześniej. A może tylko tego nie pamiętałem. Szkoda, bo to, co było na niej napisane, kurewsko mną wstrząsnęło. Rozwaliło mój świat na kawałki. Niemal widziałem, jak rozprysnęły się na biurku niczym stłuczone szkło, niczym boczna szyba mojego opla na parkingu Probstheide i leżały teraz sobie tuż obok wizytówki firmy „Gaz-Tech” Gazy Techniczne, która wypadła mi z rąk i wylądowała pośród nich. Tyle że realna była wyłącznie wizytówka. Tylko ona...

Siedziałem przez chwilę w bezruchu i wpatrywałem się w nią tępo. Musiałbym być idiotą, żeby nie skojarzyć tego z fajerwerkami w porcie. Spróbowałem przełknąć ślinę, ale moje gardło zacisnęło się w odruchu buntu. Nie miałem też czego przełknąć, bo służówka wyschła, zmieniając się w papier ścierny. Ja pierdołę... Co to robiło w moim biurku?

Niemal wrzasnąłem, kiedy nagle otworzyły się drzwi. Spojrzałem w ich kierunku, zapewne z obłędem w oczach. Pani Henia z kawą. Weszła do środka, skupiona na tym, żeby jej nie rozlać na spodeczek. Szła na lekko ugiętych nogach, nie patrząc na mnie, tylko na filiżankę i to mnie pewnie uratowało przed bardzo niewygodnymi pytaniami. Szybko odłożyłem wizytówkę na bok i spróbowałem się uśmiechnąć. Wyszło zapewne żałośnie. I ten gwałtowny ruch, i ten uśmiech.

– Dobrze się pan czuje, szefie? – zapytała Henia z troską w oczach i głosie.

Czyli dobrze myślałem. Wyszło żałośnie. Ale na szczęście pytanie nie było niewygodne.

– Przed chwilą zakręciło mi się w głowie – powiedziałem słabym głosem, kciukiem i palcem wskazującym masując nasadę nosa. – Dzięki za kawę.

– Na pewno da pan sobie radę? – Przyjrzała mi się.

– Na pewno. – Pokiwałem głową z lekkim uśmiechem. – Zaraz minie. Walnę kawkę i minie. – Wskazałem oczami filizankę, którą Henia postawiła przede mną na biurku.

Wyszła nieco uspokojona, a ja odlepiłem koszulę od spoconych pach i pleców. Kiedy zdołałem wreszcie przełknąć ślinę, która pojawiła się na widok kawy, chwyciłem za telefon i kierując się jakimś impulsem, wybrałem numer widniejący na wizytówce.

– Gaz-Tech, Gazy Techniczne, słucham?

– Dzień dobry – wydukałem. – Chciałem się dowiedzieć, czy...

– Tak?

– Czy... Przepraszam panią, pomyliłem numer, właśnie się zorientowałem. Do widzenia.

Rozłączyłem się i zacząłem gryźć obudowę telefonu. Chyba tego nie przemyślałem. O co chciałem zapytać? Czy czasami nie zamówiłem u nich w cholerę butli, które zamieniłem potem w bombę zdolną wynieść na orbitę pewien magazyn i kilka przebywających w nim osób? Nie, to nie było mądre... Musiałem wymyślić coś innego, a to nie było łatwe w tej sytuacji. Ręce pociły mi się ze zdenerwowania. Po chwili znów wziąłem do ręki komórkę, nie będąc nawet pewny, czy powinienem to robić. Ale zrobiłem. Zadzwoiłem do Jacka Mołczuna. W końcu zawsze istniała szansa, że to czysty przypadek, a moje skojarzenia są wyłącznie wytworem chorej wyobraźni nie do końca zdrowego umysłu. I tego postanowiłem się trzymać, tak mocno, jak to tylko możliwe.

– Hej – usłyszałem w słuchawce nieco zaskoczony głos Mołczuna. – Myślałem, że miałeś przyjść dziś do roboty?

– No tak... – bąknąłem. – Jestem w robocie.

– To czemu dzwonicz, zamiast do mnie wpaść?

„Wpaść”... Boże, jak to zabrzmiało. Sądząc po tym, co leżało przede mną na biurku, ja już, kurwa, wpadłem...

– A, wiesz... Trochę słabo się jednak czuję, głowa mnie boli... Siedzę u siebie i myślę sobie. Może to stąd ten ból – zażartowałem ponuro. – Od tego myślenia. Za dużo go ostatnio.

– Aha. O czym myślisz?

Wziąłem głęboki oddech i skoczyłem do tej mętnej, ciemnej i głębokiej wody.

– Wspominałeś w szpitalu, że w tym magazynie w porcie wybuchły butle z gazem.

– Zgadza się. Między innymi. To znaczy, ściśle rzecz biorąc: nastąpił wybuch najprawdopodobniej acetyleny, który spowodował pożar, ten z kolei zapłon benzyny w kanistrach i dalsze wybuchy butli z gazem. Acetylenem i propanem-butanem. W pomieszczeniu sąsiednim, obok tego, który wynajął „Zięty”. A co?

– Wiadomo, kto wynajął to sąsiednie pomieszczenie?

– Wiadomo i nie wiadomo.

– To znaczy?

– Facet, który podpisał umowę najmu z Zarządem Portów Szczecin i Świnoujście,

mieszka na stałe w Anglii i był bardzo zdziwiony, że ją podpisał, bo nie był w kraju od kilku lat.

– Rozumiem. A czy ktoś sprawdzał, skąd w magazynie wzięły się te butle?

– Chodzi ci o to, kto je zamówił?

Zamknąłem oczy.

– Tak. O to mi chodzi.

– Zamówiono je w firmie „Gaz-Tech”. Tu, w Szczecinie.

Zacisnąłem powieki jeszcze mocniej. Szansa, której się trzymałem, właśnie przestała istnieć. Nie miałem się już czego trzymać, mogłem tylko spadać.

Na samo jebane dno.

– Ale kto konkretnie zamówił? – zapytałem, otwierając oczy.

– No, tu jest pewien problem.

– Jaki?

– Zacznę od początku. Butle z acetylenem generalnie się wypożyczają, a nie kupuje. Są dość drogie i firmy, takie jak „Gaz-Tech”, wypożyczają je i to też tylko firmom, a nie osobom prywatnym. No i „Gaz-Tech” wypożyczył je pewnej małej firmie, która robi jakieś części do statków. Niedawno założonej firmie, gdzieś na terenie stoczni. Facet, który przyszedł wypożyczyć butle, miał wszystko, co potrzeba: regon, wyciąg z ewidencji gospodarczej, no i prawo jazdy, którym się wylegitymował.

– Legitymują ludzi?

– Tak. Wiem, że nie mają prawa, ale jak nie chcesz pokazać dokumentu, to nie dostaniesz butli. Twój wybór. Za dużo ich kosztowało ufanie ludziom. W każdym razie firma, która je wypożyczyła, istnieje naprawdę, ale prawo jazdy było podrobione, bo właściciel firmy, ten prawdziwy właściciel, zarzeka się, że żadnych butli nie brał. Robi elementy wykończeniowe do jachtów. Z włókna szklanego i żywicy epoksydowej, z drewna i metodą wtrysku. Czyli plastikowe. Rozumiesz już?

– Rozumiem. Po cholere mu do takich rzeczy gaz do spawania?

– Otóż to. I to w takich ilościach.

– Zapamiętali gościa? Albo jakiś monitoring? – Powieki znów miałem zaciśnięte mocno i myślałem, że już więcej ich nie otworzę.

– Niestety nie. Podjechał vanem, załadowali mu na pakę butle, zapłacił, zabrał fakturę i zniknął. A „Gaz-Tech” jest ładnych kilka tysięcy w plecy.

– Powiedz mi jedną rzecz, Jacek. Po co wypożyczyłeś... po co wypożyczył butle z acetylenem, jak mógł pojechać do Castoramy i kupić kilkanaście butli z propanem-butanem. Anonimowo i bezpiecznie. A tak ryzykował. Cholernie ryzykował!

– Niby racja. Ale to może dlatego, że acetylen ma bardzo szerokie granice wybuchowości. Tak mi objaśniał strażak. Kiedy byłem tam, na miejscu, rozmawiałem z jakąś szychą z komendy wojewódzkiej PSP. Benzyna na przykład, mimo swej łatwopalności, ma ten wskaźnik bardzo niewielki, to oznacza, że parametry zapalne jej mieszanki z powietrzem mają bardzo wąski przedział. Tak więc ryzyko zapłonu jest stosunkowo nieduże, oczywiście nie mówimy o premedytacji. LNG ma górną granicę wybuchowości na poziomie dziesięciu procent, ale acetylen już aż osiemdziesięciu. No i było go dużo. Ktoś celowo odkręcił albo uszkodził zawór, a potem zainicjował wybuch...

I dalej poszło jak w dominie. Temperatura była tak wysoka, że wybuchały kolejne butle. Strażacy nie mogli tam wejść i stąd takie zniszczenia.

– Jak zainicjowano wybuch?

– Prawdopodobnie iskrą. Albo płomieniem. Ktoś zostawił, bo ja wiem, zapalony kocher? Bo nie sądzę, żeby czekał z zapalniczką, aż stężenie gazu będzie wystarczające, a potem jej użył... – Roześmiał się z własnego żartu, ale ten śmiech nie był zbyt wesoły.

– Ty to jednak łebski facet jesteś – powiedziałem.

– Miałeś kiedykolwiek jakieś wątpliwości? – W telefonie zagrzechotał jego śmiech, tym razem wesoły i szczery.

– Nigdy – odpowiedziałem, zresztą zgodnie z prawdą.

Jacek był łebski nawet wtedy, kiedy wyprowadzałem go chwiejącego się na nogach z pracy, ładowałem do swojego samochodu i zawoziłem do domu, do żony, która musiała zmagać się z dwiema chorobami – swoją i męża. A potem czyściłem dywaniki i tapicerkę, usiłując nie zrobić tego samego co Jacek wcześniej, podczas jazdy.

– I co, teraz dalej będziesz myślał? – zapytał Mołczun, kiedy cisza przedłużała się, bo musiałem zebrać się jakoś do kupy.

– Owszem – odparłem z przekonaniem.

– Daj znać, jak coś wymyślisz.

Z pewnością – pomyślałem, a na głos powiedziałem:

– Jasne. Trzymaj się. Jak się lepiej poczuję, to wdepnę do ciebie.

– Wdepnij. Na razie.

– Cześć...

Odłożyłem telefon i znów zacząłem gapić się w okno. Kolana latały mi pod biurkiem. Gładziłem bliznę na głowie. Czułem pod palcami jej zgrubienie, w jakiś nadnaturalny sposób czułem metalowy kształt tkwiący kilkanaście milimetrów poniżej niej i myślałem gorączkowo, co robić. Kawa prawie wystygła, a ja nie zdołałem nic wymyślić. No, może nie do końca tak, bo coś tam wymyśliłem. Co prawda nie to, co robić, tylko jak mogło dojść do tego, że stałem się bandytą. Też źle. Nie jak mogło dojść, tylko jak doszło. A o tym, jak mogło – nie miałem zielonego pojęcia...

To ja musiałem wypożyczyć butle. To ja przekazywałem informacje gangowi, choć pojęcia nie mam komu konkretnie... Być może nawet skonstruowałem cały misterny plan, który wcielałem w życie od chwili, kiedy dowiedziałem się o akcji „Strela”, do momentu, gdy ktoś wyeliminował mnie z gry. Wszystko na to wskazywało. Ale to ja również leżałem prawie martwy w szpitalu podczas akcji w porcie. Ktoś musiał spowodować ten wybuch. Pieniądze i narkotyki wcale się nie spaliły, jak twierdził Mołczun, bo to się nie trzymało kupy w świetle ustaleń o zamordowaniu wszystkich bandytów znajdujących się w budynku. Zabrał je ten ktoś. Ten ktoś, kto tuż przed eksplozją rozwalił wszystkich swoich kołesi w magazynie. Ktoś, kto wysadził w powietrze policjantów i Martę. Ktoś, kto wiedział tyle, co ja. A potem pozbył się mnie. I mojej rodziny również... Ta myśl, niestety stawała się coraz bardziej prawdopodobna. W końcu pociski wystrzelono z tej samej broni, choć kto inny mógł ją trzymać...

Bogutowicz.

Wiedziałem już, czemu ciało znalezione na brzegu Odry nie miało głowy. Nie tylko

dlatego, żeby utrudnić identyfikację, bo o to naturalnie również chodziło. Ale zapewne także po to, by nie dać śledczym do ręki dowodu powiązania ofiary ze „Strelą”, że po prostu w czaszce utkwiła kula wystrzelona z tej samej broni, której użyto w porcie. I na parkingu. Skurwysyn. Trudno było znaleźć przestępców z takim dorobkiem nawet wśród bandytów kończących już swoją karierę. Kończyli ją z różnych powodów, choć tak naprawdę dwóch podstawowych: skazania na długoletnie więzienie albo własnej śmierci, zadanej przeważnie rękami ludzi do nich podobnych. Lecz tak bezwzględnych skurwysynów, jak Bogutowicz, nie widywałem, nawet kiedy pracowałem w kryminalnej...

Ale to ja byłem jego informatorem. To ode mnie wiedział, jakie działania podejmie policja, bo od kogo innego mógłby się tego dowiedzieć? To JA byłem winny śmierci tych policjantów. I Marty również. Nie pamiętałem, czy opowiedziałem jej, jak wygląda Bogutowicz i kim jest, kiedy już dowiedziałem się tego od Buryty. Możliwe, że tak. Może to jego zobaczyła podczas akcji w porcie? Skojarzyła to z zamachem na mnie, poszła za nim i... Nie mogłem uwierzyć, że współpracowałem z tym gnojem. Zupełnie wyleciało mi to z głowy! Pamiętam, że Bogutowicza widziałem tylko raz, kiedy wywalałem go ze swojego mieszkania po tym, jak nakryłem gnoja z moją córką w niedwuznacznej sytuacji. Pamiętam, co wtedy czułem. Pamiętam, że go wtedy nie znałem. Czy to spotkanie było jakimś elementem planu? I czy to Bogutowicz strzelał do nas na parkingu? Czy to on zabił mi żonę i córkę? Kurwa, to niemożliwe, przecież musiałbym COŚ pamiętać!

Cokolwiek!

Nawet jeśli to wszystko działo się w okresie, który kula całkowicie wymazała mi z pamięci, to wszystko musiało zacząć się wcześniej. Musielibyśmy to planować co najmniej kilka tygodni, jeśli nie dłużej! Od spotkania w sprawie „Streli” do zamachu na mnie minęło ponad miesiąc, z czego nie pamiętałem zaledwie połowy. Coś z tego zostałooby w mojej głowie, chociaż jakieś strzępy, migawki... Czyżbym wyparł te złe rzeczy? Czy zrobiła to moja podświadomość, żeby chronić siebie i mnie równocześnie przed całkowitym zniszczeniem? I dlaczego Bogutowicz uwiódł mi córkę, a potem próbował nas zabić? Zabicie mnie jeszcze bym zrozumiał, chciał się pozbyć niewygodnego współnika, który nie był mu już do niczego potrzebny, ale Agnieszka i Jola? Jezu...

Chwyciłem się za głowę i ścisnąłem ją mocno, nie dbając o to, co może się stać. Byłem zdruzgotany. Rozpadałem się na kawałki. Mam współnika, którego nie pamiętam. Jestem przestępcą, jestem zbrodniarzem, potworem takim samym jak ci, którym każdy normalny człowiek życzy śmierci w męczarniach. Co mogłem z tym zrobić? Decyzję podjąłem w jednej chwili. To było trochę jak olśnienie. Co TERAZ mam robić? Porzucić rozważania o winie. Właśnie to muszę zrobić. Nie myśleć więcej o niej, nie zastanawiać się, czy nawet jeśli to zrobiłem, a teraz jestem innym człowiekiem i naprawdę szczerze tego żałuję, jest ona mniejsza. To wszystko było teraz nieistotne. Istotne było to, co NAPRAWDĘ mogę zrobić.

Mogę znaleźć skurwysyna. Mogę. Niewykluczone, że zmienił wygląd i żyje tu, w tym mieście. Albo już wyjechał z kasą i prochami. Ale wciąż mogę to zrobić. Dowiedzieć się, gdzie jest. Przynależę to sobie, tu i teraz, ale i wcześniej, Wenkowi, tam w szpitalu. I swojej rodzinie. I Marcie też.

Pozbierałem się jakoś, wstałem od biurka i przeszedłem przez gabinet. Otworzyłem

drzwi do sekretariatu i zapytałem Heni:

– Pani Heniu, kiedy mnie nie było... Ktoś do mnie przychodził?

Rozłożyła szeroko ręce.

– Oczywiście, szefie! Tu był młyn!

– A kto konkretnie? Po nazwisku, jeśli pani je zna, jeśli nie, to funkcja.

Wydeła usta i spojrzała w bok, a na jej czole pojawiły się zmarszczki.

– Prokurator, nie pamiętam nazwiska...

– Osiński?

– Tak, Osiński. Był oczywiście Szewczyk, Jacek Mołczun, komisarz Skibiński, Zalisz, jacyś obcy, ale zawsze w towarzystwie kogoś z tej trójki. Pani inspektor Tomaszewska...

Przypomniałem sobie daną Ani obietnicę, że zajdę do niej, kiedy będę w pracy, ale jakoś zupełnie nie miałem nastroju.

– Pani Marta raz była, siedziała tam z godzinę, nie przeszkadzałam jej. Po prostu siedziała na pana fotelu i patrzyła w okno. Był ktoś z komendy miejskiej, ale też nie pamiętam nazwiska.

– Jak wyglądał?

– Nie pamiętam, szefie, przykro mi... Tylko tyle, że był wielki. Jak niedźwiedź.

Podzieliłem to na pół, bo dla Heni prawie wszyscy byli wielcy jak niedźwiedzie. Miała metr sześćdziesiąt wzrostu.

– Wchodził do środka?

– Nie, tu rozmawialiśmy, pytał o pana i był w szoku. Tylko że...

– Że?

– No... Kawy mu robiłam. Poszłam do łazienki z czajnikiem, po wodę, a on został na chwilę sam, tu, w sekretariacie.

Pomyślałem, że to mógł być Rafał Buryta, choć gdyby to rzeczywiście był on, Heńka chyba go jednak zapamiętała. Takich przystojniaków nie sposób nie zapamiętać.

– Okej, nieważne, niech się pani nie przejmuję. – Machnąłem ręką.

– Minutę mnie nie było, góra dwie. A coś się stało? Coś panu ukradziono? – spytała podniesionym głosem.

– Spokojnie, pani Heniu. Nic się nie stało. Nic, rozumie pani? Tylko pytam, z ciekawości... Już dobrze?

Uspokoila się i oklapła w fotelu.

– Aha, jeszcze jedno... – Wziąłem krzeselko stojące obok mikrostopnia dla interesantów, postawiłem przy jej biurku i usiadłem okrakiem na twardym jak szwedzka stal siedzisku.

– Zanim komisarz Kielan zginęła... Czy działo się z nią coś niepokojącego? Mówiła pani, że była u mnie. Pytała panią o coś w związku ze mną?

Henia odsunęła klawiaturę i wyprostowała się w swoim fotelu.

– Czy ja wiem...? Wtedy, kiedy tak siedziała sama w pana gabinecie, to po prostu milczała. Kiedy weszłam, żeby zapytać, czy chce kawy, to widziałam, że płakała. – Henia zwiesiła głowę.

– Nie zadawała żadnych nietypowych pytań?

– Nietypowych? Nie, takich nie.

– A jakie?

– Normalne. Normalne w tej sytuacji, oczywiście. Czy nie był pan smutny ostatnio albo jakiś zamyślony. Albo czy wcześniej dzwonił do pana ktoś... dziwny. Sama nie była pewna, jak sformułować to pytanie, ale chyba zrozumiałam, o co jej chodzi.

Hmm, to były normalne pytania? Nawet w tej sytuacji? W sumie w tej chwili robiłem dokładnie to samo. Zadawałem pytania, ale czy były normalne?

– I co, dzwonił ten ktoś dziwny?

– Nie. Nie pamiętałam czegoś takiego. Czyli nie dzwonił. Inaczej bym zapamiętała, szefie – powiedziała z przekonaniem.

Nie wątpiłem w to. To dlatego właśnie tu siedziała i nie oddałbym jej nigdzie indziej.

– Może tylko jedna rzecz, o która pytała, była dziwna. – Pani Henia nagle zamrugła.

A jednak...

– No? – zachęciłem ją, choć serce zaczęło bić mi mocniej.

– Pytała, czy w pana sejfie jest broń.

– Proszę?

– Czy w pana sejfie została pańska broń. Tak zapytała, ale oczywiście nie miałam pojęcia, co jej odpowiedzieć. Przecież nie wiedziałam, czy ona tam jest, czy nie, prawda?

– Prawda – odparłem z całym przekonaniem, starając się, żeby mój głos mimo wszystko brzmiał obojętnie. – Skąd mogłaby to pani wiedzieć, pani Heniu... I co było dalej z tą sprawą?

– Przyszli ci od „tajniaków”, komisyjnie otworzyli sejf i przejrzeni go.

„Tajniakami” nazywała ludzi z Wydziału Ochrony Informacji Niejawnych. To oni w zaplombowanej saszetce w kancelarii tajnej mieli drugi komplet kluczy i szyfr do mojego sejfu.

– Broń była na miejscu? – zapytałem.

Pokiwała głową.

– Pani Marta powiedziała mi potem, że była. Zostawili ją tam, w środku.

– Martę? – Zamrugąłem powiekami, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Nie, broń.

– Chce mi pani powiedzieć, że Marta była obecna przy otwieraniu sejfu? – zdziwiłem się.

Miała tak zwane poświadczenie bezpieczeństwa, ale to nie oznaczało, że może oglądać zawartość mojego szafy pancerniej. Mogłem ją oglądać wyłącznie ja oraz niektórzy upoważnieni do tego „tajniacy”.

– Nie, nie wpuścili jej wtedy do pana gabinetu. Powiedzieli jej to później. Tak mi przekazała, kiedy potem zapytałam. „Potem”, czyli kilka dni później, kiedy mi się przypomniało. Nic więcej o tej sprawie nie wiem.

– Okej... A przypomina pani sobie coś jeszcze?

– Nie. To wszystko. Ale jakby co, dam panu znać, szefie. – Uśmiechnęła się niepewnie.

– Oczywiście. – Też się uśmiechnąłem, chociaż usta miałem jak zdrętwiałe.

– Wróci pan do nas? – zapytała nagle Henia ze łzami w oczach.

– Nie wiem, pani Heniu. Ale... To mało prawdopodobne. Sama pani widzi, jak wyglądam. – Dotknąłem swojej głowy.

Nie dodałem, że to nie jedyny powód, z którego mogę nie wrócić do pracy. Pobyt w więzieniu i praca w policji to dwie wykluczające się sprawy. Wizytówka niemal

wypalała dziurę w tylnej kieszeni spodni. Pani Henia chlipnęła i smutno pokiwała głową.

– Skibiński to już nie będzie to samo – powiedziała cicho.

– Ano nie będzie – przytaknąłem i uśmiechnąłem się. – Boi się pani, że będzie chciał z pani zrezygnować?

– Sama nie wiem... – mruknęła.

– Niedługo idzie pani na emeryturę. Nie zrobi tego. Nie ośmieli się. A jak zrobi, to przyjdę i ja mu też zrobię. Zrobię mu forsowanie Odry Wałem Pomorskim.

Parsknęła śmiechem i machnęła ręką.

– Nie ma się czego bać – prychnęła. – Nie wymieni mnie na nowszy model, bo mu żona nie pozwoli. Myślę, że mogę być spokojna, szefie. Oby do emerytury...

Odstawiłem krzeselko na miejsce i przysiadłem na krawędzi biurka Heńki.

– Jakby co, przepraszam panią za wszystko, pani Heniu. Jeśli kiedykolwiek zdarzyło się, że byłem niemiłym, ponurym sukinsynem, to też przepraszam. Jeśli byłem nim przez cały czas, to tym bardziej przepraszam i błagam o wybaczenie. Jeśli nigdy nie powiedziałem pani, że bez niej zginąłbym w swoim bałaganie, to teraz to mówię. I za to dziękuję. Ja, doktor Chaos.

– To pan wie? – zdziwiła się.

Owszem, wiedziałem, że czasem moi ludzie nazywają mnie między sobą „doktor Chaos”.

– Pani Heniu, przecież jestem policjantem. – Roześmiałem się.

Spuściła oczy, lekko zawstydzona, a ja dodałem cicho:

– Za wszystko pani dziękuję. Naprawdę.

– Niech pan tak nie mówi, szefie – poprosiła przez łzy. – To brzmi jak pożegnanie.

– Bo to jest pożegnanie. Przykro mi. Ale przyjdę jeszcze, zrobimy małą bibkę w moim gabinecie... – Mrugnąłem do niej.

Wstała zza biurka i rzuciła mi się w ramiona. Poczułem jej obfity biust na swoim brzuchu, jej włosy załaskotały mnie w podbródek. Przywarła do mnie i objęła mocno. Byłem zaskoczony, naprawdę zaskoczony. Tego bym się nigdy nie spodziewał. To nie była obawa przed rządami Skibińskiego, który zapewne zajmie moje miejsce i być może faktycznie zechce zastąpić Heńkę bardziej reprezentacyjną sekretarką. To była czysta sympatia, a nawet coś więcej. Cholera, Zimna Heńka naprawdę mnie lubiła!

Też ją objąłem i z lekkim skrępowaniem delikatnie poklepałem po plecach. Jej włosy pachniały trochę dziwnie, pewnie jakimiś środkami do pielęgnacji trwałej. Staliśmy tak przez dłuższą chwilę. I wtedy właśnie drzwi otworzyły się z impetem i do sekretariatu wszedł zastępca komendanta wojewódzkiego, inspektor Zalisz.

– Przeszkodziłem, widzę? – zapytał sucho, kierując spojrzenie gdzieś w bok, jakby patrzenie na tego rodzaju czułości było dla niego problemem.

Zupełnie jak dla mnie, kiedyś.

Zalisz kojarzył mi się z majorem Wołczykiem z serialu *07 zgłoś się*. Był do niego podobny fizycznie, ale nie miał w sobie nic z jego ojcowskiej troski o podwładnych. Chodził sztywno wyprostowany, ale równocześnie kulił się w sobie w jakiś dziwny sposób, który sprawiał, że jego ramiona wyglądały, jakby wyrastały z przodu barków, a nie w ich prawidłowym anatomicznym miejscu. Miał zaciętą twarz, wredny charakter i ksywę „Azalisz”. Nie znosiłem go serdecznie, podobnie jak większość w komendzie.

– Dzień dobry, panie inspektorze – powiedziałem, wypuszczając Henię z objęć.

Usiadła za swoim biurkiem, spuściła głowę i udawała, że pracuje.

– Za godzinę i piętnaście minut zgłosi się pan do mojego gabinetu na rozmowę – rzucił

Zalish. – Mamy do pana kilka pytań.

Odruchowo zerknąłem na przegub, na którym nie było zegarka.

– Mam w tym czasie obowiązkową sesję z psychoterapeutą, więc jeśli można...

– Nie można. Niech pan przełoży sesję, ta rozmowa się odbędzie w zaplanowanym terminie. I byłoby lepiej dla pana, żeby pan się na niej zjawił. Do widzenia.

Drzwi się zamknęły. Spojrzeliśmy na siebie z Henią.

– Która to będzie za godzinę i kwadrans? – zapytałem.

Nie musiała nawet patrzeć na zegarek.

– Dwunasta trzydzieści. O co może chodzić? – zaniepokoiła się.

– Nie mam bladego pojęcia. – Wzruszyłem ramionami. – Może o awans?

Żart był marny. A to dlatego, że w moje serce zaczął wpełzać zimny strach. Coś się szykowało. Kurwa, niepotrzebnie tu przylazłem. Ale czy gdybym nie przyszedł do pracy, cokolwiek by to zmieniło? Chyba jednak nie...

Powlokłem się smętnie do swojego gabinetu, zadzwoniłem do Mileny Korcz, żeby przełożyć sesję na wieczór, a potem stanąłem przy oknie i zacząłem gapić się w niebo.

O co mogło chodzić Marcie? Podszedłem do sejfu stojącego w rogu mojego gabinetu i stanąłem przed nim. Klucz tkwił w zamku, pozostało jedynie ustawić zamek szyfrowy. Bez trudu przypomniałem sobie kod i liczbę obrotów pokrętła zamka. Zawsze kiedy po dłuższym czasie otwierałem to cholerne pudło, musiałem zerkać na przemyślnie ukrytą pod obudową grzejnika ściągawkę. A teraz? A teraz miałem te liczby przed oczami, jasne i czyste... Tylko ze zdenerwowania w którymś momencie przekręciłem pokrętło zbyt mocno i musiałem powtórzyć całą procedurę od początku. Kiedy wreszcie masywne drzwi sejfu stanęły przede mną otworem, z ulgą stwierdziłem, że mój walther leży bezpiecznie na górnej półce wewnętrznej skrytki, tam gdzie go ostatnio położyłem. Wziąłem go do ręki i powąchałem lufę. Poczulem wyłącznie zapach smaru i metalu. Sprawdziłem magazynek, zobaczyłem czerwonozłoty błysk płaszcza pocisku i satynową żółć powierzchni łuski. Ciężar i brak widocznego donośnika wskazywały, że jest pełny, ale na wszelki wypadek obróciłem go w rękę i spojrzałem na otwory kontrolne. Był pełny. Komora naboju była pusta. Odłożyłem broń na miejsce i zamknąłem sejf, nie mając pojęcia, co o tym wszystkim sądzić.

Zadzwoniłem do Jacka.

– Słuchaj, mam jeszcze jedno pytanie – rzuciłem. – Właściwie to dwa.

– Pytaj.

– Wspominałeś, że trupy z portu oraz ja i moja rodzina mieliśmy w sobie pociski z tej samej broni.

– Zgadza się.

– Co to za pociski?

– Dziewiątki, parabellum.

– Były jakieś łuski?

– Nie. Nawet jak były, to pewnie się stopiły. Chociaż nie wiem, nie znam się, pojęcia nie

mam, w jakiej temperaturze topią się łuski. Wiem tylko, że nie znaleziono ich na miejscu. A co?

– Nie, nic. Tak tylko pytam...

– Tak bez powodu?

– Mówiłem ci, cały czas coś mi się roi. Jak wymyślę coś naprawdę konkretnego, to dam ci znać. W porządku?

– W porządku. – Westchnął. – A drugie pytanie?

– Jest możliwość odsłuchania nagrań z łączności podczas akcji w porcie?

– Co!?

– Pytam, czy dałbyś radę załatwić nagranie wszystkich komunikatów między poszczególnymi jednostkami z tych krytycznych kilkudziesięciu minut finału akcji „Strela”?

– Zwariowałeś, Darek?

– Nie. Poważnie pytam. Podejrzewam, że istnieją, przecież to normalka. I pewnie były wykorzystywane przez prokuratora w śledztwie.

– Jak miałbym ci to niby załatwić?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Tak jak film z parkingu w Bernau.

– To było co innego – rzucił Jacek po chwili milczenia. – Zupełnie co innego.

– Rozumiem. Czyli nie da się?

– Nie da się.

– Szkoda.

– Rozumiem, że o to też tak tylko pytasz? Bo ci się „roi”?

– Dokładnie tak.

– W porządku. No to do zobaczenia.

– Na razie. Ale chyba do ciebie dziś nie wdepnę. Przełożymy to, dobra?

– Dobra. Ale i tak się zaraz zobaczymy.

– Tak? – zdziwiłem się.

– Tak. Za godzinę. U Zalisza.

Jeszcze bardziej się zdziwiłem i rozłączyłem się.

Zerknąłem na sejf. Nie strzelałem już kilka ładnych lat, ale jeszcze co nieco pamiętałem. Nie da się określić konkretnego typu broni, dysponując jedynie pociskami, a nie łuskami od nich. Wszystkie legalne egzemplarze broni są przestrzeliwane, a łuski przechowywane w trzech egzemplarzach do celów porównawczych. Co innego pociski. Mimo że gwint lufy zostawia na kuli bruzdy i ślady charakterystyczne nie tyle dla typu, ile wręcz dla konkretnej jednostki broni, stwierdzić, czy wystrzelono je właśnie z niej, można tylko, mając ten egzemplarz do porównania. Jacek wspomniał, że pociski wyjęte z ciał zabitych w portowym magazynie i moich bliskich wystrzelono z tego samego pistoletu. W tym sęk, że nie wiadomo jakiego typu, choć określając rodzaj naboju, określono równocześnie grupę broni. Naboje dziewięć milimetrów typ Parabellum są chyba najpopularniejszymi na świecie nabojami pistoletowymi i pasują do wielu z nich. Na przykład do glocka, jakiego miał „Lichy” oraz mnóstwo policjantów w tym kraju. Również do walthera P99, takiego, jaki leżał w moim sejfie.

Po co Marta chciała wiedzieć, czy jest na miejscu? Przecież później, gdy zginęła w porcie,

również użyto tej samej broni. Zadając Heni takie pytanie, musiała mieć podstawy, by sądzić, że to, co się stało koło Bernau, miało związek z moim waltherem. W każdym razie nic innego nie przychodziło mi do głowy. Czy podejrzewała mnie o zlecenie zamachu na rodzinę? Czy w czasie, którego nie pamiętam, dałem jej jakiś nieświadomy sygnał, że tak mogło być? Czy to rzeczywiście byłem JA?

* * *

Gabinet Zalisza był niemal sterylny. Wszystko stało idealnie na swoim miejscu, „Azalisz” wyznawał chyba kult kąta prostego, a tolerancja błędu wynosiła nie więcej niż pół stopnia. Jedyne rzeczy, która miały prawo nie trzymać kąta dziewięćdziesięciu stopni, były wskazówki zegara ściennego. Zalisz miał też podobno alergię na kurz, więc sprzątaczką przychodziła do jego gabinetu codziennie. Czułem się tu źle, nie tylko ze względu na mój bałaganiarski charakter. Tu po prostu było źle.

Większość miejsc za małym stołem konferencyjnym dostawionym do biurka Zalisza, oczywiście pod kątem prostym, było zajętych, co stwierdziłem z lekką konsternacją zaraz po wejściu do gabinetu.

– Dzień dobry panom – przywitałem się, zamykając za sobą drzwi i nie dając po sobie niczego poznać.

Zalisz siedział za swoim biurkiem, przy stole zajęli miejsce nadkomisarz Skibiński, ktoś, kogo nie znałem, ale kojarzyłem, oraz Jacek Mołczun. Siedzieli obok siebie po jednej stronie stołu, drugą wyraźnie przewidziano dla mnie. Nie wiem czemu, widok ten skojarzył mi się z salą sądową. A może raczej z sądem kapturowym.

– Proszę, panie inspektorze Suder, niech pan siada. – Zalisz wskazał mi miejsce dłonią, nie ruszając się zza biurka.

Zająłem je i spojrzałem w twarze siedzących przede mną ludzi.

Mołczun patrzył na mnie z sympatią, choć wyraźnie starał się nie robić tego zbyt długo i zbyt często. Rozumiałem niezręczną sytuację, w jakiej się znalazł, rozumiałem więc i to, absolutnie nie mając mu tego za złe.

Twarz Skibińskiego, młodego blondyna o czerwonych jak po pociągnięciu szminką ustach, jak zwykle pozbawiona była zarostu i jakiegokolwiek wyrazu. Patrzył na swoje szczupłe, bezwłose przedramiona oparte o stół, a serdeczny palec prawej ręki ze świeżuteńką ślubną obrączką podrygiwał mu lekko w takt jakiejś muzyki, którą słyszał wyłącznie w swojej głowie. A może sterowały nim słabe nerwy, nie wiem. Patrzyłem na tę jego obrączkę i zastanawiałem się, czy ten facet w domu jest takim samym dupkiem jak w pracy.

Trzecia twarz była przeciętna i trudno mi było wywnioskować z niej cokolwiek. Przystojna, proporcjonalna, z prostym nosem i kwadratowym podbródkiem. Jej właściciel był brunetem, mocnym; jego włosy połyskiwały granatem, jakim w słońcu mienia się pióra kruka.

– Jak pan się czuje? – zapytał mnie Zalisz. Azaliż naprawdę cię to interesuje? – pomyślałem i patrząc w ścianę ponad głowami Skibińskiego, Mołczuna i kogoś, kogo nie znałem, ale kojarzyłem, i to niestety z Wydziału Kontroli, powiedziałem głośno:

– Szczerze mówiąc, nie najlepiej.

– Ale może pan uczestniczyć w rozmowie? – naciskał Zalisz.

Zrozumiałem, że cokolwiek powiem, ta rozmowa i tak się odbędzie. No, chyba że padłbym tu na miejscu trupem. W wylupiastych, powiększonych szklami okularów oczach Zalisza wciąż było pytanie, które zadał przed chwilą. Nie tyle mogę, ile muszę – znów pomyślałem i znów powiedziałem na głos co innego:

– Tak, mogę.

– To dobrze. Zatem zaczynamy...

Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, uniosłem się lekko i z kieszeni spodni wyciągnąłem telefon, kładąc go przed sobą na stole.

– Po co to panu? – zapytał zaskoczony Zalisz. – Chce pan nas nagrywać?

– Powiem wprost: gniecie mnie w jaja, panie inspektorze – odparłem i ponieważ telefon leżał zbyt równo, niemal prostopadle w stosunku do krawędzi stołu, przekręciłem go o jakieś jedenaście i pół stopnia w prawo.

Zanim Zalisz zamknął otwarte ze zdziwienia usta, zdążyłem jeszcze przekornie zapytać:

– A mogę nagrywać? Szczerze mówiąc, bardzo chętnie, bo mam wrażenie, że ta rozmowa będzie dla mnie dość ważna. Nie chciałbym, żeby coś mi umknęło, a tak, zawsze będę mógł do niej wrócić...

Znów poczułem ten odpowiednik narkozy azotowej. Szarżowałem, zapominając, że mam co nieco na sumieniu.

Zalisz aż się zapowietrzył.

– Niech pan sobie nie kpi, Suder – sapnął. – To nie miejsce ani czas na to. Zebraliśmy się tu po to, żeby wyjaśnić kilka spraw dotyczących pana inspektora Sudera i jego związków z dziwnymi zdarzeniami, które ostatnio zaszły.

Nie lubię dwóch rzeczy; jak ktoś nie odmienia mojego nazwiska i jak ktoś mówi o mnie w trzeciej osobie w mojej obecności. Ciekawe, czy to drugie to z obawy, że mógłbym zacząć mu wtórować i nieopatrznie powiedzieć coś niemilego o sobie samym?

– Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli – rzuciłem, marszcząc brwi i starając się wyglądać naturalnie.

Nie starałem się mocno, bo wiedziałem, że to może przynieść odwrotny skutek i wypadnę sztucznie. A nie mogłem sobie na to pozwolić, bo leciałem. Wciąż leciałem na samo dno, coraz szybciej i teraz chodziło o to, żeby rozwiązać zagadkę, zanim zrobią to ludzie siedzący przede mną. Bo to byłoby równoznaczne z moim końcem. Roztrzaskaniem się o to dno.

– Chcielibyśmy się dowiedzieć od pana inspektora kilku rzeczy – zaskrzeczał Zalisz. – Kilku rzeczy, które nieco rozjaśnią nam obraz sytuacji, a następnie pozwolą nam spojrzeć na sprawę z nowego punktu widzenia...

Zupełnie się pogubiłem, nie miałem pojęcia, o czym ten Zalisz pieprzy. To znaczy, domyślałem się, ale zastanawiało mnie, ile drogi nadłoży, żeby dojść do celu. Wyraźnie kluczył, zamiast zapytać wprost, co nieformalnego łączy mnie z akcją „Strela”. Bo do tego zmierzała rozmowa, to oczywiste. I byłem nawet gotów na takie pytanie, byłem gotów odeprzeć każdy atak.

– Czy często kłócił się pan z żoną?

Poczułem się jak Gołota, który właśnie dostał od Tysona pierwszy cios. Wyszedł na ring

do równorzędnego partnera, a ten niespodziewanie okazał się nadrzędny. Na takie coś nie byłem gotowy. Absolutnie nie.

– Co to ma znaczyć? – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Proszę odpowiedzieć.

– Nie wiem...

– Nie wie pan?

– Mam na myśli to, że nie rozumiem, czemu ma służyć to pytanie. W jakim kontekście je zadano?

– To bardzo proste pytanie. Bez żadnego kontekstu. Zwykle na każde pytanie można odpowiedzieć po prostu „tak” lub „nie”, nieprawdaż?

Korciło mnie, żeby udowodnić mu, że nie, nie na każde. Czy wciąż onanizuje się pan, oglądając gejowskie strony internetowe? – chciało zapytać moje serce, ale rozum je na szczęście przed tym powstrzymał.

– Więc jak, kłócił się pan czy nie? – dociekał Zalisz.

Zacisnąłem zęby.

– Nie – warknąłem. – Nie kłóciłem się. Czasem wymienialiśmy poglądy w bardziej emocjonalny niż zwykle sposób. Wystarczy panu? To jest zadowolająca odpowiedź na pańskie pytanie, zadane bez żadnego kontekstu? A może powinniśmy raczej użyć sformułowania „podtekstu”?

– Spokojnie, panie inspektorze...

– To po co te pytania? Co to ma w ogóle do rzeczy?

– Czy zdradzał pan żonę?

– Proszę??? – Nie wierzyłem własnym uszom.

– Czy utrzymywał pan... pozamałżeńskie stosunki seksualne z jedną z pańskich podwładnych?

Wstałem. Gdybym był w ringu, po takiej serii ciosów właśnie oglądałbym deski z odległości równej długości swojego nosa, pomniejszonej o kąt jego złamania. Prawie jak Gołota. Ale ustałem. Nie miałem wyjścia.

– Przykro mi, ta rozmowa zmierza w kierunku... – Zabrakło mi eleganckiego sformułowania, więc poradziłem sobie inaczej. – To jest, kurwa, jakaś kpina czy co?

– Darek, nie pogarszaj swojej sytuacji, proszę cię. – Jacek Mołczun próbował wszystko załagodzić, ale jak dla mnie było już za późno.

– Co to znaczy „nie pogarszaj swojej sytuacji”? – Podniosłem głos. – Co wy w ogóle wiecie o mojej sytuacji? Powiedzcie wprost, o co mnie posądzacie! Po co to kluczenie? Po co głupawe pytania?

Nie wyszedłem, tylko usiadłem z powrotem na krześle. Obliziałem usta i wyrównałem oddech. Zdenerwowanie nie pomaga w takiej konfrontacji. Obniża koncentrację i powoduje spadek refleksu, a tych rzeczy potrzebowałem teraz jak cholera. Kiedy wyraźnie się uspokoiłem, Zalisz przystąpił do kolejnej fazy bitwy, znów przypuszczając atak ze strony, z której najmniej się go spodziewałem.

– Wiemy skądinąd, że pańskie stosunki z rodziną, z żoną i córką, nie były zbyt dobre – rzucił, patrząc na mnie z ukosa. – Podobno nie akceptował pan faktu, że pańska córka przestaje być dzieckiem?

– Ja... Ja nie rozumiem. Co panowie mogą wiedzieć o moich stosunkach z rodziną, na miłość boską? – Znow miałem ochotę zerwać się z tego cholernego krzesła. – I skąd?

Zastanawiałem się, gdzie jest to „skądinąd”, z którego Zalisz uzyskał te informacje, zwłaszcza tę o mojej córce. Kiedy się domyśliłem, co nie było trudne, targnęły mną sprzeczne uczucia. Z jednej strony miałem żal do Marty, że zdradziła komuś coś, co było przeznaczone tylko dla jej uszu, ale z drugiej... Z drugiej strony to było naturalne, że po zamachu na mnie była przesłuchiwana jako mój bliski współpracownik. Musiała powiedzieć im wszystko, bo wszystko mogło mieć znaczenie dla rozwiązania sprawy; nawet drobny, na pierwszy rzut oka niemający znaczenia szczegół.

– Coś jednak wiemy. Pańskie zachowanie w końcu zeszłego roku świadczyło dobitnie o tym fakcie. W domu bywał pan agresywny i porywczy. Dlatego właśnie padło pytanie, czy kłócił się pan z żoną.

– Rozpytywaliście sąsiadów? – zapytałem cicho i pokręciłem głową ze zdumieniem.

Nikt nie odpowiedział mi na to pytanie. Nie musiał. To było kolejne źródło informacji, drugie „skądinąd”. Naprawdę się postarali...

– Moje problemy z rodziną nie mają nic wspólnego z moją pracą – powiedziałem zmęczonym głosem. – Poza tym zostały rozwiązane jeszcze przed zamachem na nas. To nie było nic, co mogłoby martwić moich przełożonych. Zwykle rodzinne niesnaski. Zresztą wszystko zdążyło wrócić do normy, zanim... – urwałem i popatrzyłem na nich – ...zanim nas zaatakowano. O to już sąsiadów nie zapytaliście, co?

Na to pytanie również nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

– Po co zbierał pan informacje dotyczące szczecińskiego podziemia przestępczego? Ze wskazaniem na Jarosława Leśniewskiego?

Kurwa mać...

Wziąłem głęboki oddech.

– Potrzebowałem tych informacji – powiedziałem ostrożnie.

– Do czego?

– Chciałem sprawdzić coś, czego nie sprawdziły osoby prowadzące śledztwo w mojej sprawie. – Po chwili doszedłem do wniosku, że powiedziałem to zbyt grzecznie.

Zdecydowanie zbyt grzecznie. Powinienem był wyłożyć kawę na ławę: chciałem coś sprawdzić, bo ktoś ma wszystko w dupie i nie robi dobrze tego, co ma zastrany obowiązek robić...

– Może nie powinienem o tym mówić, ale pańskie kontakty ze światem przestępczym są co najmniej zastanawiające, panie inspektorze Suder. Co najmniej! Zwłaszcza w kontekście akcji „Strela” i tego, co przydarzyło się panu i pańskiej rodzinie...

– Jakie kontakty? Co to ma wspólnego ze „Strelą”?

– Zaprzecza pan, że kontaktował się z Leśniewskim?

Nie mogłem zaprzeczyć. To nie był blef, musieli wiedzieć, że się z nim spotkałem. Nieważne od kogo: od Ani Tomaszewskiej, od Kucharskiego, od samego „Malechy”... Wiedzieli.

– Nie, nie zaprzeczam – przyznałem. – Rozmawiałem z nim raz.

Kiedy byłem mały, zbiłem w szkole szybę. Przypadkiem. Woźny zaprowadził mnie za ucho do pokoju nauczycielskiego. To było podczas przerwy, więc prawie wszyscy

nauczyciele byli na miejscu. Stałem na środku pokoju, a oni patrzyli na mnie, jakbym zbił ich albo całą szkołę, a nie głupią szybę. Teraz czułem się mniej więcej tak samo.

– To było parę dni temu, ludzie! – Podniosłem głos. – Jeden, jedyny raz! Jaki to może mieć związek z wydarzeniami sprzed kilku miesięcy!?

– Może właśnie pan nam wyjaśni, jaki to ma związek.

Oklapłem na krześle z bezsilności. Paranoja. Paragraf dwadzieścia dwa.

– Uwaga, wyjaśniam: ze względu na brak możliwości przenoszenia się w czasie to nie ma związku – palnąłem.

Zobaczyłem, że Jacek Mołczun próbuje się nie uśmiechnąć. Zasłonił usta, udając, że drapie się w nos.

– To po co pan się z nim spotkał? – dociekał „Azalisz”.

– Mówiłem już...

– Proszę powtórzyć.

– Robiłem coś, co powinni zrobić śledczy. Zbierałem informacje, które mogłyby mi pomóc w ustaleniu przebiegu zdarzeń.

– Jakich zdarzeń?

Srakich...

– Zamachu na mnie i moją rodzinę. Przecież o tym ciągle mówimy, prawda? Mielimy to w kółko, a i tak stoicie w tym samym miejscu, w którym byliście na początku!

Nie mogłem im powiedzieć, że ja jestem dużo dalej. Bo wcale nie byłem szczęśliwy, że tam jestem. Że sam się tam wpakowałem.

– Przecież pan wie, że śledztwo w tej sprawie toczy się w naszej komendzie?

– Owszem, wiem, i o tym przed chwilą wspomniałem. Tyle że jakoś nie widzę jego efektów.

– Nie może pan znać szczegółów dochodzenia.

– Nie? – zdziwiłem się. – A to ciekawe, bo przecież dotyczy mnie.

– Właśnie, panie inspektorze. I bardzo nam się nie podoba to, co już zostało ustalone. Sytuacja jest bardzo dwuznaczna i to jest łagodne określenie. Bardzo łagodne.

– Co to znaczy: dwuznaczna?

– Niezbyt dobra dla pana – wycedził Zalisz, a oczy prawie wyszły mu z orbit.

Facet miał chyba nadciśnienie albo problemy z tarczą.

– I jak przebiegła rozmowa z Leśniewskim? – odezwał się nagle ten z Wydziału Kontroli. Nie patrzył na mnie, tylko w blat stołu. Pytanie poszło w powietrze, więc nie odpowiedziałem na nie. Czekałem. Bawiłem się leżącym przede mną telefonem, przesuwając go po blacie wte i wewte. Cisza się przedłużała.

– Zamierza pan odpowiedzieć na pytanie pana inspektora? – zapytał Zalisz.

Wyprostowałem się z zaskoczeniem.

– Och, to było pytanie do mnie? Nie zgadłem. Ale oczywiście odpowiem na nie. – Spojrzałem na bruneta, on już na mnie patrzył, oczy też miał ciemne. – Przebiegła w atmosferze wzajemnego zrozumienia.

– Nie pomaga pan sobie – mruknął brunet, którego najwyraźniej nikt nie zamierzał mi przedstawić. – Głupio pan robi.

Pochyliłem się ku niemu.

– Głupia to jest ta gierka. Chcę usłyszeć wprost, o co mnie się oskarża. – Rozejrzałem się dookoła, po twarzach moich adwersarzy. – Sami faceci, sami oficerowie, nie róbmy sobie jaj, panowie. Cackacie się jak panienki. Wy ze mną uczciwie, to ja z wami też. Tak możemy grać. Uczciwie.

Oparłem się wygodnie. W środku trząsałem się jak osika, ale wyglądało na to, że wygrałem rundę. Mołczun wciąż nie mówił ani słowa. Zalisz na szczęście też nie. Brunet pokiwał głową z lekkim uśmiechem.

– W porządku. – Spojrzał na mnie. – Niepokoi nas fakt pańskich kontaktów ze środowiskiem przestępczym w kontekście tego, że być może fiasko akcji „Strela” zawdzięczamy nieuczciwemu funkcjonariuszowi policji. Nie zdradzam tu żadnych rewelacji, tę opcję braliśmy pod uwagę już dawno i z tego, co wiem, pan o tym również wiedział. Ale pańskie działania, zwłaszcza te, które podjął pan ostatnio... Sam pan przyzna, że mamy podstawy do zaniepokojenia, prawda?

– Mówi pan o Leśniewskim, tak? O to panom chodzi?

– Między innymi. Po co pan się z nim spotkał?

– Nie spotkałem się – sprostowałem. – Nie umawiałem się z nim, nie kontaktowałem wcześniej, żeby ustalić zasady spotkania. Ja... Wpadłem na niego, że tak powiem.

– Przypadkiem?

– Nie, nie przypadkiem. Wiedziałem, gdzie bywa, więc po prostu na niego czekałem. Do skutku. A Leśniewski absolutnie nie spodziewał się tego spotkania.

– O czym rozmawialiście?

– To takie istotne?

– Znowu pan sobie pogrywa? Przecież umawialiśmy się na uczciwość?

Westchnąłem.

– „Malecha” jest ogniwem łączącym „Strelę” z zamachem na moją rodzinę. Pośrednim ogniwem. Taką mam teorię i chciałem to sprawdzić...

Aż otworzyli usta ze zdziwienia. Musiałem im coś dać. Coś, co im je zamknie i co da mi trochę czasu. Coś, co nie będzie kłamstwem, ale i nie całą prawdą. Więc dałem im to coś, choć teraz zaczynałem stąpać po naprawdę kruchym lodzie. Jeden nieostrożny krok i będzie po mnie.

– Co pan wyprawia? – Skrzek Zalisza aż ranił uszy. – W prywatne dochodzenie pan się bawi? Jakim prawem, pytam? Co pan jest, Brudny jak mu tam...?

Nikt mu nie odpowiedział. Skibiński być może i chciał, ale był pewnie za młody, żeby to pamiętać.

– To nie tak – zaoponowałem. – Nie bawię w prywatne śledztwo, tylko sprawdzam pewną teorię. A to różnica. Zasadnicza.

– I co, teoria okazała się słuszna? – zapytał brunet z kontroli. – Jest tym ogniwem czy nie?

– To nie o Leśniewskiego chodziło, a o człowieka, który dla niego pracował. Nikt znaczący, młody chłopak, który... O którym wiedziałem, że znał się z moją córką.

– Znał się czy się razem prowadzali? – zapytał Zalisz z właściwą sobie delikatnością.

– Nie. – Zagryzłem wargi, żeby nie wyrwało mi się nic, co mogłoby zakończyć moją karierę policyjną wydaleniem ze służby bez prawa do emerytury zamiast przewidywaną

rentą. – To tylko kolega córki. Przelotna znajomość, ale go jakoś zapamiętałem i tak mi się skojarzyło...

– No i co? – znów zapytał brunet.

Teraz przyszła pora na łagodne wycofanie się.

– No i nic. Dowiedziałem się, że został znaleziony w Odrze jakiś czas temu. Martwy. Od razu dodam, że byłem wtedy w szpitalu. – Uniosłem ręce i uśmiechnąłem się.

Winni się nie uśmiechają. Mój uśmiech był kwintesencją niewinności i kosztował mnie naprawdę sporo. Miałem nadzieję, że nie spytają, jak się dowiedziałem o tym trupie. Brunet spojrział na Zalisza z lekkim niesmakiem.

– Sami musicie przyznać, że gdybym podsunął wam ten trop, nie zrobilibyście nic w tym kierunku – powiedziałem, opuszczając ręce. – Uznalibyście, że przesadzam i że nie ma w tym nic podejrzanego. I, jak się okazało, słusznie. Chłopak najprawdopodobniej zginął w wyniku gangsterskich porachunków, wiem skądinąd, że parał się kradzieżami samochodów. Ale nie o to chodzi, czy mielibyście rację, czy nie. Chciałem to sprawdzić na wszelki wypadek. Sam. Musiałem to sprawdzić w jedyny dostępny mi sposób, czyli przez rozmowę z Leśniewskim...

Mój uśmiech zgasł, a na twarzy pojawiła się maska smutku. Ćwiczyłem taką radykalną zmianę nastroju wielokrotnie, gdy wracałem do domu od Marty. Radocha z niezłego różnięcia zamieniała się na klatce schodowej mojego bloku w koszmarnie zmęczenie ciężkim dniem pracy. Ale wyłącznie na twarzy. Zawsze działało.

– Musiałem to sprawdzić. Musiałem zrobić... coś. Cokolwiek. Chociaż w ten sposób chciałem przez chwilę poczuć, że mam nad czymś kontrolę, mimo że nie wiedziałem, co się dzieje. I wciąż nie wiem, co się dzieje, rozumiecie mnie, panowie? Nie wiem, CO się, kurwa, dzieje... Nikt mnie o niczym nie informuje, a jedynie co jakiś czas zadaje dziwne pytania, które stawiają mnie w niezręcznym położeniu...

Poczułem, jak wilgotnieją mi oczy i zacząłem się modlić, żeby wypłynęły z nich łzy. Chociaż jedna. Nie popłynęły. Nie popłynęły, ale i tak brunet i Skibiński speszzeni odwrócili głowy. Mieli na twarzach wypisany lekki niesmak. Teraz ja byłem górą. Dałem właśnie popis, jak powinna wyglądać chodząca niewinność.

Ale były i złe strony. Raptowną zmianą nastroju dałem im świadectwo stanu, w jakim się znajduję czy raczej w jakim oni sądzili, że się znajduję. Przepadłem; nawet jeśli miałem szanse powrotu na swoje stanowisko, to właśnie ją zaprzepaściłem. Być może z tego powodu w gabinecie Zalisza znalazł się Skibiński. Nie odzywał się, bo nie miał nic do powiedzenia, miał być tylko ostrzeżeniem, czy może raczej dobrą radą: *Patrz: jeśli nie będziesz współpracował, to mamy kogoś na twoje miejsce, więc nie fikaj.* Zacząłem współpracować, ale ta współpraca nie wyglądała tak, jak oni to sobie wyobrażali. Niemal popłakałem się na ich oczach. Skibiński mógł już zacząć przymierzać swoje chude, kościste dupsko do mojego fotela.

Miałem na to wyjebane. Tak, dokładnie. Usłyszałem kiedyś ten greps od Agnieszki. Miała wtedy czternaście czy piętnaście lat, powiedziała to w domu, choć nie wiedziała, że ja to słyszę, bo była w swoim pokoju, a ja w kuchni. Rozmawiała z koleżanką przez komórkę. Powinienem był ją wtedy ostro obsztorcować: była za młoda na bluzgi, w dodatku rzuciła mięsem w domu, czego z Jolą nie tolerowaliśmy, ale tak mi się ten

tekst spodobał, że dałem spokój. Idealnie oddawał stan, w jakim się w tej chwili znajdowałem. Miałem gdzieś swoje stanowisko. No i grałem teraz o swoje przyszłe życie. Przypominała mi o tym wizytówka Gaz-Techu. Miałem ochotę sprawdzić, czy kręcenie się na krześle nie spowodowało, że jej skraj wysunął się zdradziecko z tylnej kieszeni dzinsów. Ledwo się powstrzymałem. Po kiego grzyba zabrałem ją tu ze sobą, zamiast podrzeć u siebie na drobne kawałki i dla pewności zezreć, żeby nie został po niej najmniejszy ślad?

– Ekhm. – Zalisz chrząknął w zwiniętą dłoń, a potem odruchowo wytarł ją kciukiem drugiej. – Rozumiemy pańską sytuację, panie inspektorze, ale to nie upoważnia pana do podejmowania takich działań. Kontakty ze światem przestępczym nie są postępowaniem rozsądnym, nawet zważywszy na pańskie intencje. Zgadzamy się w tej kwestii, panowie?

Zebrani pokiwali głowami: brunet leniwie, na odwal się, Skibiński ochoczo, Jacek zaś tak nieznacznie, że mogłem wziąć to nawet za tik.

– Skoro jesteśmy w męskim gronie – powiedział nagle brunet – a inspektor Suder nie życzy sobie cackania się z nim jak z panienką, to miałbym pytanie, na które z chęcią usłyszę odpowiedź. Można? – Popatrzył na mnie wyzywająco.

– Proszę. – Wzruszyłem ramionami.

Przecież nie powiem, że nie można...

– Nie otrzymaliśmy co prawda odpowiedzi na jedno z poprzednich pytań, to dotyczące pana romansu z podwładną, panią komisarz Kielan...

– Domniemanego romansu – wtrąciłem.

– No właśnie. Więc chciałbym to uściślić, jeśli łaska, zanim zadam właściwe pytanie.

Oblizalem od środka dolną wargę.

– Proszę, żeby komisarz Skibiński opuścił pomieszczenie – wycodziłem. – Myślę, że nie ma istotnego powodu, dla którego musiałby dłużej uczestniczyć w tej rozmowie, prawda? Chyba że znowu o czymś mnie nie poinformowano, a jego obecność tutaj ma rzeczywiście jakieś znaczenie? Że tak powiem, jakiś kontekst...? – Znów pozwoliłem sobie na więcej.

Skibiński poczerwieniał. Głupawy uśmiezek spełznął mu z wąskich ust. Trzepocząc jasnymi rękami, wstał, sztywno skinął głową Zaliszowi i wyszedł z gabinetu swoim charakterystycznym krokiem robota z uniesionym w urażonej dumie podbródkiem.

Zerknąłem na Jacka Mołczuna, kiedy usłyszałem za sobą dźwięk zamykanych drzwi. Oczekałem jeszcze kilkanaście sekund, na wypadek gdyby Skibiński po wyjściu jeszcze na chwilę przyłożył ucho do dziurki od klucza. Stać go było na takie numery i wiedziałem o tym.

– Dobrze... – Chrząknąłem. – Romansu, o którym pan przed chwilą wspomniał, nie można określić domniemanym. Mój związek, pozamałżeński związek z Martą Kielan, jest... był faktem. Nie będę wchodził w szczegóły naszych wzajemnych relacji, potwierdzam jedynie, że taki związek istniał, był bliski, nieformalny i był naszą, wyłącznie naszą sprawą. To nie armia amerykańska, gdzie stosunki seksualne pomiędzy osobami pozostającymi w zależnościach służbowych są zabronione, prawda? Dlatego właśnie ten związek był naszą sprawą i naszą tajemnicą. Tak przynajmniej obydwój z panią komisarz sądziliśmy – dodałem po chwili. – Aż do teraz.

– Uhm. – Brunet pokiwał głową. – Rozumiem, dziękuję za szczerość. I nie ukrywam,

liczę na nią w dalszym ciągu. Proszę mi powiedzieć, co pan planował w związku z tym?

– W związku z czym? – Poczułem, jak brwi wędrują mi do góry.

– W związku z tą sytuacją. Zamierzał pan zdecydować się na jakieś dalsze kroki?

– Na przykład? – Brwi opadły, poczułem, jak niemal się łączą tuż nad nasadą nosa, rozdzielone jedynie pionową, głęboką bruzdą na skórze czoła.

– Na przykład zakończenie jednego związku i sformalizowanie drugiego?

Patrzyłem przez chwilę na bruneta, a potem wybuchnąłem śmiechem.

– Żartuje pan sobie? – Wskazałem na jego dłoń. – Widzę, że jest pan żonaty, w dodatku bardzo przystojny. Chce mi pan powiedzieć, że nigdy nie skorzystał z okazji, żeby odczepić wagonik? I co, potem chciał pan od razu brać rozwód z żoną i żenić się z kochanką? Zastanowił się pan dobrze, zanim cisnął we mnie ten kamień?

– Prosiłbym jednak o odpowiedź na pytanie. Moja osoba nie ma tu nic do rzeczy, rozmawiamy o panu.

Westchnąłem teatralnie i wzniosłem oczy ku sufitowi.

– O ile pamiętam, nie planowałem żadnych kroków w związku z moją sytuacją osobistą. Ani kroków z żoną, ani kroków z komisarz Kielan. Było mi dobrze, tak jak było, cokolwiek sobie o mnie panowie pomyślą. To była wyłącznie moja sprawa. I skoro odpowiedziałem szczerze na pańskie pytanie, liczę na to samo. W jakim... W jakim kontekście mi je pan zadał?

– Nie rozumiem?

– Owszem, rozumie pan.

– Chodziło mi wyłącznie o ustalenie statusu pana osoby w tym wszystkim.

– Czyli nie mogę liczyć na szczerą... Bo wydaje mi się, że usłyszałem przed chwilą jakąś insynuację. Grubą insynuację. Mylę się?

Statystyki Komendy Głównej wskazują na to jednoznacznie: jeden do dwóch procent morderstw dokonywanych jest na zlecenie członka rodziny ofiary. Z przeróżnych pobudek, ale przeważnie na tle emocjonalnym.

Znów nie doczekałem się odpowiedzi na swoje pytanie. Zamiast tego zza przeciwnej strony stołu padło kolejne:

– Czy pańska żona i córka były ubezpieczone na życie?

Zatkało mnie. To już nie była insynuacja, lecz jawna sugestia czegoś bardzo nieprzyjemnego. Tak mnie zaskoczyli, że nie wybuchnąłem gniewem, tylko zacząłem szukać w głowie odpowiedzi.

– Oczywiście, my z żoną byliśmy ubezpieczeni, tu, u nas, w ramach zakładowego... Chyba na sto tysięcy... Czy córka była ubezpieczona? Nie wiem, musiałbym sprawdzić w umowie, nie pamiętam, czy miała indywidualną polisę... Zaraz... – Zreflektowałem się nagle. – Chyba nie sądzi pan, że mógłbym...

– Niczego nie sądzę. – Brunet położył dłonie na stole i podkreślił z naciskiem: – Ja tylko pytam.

– Tę kwestię mógł pan sprawdzić w kadrach, nic trudnego. Sam fakt, że zadał pan to pytanie, świadczy o tym, że zrobił pan to intencjonalnie. Wypraszam sobie takie insynuacje, rozumie pan? Wypraszam sobie!

Ostatnie słowa były dość głośne. Zalisz, być może lekko zniesmaczony, a być może

kierując się troską o własną dobrą opinię, którą mogłyby zaszargać krzyki dochodzące zza drzwi jego gabinetu, poruszył się za swoim biurkiem i zerknął na zegarek.

– Myślę, że na razie wystarczy.

Opadłem na krzesło, oddychając szybko. Brunet oglądał swoje paznokcie, a Jacek patrzył w okno. Zalisz złożył dłonie i spojrzał na mnie surowo.

– Ostrzegam pana, inspektorze Suder, przed dalszymi działaniami, które mogłyby postawić pana w niekorzystnym świetle. Nie będę tolerował prywatnych śledztw, zwłaszcza prowadzonych w tak niefrasobliwy sposób. Ponadto proszę o zdanie broni służbowej. Pozostaje pan do dyspozycji komendanta, proszę kontynuować leczenie i zapamiętać moje słowa. Dobrze zapamiętać. To wszystko.

Wstałem, zabrałem ze stołu swój telefon i wyszedłem z gabinetu Zalisza takim samym krokiem, jakim kilka minut wcześniej opuścił go Skibiński. Czułem się poobijany, ale analizując po drodze całą rozmowę, z satysfakcją sobie uświadomiłem, że to był co najmniej remis. Że mam jeszcze trochę czasu. Ale potem przypomniałem sobie ostatnie pytania, co kompletnie wytrąciło mnie z równowagi. Zdałem sobie sprawę, że nie mam zielonego pojęcia, co oni wiedzą. Mogłem się tylko domyślać po tych pytaniach, i nie poprawiało mi to humoru.

Wracając do siebie, oddychałem głęboko, zastanawiając się, czy smród potu, którym przesiąkła moja koszula, jest bardzo dokuczliwy dla otoczenia. Kiedy wszedłem do sekretariatu, mrugnąłem do Heni jednym okiem, z wysiłkiem przywołując na usta łobuzerski uśmiech. To ją wyraźnie uspokoiło. Nie mówiąc nic, przeszedłem do swojego gabinetu, zamknąłem drzwi i opadłem na fotel. Jęknął na znak protestu. Odchyliłem się do tyłu, założyłem ręce za głowę i zacząłem intensywnie myśleć.

W tak zwanej sytuacji kryzysowej, takiej jak na przykład moja, opieką psychologiczną obejmowano policjanta na jego wniosek bądź na wniosek przełożonego, za zgodą tego policjanta. To interwencja kryzysowa. Moim bezpośrednim przełożonym był „01”, czyli komendant Szewczyk, ale on nie miał o mnie pojęcia, pomijając to, jak wyglądam i czym się zajmuję w komendzie. Bez wątpienia to Jacek wskazał mu psychologa, którego miał wyznaczyć. To on musiał mi załatwić komfortowe warunki psychoterapii: nie musiałem pojawiać się w komendzie, chodziłem do Mileny niejako prywatnie, w dogodnych porach, tylko raz się zdarzyło, że z jakichś przyczyn przełożyła naszą sesję. Ale sytuacja kryzysowa to także podjęcie czynności procesowych wobec policjanta podejrzanego o popełnienie przestępstwa. Czy intencje Jacka były stuprocentowo czyste? Czy Milena miała mi tylko pomóc, czy wy badać również na okoliczność fiaska „Streli”? No właśnie...

Wewnętrzne postępowanie wyjaśniające wobec mnie już wszczęto, nie miałem co do tego żadnych wątpiwości. Pośrednio potwierdził to przed kilkunastoma minutami sam Zalisz, inaczej skąd wiedzieliby o moich problemach rodzinnych. Tylko z okazji śledztwa w sprawie zamachu na mnie? Najprawdopodobniej także to postępowanie już zakończono, a sprawozdanie z Wydziału Kontroli z odpowiednimi wnioskami powędrowało sobie do Biura Spraw Wewnętrznych. A może jeszcze nie zakończono? Taka rozmowa, jaką odbyłem przed chwilą, była czymś nadzwyczajnym, czymś, czego nie przewidywała żadna procedura. Nie sły szałem nigdy o czymś takim. Być może stało się tak wyłącznie z powodu funkcji, jaką pełniłem w komendzie, no i tego, co miałem w głowie. Co, jeśli jednak jest

już po wszystkim? Zastanawiałem się, czy wystąpiono już o zgodę na kontrolę operacyjną i czy moja komórka jest na podsłuchu. Czy zarzucili mi już druty. Telefon w kieszeni spodni parzył mnie w udo. Zaczął parzyć jeszcze bardziej, kiedy uświadomiłem sobie, że niedawno dzwoniłem z niego do „Gaz-Techu”.

Właśnie. Podeszedłem do biurka, wyciągnąłem wizytówkę z tylnej kieszeni. Położyłem ją na blacie i tknięty jakimś przeczuciem zrobiłem jej zdjęcie telefonem. Nie swoim, tylko Agnieszki, który też nosiłem ze sobą. A potem podarłem kartonik na małe kawałeczki. Wyciągnąłem z szuflady pudełko po landrynkach, wsypałem tam strzępki i podpaliłem je zapalniczką. Patrzyłem, jak palą się zielonkawym płomieniem, który ogarnia je po kolei i pożera, wypluwając brązowe resztki tłące się szarą smużką smrodliwego dymu. Kiedy szczątki przestały dymić, roztarłem je palcem na dnie metalowej puszki i wysypałem do śmietnika. Puskę schowałem do szuflady, na biurku został tylko ciepły ślad; kółko z pary, odcinające się matową szarością od błyszczącej powierzchni blatu. Starłem je dłonią i nagle poczułem, jak wokół mnie zaciska się jakaś niewidzialna sieć. Sznur kręcony na moją szyję. Co więcej, sam aktywnie pomagałem go sobie nakładać, jak z tym telefonem do „Gaz-Techu”.

Brawo ty, Suder. Brawo ty...

Sejf znów przyciągnął mój wzrok. Polecenie zdania broni służbowej mogło oznaczać tylko jedno. Chcieli ją mieć, żeby sprawdzić, czy pociski będą pasować do tych z portu. I z parkingu też. Tylko że to nie miało sensu. Nawet gdybym wcześniej dał komuś tę broń, to skąd wzięłaby się z powrotem w moim sejfie?

* * *

Z trudem dotrwałem do wieczora. Sesję z Mileną dzięki Zaliszowi miałem dopiero o dziewiętnastej. Pod jej gabinetem byłem za kwadrans siódma, chodziłem więc wokół budynku, usiłując nie zagadnąć nikogo o papierosa. Szkoda byłoby złamać się po takim czasie, choćby dlatego, że wydatnie poprawił mi się węch i smak. Warto było się męczyć, żeby znowu poczuć je w pełni; w moim obecnym życiu jedzenie, jego smak i zapach były jednymi z niewielu przyjemności. Za minutę siódma wbiegłem do budynku. Opuściłem sobie windę i pognałem na górę schodami. Wszedłem do gabinetu, przywitałem się szybko i zająłem miejsce w fotelu. Zauważyłem, że kończą się chusteczki. Ktoś, kto siedział tu przede mną, miał dziś kiepski dzień. Ja chyba też, choć miałem nadzieję, że obędzie się bez chusteczek.

– Czy obowiązuje cię tajemnica zawodowa? – zapytałem Mileny, kiedy usiadła w swoim fotelu.

Za oknem było szaro, światło lampy rozpraszało lekki półmrok.

– Oczywiście! – odpowiedziała zaskoczona. – Przecież dobrze o tym wiesz. Dlaczego pytasz?

– Nic, o czym ci tu mówię, nie wychodzi poza ten gabinet?

– Nic. Może kiedyś wykorzystam twój przypadek w pracy naukowej, ale na pewno w taki sposób, żeby nikt się nie zorientował, o kogo chodzi.

– Z pewnością trudno będzie się zorientować. Byłych gliniarzy z kulą w głowie jest w tym kraju na pęczki... Może nawet założymy jakieś stowarzyszenie? Wiesz, wspólne

wypadki na kręgle, a raz do roku walne spotkanie w Karpaczu, gdzie będziemy chlać i porównywać rozmiary dziury w głowie oraz kaliber pocisków...

Roześmiała się. Miała ładny śmiech.

– Uwierz mi, nikt się nie zorientuje. Oczywiście najpierw zapytam cię o zgodę. Mimo wszystko. A skąd te wątpliwości?

– Lubisz mnie?

– To nie ma znaczenia, Darek. Jesteś moim pacjentem. Nie możesz pytać mnie o takie rzeczy.

– Wydaję ci się sympatyczny? W porzo gość, jak mawiała moja córka?

– O co ci chodzi? Do czego zmierzasz?

– Gdybym był złym człowiekiem, poznałabyś to?

– Nie wiem. To trudne pytanie, i naprawdę nie wiem, jak mogłabym ci na nie odpowiedzieć. To tak nie działa. Odbyliśmy dopiero kilka sesji...

– Spędziliśmy razem w sumie kilkanaście godzin, w czasie których opowiadałem ci o sobie, o swoich przeżyciach i tak dalej. Robiłem to szczerze, najbardziej szczerze, jak umiałem. Umiesz wyciągać wnioski z takich opowieści, przecież uczyłaś się tego. Czytasz między wierszami. Rozpracowujesz klienta, rozkładasz go na części pierwsze... Poznałabyś to?

Z namysłem pokiwała głową.

– Myślę, że po takim czasie mogłabym już mieć jakieś wątpliwości.

– A masz? W stosunku do mnie?

– Chyba nie.

– Chyba?

– Dlaczego to takie istotne? Przypomniałeś coś sobie?

– Wręcz przeciwnie – prychnąłem. – Wciąż tkwię w wacie cukrowej. Tak mi się to kojarzy, wiesz? Jakbym tkwił po czubek głowy w lepkiej wacie. Błądzą. Przedzieram się przez nią i wciąż widzę tylko lepkie, białe zwały cukrowego puchu. Muszę ci coś powiedzieć. Bo jednak nie wszystko ci jeszcze powiedziałem. Może nie byłem gotowy? Zresztą nie o wszystkim też mogłem ci mówić ze względu na tajemnicę zawodową... Ale teraz w dupie mam tajemnice. Za dużo ich już w moim życiu. I chyba nie mam już innego wyjścia.

To prawda, nie miałem. Musiałem komuś zaufać. Musiałem zaufać Milenie. Była z boku tego wszystkiego, była trzeźwo patrzącym na świat naukowcem i chyba tylko ona mogła spojrzeć na całość z odpowiednim dystansem.

Opowieść o „Streli” popłynęła gładko z moich ust. Powtórzyłem Milenie wszystko, co powiedział mi Mołczun, a także to, o czym dowiedziałem się sam. Słuchała w milczeniu, nie przerywając mi. Kiedy skończyłem tę część opowieści, przeszedłem do następnej. Do tej, która dotyczyła mnie. Niełatwo mi było o tym mówić. Odnosiłem wrażenie, że przyznaję się właśnie Milenie do popełnienia ciężkich przestępstw. Właściwie to nie było wrażenie. Ja to robiłem naprawdę... O rozmowie w komendzie sprzed kilku godzin też wspominałem. Jak wszystko, to wszystko.

– Czy to możliwe – zapytałem cicho, kończąc swoją ponurą opowieść – że zmontowałem akcję, w której wyniku zginęło kilkoro ludzi, a ja tego w ogóle nie pamiętam? W ogóle?

Czy to możliwe, że wyparłem to z pamięci, ze świadomości?

Milena nic nie mówiła. Może próbowała otrząsnąć się z szoku. Może myślała, jak niepostrzeżenie wyciągnąć telefon i zadzwonić na policję albo chociaż wysłać wiadomość do przyjaciółki czy swojego faceta, żeby oni to zrobili. Tyle że nawet nie wiedziałem, czy ma faceta. Ładna dziewczyna, która zamyka się w jednym pokoju ze świrami... To nie było bezpieczne. A niewykluczone, że właśnie teraz siedziała z jednym z takich świrów. Sama.

Nagle poruszyła się w swoim fotelu. Wiklina zaskrzypiała cicho, kiedy Milena zmieniała założone jedna na drugą nogi.

– Wspomniałeś, że kiedy znalazłeś w szufladzie wizytówkę tej firmy od butli z gazem, stwierdziłeś, że musiałeś maczać w tym palce... – powiedziała powoli, jakby zastanawiając się nad czymś.

– Zgadza się, tak powiedziałem. Bo do takiego wniosku właśnie doszedłem... – Odruchowo spojrzałem na swoje dłonie.

– A potem poszedłeś do swojej sekretarki i zapytałeś jej, kto wchodził do twojego gabinetu.

– Tak. – Pokiwałem głową. – Tak było.

– Po co?

– Jak to po co?

– Po co to zrobiłeś?

– Nooo, nie wiem... Coś musiałem zrobić. Chyba bałem się, że ktoś mógł już znaleźć tę wizytówkę, i chciałem wiedzieć, kto to ewentualnie mógł być...

– I co, ktokolwiek to był, po prostu zostawił ją na miejscu jak gdyby nigdy nic?

– Licho wie. Może chciał sprawdzić, jak się zachowam? Może, kurwa, w moim gabinecie zainstalowali kamerę, żeby sprawdzić właśnie to, jak się zachowam, kiedy ją znajdę? – Spojrzałem na Milenę i zagryzłem dolną wargę, mocno, niemal do krwi. – Szkoda tylko, że dopiero teraz na to wpadłem.

Przypomniałem sobie, jak paliłem resztki wizytówki na środku biurka i poczułem ucisk w żołądku. Milena uśmiechnęła się lekko.

– Myślę, że nie dlatego zapytałeś tę... Henię, dobrze mówię?... – Skinąłem głową. – Czy ktoś u ciebie był. Chodziło ci raczej o to, kto mógł ją podłożyć w twoim biurku.

Prychnąłem.

– Chyba żartujesz? Przykro mi, ale ja przecież wiem najlepiej, o co mi chodziło! To, o czym mówisz, nie przeszło mi nawet przez głowę!

– Sam nie jesteś pewien, dlaczego tak postąpiłeś, prawda? Byłeś w szoku. Byłeś roztrzęsiony, właśnie uświadomiłeś sobie, że mogłeś być współnikiem przestępcy i mieć na sumieniu ludzkie życie. Działałeś pod wpływem impulsu. Teraz zastanów się, jakie było jego podłoże.

– Zastanowiłem się już. Chciałem sprawdzić, czy ktoś mógł znaleźć tę pieprzoną wizytówkę wcześniej.

– I zostawić ją na miejscu, żeby sprawdzić, jak zareagujesz.

– Właśnie.

– Wcześniej mówiłeś to sam, teraz usłyszałeś to ode mnie. Powtórzę: zostawił ją, żeby

podejrzec cię, jak reagujesz na jej odkrycie w szufladzie swojego biurka. I jak to brzmi?

Pomyślałem nad tym przez chwilę.

– Głupio. Bez sensu. Chyba sam w to nie wierzę.

– No widzisz. Podświadomie uznałeś, że jednak nie ty to zrobiłeś. Że nie byłbyś w stanie zrobić czegoś takiego. A więc musiał to zrobić ktoś inny, choć to właśnie tobie podrzucił wizytówkę. Tym samym wrabiając cię w całą sprawę.

– Cudownie – mruknąłem. – Jestem niewinny. Będiesz świadkiem obrony. Dasz mi to na piśmie, żebym mógł podrzucić swojemu prawnikowi? On to przekaże prokuratorowi, jakby co.

– Gdybyś zrobił to, o czym mówiłeś, po cholere trzymałbyś tę wizytówkę w biurku, Darek? Dla dreszczyku emocji? Na pamiątkę? Żeby kusić los? Bo jesteś idiotą?

– Milena – sapnąłem i spojrzałem na nią, wiedząc, jakie to spojrzenie: pełne cierpienia i zmęczenia. – Byłem kiedyś innym człowiekiem. Naprawdę się zmieniłem, czuję to, pamiętam. Nie byłem potworem, ale robiłem różne rzeczy, żeby osiągnąć osobiste korzyści. Pewnie to był taki przypadek: miałem coś osiągnąć, tylko wszystko poszło nie tak, zaczęli ginąć ludzie, a ja nie dałem rady. A potem pomogła mi jeszcze ta kula w głowie... Jezu, nie boisz się mnie po tym, co ci o sobie powiedziałem? A jak tylko mi się wydaje, że się zmieniłem? Może gram nieświadomie, bo steruje mną to drugie ja?

– Co, już wierzysz w swoje drugie ja? – Roześmiała się.

Przypomniałem sobie, co mówiłem podczas naszego pierwszego spotkania. Śmiech Mileny był bez troski. Nawet na mnie spojrzała. Chciałem ją za to uściskać. Za ten śmiech i za to spojrzenie. Za to, że nie wywaliła mnie na zbity pysk, grożąc, że jak nie wyjdę sam, to wezwie policję. Byłem jej wdzięczny. Kurwa mać, prawie się rozkleiłem!

– Wyparcie działa w obie strony, Darek – powiedziała cicho, odgarniając włosy i nie patrząc już na mnie. – Był człowiek, który uwierzył, że zabił koleżankę. Nie pamiętał tego, ale zeznania świadków i odpowiednio zadawane podczas przesłuchania pytania sprawiły, że uwierzył w to, że zabił. Bo tak działa ludzki mózg. Nawet nie wiesz, jak łatwo zaszcześcić w nim jakąś myśl, ideę, którą on rozwinie i w dodatku uzna potem za swoją. Ten człowiek miał osiemnaście lat, kiedy to się wydarzyło. Odsiedział tyle samo następnych, zanim jacyś pasjonaci wierzący w sprawiedliwość odkryli, jak było naprawdę. Że on nie mógł fizycznie tego zrobić. I podtrzymuję swoje pytanie: po co zostawiałbyś wizytówkę? To nie ma sensu.

– Znam tę historię. Tylko że ten chłopak był lekko ograniczony umysłowo. A ja nie. Nie mam też osiemnastu lat, tylko jestem starym koniem i niejedno w życiu widziałem. I zrobiłem.

– Chodzi o zasadę, Darek. Chciałam ci to wyjaśnić w przystępny sposób.

Milczałem. Myśli kotłowały mi się w głowie.

– Ktoś mi ją podrzucił, mówisz? Dobrze przynajmniej, że to nie była faktura za wynajem tych cholernych butli... Na moje nazwisko. Chyba palnąłbym sobie w łeb na miejscu. W sejfie w gabinecie mam broń służbową.

Po chwili coś przyszło mi na myśl.

– Faktycznie, nawet jeśli to moja sprawa, nie trzymałbym tego gówna u siebie w biurku. Masz rację. Zatem wizytówka pojawiła się w nim już po zamachu na mnie.

Ktoś, nieistotne teraz kto, bo przez mój gabinet przewinęło się w tym czasie pół Szczecina, podrzucił ją później. Po co? Żeby skierować na mnie podejrzenia, jak mówisz? Niewykluczone. Prawdopodobne. Bardzo. A po co robi się takie rzeczy? Żeby odsunąć podejrzenia od siebie, to jasne. Tylko dlaczego ja?

– Bo straciłeś pamięć. I ktoś chce to wykorzystać.

Spojrzałem na nią.

– Bardzo chciałbym wiedzieć, kiedy konkretnie to się stało. Chyba nawet bardziej, niż kto to zrobił.

– Dlaczego?

– Jeśli wizytówka pojawiła się w moim biurku, kiedy byłem w śpiączce, to wiele by wyjaśniło. Wszyscy byli pewni, że nie przeżyję, a najłatwiej zwalić winę na trupa. Nie będzie się bronił, bo trupy się nie bronią. Trupa nie da się przesłuchać. Trupowi nie zaproponuje się znacznego złagodzenia kary w zamian za współpracę. Trup milczy jak grób, w którym gnije. Ale jeśli wizytówka pojawiła się tam, kiedy było już pewne, że jednak wracam do życia...

– To?

– To by oznaczało, że ktoś modyfikuje plan. Na bieżąco, rozumiesz? A przynajmniej robił to do niedawna. A tym samym jest to dowód na to, że wszystko nie skończyło się w porcie, tylko trwa dalej. Że jednak zamach na mnie mógł być związany ze „Strelą”. Że komuś od początku zależy, żebym to był właśnie ja, a nie ktoś inny.

– Ten chłopak, który upozorował własną śmierć?

W zamyśleniu pokiwałem głową.

– Też – rzuciłem gdzieś przed siebie. – Też... I mam szczęście, że tę wizytówkę znalazłem ja, a nie ktoś inny. Wygląda na to, że plan nie wypalił. Ciekawe, co ten ktoś robi teraz, żeby znów skierować na mnie podejrzenia. Znajdzie się nagle pieprzona faktura za butle? Oczywiście na moje nazwisko.

Spojrzałem na Milenę i uśmiechnąłem się do niej smutno.

– Wiesz, to trochę znamienne, że od razu założyłem swój udział w tym wszystkim, zamiast starać się szukać innych możliwości. Na przykład wrobienia mnie w to. Każdemu innemu od razu przyszłoby to do głowy, nie sądzisz?

– W jakim sensie znamienne? – zapytała.

Znów obejrzałem swoje dłonie, tym razem nie odruchowo.

– Oceniając swoje postępowanie, człowiek jest raczej obiektywny, obiektywny względem samego siebie. Mam na myśli to, że przed sobą nie musi się wstydzić swojego postępowania, a nawet jeśli, to usprawiedliwia się jakoś. Dochodzi z tym do ładu, uznaje, że nie miał wyjścia, nie wiem... Jakoś z tym żyje. Skoro uważałem, że to zrobiłem, to znaczy, że mogłem z tym dojść do ładu wcześniej. I tego się właśnie boję. Bo takie ryzyko istnieje. Mimo tego, co mówisz. Bo to, co mówisz, jest pocieszające, ale nie mamy pewności, że jest prawdą.

Milena się uśmiechnęła.

– Myślę, że przesadzasz. Po prostu przytłoczyły cię okoliczności. Mózg w stanie totalnego zagubienia jest zdolny do tworzenia przeróżnych fantazji, żeby to zagubienie i tę niemoc jakoś znieść. I jest wtedy podatny na wszelkie ochłapy. Jest łąsy na kaski

czegoś, co uznaje za fragment rzeczywistości, które może z radością przyjąć i ułożyć z nich coś, co następnie uzna za logiczne i spójne. Przypomnij sobie tego chłopaka, który myślał, że zabił koleżankę. Sęk w tym, że na podstawie tych kilku kąsków twój umysł nie skonstruuje spójnej całości. Nie da się. Jeśli będziesz miał kilkanaście kawałków puzzli z tysiąca i nawet jeśli będą pasować do siebie, dając fragment całości, to nadal nie będzie to, rozumiesz? Ułożysz je i zobaczysz motyla. Pomyślisz, że to pewnie łąka albo coś takiego, może woliera z owadami, fragment kolekcji entomologicznej. A to będzie motyl na końcu języka kameleona. Małego, zielonego sukinsyna na drugim planie, którego radosny i okrutny uśmiech, pełen zadowolenia ze zdobyczy, ukaże ci się dopiero po tym, jak ułożysz całość. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Rozumiem. Nie lubisz kameleonów.

Zamilkła zaskoczona.

– Owszem – przyznała. – Nie lubię. Ale to był przykład, nie o to...

– Wiem, o co ci chodziło – przerwałem jej. – Rozumiem to doskonale. To teraz ja ci powiem, o czym mówię. Zdradzałem żonę, tak? Świadomie, z premedytacją, nie przejmując się tym, że ją ranię. Teoretycznie ranię, bo uznałem, że skoro nie wie, to nic się nie dzieje.

– Teraz też tak myślisz?

– Teraz ona nie żyje, więc mam poczucie winy...

– A gdyby żyła?

– Gdyby żyła, nie mówiłbym ci o tym. Nie byłoby naszych spotkań.

– A gdyby żyła? – powtórzyła.

Popatrzyłem w okno, na pustą gałąź.

– Pewnie uważałbym tak samo. Że nic się nie dzieje. To wygodne, ale i... Prawdziwe. Po prostu.

– Wielu ludzi zdradza swoich partnerów, ale to nie jest powód, który czyni ich potworami. Wydaje mi się, że po prostu u ciebie to odczucie pogłębiła śmierć żony. I przeniosłeś to na pozostałe dziedziny życia. To dlatego tak łatwo było ci uwierzyć, że mogłeś współuczestniczyć w poważnym przestępstwie. Oraz zbrodni. Obwinianie się o jakieś nieszczęście, które dotyczy najbliższych, jest całkiem naturalne. Tylko że przeważnie nie ma o co się obwiniać, rozumiesz? Powtarzałam to wielu swoim pacjentom, a oni i tak uważali inaczej. Trwało to rok, dwa, czasem dłużej. Trwało to dopóty, dopóki nie doszli do ładu i nie pogodzili się z tym. A na to potrzeba właśnie czasu. To on leczy rany. Wiem, wyeksploatowany truizm, ale to działa właśnie w taki sposób.

– A jeśli faktycznie jestem temu winny?

– Rozmawialiśmy już o tym. – Milena się zdziwiła.

Zagryzłem wargi i rozejrzałem się po pustym pokoju. Nie byłem pewien, czy chcę o tym wspominać. W końcu się zdecydowałem.

– Powiem ci coś – wydusiłem z siebie. – Podczas tej rozmowy w komendzie ktoś zasugerował pewną rzecz. Że śmierć mojej żony, mojej rodziny, była bardzo wygodna w kontekście mojego romansu w Martą Kielan. Że mogłem chcieć pozbyć się ich, żeby bez przeszkód związać się ze swoją współpracownicą. Podwładną. – Kurczowo zaciskałem palce i rozprostowywałem je; w lekkim półmroku, jaki spowijał pokój, wyglądały trochę

jak szpony. – Jako psycholog sama pewnie wiesz, że zdarzały się takie rzeczy. Ja... Pogubiłem się, Milena. Może to jest to, o czym mówiłaś przed chwilą; to przeniesienie... A może nie. I nie wiem, co mam robić. Jest mi z tym coraz gorzej. To jak rozdwojenie jaźni.

– Musisz sobie powiedzieć, że nie ma sensu martwić się tym teraz. Będziemy martwić się tym później. Teraz skup się na tym, jak się z tego wyplątać. I jak znaleźć tego, kto ci to zrobił... Musisz walczyć! Przede wszystkim w sprawie tej „Strzały”, kwestię zdradzania żony zostaw na później.

– To może być jeszcze gorsze niż „Strela” – zauważyłem. – Te sugestie o mojej żonie i Marcie, które usłyszałem dziś w komendzie, nie brzmiały najlepiej.

– Jesteś pewien, że o to mu chodziło?

– Niczego nie jestem pewien, ale tak to brzmiało. Z tym ubezpieczeniem na życie to już przesadzili. Może faktycznie coś mają?

– Kochałeś ją?

– Masz na myśli Martę?

– Uhm.

– Nie – odpowiedziałem bez wahania. – Absolutnie nie. Byłem uzależniony od jej ciała. Od seksu z nią. Wyłącznie od tego. I nie sądzę, żebym się nagle w niej zakochał w tym okresie, którego nie pamiętam. Miałem na to sporo czasu, bo spotykaliśmy się z półtora roku albo dłużej, więc jeśli to nie zdarzyło się wcześniej, nie widzę powodu, dla którego miałoby się zdarzyć później. Nagle i niespodziewanie. Nie jestem nastolatkiem z burzą hormonów, tylko dojrzałym i niestety jurnym samcem.

– O zbrodniach z miłości słyszałeś?

– Oczywiście. Częsty motyw.

– A słyszałeś o tym, żeby ktoś zlecił zamordowanie całej swojej rodziny tylko dlatego, żeby bez przeszkód uprawiać seks z inną kobietą, nie wiążąc się z nią? Tylko dla seksu, który i tak ma?

– To karkołomne, ale możliwe.

– Okej. Wyobraź sobie kogoś takiego. Czy powiedziałbyś, że jest normalny?

– Oczywiście, że nie!

– A czy ty jesteś normalny? Czy uważasz, że byłeś normalny wcześniej?

– Raczej tak.

– Kochałeś żonę i córkę?

– Tak. Ale...

– Ale?

– Nie pokazywałem im tego przez wiele lat. Były obok mnie, czy raczej to ja byłem obok nich, przegapiłem tyle rzeczy, zwłaszcza z Agnieszką... Czy tak właśnie wygląda miłość?

– A wygląda tak, jak w romansach?

– Też nie.

– No właśnie. Kochałeś je, i to się liczy. Nie kochałeś tej Marty, i to też się liczy. Resztę dopowiedz sobie sam...

– Czyli przekonałem cię? – zapytałem, sam nie wierząc, że to w ogóle możliwe.

Pokiwała poważnie głową.

– To wszystko, o czym mi opowiedziałeś, jest wbrew pozorom bardzo spójne. Przynajmniej dla mnie. Nawet twoja amnezja tego nie tłumaczy, bo okres, którego nie pamiętasz, jest zbyt krótki, żebyś to wszystko mógł zrobić, a co dopiero zaplanować. To faktycznie brzmi, jakby ktoś cię wrabiał. Mówię o tej „Strzale”. Jak to jest powiązane ze śmiercią twojej rodziny, nie wiem. Z tego, co opowiadałeś, można wyciągnąć dwojakie wnioski i to niezbyt oryginalne: albo faktycznie jest powiązane, albo nie jest. Więc na razie jesteśmy z tą kwestią w ślepych zaułku. Ale ktoś cię wrabia. Ewidentnie.

– Bogutowicz – odpowiedziałem.

– Właśnie. Ten, który niby nie żyje, tak? – upewniła się.

– Ten sam. Tak jak mówisz, nie żyje wyłącznie teoretycznie. Ktoś zabijał tych wszystkich ludzi, uważam, że z dużym prawdopodobieństwem właśnie on.

– Nie żyje teoretycznie... A jak ewentualnie to potwierdzisz?

– Cóż, jakiś sposób musi być, no nie? Tchnęłaś we mnie ducha walki, dziewczyno – powiedziałem całkiem wesołym tonem. – Wiem już chyba, jak mógłbym to potwierdzić i co teraz zrobić.

– No? – zapytała.

– Pójdę prosto do prokuratury.

– Co!?! – niemal krzyknęła. – Po co chcesz to zrobić? Przecież masz walczyć!

– Właśnie po to tam idę. – Wstałem z fotela i spojrzałem przez okno. – Walczyć.

Sfalszowanie protokołu badań porównawczych DNA w przypadku Bogutowicza raczej nie wchodziło w grę. Teoretycznie można było protokół dość łatwo sfabrykować, technicznie nie był to wielki kłopot. Problemem było co innego: robiono go w kilku egzemplarzach, a jeden zawsze zostawał w laboratorium, które opracowywało wyniki. Pomyłka była chyba jeszcze mniej prawdopodobna; oczywiście zdarzały się, ale nie w tę stronę. O wiele łatwiej stwierdzić niechcący niezgodność próbek niż to, że pochodzą od blisko spokrewnionych osób. Chyba tylko z jednego powodu mogło dojść do pomyłki. Stwierdzono, że zwłoki znalezione w Odrze należały do Bogutowicza, mimo że nie należały. Dlaczego? Chciałem to sprawdzić, przynajmniej na tyle, na ile się dało.

Następnego dnia pojechałem do prokuratury okręgowej na ulicę Stojsława. Rozmowa z prokuratorem Osińskim mogła stanowić przełom, czułem to. A zważywszy na wyniki mojego małego dochodzenia z przedwczorajszego popołudnia, byłem tego wręcz pewien. Kto wie, może gdyby nie wczorajsza „rozmowa” w komendzie, miałbym to już za sobą i wiedziałbym więcej? Trochę plułem sobie w brodę, że jednak nie załatwiłem tej sprawy od razu.

Osiński był niewysokim, łysiejącym mężczyzną po pięćdziesiątce. Pod wydatnym nosem miał wąsy, równie rzadkie jak włosy na głowie. Zwisając po obu stronach mięsistych ust, nadawały mu surowy wygląd oficera Ludowego Wojska Polskiego. Kiedy wszedłem do jego gabinetu, siedział przy swoim biurku przed komputerem, zamasyście wałąc palcami w klawiaturę, jakby używał nie komputera, a maszyny do pisania. Nie wstał, tylko spojrzał na mnie, nie przerywając pracy. Przez mocno przerzedzone włosy stojące na jego głowie prześwitywała biel ściany, w szklach okularów odbijała się elektroniczna kartka edytora tekstu. Miał na sobie elegancki, chyba dość drogi garnitur, a w mankietach białej jak śnieg koszuli tkwiły spinki. Nie wiem, czy były złote, czy tylko pozłacane, ale wyraźnie odcinały się od tej bieli swym blaskiem. Osiński sprawiał wrażenie właściwego człowieka na właściwym miejscu. Elegancki i kompetentny z wyglądu. Jaki był naprawdę, nie miałem pojęcia, ale liczyłem, że zaraz się dowiem.

Zdziwił się, kiedy przedstawiłem się i zapytałem go o sprawę Bogutowicza. W jego małych oczach o obwisłych powiekach włączyła się jakaś czujność. Nie zaniepokojenie czy niechęć, tylko właśnie czujność. I to wystarczyło, żeby na jego idealnym wizerunku zaczęły pojawiać się rysy.

– Pan jest tu oficjalnie, panie inspektorze? – zapytał mnie podejrzliwie. – Bo raczej nie wydaje mi się to możliwe.

– A mnie się wydaje, że to akurat nie ma znaczenia – odparłem, rozglądając się po ścianach. – Albo ma bardzo niewielkie. Tak niewielkie, że nie warto nawet zaprzętać sobie tym głowy.

Takie podejście i takie teksty raczej nie służą zjednaniu sobie ludzi, ale ja miałem przewagę i asa w rękawie, choć Osiński jeszcze o tym nie wiedział. Nie zaproponował mi, żebym usiadł. Wiedział przecież, kim jestem i co przeszedłem, a mimo to nie wykazał najmniejszych oznak troski o mnie. Bezduszny urzędnik kazał kalece stać, coś nieprawdopodobnego...

Uśmiechnąłem się do niego samymi ustami.

– Chciałbym tylko wyjaśnić jedną wątpliwość – powiedziałem, tym razem uprzejmie. – Liczę na pana przychylność, w końcu bycie prokuratorem to służenie społeczeństwu – bredziłem.

Osiński wciąż był uprzedzająco grzeczny.

– Jestem zajęty, przykro mi. Nie mogę poświęcić panu czasu. – Rozłożył szeroko ręce, a na jego ustach wykwitł profesjonalny, pełen skruchy uśmiech. – Nie dziś. Możemy ewentualnie umówić się na jakiś termin. Musiałbym zerknąć do kalendarza.

To było niezłe przedstawienie, mały teatrzyk i obaj daliśmy z siebie wszystko. Ale miałem ochotę zetrzeć mu ten uśmieszek z twarzy i byłem pewien, że on ma dokładnie te same odczucia w stosunku do mnie. Pomogłem mu i swój uśmieszek zmazałem sam.

– Chodzi o kwestię ustalenia tożsamości denata na podstawie badań DNA – powiedziałem już poważnym tonem.

Osiągnąłem swój cel. Jego uśmiech też spełził z ust. Ich kąciki opadły, miały teraz formę podkóweczki, takiej, jaką mają na buzi małe dziewczynki w tym krótkim momencie pomiędzy śmiertelnym obrażeniem się a rozplakaniem rzewnymi łzami. Z tą różnicą, że małe dziewczynki nie mają wąsów.

– Nie zamierzam pana informować o żadnych szczegółach dotyczących tego dochodzenia – powiedział Osiński, wydymając dodatkowo te swoje dziewczęce usteczka. – Nie wiem, skąd pan zna te, o których pan wspomniał, ale osoba, która udzieliła panu tych informacji, złamała prawo. Nie będę tu rzucał paragrafami, ale tak właśnie jest. I wolałbym, żeby przynajmniej pan był tego świadomy, skoro nie wie o tym ten ktoś.

– Nie oczekuję od pana informacji o śledztwie jako takim. Chciałbym jedynie zrozumieć pańskie postępowanie jako prokuratora w pewnej drobnej kwestii. O nic więcej mi nie chodzi. No, niech pan postara się mnie zrozumieć. Przecież ja, kaleka, nie będę latał po wszystkich świętych, żeby ktoś w końcu łaskawie rozwiął moje wątpliwości, prawda?

Moje pytanie było mętne, w dodatku brzmiała w nim zawołowana groźba. Tak mocno zawołowana, jak niejasne było to, co miałem na myśli. Ale liczyłem na to, że Osiński wysłucha mnie dla świętego spokoju, żebym nie poleciał gdzieś wyżej i nie narobił mu nie tyle kłopotów, ile niepotrzebnych przykrości. Nie przeliczyłem się. Zerknął na zegarek i westchnął.

– Pięć minut. Tyle dla pana mam. Słucham.

– Zlecił pan badanie porównawcze DNA Marcina Bogutowicza.

– Owszem – odparł, mimo że to, co przed chwilą powiedziałem, nie było w zasadzie pytaniem, tylko stwierdzeniem.

Wypluł z siebie tę odpowiedź jakoś napastliwie, jakby się bronił czy tłumaczył. A już w podstawówce wiedziałem, że tylko winni się tłumaczą. Truizm, banalna prawda, która zaskakująco często sprawdza się w życiu.

– Ale zrobił pan to dopiero na żądanie matki zabitego. Kiedy zagroziła, że zleci badania sama, prywatnie.

– Miała prawo zlecać takie badanie na swój koszt. – Pokiwał głową, wywijając dolną wargę, które czerwieniła się przez chwilę niczym korale pod dziobem indyka.

– Oczywiście, nie mówię, że nie. Ale pan w końcu zgodził się zrobić to w trybie urzędowym. Jednak dopiero po naciskach i groźbach. Jakby nie mógł pan zlecić ich wcześniej.

– I co z tego? – burknął. – Uznałem na początku, że badania są niepotrzebne. Wszystko ewidentnie świadczyło o tym, kim był zabity...

– Ma pan na myśli portfel znaleziony przy zwłokach? – zapytałem zdumiony.

– Owszem. Pan pewnie uważa, że denat mógł mieć przypadkowo dowód innej osoby, przez co błędnie określono by jego tożsamość. Ale w tym portfelu był i dowód, i prawo jazdy, i karta bankomatowa. Wszystkie na nazwisko Bogutowicz. Zadowolony?

– Co z tego? Może po prostu cudzy był cały portfel, a nie tylko dowód. Przepadkowo, oczywiście – dodałem sarkastycznie.

– Pan mnie nie będzie uczył mojej roboty, panie inspektorze.

Zamilkłem i po namyśle dałem spokój z portfelem, wracając do analizy DNA.

– Jakoś pana przekonała do tych badań, co? Tak nagle pan się ugiął... Aż dziwne.

– Nie ma w tym nic dziwnego. To natrętna baba. Trudno jej było pogodzić się ze śmiercią syna, więc zachowywała się roszczeniowo. W dodatku uważała, że skoro ma związek ze służbą zdrowia, to uprawnia ją to do wydawania autorytatywnych sądów na każdy temat związany z medycyną. Również sądową. Uległem jej w końcu i dla świętego spokoju zleciłem tę cholerną analizę. Do czego pan zmierza?

– Zlecił pan ją laboratorium kryminalistycznemu KWP, a nie Zakładowi Medycyny Sądowej, gdzie pobierano próbki z ciała, a potem od matki Bogutowicza. – To wiedziałem na pewno z akt sprawy, w których były pisma i protokoły. – Po co, skoro można było zrobić to wszystko w jednym miejscu? W sądówce?

– Proszę pana, raz zleca się badania w sądówce, a raz w kryminalistycznym, gdzie tu sensacja?

– To prawda – przyznałem. – Wiem, że nie ma zasady.

– Sam pan widzi. Może po prostu w szpitalu nie mieli czasu?

– Ale badania próbek z ciał ofiar akcji „Strela” robiła już sądówka?

– Nie wszystkich. – Wzruszył ramionami. – W niektórych przypadkach nie było takiej potrzeby, ciała dało się zidentyfikować podczas okazania bliskim.

– Ale w tych przypadkach, w których ta potrzeba zaszła, robiła?

– Robiła. I co z tego? Poza tym, pan wybaczy, lecz nie będę z panem rozmawiał o tej akcji, bo nie jest pan osobą upoważnioną do otrzymywania jakichkolwiek informacji na ten temat. Powtarzam: jakichkolwiek. Czyli żadnych, gdybyśmy się nie zrozumieli.

– To pan prowadzi dochodzenie w tej sprawie, prawda?

– Owszem.

– Chciałem się tylko upewnić – mruknąłem.

Osiński odlepił się od oparcia fotela i położył ręce na blacie przed sobą, rozstawiając je szeroko, jakby chciał zaraz podnieść się, przeskoczyć jednym susem przez biurko i rzucić

mi się do gardła.

– Wie pan, ta rozmowa zaczyna mnie nudzić – wypalił niedbałym tonem, lecz ta niedbałość w jego głosie, na którą wyraźnie się silił, była wręcz sztuczna. – Nie prowadzi do niczego, więc nie rozumiem, po co mielibyśmy ją kontynuować. Zwłaszcza że pańskie pięć minut minęło, a ja mam masę roboty. – Wskazał na swoje biurko.

– Jeszcze nie minęło – uświadomiłem mu. – Po prostu bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego akurat w tym przypadku, mówię o Bogutowiczu, badania robiło laboratorium KWP, a nie pomorzański ZMS. To przecież logiczne, że badanie powinno przeprowadzić to samo laboratorium, w którym pobrano próbki do analizy...

– Jezu, pan ciągle o tym samym... Niech mnie pan już nie męczy – sapnął i rozłożył ręce, podnosząc głos. – Nie wiem, nie pamiętam, dlaczego zleciłem badanie w policyjnym laboratorium. W porządku?

– No dobrze, skoro tak, to powiem panu, że ja chyba wiem dlaczego.

– Słucham? – Łypnął na mnie zza okularów.

– Wiem, dlaczego pan tak zrobił – powtórzyłem ze spokojem.

– Nie bardzo rozumiem...

– Nieczęsto się zdarza, żeby po próbkę do szpitala przyjechał sam prokurator... Prawdę mówiąc, z tego, co wiem, nie zdarzyło się to nigdy.

Osiński zrobił się jeszcze bardziej czerwony. Poczulem się, jakbym trafił w totka co najmniej piątkę. To właśnie tę rzecz sprawdziłem przedwczoraj w laboratorium pomorzańskiej sądówki. Osiński sam odebrał próbki materiału pobrane od Bogutowiczowej i ze zwłok z Odry. Osobiście.

Mała rzecz, a cieszy.

– Co pan sugeruje? – oburzył się Osiński, znów przyklejając się do bezpiecznego oparcia fotela i ściskając palcami jego podłokietniki. – Mogłem zlecić to policji, oczywiście, jak zwykle wysłaliby po nią krawężnika i już, ale tak się złożyło, że byłem w tym szpitalu u kolegi, więc korzystając z okazji, zaszedłem do sądówki i zabrałem próbkę. Proste?

– Bardzo. Najprostsze, jak to tylko możliwe. Bo wtedy zamiana próbki nie stanowi już żadnego problemu. Żadnego. Gdyby badania przeprowadzała sądówka, nie miałyby pan możliwości podmiany. A tak zabrał pan od nich jedną próbkę, ale do kryminalistycznego oddał już inną... Wobec ryzyka, że Bogutowiczowa zleci badania we własnym zakresie, musiał pan się tym zająć sam. W odpowiedni sposób, co? A powie mi pan, jak brzmi nazwisko kolegi i na jakim oddziale leżał? Chętnie to sprawdzę, tak się składa, że mam taką nieformalną możliwość... – Oczywiście łągałem, nie miałem żadnej możliwości sprawdzenia tego.

Ale on o tym nie wiedział.

Podszedłem do biurka Osińskiego i oparłem się o nie. Nachyliłem się nad prokuratorem i otaksowałem spojrzeniem jego twarz i ramiona. Rozbiegany wzrok i skamieniałe pod marynarką ramiona, na których błyskały drobiny łupieżu. Drżące usta i nozdrza, delikatnie furkoczące w rytm szybkiego oddechu, jak chrapy u konia po morderczym kłusie. Ten człowiek się bał. Był przerażony. Ale to nie mnie się bał. Obawa przede mną nie dałaby aż takich objawów.

Zadałem kolejny cios. Całą serię ciosów.

– Zwłoki znaleziono w poniedziałek rano, przed siódmą, było jeszcze dość ciemno. Ciało, które leżało w wodzie tydzień, nagle zostaje wyrzucone na brzeg? Nikt wcześniej nie czuł smrodu, nie widział go dryfującego w wodzie?

– Być może było obciążone, a potem pękł sznur, którym było przywiązane do jakiegoś złomu i wypłynęło... To się zdarza. – Osiński niemal bełkotał.

– Już to słyszałem od kogoś, ale nie bardzo w to wierzę, wie pan? Znalazł je pijak, który zadzwonił na policję z telefonu o nieustalonym numerze. Skąd pijak miał telefon i co on w ogóle tam robił o tak wczesnej porze? Przed siódmą rano, przypominam. To pierwsze dwa pytania. Co w jego melinie, w której znaleziono go martwego kilka dni później, robiła flaszka po whisky, a właściwie trzy flaszki? Flaszki po czarnym Jasiu Wędrowniczku, półtorej stowy za butelkę? To kolejne pytanie. W niedzielę w prokuraturze dyżurował młody, świeżo upieczony prokurator. Jego dyżur trwał do poniedziałku do ósmej i to on pojechał na miejsce zbrodni, lecz zanim zdążył cokolwiek przedsięwziąć, pan zdecydował o przejęciu śledztwa przez okręgową. I to pan prowadził je dalej.

– Nie mam zamiaru tłumaczyć się panu z moich decyzji...

– Chodziło o to, żeby zwłoki zostały znalezione o właściwej, dokładnie zaplanowanej porze. Nie przypadkowo i nie przez kogoś przypadkowego. To młodziak miał tam pojechać. A pan, po przejęciu śledztwa, miał wykazać bez żadnych wątpliwości, że to ciało Marcina Bogutowicza. Ale trochę nie dopracowaliście szczegółów. Inna sprawa, że kto niby miał się tego czepiać? Matkę Bogutowicza pan uciszył, sfałszował pan wyniki badań DNA, nikt inny nie miał podstaw, żeby coś podejrzewać. Aż tu nagle pojawiłem się ja...

Osiński milczał, a ja byłem już pewien, że trafiłem nie piątkę, ale szóstkę.

– Szantażował pana, prawda? – zapytałem, nie licząc na odpowiedź. – Nie widzę innej możliwości, bo podejrzewam, że nie chodzi jednak o pieniądze. Groźby cielesne też nie zrobiłyby na panu takiego wrażenia. Nie twierdzę, że jest pan twardzielem. Chodzi mi o to, że pewnych rzeczy nie robi się nawet pod groźbą pobicia czy zabicia. Przecież zginęło tylu ludzi... Zwłaszcza że jest pan prokuratorem, i to ważnym prokuratorem, a nie zwykłym, szarym obywatelem bez szans. Miałby pan możliwości reakcji. Zatem musi chodzić o szantaż. Bogutowicz szantażuje pana, tylko nie wiem czym. Ale się dowiem, panie Osiński, niech mi pan wierzy. Stać mnie na wszystko, rozumie pan? Dopóki nie zdechnę, będę kopał, aż się dokopię. Póki śmierć mnie nie wyłączy. Być może będę kolejną ofiarą w tym ciągu tajemniczych zgonów, a być może sprawię, że nie będzie następnych ofiar, bo uda mi się wszystko wyjaśnić. Nawet jeśli okaże się, że również mam z tym coś wspólnego. – Popatrzyłem uważnie na jego twarz.

Zastanawiałem się, czy po tych ostatnich słowach wyczytam z niej coś, czego się bałem: ich potwierdzenia. Skoro prowadził śledztwo w sprawie „Streli” i wszystko wskazywało na to, że byłem za jej fiasko odpowiedzialny, to musiał to wiedzieć. Pytanie, czy specjalnie prowadził je w taki sposób, żeby tego dowieść, czy nie musiał tego robić, bo to było widoczne niemal gołym okiem.

Osiński jednak nie pokazał nic po sobie, nic też nie mówił. Siedział bez ruchu i oddychał, coraz spokojniej i lżej, jakby wracał mu spokój. Nie zamierzałem dawać mu spokoju, więc dodałem:

– I niech pan, kurwa, spróbuje mnie tylko powstrzymać...

Nie zareagował, nie od razu. Przez następne kilkanaście sekund siedział za swoim zawalonym papierzyskami biurkiem sztywno wyprostowany jakby połknął kij i wlepił wzrok w ścianę przed sobą, przetykając ślinę. Nie poluzował krawata tylko dlatego, że i tak wisiał u kołnierzyka jego koszuli jak powróż na szyi kozy. Osiński nie sprawiał już na mnie wrażenia eleganta, jak na początku mojej wizyty. Szackim to on nie był, zdecydowanie nie.

Usiadłem na fotelu stojącym naprzeciw jego biurka. W końcu byłem kaleką.

– Starczy już tych trupów – wyszeptał nagle prokurator, teraz dla odmiany na twarzy biały jak ściana za nim. – Bogutowicz... Nic pan nie wie i nic pan nie rozumie. Nic...

– To może mnie pan łaskawie oświeci? – wysyczałem z wściekłością, pochylając się ku niemu.

– Niech pan już idzie – powiedział nagle niespodziewanie głośno. – Niech pan zostawi mnie w spokoju, dobrze? Nie mam panu nic więcej do powiedzenia. To koniec. To koniec naszej rozmowy. Koniec! Proszę wyjść. Natychmiast! – W jego głosie zaczęła pobrzmiwać panika.

Wstałem z fotela. Nie nasiedziałem się, ale osiągnąłem swój cel. Przyszedłem tu bez żadnych dowodów, mając jedynie mgliste podejrzenia, ale zachowanie Osińskiego wyraźnie świadczyło o tym, że miałem rację. Teraz musiałem tylko dokręcać śrubę. Dokręcać, aż facet pęknie. „Leżysz pan i robisz pod siebie”, cisnął mi się na usta cytat, ale darowałem sobie. Postanowiłem dać Osińskiemu dwa dni na zastanowienie, a potem odwiedzić go ponownie.

Tym razem w domu.

* * *

Dwie następne godziny spędziłem na ulicy Stoisława, przechadzając się wte i wewte koło maleńkiego skweru wynurzającego się z bruku, betonu i asfaltu jak zielona wyspa pośród szarych i brunatnych budynków wyrastających wokół niej niczym klify. Nigdzie się nie spieszyłem, postęp w moim śledztwie sprawił, że poczułem się całkiem wyluzowany. Za kwadrans trzecia przez telefon zamówiłem taksówkę. Była czternasta pięćdziesiąt, kiedy wsiadałem do beżowego mercedesa oblepionego reklamami nocnego klubu i chwilówek. Zamknąłem drzwi i zacząłem wpatrywać się w wejście do budynku prokuratury okręgowej, oddzielonego ode mnie skwerem i parkingiem użytkowanym przez urzędników.

– Dokąd jedziemy? – Taksówkarz, wąsaty facet w średnim wieku, tonący w szarym wełnianym golfie, odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem.

– Na razie nigdzie – odpowiedziałem, nie patrząc na niego. – Czekamy.

– To kosztuje – ostrzegł.

– Rozumiem. – Dalej na niego nie patrzyłem, tylko wlepiąłem wzrok w ceglany budynek po drugiej stronie skweru.

– Czekamy na kogoś?

Zerknąłem na niego. Wyglądał w tym golfie trochę jak kret wychodzący z kopca popiołu. Po chwili z powrotem wróciłem spojrzeniem za szybę.

– Po prostu czekamy – rzuciłem w jego kierunku.

– Nasz klient, nasz pan – mruknął, wyłączając silnik.

Zrozumiał też, że nie mam ochoty na pogawędki. Siedzieliśmy w milczeniu, cicho grało radio, co jakiś czas w CB trzeszczał jakiś komunikat czy pogawędka kierowców. W samochodzie było przytulnie ciepło, pachniało jakimś odświeżaczem o całkiem przyjemnym zapachu. Poczułem, jak ogarnia mnie senność.

Osiński wyszedł z prokuratury siedem po trzeciej. Jak na tak zapracowanego człowieka wychodził z roboty zadziwiająco wcześnie. Wsiadł do zaparkowanej przed budynkiem czarnej toyoty avensis i powoli wyjechał z parkingu, kierując się w stronę ulicy Narutowicza.

– Pojedziemy za tą czarną toyotą. – Pokazałem wóz taksówkarzowi.

Wyraźnie się podekscytował.

– Bawimy się w detektywa, co? – zapytał, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Ruchy miał zdecydowania zbyt wolne, jak na mój gust. Tył toyoty Osińskiego zniknął już w głębi ulicy.

– Nie bawimy się... – powiedziałem. – Bo pan jest tu w pracy. I ja też się nie bawię w detektywa. Ja jestem detektywem.

Pochyliłem się, przełożyłem rękę nad oparciem fotela i podetkałem mu pod nos blachę, którą nosiłem przy sobie na wszelki wypadek. Na przykład na taki jak ten.

– Wolałbym, żeby pan go nie zgubił – rzuciłem, wskazując odznaką na przednią szybę.

Taksówkarz zamilkł wreszcie i trzeba przyznać, sprawił się świetnie. Po chwili dogoniliśmy Osińskiego i jechaliśmy za nim w milczeniu w rozsądnej odległości, którą kierowca zmniejszał, kiedy zbliżaliśmy się do skrzyżowań ze światłami albo bez pierwszeństwa przejazdu. Lubię, jak ktoś przewiduje. Cieszy mnie to, a teraz byłem wręcz zachwycony. Także tym, że taksówkarz się nie odzywał.

Kilkanaście minut później dojechaliśmy na Pogodno. Osiński wjechał na teren jednej z posesji na ulicy Waryńskiego, z czego wyciągnąłem wniosek, że tam mieszka. Duży, dwurodzinny poniemiecki dom ukryty był za murem, zza którego wystawały bezlistne gałęzie dorodnych krzewów, mających pewnie po kilkadziesiąt lat. Byłem tu może ze trzy razy w życiu, ale teraz wydawało mi się, że to jedna z najpiękniejszych ulic Szczecina.

Toyota zjechała do garażu pod budynkiem, a automatyczna brama zamknęła się, kończąc mój dzisiejszy dzień pracy. Podałem swój adres wyraźnie zawiedzionemu taksówkarzowi i pojechałem do domu odpocząć.

* * *

Dwa dni później, pod wieczór, zgodnie z harmonogramem zjawiłem się na ulicy Waryńskiego pod domem prokuratora Osińskiego. Miałem nadzieję, że zmięknął. Że przemyślał sprawę, zrobił sobie bilans zysków i strat i postanowił, że ciągnięcie tego nie ma sensu. Nie kontrolował tego, a skoro wiedziałem to ja, to on tym bardziej. No, chyba że kompletnie stracił obiektywizm i zdrowy rozsądek. Jeśli tak faktycznie było, to tą wizytą chciałem mu je przywrócić.

Kiedy taksówka odjechała, rozejrzałem się jeszcze wokół siebie. Taak, Waryńskiego naprawdę była jedną z piękniejszych ulic tego miasta, a na pewno najmniej upstrzoną reklamami. Łagodny łuk i spadek ulicy niknącej z oczu kilkadziesiąt metrów dalej sprawiały przyjemne wrażenie, jakby zapraszały do pójścia w tamtą stronę

w przyjemnym cieniu roślących platanów i zobaczenia, co kryje się za zakrętem. Ale ja nie miałem czasu na spacer i nie po to tu przyjechałem. Stałem przed domem, w którym mieszkał prokurator Osiński, i otworzyłem wysoką furtkę osadzoną niczym drzwi w murze ogrodzenia. Wyłożoną granitową kostką ścieżką ocienioną szpalerem wysokich tui poszedłem w stronę budynku, mijając po drodze okazałą magnolię, która chyba już nie mogła się doczekać, aż jej nabrzmiące pąki pękną i uwolnią blad różowe kwiaty.

Dom był spory, wybudowano go w charakterystycznym dla tego miejsca i czasu stylu, będącym specyficznym pomieszaniem tradycyjnego pruskiego budownictwa z ideą rodzącego się właśnie w Niemczech modernizmu. Burmistrz Ackermann i reszta towarzystwa odwalili tu sto lat temu kawał dobrej roboty.

Podszedłem do drzwi znajdujących się w bocznej ścianie domu. Były otwarte na oścież i zorientowałem się, że prowadzą na klatkę schodową, a nie bezpośrednio do pomieszczeń mieszkalnych. Dom podzielony był na dwa mieszkania, jedno znajdowało się na parterze, a drugie na piętrze, oba dostępne właśnie z tej klatki. Była jasna, światło dnia wpadało przez drzwi i wielkie, wysokie okno biegnące przez obie kondygnacje. Brązowe drzwi na parterze miały mosiężny numer „1” i tabliczkę z nazwiskiem Kaczorowscy. Wdrapałem się na piętro i tam stwierdziłem, że jestem u celu. Nie było numerka, ale była tabliczka. I. M. Osińscy.

Zapukałem, bo nigdzie nie zauważyłem dzwonka. Drzwi otworzyły się po dłuższej przerwie i pojawiła się w nich niska kobieta ubrana w coś w rodzaju szlafroka.

– Dzień dobry, czy zastałem pana Osińskiego? – zapytałem oficjalnym tonem.

– Kim pan jest? – zapytała kobieta o wielkich, zapłakanych oczach.

Zrobiło mi się niewyraźnie, sam nie wiem dlaczego. Nie chodziło o przedstawienie się, nie widziałem powodu, żeby to przed nią ukrywać. Chodziło o jej twarz. Coś było nie tak.

– Nazywam się Dariusz Suder – powiedziałem już normalnym tonem. – Inspektor Dariusz Suder z komendy wojewódzkiej policji. Czy jest... yyy... mąż?

– Suder? – zapytała z lekkim zaskoczeniem w głosie.

– Tak. Dariusz Suder... Przepraszam panią, czy... Czy coś się stało?

– Mąż nie żyje – powiedziała, spuszcżając wzrok. – Niech pan poczeka chwilę...

Zniknęła za drzwiami, a ja znów poczułem w żołądku stalową kulę. Tym razem ruszała się jak we flipperze albo raczej jak kula, którą burzy się stare budynki. Taka sama jak w klipie Miley Cyrus, który przypadkiem oglądałem kiedyś z Agnieszką. Tylko że na tej mojej kuli nie siedziała ubrana wyłącznie we własną skórę ekskwiadka Disneya, lecz wielki, owłosiony i złośliwy skurwiel z kilofem. Walił nim przy każdym uderzeniu kuli w ścianę żołądka, potęgując ból. Chyba czas udać się na gastroskopię, podejrzewałem, że wyhodowałem sobie niezły wrzód. Oby tylko wrzód...

Stałem przed uchylonymi drzwiami, nie wiedząc, co zrobić i powiedzieć, kiedy kobieta pojawi się w nich ponownie. To nie był ktoś w rodzaju sąsiadki Krępisza, kogo mogłem zbyć czy zagadać.

Gdy znów otworzyły się na oścież i zobaczyłem w nich Osińską, wyjąkałem:

– Ale... Rozmawiałem z nim dwa dni temu... Co się stało?

– Popęłnił samobójstwo. Wczoraj.

Osińska trzymała coś w ręku.

– Proszę pani, czy jest... Nie wiem, jak to powiedzieć... Czy jest pani pewna, że to było samobójstwo? Nie mogę w to uwierzyć.

Z mojego punktu widzenia wyglądało to tak, że ktoś idzie moim tropem i eliminuje wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z Bogutowiczem. Czasem był krok za mną, czasem krok przede mną, a czasem całkiem z boku, ale robił swoją krecią robotę, nie przejmując się mną ani nikim innym. Ja i moja rodzina. Bandziory w porcie, Marta i pozostali gliniarze. Zwłoki w Odrze, prawdopodobnie Gunicki, Bogu ducha winny student budownictwa. Wenk to przypadek, ale Krępisz moim zdaniem już nie. A teraz jeszcze Osiński... Bogutowicz miał na koncie więcej trupów niż niejeden znany seryjny albo nawet masowy morderca. Czasem nawet nie przykładał do tego ręki, ale efekt był ten sam – śmierć.

Kobieta w drzwiach smutno pokiwała głową.

– Ja też nie mogę w to uwierzyć, ale... Zrobił to w domu. Zaniiosłam mu herbatę do gabinetu, a kiedy godzinę później weszłam, żeby spytać, czy będzie jadł kolację... Wisiał na haku od lampy, a obok leżał podnózek, którego używał podczas pracy. Nawet nie słyszałam, jak ten stołek upada, rozumie pan? Tam jest taki gruby dywan i ja niczego nie słyszałam. – Załkała nagle, polykając łzy. – Niczego. Może gdybym nie oglądała telewizora, tylko czytała, to...

Spuściłem głowę. Osińska opanowała się jakoś i małym palcem zaczęła delikatnie ocierać dolne rzęsy z łez. Kiedy płacze facet, wyciera łzy kufakami; niezbyt elegancko, ale efektywnie. Kiedy płacze kobieta, do otarcia oczu potrzebuje minimum powierzchni palca. Mało efektywnie, za to efektownie, no i nie rozciera makijażu. Zauważyłem kiedyś, że kobiety robią to odruchowo. Nie miałem wątpliwości, że płacz Osińskiej jest szczery i nie myśli w tej chwili o swoich starannie umalowanych rzęsach. To taki sam odruch, jaki mają piłkarze w murze ustawianym przy wykonywaniu rzutu wolnego. Zasłaniają genitalia, ale myślą wyłącznie o piłce.

– Wcześniej tego dnia, tuż po powrocie z pracy, dał mi to. – Osińska podniosła trzymany w dłoni kawałek papieru. – Po prostu mi dał i powiedział, że jeśli nikt się po to nie zgłosi w ciągu tygodnia, to mam otworzyć i zrobić, co uznam za stosowne. Zanim zdążyłam zapytać, o co chodzi, poszedł do siebie. Był wyraźnie zły, więc wolałam zostawić go w spokoju.

To była koperta formatu C5, brązowa i sztywna, zaklejona przezroczystą taśmą. Było na niej napisane tylko jedno słowo: SUDER. Kształtne litery wykaligrafowane czarnym markerem były w oczy.

Żona Osińskiego wręczyła mi ją, nie patrząc na mnie.

– Co w niej jest? – zapytałem.

– Nie wiem, nie sprawdzałam – szepnęła. – Mówiłam, że mąż zabronił. Dopiero po tygodniu. Pan pozwoli, że już go pożegnam. Do widzenia...

Cofnęła się, znikając w półmroku zalegającym w mieszkaniu, i cicho zamknęła drzwi. Odwróciłem się i zacząłem schodzić na dół. Dziwne. Ja na jej miejscu, w takiej sytuacji, nie zawahałbym się. Nawet uszanowanie woli zmarłego nie powstrzymałoby mnie przed tym. Wręcz przeciwnie, w takich okolicznościach zrobiłbym to tym chętniej. Ale widać żona Osińskiego była z gatunku tych posłusznych i niezbyt ciekawskich. Ciekawe, czy

taką po prostu miała naturę, czy była tak dobrze wytresowana przez męża?

Stanąłem na półpiętrze i otworzyłem kopertę. W środku było tylko jedno zdjęcie. Przedstawiało dwie postacie siedzące obok siebie na łóżku. Splecione w dziwnej, nienaturalnej pozie, otoczone skotłowaną pościelą malowniczo udrapowaną na leżącym na podłodze materacu. Nagi Osiński zachłannie obejmujący ramieniem małą, na oko jedenastoletnią dziewczynkę. Również nagą. Drugą ręką jej dotykał. Światło dogasającego dnia padało przez okno klatki schodowej na wymizerowaną buzię dziecka. Dziewczynka miała lekko przymrużone oczy i wyraz twarzy taki, jakby to, co się z nią dzieje, nie robiło już na niej żadnego wrażenia. Była zabiedzona i chuda, miała potargane, matowe włosy. Jej skóra była blada i również matowa. Takie dzieci widywałem kiedyś w rodzinach patologicznych, które odwiedzałem podczas interwencji w pierwszych latach służby w policji. Niekochane, zaniedbane i pozostawione same sobie. Twarz Osińskiego była za to pełna natchnienia, miał zamknięte oczy, powieki mocno zaciśnięte, wyglądał jak artysta w twórczej ekstazie, jakby robił coś wielkiego i wspaniałego, a nie popełniał jeden z najbardziej odrażających czynów, jakie tylko popełnić może człowiek.

Odwróciłem zdjęcie, ale z tyłu nie było niczego. Żadnego napisu, daty, nazwy miejsca, w którym je zrobiono. Nic. Nie miałem nawet pewności, że zrobiono je w Szczecinie czy chociaż w Polsce. Poczułem w głowie szum, kiedy wściekłość zalała mnie tak, jak fala tsunami zalewa brzeg, połykając go bezlitośnie w mgnieniu oka i niszcząc po drodze wszystko, na co się tylko natknie.

Skurwysyn. Wstrętny oblech. Zrobiło mi się niedobrze. Poczułem w ustach smak żółci, a piekący ból brzucha wrócił, jeszcze bardziej natarczywy niż przed chwilą, na górze, przed drzwiami mieszkania Osińskich.

Nie wiedziałem jeszcze, co zrobię z tym zdjęciem. Nie wiedziałem również, po co Osiński mi je zostawił. Mogłem się tylko domyślać. Przyznanie się do winy? Wyrzuty sumienia? Jakiś trop? Nieudolna próba wyjaśnienia intencji, jakimi się kierował, matacząc w śledztwach? Mógł przecież napisać list, w którym wyjaśniłby wszystko, podając mi rozwiązanie na tacy. Ale nie napisał. Być może chciał uchronić żonę przed skandalem, a może nie tylko żonę; nie wiedziałem, czy ma dzieci. Koniec końców doszedłem do wniosku, że zostawiając mi to zdjęcie, decyzję, co dalej, Osiński pozostawił do podjęcia mnie. Nawet gdybym się nie zjawił, w końcu, po upływie tygodnia, kopertę otworzyłaby żona. Co by z tym zrobiła, nie wiem, ale to ona, a nie mąż, musiałaby zdecydować, jak postąpić w tej sprawie. Jednak się zjawiłem. Osiński musiał wiedzieć, że nie odpuszczę i że będę go nękał dalej, tak jak zapowiedziałem mu to w prokuraturze. Więc wybrał ostateczne rozwiązanie, pozostawiając po sobie to zdjęcie i przekazując je jedynej osobie, która domyślała się, dla kogo pracuje i co zrobił, żeby to ukryć. Nie potrafił podjąć tej decyzji sam, a może uznał, że po prostu lepiej tego nie robić. W końcu wszystkie jego podjęte ostatnimi czasy decyzje były tragiczne w skutkach... Łącznie z tą wczorajszą, którą być może pomogłem mu podjąć ja.

Od dawna to wiedziałem: kawał ze mnie sukinsyna.

Przypomniałem sobie spojrzenie dziewczynki ze zdjęcia i wyrzuty sumienia zmniejszyły się na tyle, że przestały być istotne. Żałowałem jednej rzeczy: że nie zdążyłem zapytać go, czy to on podrzucił mi wizytówkę „Gaz-Techu”. Czy Bogutowicz kazał to zrobić właśnie

jemu, czy był ktoś inny, kto mógł to zrobić?

Wychodząc z budynku, zastanowiłem się nad jeszcze jedną rzeczą.

Czy rzeczywiście Osińska nie zajrzała do koperty? Czy naprawdę była posłuszna mężowi? A jeśli zajrzała, to dlaczego mi ją teraz oddała? Przecież musiała wiedzieć, że kiedy to wyjdzie na jaw, skandal dotknie i ją, i to boleśnie. Część winy w oczach sąsiadów spadnie na nią, nikt nie uwierzy, że żona nie wiedziała, jakie „hobby” ma mąż. I to nieistotne, że to bez sensu, bo zawsze jest tak, że żony dowiadują się ostatecznie, a czasem nawet w ogóle. Tak czy siak, Osińska będzie miała kłopot. A może to kara? Kara dla męża, ale i dla siebie. Nie wiem, co działo się za drzwiami domu Osińskich. Nie chciałem wracać na górę i zapytać o to żony prokuratora. Nie teraz. Teraz miałem trop, gorący jak żelazo, które trzeba kuć, inaczej stwardnieje.

Wychodząc z ogrodu na ulicę, nie rozglądałem się już. Przeszła mi ochota na zwiedzanie Pogodna, chciałem już znaleźć się w domu. Jak najszybciej. Nie myślałem, że jeszcze kiedykolwiek, a przynajmniej nie w najbliższym czasie, najdzie mnie ochota na powrót do mieszkania, z którego uciekałem, kiedy tylko mogłem, przy byle okazji, a czasem nawet bez okazji. A jednak. Szedłem szybkim krokiem na przystanek tramwajowy przy budynku Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Szczecińskiego, a pod powiekami miałem wciąż widok twarzy tej dziewczynki ze zdjęcia. Taki zmęczony i taki obojętny. Pusty. Jak u prostytutki, która już wszystko widziała, wszystkiego próbowała i nic nie jest w stanie jej zaskoczyć, nawet śmierć. Jej wzrok przypominał mi mój, wtedy kiedy w lustrze szpitalnej łazienki patrzyłem sobie w oczy. Ja też jeszcze niedawno myślałem, że widziałem i przeżyłem już niemal wszystko.

Zdjęcie ciążyło mi w kieszeni kurtki, jakby ważyło kilogram i było z żelaza, a nie z papieru. Przyszło mi do głowy coś jeszcze.

Wciąż nie miałem wątpliwości, że płacz Osińskiej był szczery. Ale tak naprawdę nie znałem jego prawdziwego powodu, zakładałem tylko, że jest nim śmierć męża. Może Osińska, oddając mi kopertę, zrobiła to nie dla siebie, nie dla męża, a właśnie wbrew sobie i wyłącznie dla tej dziewczynki ze zdjęcia?

Od czasu postrzału miewałem wyłącznie czarno-białe sny. Jak filmy ze starego kina u pana w ciemnych okularach, który nie wymawia „r”. Bez koloru, a przez to jakby niepełne i pozbawione wyrazu. Jak nie moje.

Tym razem było podobnie. Tej nocy we śnie wróciło do mnie ostatnie wspomnienie, jakie mój uszkodzony pociskiem mózg zarejestrował przed wyłączeniem się na kilka następnych miesięcy. Tym wspomnieniem był widok biegnącej ku mnie Agnieszki. Leżałem na ziemi z kulą w głowie, zapewne jeszcze nie straciłem przytomności, choć byłem już w szoku. Byłem pewien, pewien w ten niesamowity, nierealny i typowy dla snu sposób, że to, co widzę, nie jest w istocie snem, a właśnie wspomnieniem. I to nie stworzonym z urywków filmu z kamery na parkingu, który został w mojej głowie po obejrzeniu go wtedy w szpitalu. Przemawiał za tym fakt, że wszystko to widziałem z innej perspektywy; nie z ptasiej, jaką daje widok z umieszczonej wysoko kamery. Ja to widziałem z perspektywy żabiej. Innymi słowy: z punktu najniżej położonego. Z poziomu ziemi. Jak ktoś, kto na niej leży...

Śnię, leżę i widzę...

Widzę, jak moje dziecko, które już nie jest dzieckiem, staje nagle w miejscu, szeroko otwiera oczy i łapie się za głowę, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje. Otwiera usta do krzyku i słyszę straszne słowa. Słyszę je wyraźnie, są głośne, pełne przestachu i wściekłości jednocześnie. Sprawiają, że zamieram ze zgrozy. „Tak nie miało być!”. Agnieszka powtarza to w szoku kilka razy, wciąż trzymając się za głowę. I nagle tuż przed nią pojawia się mężczyzna w kasku motocyklowym, wymierza broń w jej kierunku i pociąga za spust. Widzę leciutką smużkę dymu ulatującą z lufy, ruch pokrywy zamka, wylatującą łuskę, kręcącą się w powietrzu jak fryga. Patrzę, jak moja córka upada na ziemię. Nie rusza się, a spod jej głowy wypelza czarny strumyk krwi. Robi się coraz większy, ma coraz więcej odnóg płynących drobnymi zakolami między szczelinami kruszywa szarej, asfaltowej nawierzchni. Płyną ku mnie, a ja widzę ich najdrobniejsze detale. Nagle łączą się niczym w estuarium krwawej rzeki i tworzą plamę, potem kałużę, aż zmieniają się w morze krwi. A potem widzę już tylko ciemność. I znów słyszę te słowa, tym razem w swojej głowie, jak nagranie. Ale są identyczne.

„ Tak nie miało być!”...

Obudziłem się z sercem walącym w piersi z przerażenia i od razu puściłem pawia. Kiedy spazmy wymiotów przestały mną targać, siedziałem na łóżku, czekając, aż ustanie pieczenie w przełyku, a czerń za oknem zacznie zmieniać się w szarość, a potem blady, sprany błękit. Płacz nie miał już sensu. Teraz trzeba było się skupić na tym, żeby dać radę. Przeczekać najgorsze. Siedziałem więc na łóżku, ignorując smród rzygowin, jak tybetański mistyk odgradzony od wszelkich bodźców szczelną ścianą własnego umysłu.

Siedziałem w tragicznie pustym mieszkaniu, w którym nie było nawet kota czy chociaż pajaków, które mogłyby mi dotrzymać towarzystwa. Siedziałem, myślałem, aż wymyśliłem. Jakimś cudem, w dziwny, kompletnie niewytłumaczalny sposób byłem pewien jednej rzeczy: słowa „Tak nie miało być!” nie były snem. Były wspomnieniem.

Teraz to wiedziałem.

Kiedy minęła siódma, rzuciłem się do telefonu i pobiegłem z nim do pokoju Agnieszki. Usiadłem przy biurku, na którym stał jej laptop. Wciąż otwarty i zakurzony. Włączyłem go, modląc się w duchu, żeby nie miał jakichś wyrafinowanych zabezpieczeń, które moja córka zainstalowała, kiedy zacząłem bardziej interesować się jej życiem. Jeśli Bóg istnieje, wysłuchał moich prośb, bo po kilkunastu sekundach ekran rozjaśnił się, a moim oczom ukazała się jakaś dziewczyna, wyglądająca na dojrzałą kobietę nastolatka albo odwrotnie. Ładna brunetka z wyeksponowanym biustem i podpisem Charli XCX. Imię dziewczyny nic mi nie mówiło. Po bokach tapety z dziewczyną, której imię nic mi nie mówiło, rozmieszczone były jakieś kolorowe ikonki. Wziąłem do ręki telefon i wybrałem numer do Sławka, znajomego informatyka z komendy. Odwiedzał mnie dość często w moim gabinecie, bo miałem chroniczną nieumiejętność odczytywania systemowych komunikatów na swoim komputerze i zawsze wolałem sprawdzić, o co chodzi. Odebrał po kilku sygnałach.

– Halo? – usłyszałem w telefonie jego zaskoczony głos.

– Suder z tej strony – rzuciłem. – Masz chwilę?

– Noo, mam. – Po tych słowach nastąpiła chwila ciszy, pewnie Sławek zerkał na zegarek.

– Co się stało?

Pytanie było naturalne. Telefon o takiej porze zwykle nie wróży nic miłego. Zwłaszcza od kogoś takiego jak ja.

– Potrzebuję pilnej konsultacji.

– Okej. – Jego „okej” było ostrożne i najeżone. – Słucham...

– Jak dziś porozumiewają się ze sobą dzieciaki? Mam na myśli komputer. Gadu-gadu, Nasza Klasa? Coś innego?

Zastanawiał się przez chwilę, gdzieś w tle słyszałem dzingiel radiowej Trójki.

– Coś innego – powiedział w końcu zdecydowanie. – Jesteś trochę nie na czasie, jak widzę. Jeśli dzieciak jest normalnym przeciętnym dzieciakiem, to komunikuje się przez fejsa.

– Masz na myśli Facebooka? – upewniłem się.

– Tak.

– Aha, ale ja mam na myśli nastolatka, a nie dzieciaka – powiedziałem, zastanawiając się, kim Agnieszka była naprawdę: dzieciakiem, nastolatką czy już kobietą.

Nie wiedziałem tego, tak jak nie wiedziałem, kim była dziewczyna z tapety na monitorze; dziewczyna, której imię nic mi nie mówiło. Była ładna, ale wyglądała zdzirowato.

– Myślę, że też – odpowiedział Sławek. – Tak jest najprościej. A o co chodzi?

– Widzisz... Muszę coś sprawdzić. Chodzi o moją córkę...

Usłyszałem syk wciąganego gwałtownie powietrza. Zdawałem sobie sprawę, co poczuł Sławek. To uczucie wplątania w niezręczną sytuację... Wszyscy wiedzieli, co przydarzyło

się mnie i mojej rodzinie. Takich ludzi jak ja żałuje się z całego serca, żarliwie i naturalnie, zwłaszcza kiedy też ma się rodzinę. Ale co innego wiedzieć i żałować, a co innego stanąć z kimś takim niemal twarzą w twarz i uczestniczyć w jego nieszczęściu w małej, epizodycznej i pobocznej rólce. Stać się bezpośrednim świadkiem, statystą bez umiejętności, którego los stawia obok głównego aktora dramatu.

– To bardzo ważne, Sławek. Muszę... Muszę się włamać do jej... fejsa i coś sprawdzić. Pomożesz mi?

– To nie jest tak, jak myślisz – ostrzegł mnie po chwili ciszy. – Pewnie widziałeś różne rzeczy na filmach, ale to nie działa w ten sposób. W ogóle nie w ten sposób, rozumiesz?

– Pomożesz mi?

– Darek...

– Czy mi pomożesz?

Z pełną premedytacją wykorzystywałem swoją przewagę psychologiczną. Sławek też miał dziecko, syna. I z tego, co wiedziałem, również nastolatka.

– Poczekaj. – Jego głos był odrobinę bardziej zdecydowany niż przed chwilą. – Może nie trzeba się nigdzie włamywać... Jesteś przed kompem?

– Tak. – W swoim głosie usłyszałem entuzjazm. – Dawaj!

– Ale to komp twojej córki?

– Uhm...

– Dobra. Wejdź w Internet...

– Ostrzegam, jestem kompletnym ignorantem w tej dziedzinie.

– Wiem, mówisz mi to za każdym razem, kiedy przychodzę do twojego gabinetu. Inaczej nie dzwoniłbyś do mnie, prawda? Już?

– Już.

– Masz wyszukiwarke?

– Google'a?

– No... Na przykład.

– Mam.

– Wpisz: Agnieszka Suder fb.

Zacząłem klikać w klawiaturę. Potwierdziłem enterem i patrzyłem, co się stanie.

– Co ci wyskoczyło? – zapytał Sławek.

– Profile: Agnieszka Suder Facebook – przeczytałem pierwszy z listy wyników wyszukiwania.

– Wejdź w to... I co?

– Otwiera mi się główna strona. „Agnieszka Suder jest już na Facebooku”.

– Dupa. To znaczy, że jest wylogowana. Miałem nadzieję, że się nie wylogowała ostatnim razem albo miała tak ustawiony profil... Znasz hasło do jej poczty?

– Mailowej?

– Tak, mailowej.

– Kurwa... – Zagryzłem wargę. – Nie znam nawet jej adresu...

– Szkoda, cholera... Gdybyś znał hasło do poczty, mógłbyś się do niej zalogować, kliknąć na fejsie „zapomniałem hasła” i przysłałoby ci je mailem... A tak...

– Umiałbyś się włamać do poczty? – zapytałem z desperacką nadzieją w głosie.

– Darek... – Urwał i nagle krzyknął: – Poczekaj! Zwiń Internet i rozejrzyj się po pulpicie. Widzisz niebieską ikonkę, taką okrągłą, z małym poziomym zygzaczkem? Coś jak leżąca błyskawica?

Przeglądałem kolorowe obrazki, szukając podobnego do podanego opisu.

– No jest. – Usłyszałem w swoim głosie radość i nadzieję.

– Spokojnie... – przystopował mnie. – To Messenger, taka aplikacja, która... Jakby ci to wytłumaczyć? Działa pod fejssem, ale również osobno. Kliknij to. Może nie wylogowała się chociaż z niej?

Była siódma z minutami rano, a ja drugi raz tego dnia modliłem się do kogoś, w kogo nie wierzyłem. I On mnie znów wysłuchał. Aplikacja otworzyła się i zobaczyłem dymki z tekstem i okrągłe portreciki różnych ludzi.

– Mam – szepnąłem Sławkowi.

Z oczami wbitymi w ekran rozłączyłem się bez pożegnania i odłożyłem telefon na bok.

Szybko prześledziłem twarze po lewej stronie monitora i nagle go zauważyłem. Bezczelnego kutafona z fryzurą à la krowi jęzor. Coś mnie tknęło, żeby zacząć sprawdzanie wiadomości właśnie od niego. I chyba trudno mi się dziwić.

Były ich setki. Musieli siedzieć przy tym godzinami, klikając do siebie jak to zwykle robią zakochane małolaty... Tylko że Bogutowicz nie był małolatem. Zmusiłem się, żeby to czytać. Wiele tych wiadomości sprawiało, że przyśpieszał mi puls, a na twarz wypełzała czerwień. Marylin Manson patrzył na mnie z plakatu swoim kozim okiem, patrzył, jak zaciskam dłonie i zęby, odkrywając największe tajemnice swojego dziecka, które nie było już dzieckiem. Czułem się jak intruz. Zastanawiałem się, czy zrobiłbym to, ośmielił się przeczytać wszystko, gdyby Agnieszka żyła, a ja miałbym sposobność, żeby to zrobić w tajemnicy przed nią. I wiedziałem, że to, co zobaczyłem na ekranie laptopa, zostanie w mojej głowie już na zawsze. Substytut wspomnień. Jak oglądanie zdjęć z podróży zamiast jej odbycia. Przepraszałem ją w myślach. Przepraszałem Agnieszkę za wkroczenie w jej intymny świat, za to, że poznaję jej największe tajemnice. Poznawałem właśnie swoją córkę, poznawałem ją naprawdę, i poznawałem ją dopiero teraz, kiedy nie żyła.

Skupiłem się. Jakieś piętnaście minut później dotarłem do miejsca, w którym moje życie znów stanęło na głowie. Data i czas wskazywały na popołudnie tego dnia, w którym zniknąłem z domu na parę godzin. Tego dnia, w którym dowiedziałem się, że moja córka nie jest już dzieckiem. Kiedy złapałem ich oboje z dłońmi wsuniętymi w majtki tego drugiego.

Marcin Bogutowicz: Jazda, co? :) lol!

Agnieszka Suder: Daj spokój. Not funny

Marcin Bogutowicz: #%\$@ się staruszek

Agnieszka Suder: Dziwisz się?

Marcin Bogutowicz: Tak. To nie w porządku

Agnieszka Suder: Wiem. Ale to mój stary. Uderzył mnie

Marcin Bogutowicz: Uderzył cię!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!?

Agnieszka Suder: Ja go prawie też

Marcin Bogutowicz: TY???????

Agnieszka Suder: No :(Miałam ochotę go zabić. Przez chwilę. Powaga. Jazda, co?

Marcin Bogutowicz: Zabić? Może to dobry pomysł ;)

Agnieszka Suder: Daj spokój. Żart...

Marcin Bogutowicz: Wiesz, że nie.

Agnieszka Suder: ŻART!

Marcin Bogutowicz: Wiesz, że możesz na mnie liczyć? Zawsze i wszędzie? <3

Agnieszka Suder: Wiem, słońce.

Marcin Bogutowicz: Nawet w TYM, jakby co! Zrobiłbym to dla CIEBIE.

Agnieszka Suder: Przestań!

Marcin Bogutowicz: Zrobiłbym dla Ciebie WSZYSTKO!!

Agnieszka Suder: Ale nie TO.

Marcin Bogutowicz: Wrócimy do tego ;—)

Agnieszka Suder: NIE

Marcin Bogutowicz: :—*

Agnieszka Suder: Tak lepiej! :)

Siedziałem, jak skamieniały. Słowa były w oczy porażającą i niemożliwą do zaakceptowania prawdą. Jacek Mołczun się mylił. Wybuch w magazynie i śmierć Marty miały ze mną coś wspólnego, ale nie dokładnie to, o czym myślał Jacek. Tamte wydarzenia nie miały związku z zamachem na mnie i ze śmiercią mojej rodziny. Mimo użycia tej samej broni były niezależne od siebie. A ja nie zatrzymałem się na parkingu koło Bernau dlatego, że motocyklista pokazał mi jakieś uszkodzenie w samochodzie. Zatrzymałem się tam, bo Agnieszka chciała skorzystać z toalety. Ale to był tylko pretekst, zresztą mieliśmy przecież zaraz zjechać do Bernau, żeby kupić ekoplakietkę w tamtejszym wydziale komunikacji. A jeśli tak, to zatrzymałbym się w takim miejscu tylko w razie pilnej, naprawdę pilnej potrzeby. A przecież Agnieszka szła do toalety normalnym, niespiesznym krokiem. Ona wiedziała, że Bogutowicz będzie na nas czekał na tym przeklętym parkingu. Wiedziała to.

Wyglądało na to, że zamach na mnie zleciła moja własna córka. I nie wiem dlaczego: w wyniku pomyłki czy z jakiegoś innego powodu zapłaciła za to najwyższą możliwą cenę.

* * *

Kilka godzin później wciąż byłem pewien, że to, co mi się przyśniło, to wycinek rzeczywistości, który przypominał mi się we śnie, a nie fragment wyindukowanej ukrytymi w podświadomości wspomnieniami sennej mary. Zwłaszcza te straszne słowa, które wykrzyczała tuż przed śmiercią Agnieszka. Patrząc na to obiektywnie, nie mogłem mieć tej pewności. Taka była prawda. Ale znałem sposób, żeby to sprawdzić. A przynajmniej istniała spora szansa, że to mi się uda.

Sylwia Białek była cywilnym pracownikiem komendy, w Wydziale Zaopatrzenia i Inwestycji zajmowała się sprawdzaniem kwitów do przetargów na remonty i bieżące utrzymanie nieruchomości podlegających komendantowi wojewódzkiemu. Nie znaleźmy się bliżej, przez kilka lat widziałem się z nią może trzy, cztery razy, rozmawialiśmy przez

chwile o papierkach i zamówieniach mebli i sprzętu informatycznego. Pamiętam swoje zdziwienie, gdy Mołczun uświadomił mi, że dziewczyna niemal nie słyszy. Kiedy zapytałem go, jak w takim razie rozumie to, co się do niej mówi, uśmiechnął się i wskazał na swoje usta. Nie chciało mi się wierzyć, przede wszystkim w to, że się nie zorientowałem, bo ten fakt potwierdziło mi potem kilka innych osób. Ona była osobą niesłyszącą, ja chyba niedowidzącą, ale okazało się, że paru moich kolegów z komendy zdziwiło się kiedyś równie mocno jak ja. I to ona była moją szansą na uzyskanie pewności, jak brzmiały ostatnie słowa Agnieszki.

Wydziały, sekcje i zespoły komendy rozlokowane są w kilku obiektach skupionych w okolicy skrzyżowania Małopolskiej i placu Świętych Piotra i Pawła. Wydział, w którym pracowała Sylwia Białek, mieścił się na szczęście w innym budynku. Nie musiałem znów narażać się na spotkanie z Zaliszem czy Skibińskim. Wejście do Inwestycji znajdowało się od strony wylotu Trasy Zamkowej, niedaleko Piwnicy „Kany”, była to niepozorna brama równie niepozornej kamienicy.

Poprawiając objającą mi się o biodro torbę z laptopem, wszedłem na pierwsze piętro i znalazłem pokój, w którym pracowała dziewczyna. Uchyliłem drzwi i wywołałem ją na korytarz, wzbudzając przy okazji niezdrawe zainteresowanie jej dwóch koleżanek. Wyszła nieco zalękniona, z założonymi rękami, w podświadomym odruchu obronnym. Była młodą, niespełna trzydziestoletnią ciemną blondynką o prostych, sięgających ramion włosach, nosiła okulary w niebieskich oprawkach. Cały jej strój świadczył o tym, że niebieski jest jej ulubionym kolorem, ale niewątpliwie pasował do niej i do jej oczu.

Patrzyliśmy na siebie. Ona na mnie ze zdziwieniem, ja na nią z niepewnością.

– Dzień dobry, pani Sylwio – zacząłem, pamiętając, żeby mówić wyraźnie. – Kojarzy mnie pani?

Pokiwała głową z nieśmiałym uśmiechem na ustach. Ręce pozostały założone.

– Przepraszam, że pozwalam sobie panią niepokoić, ale... Ale jest pani moją jedyną szansą. Chciałem panią poprosić o pomoc w pewnej sprawie. Nietypowej sprawie. Oczywiście może pani się nie zgodzić i absolutnie nie będę miał pani tego za złe, zwłaszcza że...

– Ale o co chodzi, panie inspektorze? I niech pan mówi normalnie. – Miała miły głos i taki sam uśmiech.

Podobno osoby niesłyszące mówią nieco inaczej, ale u niej, gdybym nie wiedział, że nie słyszy, nie zwróciłbym uwagi na to, że prawie niedosłyszalnie połyka głoski. Większość ludzi mówi w jakiś sposób niewyraźnie: lekko sepleni, bełkocze, robi to za szybko albo za cicho. Normalna rzecz, sam ze swoim zbijaniem głosek „sz” i „cz” byłem tego przykładem.

– Chciałem pani coś pokazać i poprosić, żeby odczytała pani z ruchu warg słowa pewnej osoby.

– Oczywiście, żaden problem. – Wesoło wzruszyła ramionami, rozkładając ręce i opierając się o ścianę korytarza.

– No, właśnie jest pewien problem. – Spojrzałem jej w oczy. – Ten film... Na tym filmie giną ludzie. Jest brutalny, pokazuje śmierć na żywo. Nie wiem, czy jest pani na to gotowa. To znaczy... Nikt normalny nie jest na to gotowy, wie pani, co mam na myśli, ale...

– Czy to...? – zapytała z gasnącym na twarzy uśmiechem.

– Tak – potwierdziłem. – To moja rodzina. Niestety. Jeśli nie chce pani tego oglądać, proszę powiedzieć. Zrozumiem to i nie będę miał do pani żalu. Chciałem w zasadzie tylko coś potwierdzić, coś, co wiem już sam. Jeśli nie da pani rady, nie ma problemu. Żadnego. – Patrzyłem na nią i widziałem, jak walczy ze sobą.

– Pokażę pani tylko niezbędne minimum – obiecałem, nie wspominając, że obejmuje moment śmierci mojej córki.

– To naprawdę może panu pomóc? – zapytała.

– Naprawdę. Nawet pani nie wie jak bardzo.

Wzruszyła gwałtownie ramionami, odpychając się łopatkami od ściany. Ten widok przypomniał mi podstawówkę, kiedy wystawaliśmy podczas przerw pod ścianami korytarzy. Sylwia wyglądała młodziutko, jak licealistka, jak moja córka i ten ruch... To pewnie dlatego.

– Chodźmy – powiedziała zdecydowanym tonem i ruszyła przed siebie.

Poszedłem za nią wąskim, pełnym załamań korytarzem. Kilka metrów dalej sięgnęła do klamki jednych drzwi i weszła do jakiegoś pomieszczenia. Pacnęła ręką w ścianę, we włącznik światła. Pomieszczenie było niewielkie i zagracone. Wszedłem za nią i zamknąłem drzwi, rozglądając się dookoła. Byliśmy w jakiejś pakamerze, pełnej poustawianych pod ścianami kartonowych pudeł i stosów krzeseł, powtykanych jedno w drugie i czekających na lepsze czasy.

Sylwia wskazała torbę z laptopem.

– Tu ma pan ten film? – zapytała.

Pokiwałem głową i sięgnąłem do torby, wyciągając z niej komputer. Białek wskazała stojącą w rogu nieczynną kserokopiarkę, więc położyłem na niej laptop i włączyłem go. Kiedy zaczął szumieć, a ekran rozjaśnił się niebieskawą luną, spojrzałem na dziewczynę jeszcze raz.

– Jest pani pewna?

Pokręciła głową.

– Absolutnie nie. Ale zrobię to. Dla pana – powiedziała twardo.

To miło, że obcy ludzie są w stanie zrobić coś wbrew sobie, żeby ci pomóc, w dodatku niczego za to nie żądając. Żeby tylko ta pieprzona gula jak zwykle nie stawała mi w gardle. Chrząknąłem.

– Dziękuję pani. – Dotknąłem touchpada palcem i przesunąłem strzałkę kursora na ikonę z filmem. – To jest nagranie z monitoringu. W miejscu, gdzie to się wydarzyło, była kamera i ona to wszystko, prawie wszystko, nagrała. Tak jak mówiłem, film jest brutalny. Pokażę pani tylko fragment, na którym ginie moja córka. Chodzi mi o moment, gdy coś mówi. Nagranie jest bez dźwięku, a ja chciałbym wiedzieć, co powiedziała. A w zasadzie to potwierdzić. W porządku?

Wyraźnie pobladła, a jej oddech przyśpieszył. Twarz dziewczyny stężała, a skóra na czole i policzkach w odbijającym się od kanarkowożółtych ścian świetle jarzeniówek przybrała odcień wosku. Nie czekałem, aż zmieni zdanie. Wszystko było przygotowane, ustawione we właściwym momencie, wystarczyło tylko kliknąć „play”. Kliknąłem. Znow zobaczyłem Agnieszkę i jej mordercę. Znow zobaczyłem, jak oczy Agnieszki rozszerzają

się, jak rusza ustami, mówiąc coś, czego nie mogłem usłyszeć, i jak upada, szarpnąwszy przedtem głową, w którą wbija się śmiertelny pocisk. Czułem, jak w środku drzę. Sylwia przycisnęła do ust dłońe zwinięte w pięści i oglądała film ze łzami w oczach. Kliknąłem stop, zanim na asfalcie pojawił się strumyk krwi wypływający z głowy Agnieszki.

– Zauważyła pani, co mówiła? Zdążyła pani?

Miałem gorącą nadzieję, że tak i że nie będę musiał odtwarzać filmu jeszcze raz. Nie zniosłaby chyba tego. Ja być może również...

Pokiwała głową, pociągając nosem i ocierając łzy, które wylewały się jej spod powiek.

– Zdążyłam. Ale pierwszą część zdania wypowiedziała, kiedy jej głowa była lekko odwrócona od kamery. Tu nie mam aż takiej pewności.

– Więc co powiedziała? – Miałem wyschnięte usta, a oblizanie ich nic nie dało. Język też miałem wyschnięty na wiór. Żałowałem, że nie mam przy sobie butelki z wodą.

– Powiedziała: „Tak nie miało być!”. – Spojrzała na mnie, a jej oczy znów zaszklily się od łez.

Czyli jednak dobrze pamiętałem. Potwierdziła moje wspomnienie.

– Nigdy wcześniej nie widziała pani śmierci człowieka? – zapytałem.

Pokręciła w milczeniu głową.

Przypatrywałem się jej przez chwilę. Było mi przykro, że jej to zrobiłem. Wyglądała na miłą, dobrą dziewczynę, a ja pokazałem jej, jak wygląda zło. Zło w najczystszej postaci. Nie głupie zło z horroru, w którym ocieka sztuczną krwią i pławi się w silikonowych flakach; nie śmieszne zło z kreskówki, gdzie futrzaki robią sobie nawzajem często koszmarną i bolesną krzywdę, a dzieciaki zaśmiewają się z tego do rozpuku. Bawi je to do łez, ale to są łzy śmiechu, a nie bólu, bo to nie one czują ten ból. To było zło realne. Nawet jeśli nie zdawała sobie sprawy, że ono gdzieś jest, to teraz ja jej to unaocniłem. Teraz wiedziała już, że ono istnieje i to wcale nie tak daleko od niej. Jeśli nigdy nie dotknęło jej bezpośrednio, to teraz stała obok człowieka, który go doświadczył.

Wiedziałem, że jej świat od tej chwili nie będzie taki sam. Nie miałem jednak pojęcia, czy zrobiłem jej tym krzywdę, czy wręcz przeciwnie, pomogłem jej. Czy ta świadomość bliskości zła pomoże jej kiedyś łatwiej znieść cios od życia, czy będzie teraz ze strachem oglądać się za siebie, w bezustannym oczekiwaniu na jego objawienie w najmniej oczekiwanym momencie? Nie życzyłem jej absolutnie żadnego ciosu, ale życie ma to do siebie, że czasem kopie. I to boleśnie. Jak mnie.

– Wie pan, że ona powiedziała coś jeszcze? – zapytała mnie nagle.

– Nie rozumiem? – W jednej chwili zrobiło mi się zimno.

– Kiedy już... – chlipnęła. – Kiedy już leżała na ziemi...

Zamknąłem oczy i przypomniałem sobie, że ruszała ustami, zanim znieruchomiała.

– Co powiedziała? – wyszeptałem.

– Powiedziała: „Marcin”.

Otworzyłem szeroko oczy, a w głowie poczułem lekkie pulsowanie.

– Słucham?

– Mówiłam, że powiedziała: „Marcin”.

– Jest pani pewna? – Podszedłem do niej.

– Tak. – Pokiwała zdecydowanie głową.

– Jak może być pani pewna teraz, skoro nie była pani pewna tego, co mówiła chwilę wcześniej? – wyrzuciłem z siebie te słowa na jednym oddechu i chyba nieświadomie podniosłem głos, bo Sylwia lekko cofnęła się pod ścianę.

– Bo wtedy kręciła głową, a teraz leżała bez ruchu...

Racja, teraz leżała bez ruchu...

– Nie ma pani żadnych wątpliwości? – zapytałem już znacznie ciszej.

Spojrzała mi w oczy.

– Mój mąż ma na imię Marcin. Widziałam dziesiątki ust wypowiadających to słowo na różne sposoby. Powiedziała: „Marcin”. Więc owszem, nie mam żadnych wątpliwości.

W tym momencie ja też przestałem je mieć.

Podziękowałem jej serdecznie. Żegnając się z nią na korytarzu przed drzwiami pokoju, w którym pracowała, przytrzymałem jej drobną dłoń w swojej odrobinę dłużej, niżby należało. Byłem jej naprawdę wdzięczny. I wciąż było mi przykro, że musiałem jej to zrobić.

* * *

– Musimy się spotkać. Pilnie – rzuciłem do telefonu, kiedy Milena odebrała.

– To nie jest nasz termin – odpowiedziała spokojnie. – Jest dopiero dziesiąta rano.

– Tak, wiem, ale to bardzo ważne. Nie będę łkał w telefon, że jak się nie spotkamy, to palnę sobie w łeb. Ale bardzo mi na tym zależy...

Milczała przez chwilę.

– Wykorzystujesz sytuację, wiesz o tym?

– Wiem – przyznałem bez żenady. – Ale to naprawdę pilne. Muszę się z tobą spotkać i porozmawiać.

Westchnęła.

– Przyjedź za godzinę do gabinetu.

– Dzięki – sapnąłem. – Wielkie dzięki. Odwdzięczę ci się. Zrobisz na mnie habilitację, zobaczysz. Zostaniesz honorowym członkiem naszego Stowarzyszenia Kulogłowych. I będziesz jeździć do Karpacza na mój koszt.

Parsknęła śmiechem i rozłączyła się. Trzy kwadranse później byłem pod jej gabinetem. Zostało jeszcze piętnaście minut i nie wiedziałem, co z nimi zrobić. Zadzwoiłem do Rafała Buryty.

– Co tam? – zapytał. – Masz jakieś rewelacje?

– Owszem – odpowiedziałem skwapliwie. – A jak tam wasze śledztwo?

– Stało w miejscu, przynajmniej na jakiś czas.

– Domyślam się.

– Czego się domyślasz?

– Że sprawa stanęła w miejscu. Minie pewnie trochę czasu, zanim nowy się w tym wszystkim połapie.

– O, zaskoczyłeś mnie teraz! Chcesz powiedzieć, że wiesz...?

– Jeśli chodzi ci o Osińskiego, to owszem, wiem.

– Kurwa, skąd!?

– Od jego żony. Spadł ze stołka, tylko że wcześniej założył sobie na szyję sznurek, który

zwisał spod sufitu. Z haka od lampy. W poniemieckich budynkach wiele rzeczy jest solidniejszych, niż nam się wydaje, Rafał. Takie haki od lampy, na przykład. Kto by pomyślał, że wytrzyma ciężar człowieka?

– Odnoszę wrażenie, Darek, że jesteś lepiej poinformowany od nas...

– Mówiłem ci o tym przecież przy naszym ostatnim spotkaniu, ale nie wierzyłeś.

Wspominałeś Lewandowskiemu o mojej teorii dotyczącej Bogutowicza?

– Gadaliśmy o tym, owszem, ale był raczej sceptyczny.

– Wyobrażam sobie.

– Tak jak i ja, prawdę mówiąc.

– Doceniam szczerść, zresztą i tak się zorientowałem. Za to teraz mam coś, co powinno was wyleczyć z tego sceptycyzmu. Zresztą obiecałem ci wtedy, że jak coś znajdę, to dam ci znać.

– No?

– Miałem rację, to nie było ciało Bogutowicza. Osiński wiedział o tym od początku, ukrywał prawdę. To było ukartowane z kimś, kto jest odpowiedzialny za to zabójstwo...

– Eee, Darek, posłuchaj...

– Osiński podmienił próbkę do badania porównawczego DNA. Wobec groźby Bogutowiczowej, że zrobi to sama, zlecił pobranie na sądówce, osobiście odebrał ze szpitala obie próbki, z trupa i od matki Bogutowicza, ale zamiast tej pobranej z ciała z Odry, oddał do laboratorium policyjnego próbkę tkanki Bogutowicza. A skąd ją miał? Od samego Bogutowicza, bo skąd indziej, prawda?

– Bogutowicz i ciało z Odry to to samo, Darek. Rzucasz poważne oskarżenia, a on już nie może się bronić...

– Nie, Rafał, to nie to samo – przerwałem mu, zresztą on też mi przerywał, więc nie miałem skrupułów. – Ciało z Odry zostało ciałem z Odry właśnie za sprawą Bogutowicza. To prawie pewne.

– Prawie?

– Bardzo prawie. Ale to, że nie są to zwłoki Bogutowicza, da się udowodnić już na sto procent. Rozmawiałem z Osińskim dzień przed jego śmiercią. W prokuraturze.

– Chcesz mi powiedzieć, że zapytałeś go o to?

– Ja go o nic nie pytałem, Rafał. Po prostu przedstawiłem mu swoją wersję wydarzeń. Także tych, o których rozmawialiśmy u ciebie w komendzie.

– I co? Potwierdził tę wersję?

– Owszem. Powiesił się.

– Pytam, czy ci to potwierdził w rozmowie? Tak wprost?

– Czy powiedział: „tak, to moja sprawka”, czy coś takiego?

– Mniej więcej.

– Nie, nie przyznał się wprost, jeśli o to chodzi. Nie bezpośrednio.

– Aha. A mogę wiedzieć, jak wyglądało potwierdzenie pośrednio?

– Po prostu nie zaprzeczył.

– A bardziej, że tak powiem, namacalnie?

– Kazał mi wyjść.

– Żartujesz sobie? To traktujesz jako potwierdzenie?

– Potwierdzenie dała mi do ręki jego żona, kiedy przyszedłem do niego dwa dni później.

– Co masz na myśli?

– Nie wiedziałem wtedy, że nie żyje. Przyszedłem go jeszcze trochę pocisnąć. Wiesz, na jego terenie, żeby poczuł się jeszcze mniej pewnie. Nie zastałem go w domu, bo był już w szpitalnej chłodni, ale jego żona dała mi coś, co zostawił specjalnie dla mnie.

– Skąd wiadomo, że właśnie dla ciebie?

– Bo na kopercie było moje nazwisko.

– I co w niej było? W tej kopercie?

– Zdjęcie.

– Kurwa, a co było na zdjęciu?

– Pan prokurator Osiński w towarzystwie małej dziewczynki. Na oko jedenastoletniej.

– No i co z tego? Może to była jego córka?

– Nie sądzę, żeby to była córka – mruknąłem, choć pewności nie miałem.

To, że pedofile robią sobie nagie zdjęcia ze swoimi ofiarami, było powszechnie wiadome. Tak często wpadali. Nie potrafiłem pojąć, po co to robią, przecież zaspokoiли już swoje chore żądze. To miała być pamiątka? Trofeum myśliwskie? Ale nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak którykolwiek z nich mógł dać sobie zrobić zdjęcie z własnym dzieckiem. To przekraczało granice mojej wyobraźni.

– No to może bratanica? – Buryta był wyraźnie zdenerwowany i jeszcze nie rozumiał, o co mi chodziło. – Darek, posłuchaj, ja wiem, że...

– Oboje byli nadzy. A pan prokurator dotykał ją w miejscu, w którym nie powinno się dotykać jedenastoletnich dziewczynek. Drugą ręką dotykał siebie, również w miejscu, którego także nie powinno się dotykać w obecności jedenastolatek. Rozumiesz już? Pan Osiński był amatorem kwaśnych jabłek. Lubił niedojrzałe. Był jebanym pedofilem.

Rafał milczał.

– Zasugerowałem mu podczas tamtej rozmowy w prokuraturze, że wiem, że ktoś go szantażuje – powiedziałem cicho. – Oczywiście zgadywałem, ale tak mi wyszło z moich przemyśleń. Nie wiedziałem tylko, jakiego mają na niego haka, ale byłem niemal pewien, że taki hak istnieje. A on to potwierdził, choć również nie wprost, bo już wtedy nie żył. Potwierdził to tym zdjęciem. Fakty, w tym wypadku nagie fakty, nie kłamią. Co ty na to, panie sceptyku?

– Nie... Nie wiem, co powiedzieć. Dasz mi to zdjęcie? Muszę pogadać z prokuratorem, który przejął sprawę. Będzie cię brał na spytki, wiesz o tym?

– Powiedz mu, że jestem inwalidą. Poza tym coś czuję, że odbiorą wam to śledztwo.

– Dlaczego?

– Bo powiążą je ze „Strelą”. Podejrzewam, że w tym pan Osiński również maczał swoje lepkie palce. Prowadził śledztwo także i w tej sprawie i nie miał jakichś spektakularnych sukcesów. Co może być dość znamienne, prawda?

– Ja pierdołę...

– Zasugeruj prokuratorowi, żeby jeszcze raz zlecił badanie porównawcze. A najlepiej niech porówna zgodność tkanek z którymś z rodziców niejakiego Mateusza Gunickiego. Zaginionego studenta polibudy czy tam ZUT-u.

– Skąd ty to, kurwa, wszystko wiesz, człowieku?

– Jestem policjantem.

– Ja też, do kurwy nędzy! Czy ja jestem gorszy?

– Ty to powiedziałaś, nie ja. – Roześmiałem się. – Muszę lecieć, Rafał. Cześć.

Nie powiedziałem mu, że lecę do psychologa. Na wszelki wypadek. To i tak nie miało znaczenia, a nie wiedziałem, czy Rafał nie jest z gatunku tych, dla których psychiatra i psycholog to jedno i to samo. Rozłączyłem się, zerknąłem na czas na wyświetlaczu komórki i pobiegłem na górę, do gabinetu Mileny, opowiedzieć jej o moim śnie i o tym, co znalazłem w komputerze Agnieszki.

* * *

– To niemożliwe – powiedziała Milena, kiedy skończyłem.

– Dlaczego niemożliwe? – zapytałem. – Dlatego że trudno w to uwierzyć? Ten cały Bogutowicz był bandytą. Ale to inny wątek. Nawet to, że był zaplątany w tę rzeź w porcie, może być przypadkiem. Bandyci też są w związkach i też się zakochują. Omotał Agnieszkę, młodą dziewczynę, dopiero poznającą życie, nieświadomą zagrożeń, pełną radości z odkrycia własnej seksualności! Rozumiesz? Kto wie, może faktycznie zakochał się w niej na zabój? A ja byłem przeszkodą. Przeszkodą, którą można pokonać, jak niemal wszystkie przeszkody. Wystarczy tylko chcieć, wystarczy odpowiednia motywacja. I narzędzia. Jak kochanek bandyta, gotowy na wszystko, sączący jad w młody, chłonny umysł nastolatki. Chryste... – Urwałem, uświadomiwszy coś sobie. – Przecież to stało się niemal w tym samym czasie co zbrodnia w Rakowiskach.

Gazety i portale informacyjne wciąż jeszcze o tym wspominały, to stąd wiedziałem o tamtej strasznej zbrodni. W grudniu zeszłego roku, na dwa dni przed zamachem na moją rodzinę w okolicach Białej Podlaskiej, w Rakowiskach para nastolatków zabiła rodziców jednego z nich, chłopaka. Zabili ich we własnym domu, nożami, zarżnęli tak, jak rzeźnicy zarzynają zwierzęta, ale oni zrobili to niewprawnie, bezsensownie, boleśnie i zrobili to ludziom, a nie zwierzętom. Zbrodnia trwała długo, okrutnie długo, ofiary szaleńczo walczyły o życie, a przerażenie, z jakim to czyniły, zostało na ich twarzach także po śmierci.

Chłopak był z tak zwanego dobrego domu.

Jak Agnieszka.

Dziewczyna sprowadziła chłopaka na złą drogę. To ona była zła.

Jak Bogutowicz.

Ojciec chłopaka był kiedyś policjantem.

Ja też byłem.

Marylin Manson i jego kozie oko zerkające z plakatu.

Człowiek, który wziął swój pseudonim od dwóch ikon popkultury, a jedna z nich to Charles Manson. Jak to się w ogóle stało, że ten psychol tą ikoną został?

Charli XCX, dziewczyna z tapety na ekranie laptopa.

Dziewczyna, której imię nic mi nie mówiło, a która wyglądała jak zdzira.

Dziewczyna, która wyglądała jak nie moja córka.

Czy moja córka chciała tak wyglądać? Czy moja córka chciała taka być? Czy chciała być zdzirą? Czy pisała wiersze o zabijaniu, jak tamta dziewczyna z Rakowisk? Czy uległa

Bogutowiczowi, o czym mogła świadczyć rozmowa na czacie, czy to ona potem namówiła go na zabójstwo własnego ojca, a może nawet nas obojga: mnie i Joli?

Czy znałem w ogóle swoją córkę?

Strumień myśli, pozornie chaotyczny, ale tak naprawdę mający sens. Ukryłem twarz w dłoniach. Milena milczała.

– To dlaczego zabił też Agnieszkę? – zapytała, przerywając ciszę.

– Masz rację, to nie trzyma się kupy – przyznałem po krótkim namyśle. – Emocje wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem.

Chciałem wierzyć, że to faktycznie nie trzyma się kupy. Musiałem w to wierzyć.

– Właśnie. – Milena kiwała głową. – Przemyśl to wszystko jeszcze raz. Teraz. Na głos. Wszystko, co przyjdzie ci do głowy.

Nabrałem powietrza i spojrzałem w okno, żeby nie rozpraszać się jej widokiem. Teraz wiedziałem dokładnie, dlaczego Milena tak właśnie postępuje, dlaczego nie patrzy na pacjenta. Bo musi się skupić. Nie tylko na słuchaniu; musi zapamiętać to, co on jej mówi, żeby móc wrócić do tego za dzień, tydzień, dwa czy miesiąc, na kolejnej sesji.

Patrzyłem w okno, myśląc intensywnie. Gołębie były na miejscu, siedziały na gałęzi, wtulone w siebie, ukryte za zaczątkami spóźnionych liści wyłaniających się dopiero z łusek pączków. Postanowiłem na razie nie mówić Milenie wszystkiego. Teraz, gdy już wiedziałem, że to Bogutowicz zabił Jolę i Agnieszkę, w mojej głowie zaczęły rodzić się fantastyczne plany dotyczące tego, co mu zrobię, kiedy się wreszcie spotkamy. Nie było potrzeby wtajemniczać w to Mileny. Nie było potrzeby wtajemniczać w to kogokolwiek...

– Gdyby faktycznie zabójstwo zleciła Agnieszka, Bogutowicz nie zrobiłby tego w ten sposób – powiedziałem. – Podobne wątpliwości miałem, kiedy z Wenkiem rozważaliśmy opcję spektakularnej egzekucji na terytorium obcego państwa w celu utrudnienia śledztwa. Powiedziałem mu, że ludzie, których o to podejrzewaliśmy, nie zrobiliby tego w ten sposób z różnych względów. Głównie finansowych. Tu jest nieco podobna sytuacja. Taki sposób załatwienia sprawy nie miałby najmniejszego sensu. Zbrodnie z miłości nie są skomplikowane ani wyrafinowane. Zastrzeliliby mnie w bramie, kiedy wracałbym z pracy. Albo w samochodzie, gdy zatrzymałbym się na światłach. Miałby ułatwione zadanie, bo nie musiałyby na mnie czatować; wystawiłaby mnie moja córka, wystarczyłby jeden telefon czy esemes. Ale przede wszystkim Agnieszka by nie ucierpiała. Skoro Bogutowicz ją tak kochał, nie zrobiłby jej przecież krzywdy, prawda? – Spojrzałem na Milenę, szukając na jej twarzy potwierdzenia moich słów. – No i gdyby Agnieszka mu o tym powiedziała, to wiedziałby przecież, że nie będę jechał do Berlina sam, tylko z nią i z Jolą. Nie wsiadły ze mną do samochodu, decydując się na wycieczkę w ostatniej chwili. To było zaplanowane jeszcze w listopadzie. Co prawda, pamiętam tylko, jak mówiłem o tym Joli, ale nie sądzę, żeby nie przekazała tego Agnieszce... A gdyby nawet, Aga wysłałaby Bogutowiczowi esemesa albo coś...

– Zgadza się. – Pokiwała głową. – Poza tym więcej o tym nie wspominali na komunikatorze, tak? O zabiciu ciebie?

– Owszem, nie wspominali. To może jednak świadczyć o tym, że zdali sobie sprawę, że teraz już muszą być ostrożni. – Spojrzałem na Milenę. – Przeczytałem to wszystko, usiłując sprawdzić jedną rzecz: czy po tym, jak uzyskałem od kolegi informację, że

Bogutowicz jest bandytą, przekazałem ją Agnieszce. Nie pamiętam tego. Gdybym jej to powiedział, byłby tego ślad w rozmowach, wieczorami czatowali ze sobą całkiem sporo. Widziałem, że nic się w ich stosunkach nie zmieniło, Agnieszka go o to nie spytała, przynajmniej na czacie, więc chyba jednak nie zdążyłem jej powiedzieć. Albo nie chciałem, sam nie wiem... Jest jeszcze inna możliwość: Bogutowicz zrobił to z tego samego powodu, o którym wspomniałem przed chwilą, z zaślepienia miłością. Żeby usunąć przeszkodę. Mnie. Ale zrobił to na własną rękę, bez udziału i wiedzy mojej córki. Tylko dlaczego krzyczałaby wtedy: „Tak nie miało być!”? Co to miałyby oznaczać?

– Jesteś pewien, że to właśnie krzyczała?

– Tak. Jestem o tym całkowicie przekonany.

– Wiesz, że nie jesteś obiektywny? Byłeś wtedy ciężko ranny, przypomniałeś sobie to we śnie...?

– Sprawdziłem to – powiedziałem spokojnie.

– Jak?

– Mam w pracy niesłyszącą dziewczynę, która umie czytać z ruchu warg.

– Odczytała to, co mówiła twoja córka?

Pokiwałem głową.

– Na pewno dobrze to odczytała? – zapytała podejrzliwie.

– Nie na sto procent – przyznałem. – Kiedy Agnieszka wypowiadała te słowa, obracała głowę, więc część zdania było trudniej odczytać... Ale prawdopodobieństwo pomyłki jest bardzo małe. Tak stwierdziła ta dziewczyna.

– W porządku. Przyjmujemy zatem, że to właśnie powiedziała. „Tak nie miało być!”.

– To komplikuje sprawę, co? – Zwiesiłem smętnie głowę.

– Niekoniecznie. To może wręcz świadczyć o tym, że twoja córka nie miała z tym jednak nic wspólnego.

– Niech mnie pani oświeci, pani doktor... – Uniosłem głowę. – Bo się trochę pogubiłem.

Uśmiechnęła się lekko.

– Pamiętała, o czym pisała ze swoim chłopakiem. Te słowa, że miała ochotę cię zabić.

Przypomniały jej się. A ty?

– Co: ja?

– Ty nigdy nikomu czegoś takiego nie powiedziałeś albo przynajmniej nie miałeś ochoty tego zrobić? „Zabiję sukę”. „Zabiję skurwiela”. O wrednej nauczycielce, o koledze, który odbił ci dziewczynę? Mówić a robić to dwie różne rzeczy. Zwłaszcza kiedy kipi się gniewem. To dlatego tak krzyczała. Bo była kompletnie zaskoczona. Bo czuła się winna, że ktoś źle odczytał jej słowa. Bo one padły bez rzeczywistej intencji. „Tak nie miało być!”. Bo to rzeczywiście nie miało tak być, już rozumiesz? To w ogóle nie miało się zdarzyć!

Siedziałem jak wmurowany w ten fotel. Czemu sam na to nie wpadłem?

– Przekleństwa brzmią w twoich ustach bardzo seksownie – powiedziałem trochę bezmyślnie.

– To nie należy do sfery naszych spotkań – zauważyła, ale uśmiechnęła się.

– Zgadza się, co nie zmienia faktu, że tak właśnie jest – uciałem temat i zorientowałem się, że niemówienie jej wszystkiego jest głupotą. – Powiem ci, co jeszcze odczytała ta niesłysząca dziewczyna...

Wysłuchiwała mnie w milczeniu. Zobaczyłem, że otwiera usta i lekko kręci głową, gdy wspomniałem, kim był morderca. Kiedy skończyłem, milczała jeszcze przez chwilę, trawiając moje słowa.

– Czemu nie powiedziałeś tego od razu? – zapytała.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiesz?

– No dobrze. Wiem. Ale nie spodoba ci się to.

– Pozwól, że ja to ocenię.

– W porządku. Chciałem to na razie zatrzymać dla siebie, bo pomyślałem sobie, że załatwię to sam.

– Co załatwisz? Chodzi ci o zemstę?

– Otóż to.

– A przemyślałeś to dobrze?

– Jeszcze nie. W domu opracuję dokładny plan.

– Konfucjusz powiedział, że jeśli chcesz się mścić, musisz wykopać dwa groby.

– Konfucjuszowi nikt nie zabił rodziny ani nie zrobił go w zbrodnię. – Westchnąłem. – Dobrze, zostawmy to, trochę sobie z siebie żartuję. Nie zamierzam nikogo zabijać. Chyba już wystarczy zabijania, no nie? – Spojrzałem na nią ponuro.

– Zgadza się. To może wróćmy do tego, o czym rozmawialiśmy.

– Jasne – zgodziłem się.

– Sam widzisz, że teraz wygląda to bardzo logicznie. Ten Bogutowicz był przekonany, że pojedziesz do Berlina sam. Kiedy strzelił do ciebie, zobaczył, że w samochodzie jest ktoś jeszcze. Aż podniósł owiewkę hełmu, jakby chciał to zobaczyć lepiej. I wpadł w lekką panikę. To dlatego ominął cię, nie oddając dodatkowego strzału. Nie upewnił się, że nie żyjesz...

W tym momencie uświadomiłem sobie, że Jola uratowała mi życie. Uratowała mnie jej obecność.

– ...Zabił twoją żonę, a potem jeszcze zobaczył Agnieszkę, która wybiegła z toalety...

– Nie widział jej wcześniej, bo zaparkował motor za budynkiem toalety i stał przy nim. To z tego miejsca zobaczył, że wjeżdżam na parking. Podszedł do nas dopiero po jakimś czasie, kiedy Aga zdążyła już wejść do toalety, a wcześniej była nią zasłonięta.

– Właśnie. I kiedy Bogutowicz ją zobaczył, jeszcze bardziej spanikował. Mówiłeś, że między wymierzeniem a strzałem minęło kilka sekund?

– Zgadza się. To wtedy Agnieszka krzyknęła: „Tak nie miało być!”. Rozglądała się przy tym, jakby szukała pomocy albo chciała wziąć kogoś na świadka.

– To dlatego tak krzyknęła. Bo go rozpoznała. Rozumiesz już? Nie miała z tym nic wspólnego, tylko go rozpoznała. I dlatego zdecydował się strzelić.

– Rozpoznała go przez wąską szparę w kasku?

– Kask miał odsłoniętą przyłbicę, tak to się nazywa? Ta owiewka? Więc poznała go po oczach. Nie poznasz oczu osoby, którą kochasz?

Poczułem w gardle tę cholerną kulę. Tym razem musiałem przełknąć ślinę kilka razy, zanim znów mogłem swobodnie oddychać.

– A kiedy już leżała na ziemi, tuż zanim umarła, wypowiedziała jeszcze jego imię –

dokończyłem.

Milena pokiwała głową, a ja pociągnąłem nosem.

– Tak, to wszystko rzeczywiście brzmi logicznie – powiedziałem. – Pytanie tylko, czy dlatego tak brzmi, że bardzo chciałbym w to wierzyć, czy dlatego, że to rzeczywiście jest prawda. Bo możemy się opierać na fałszywych przesłankach, jak sama zauważyłaś. Ta dziewczyna, mimo że była prawie pewna swojego zdania, mogła się jednak pomylić. Musimy to wziąć pod uwagę, prawda? Że Agnieszka faktycznie mogła krzyczeć coś zupełnie innego... Może nawet nie „zupełnie”, a jedynie „odrobinę” coś innego; coś, co jednak zupełnie zmieniłoby znaczenie jej słów.

– Zgadza się. Ale to w dużej mierze zależy od tego, jak bardzo jesteś przekonany, że mówiła właśnie to. A twierdzisz, że jesteś.

– Bo jestem.

Powiedziałem to z absolutną pewnością, bo byłem o tym przekonany. Byłem tego pewien, jak niczego innego. Wątpliwości, które przedstawiłem Milenie, brały się wyłącznie stąd, że zawsze byłem podejrzliwym sukinsynem i szukałem dziury w całym. I chyba też stąd, że nie do końca ufałem samemu sobie. Jak nikomu, to nikomu... No, i faktycznie, wszystko brzmiało kurewsko logicznie. Ani jednej fałszywej nuty, wszystkie kawałki pasowały do siebie idealnie, jak puzzle Ravensburger.

– Pozostaje mi tylko przyjąć, że to wszystko prawda – powiedziałem cicho. – Że Agnieszka jest niewinna. Muszę tylko jakoś sprawdzić, czy jej znajomość i związek z Bogutowiczem były przypadkowe, czy nie. Po tym, co stało się z Osińskim, mam wrażenie, że nie można mówić o przypadku. I pojawia się jeszcze jedno istotne pytanie.

– Jakie?

– Skoro to nie Agnieszka powiedziała Bogutowiczowi, kiedy jadę do Berlina i że w ogóle tam jadę, to kto?

Kiedy żegnałem się z Mileną, byłem już w nieco lepszym nastroju. Cel, jaki miałem wytyczony, dodawał mi sił. I miałem wrażenie, że zbliżam się do niego. Nie byłem jeszcze bardzo blisko, ale znajdował się już w zasięgu wzroku, majaczył niewyraźnie, co samo w sobie było zachętą, by zobaczyć go wyraźniejszym i bliższym. I do tego dążyłem.

* * *

Następnego dnia pojechałem na cmentarz odwiedzić groby bliskich. Najpierw poszedłem do Joli i Agnieszki. Siedząc na ławeczce, patrzyłem na prześwitujący między drzewami ceglany korpus wiatraka i wspominałem je. Wspominałem wspólne chwile, których mogło być więcej, wspólne chwile, które pamiętałem, i zastanawiałem się, czego nie pamiętam. Spędziłem tak w zamyśleniu godzinę, grzejąc bliznę w promieniach wiosennego słońca. Potem poszedłem na chwilę do Marty.

Jej grób wciąż wyglądał tak samo jak podczas mojej pierwszej wizyty tuż po wyjściu ze szpitala. Nikt nie sprzątnął resztek wieńców z pogrzebu ani wypalonych zniczy. Zrobiłem porządek, wyniosłem do śmietnika zwiędłe kwiaty i poczerniałe od dymu szklane bańki, zostawiając jedynie piękny, gęsty wieniec sztucznych kwiatów z białą wstęgą z napisem: „Wspaniałej koleżance komisarz Mariusz Skibiński z żoną”. Cały Skibiński. Komisarz Skibiński... Co miała do tego jego świeżo poślubiona żona, nie wiem, może chciał się nią

publicznie pochwalić. Wiedziałem też, że Skibiński i Marta nie znosili się wzajemnie. Zerwałem wstęgę, a wieniec starannie ułożyłem na kopcu, pod krzyżem. Z sąsiedniego, niedawno odwiedzonego grobu pożyczyłem pałący się znicz i postawiłem go przed wieńcem. Stałem przez chwilę w ciszy, słuchając śpiewu ptaków, a potem poszedłem sobie, po drodze wyrzucając wstęgę od Skibińskich do śmietnika.

Wyszedłem z cmentarza drugą bramą i na pętli przy Karola Miarki wsiadłem w autobus „67”. Telepałem się razem z nim na nierównościach uliczek Świerczewa, on na dziurach w asfalcie, a ja na jednym z jego twardych foteli, zastanawiając się nad ostatnimi wydarzeniami. Czułem, że niedługo będę miał w rękę wszystkie nici i dowiem się wreszcie, dlaczego zginęła moja rodzina, dlaczego zniszczono mi życie, dlaczego to wszystko się zdarzyło. Kiedy przejeżdżałem przez Pogodno, stwierdziłem, że jestem głodny. W domu nie miałem za wiele do jedzenia, a myśl o przygotowaniu obiadu też nie wzbudzała we mnie entuzjazmu. Wystarczyło, że czeka mnie jeszcze prasowanie. Kolejna myśl, żeby zjeść coś na mieście, była zdecydowanie bardziej atrakcyjna. Wsiadłem przy skrzyżowaniu Mickiewicza i Traugutta i przeszedłem na przystanek tramwajowy. Słuchając szumu dorodnych lip rosnących szpalerem wzdłuż ulicy, zastanawiałem się, co i gdzie zjeść. Obok była pizzeria, ale miałem dość tego typu żarcia, którym zapychałem się od kilku tygodni, unikając tym samym gotowania, o którym nie miałem zielonego pojęcia. Tym razem naszała mnie chęć na normalny dwudaniowy obiad: zupę i schabowego z kartoflami. Przypomniałem sobie bar typu „smacznie i tanio”, na rogu Piastów i Jagiellońskiej, więc kiedy nadjechała „5”, jadąca w stronę centrum, wsiadłem do niej.

Różnica w komforcie jazdy była kolosalna, „Swing” toczył się po torach gładko i równo. Ruch na ulicach nie był jeszcze duży, jak to wczesnym popołudniem. Siedziałem z tyłu składu i zastanawiałem się, co zamówię na obiad, odpoczywając od myśli o Agnieszce. Chłopak z wojskowym plecakiem, którego nie zdjął z ramion, stał obok mnie oparty o tylną szybę i przesuwiał palcami po wyświetlaczu swojego telefonu. Ciszę mącił jedynie szum tramwaju i płynące z głośników zapowiedzi kolejnych przystanków. Kiedy skręciliśmy w Jagiellońską, wewnątrz pociemniało; tramwaj wjechał w wąwóz, którego ściany stanowiły pierzeje kamienic. Skryliśmy się w ich cieniu przerywanym błyskami słońca wpadającego do środka w przerwach prostopadłych ulic. Kiedy mijaliśmy boisko szkolne, wstałem z miejsca i podszedłem do wyjścia. Tramwaj zatrzymał się, wcisnąłem przycisk otwierania drzwi, i kiedy się rozsunęły, ruszyłem naprzód.

Ulica Jagiellońska na tym odcinku ma cztery pasy ruchu, po dwa w każdą stronę. Na obu wewnętrznych są tory, więc kiedy tramwaj zatrzymuje się, kierowcy jadący skrajnym pasem także muszą się zatrzymać, żeby przepuścić wysiadających pasażerów. Tyle teorii. Gdy wsiadłem, usłyszałem pisk opon, poczułem podmuch powietrza na nogawkach spodni i szarpnięcie w tył, kiedy ktoś wciągał mnie z powrotem do środka tramwaju. Gdzieś z przodu rozległ się cichy okrzyk zaskoczenia. Zanim znalazłem się z powrotem w tramwaju, zdążyłem jeszcze odwrócić głowę i zobaczyć charakterystyczny tył czarnej alfy 156, skręcającej w aleję Piastów. Leżałem na podłodze o fakturze gruboziarnistego papieru ściernego i patrzyłem w twarz swojego wybawcy. Chłopak z plecakiem stał nade mną, przypatrując mi się z ciekawością.

– Dzięki – wycharczałem przez ściśnięte gardło.

– Ktoś pana nie lubi – powiedział, siłąc się nieco na wesołość.

– A to nie ja powinienem najpierw spojrzeć, czy coś nie jedzie? – zapytałem, zbierając się z podłogi. – Pewnie, że „byłem w prawie”, ale rozejrzeć się nie zaszkodzi. Tego uczą już w przedszkolu.

– Wiem, też chodziłem do przedszkola. – Chłopak pomógł mi wstać. – Tylko że to niewiele by panu dało. On stał, kiedy pan chciał wysiąść. Ruszył, dopiero kiedy wystawił pan nogę na zewnątrz. Widziałem to.

Spojrzałem na niego.

– Kierowcę też widziałeś? – zapytałem już poważnie.

– Nie. W przedniej szybie odbijało się niebo i szkoła, a kiedy nas mijał, to patrzyłem na pana głowę, czy chociaż ona jest już w środku.

– Miło, że na chwilę oderwałeś się od telefonu – powiedziałem, wskazując smartfona. – Akurat na TEJ chwilę...

– Też się cieszę.

– Ale ja na pewno bardziej. Uratowałeś mi życie, chłopie.

Skrzywił się lekko. Zadźwięczał sygnał, drzwi zamknęły się cicho i tramwaj ruszył.

– Poturbowałyby pana tylko. – Machnął niedbale ręką.

Nie chciało mi się tłumaczyć mu, że w moim stanie poturbowanie skończyłoby się na Cmentarzu Centralnym. Byłem zestrachany i wściekły. Oraz głodny. Przez okno tramwaju zobaczyłem napis „Kuchnia domowa” i poczułem ssanie w żołądku. Stres wzmacza głód.

– Mimo wszystko, dzięki. – Klepnąłem chłopaka w ramię i rozejrzałem się po twarzach ludzi. – Ktoś widział numer rejestracyjny?

Wszyscy, niemal jak jeden mąż, pokręcili głowami. Nawet bystrzak z plecakiem. Żadne z nich nie widziało numeru, tym samym nie mogło również przekazać go policji. Ale nie szkodzi. To nawet dobrze. Wystarczyło, że ja go widziałem. I zapamiętałem.

Kiedy tramwaj ponownie się zatrzymał, za rondem Szarych Szeregów, wysiadłem. Tu był już normalny przystanek, torowisko biegnące po szerokim pasie zieleni rozdzielało jezdnie, ale tym razem rozejrzałem się na boki. Tak na wszelki wypadek. Kiedy tramwaj odjeżdżał, spojrzałem jeszcze za chłopakiem, który uratował mi życie. Pomachał mi, ja jemu też. Wojskowy plecak i cały tramwaj zniknęły po chwili w głębi ulicy. Niespodziewanie zaczął padać lekki deszcz, więc skryłem się przed zacinającą mżawką pod wiatą.

Wciąż byłem lekko zszokowany. Dziwna sprawa. Ktoś próbował mnie przejechać niedługo po tym, jak powiedziałem Burycie o roli Osińskiego w całej sprawie. Nie chodziło o to, że ujawniłem tym samym fakt prowadzenia prywatnego dochodzenia. O tym wiedziało wcześniej kilka osób. Teraz chodziło o to, że pojawiły się jakieś wyniki. I to chyba całkiem niezłe. Co prawda Rafał również był jedną z osób wcześniej wiedzących o moim śledztwie i choć moja podejrzliwość nie sięgała tak daleko, żeby go we wszystko wplątywać, było to nieco zastanawiające. Był pierwszą i jak na razie jedyną osobą, której powiedziałem, że prokurator Osiński tkwił w jakimś śmierdzącym układzie dotyczącym zabójstwa znad Odry i mógł być powiązany ze „Strelą”. Oraz to, że krył osoby winne fiaska tej akcji. Byłem ciekawy, co się stanie, kiedy poinformuję o tym wojewódzką.

Podejrzałem, że efekt będzie piorunujący. Coś jak wrzucenie odbezpieczonego granatu do głębokiego szamba. Bałem się tylko, że gówno obryzga również mnie, w końcu miałem co nieco za uszami.

W minorowym nastroju wyszedłem spod wiaty, kierując się w stronę baru. Deszcz był chyba przypadkowy, bo trwał może minutę, ofiarował glebie znikomą ilość wody, a chmury, z których spadł, zdążyły zejść już słońcu z drogi. Obiad był niezły i trochę poprawił mi humor, choć kolana wciąż lekko drżały pod przykrytym wodoodpornym obrusem stołem. Odłożyłem sztucę na talerz, dopiłem kompot i doszedłem do wniosku, że od tej chwili na wszelki wypadek będę się posługiwać wyłącznie telefonem Agnieszki. Nie będę go trzymał w domu, niech przynajmniej noce spędza ukryty w stojącym pod moim blokiem samochodzie. Trzymałem w nim zdjęcie wizytówki Gaz-Techu, poza tym zawsze lepiej mieć taki sprzęt w razie jakiejś akcji, po której straciłbym wszystkie inne środki łączności. A taką akcją mogło być przeszukanie mojego mieszkania...

Kiedy wróciłem do domu, to właśnie z telefonu Agi zadzwoniłem do wydziału komunikacji starostwa powiatowego w Policach. Plan nie był skomplikowany, ale miał szanse powodzenia, a tym razem nie chciałem prosić o pomoc Rafała.

– Dzień dobry, proszę pani – powiedziałem grzecznie, kiedy urzędniczka odebrała. – Dzwonię z taką sprawą: dziś znalazłem tablicę rejestracyjną z powiatu polickiego, leżała przy drodze i chciałem zapytać, czy muszę ją zwrócić do państwa, czy na policję, czy może mógłbym ją zwrócić właścicielowi osobiście? Widzi pani... – nie dałem jej dojść do słowa – ...często jeżdżę do Polic i do Dobrej, nie byłoby dla mnie problemem, gdybym musiał to zrobić.

Rzuciłem tymi Policami i Dobrą, bo to największe miasta powiatu, więc prawdopodobieństwo, że właściciel tablicy mieszka właśnie tam, było spore. Czekałem, aż kobieta zbierze myśli.

– Nooo, wie pan...

– Wiem, ale dla mnie to naprawdę żaden problem. A tak to państwo będą musieli pisać pismo, on pewnie i tak wcześniej złoży wniosek o nową tablicę i straci parę złotych. Po co? – zapytałem wesoło.

– Niech pan poda numer rejestracyjny – poprosiła.

– ZPL 31277 – niemal zaśpiewałem.

Odczekałem chwilę, słysząc, jak jej palce stukają w klawiaturę.

– Ten pan mieszka w Pilchowie, na ulicy Wiejskiej. – Podała mi numer domu. – Nazywa się Bargieł, Tomasz Bargieł. Naprawdę to nie będzie dla pana problem?

Police i Dobra... Ale plan się powiódł.

– Absolutnie. Prawie codziennie przejeżdżam przez Pilchowo. Po prostu się na chwilę zatrzymam i oddam. Dziękuję pani bardzo za pomoc.

– To ja panu dziękuję! Cieszę się, że są jeszcze porządni ludzie na tym świecie.

– Są, są – potwierdziłem z przekonaniem, bo zapewne była to prawda.

Oni gdzieś faktycznie muszą być. A przynajmniej wciąż żywiłem taką nadzieję.

Rozłączyłem się i sprawdziłem na stronie internetowej ZDiTM-u kursy autobusów. Połączenie ode mnie z domu nie było zbyt wygodne: musiałem dojechać „80” do Wojska Polskiego przy skrzyżowaniu z Zawadzkiego, przesiąść się w tramwaj, dojechać do pętli

na Głębokim i złapać autobus numer 103 albo 106, kursujący do Polic. Oba jechały przez Pilchowo. To znów skłoniło mnie do zastanowienia, czy jednak nie przełamać się i nie zacząć używać samochodu, jak normalny człowiek. Postanowiłem pogadać o tym później z Mileną, a na razie skorzystać jednak z komunikacji miejskiej.

Kilka minut później wyszedłem z domu. Chmury zabierające co jakiś czas słońce zniknęły, niebo było znów czyste i błękitne. Na przystanek dotarłem dwie minuty przed autobusem.

* * *

Ulica Wiejska to jedna z dwóch głównych ulic Pilchowa. Ta druga to przecinająca je droga wojewódzka, przy której Wiejska wygląda na podrzędną uliczkę i taką faktycznie jest. Dość szeroką, ale ze zrujnowanymi chodnikami i połatany asfaltem. Przy skrzyżowaniu obu dróg, na którym jest nawet sygnalizacja świetlna, stoi mały, stary kościółek z zewnętrzną dzwonnica stojącą koło apsydy. Wsiadłem z autobusu na Szczecińskiej, obok dziwnego, nieukończonego budynku o kształcie wpasowującym się w wąski klin działki. Wróciłem kawałek w kierunku skrzyżowania i skręciłem w Wiejską, mijając sklep spożywczy. Pod podanym mi przez urzędniczkę adresem znajdował się niski, stary, ponemiecki dom. Połowę jego wysokości stanowił dach, pokryty jeszcze oryginalną karpówką układaną w koronkę. Dachówki były brudne, omszałe, kilku brakowało. Stary dach i elewacja pokryta deskowaniem sprawiały wrażenie dekoracji z jakiegoś filmu historycznego, ale efekt psuł stojący na podwórzu za domem samochód. Pasował tam jak zegarek, który miał na ręku Jagiełło w filmie *Krzyżacy*. Czarna alfa romeo 156. Widziałem jej tył wystający zza rogu domu. Numer rejestracyjny się zgadzał, to był ten samochód, który omal nie potracił mnie na przystanku.

Ostrożnie wszedłem przez furtkę na teren posesji. Byłem w Pilchowie od czterech minut, a naszczekało już na mnie z pięć kundli. Jazgotały i ujadały chyba w całej wsi. Na szczęście za płotem nie rzucił się na mnie żaden pies. Był tylko kot; leżał na stercie cegieł ułożonych pod ścianą, a kiedy go mijałem, ledwie mnie zaszczycił leniwym spojrzeniem. Był czarny, ale w pełnym słońcu jego sierść mieniła się czekoladowym brązem. Parsknął albo kichnął, z powrotem zwinął się w kłębek, wypinając się w moją stronę i mając mnie najwyraźniej głęboko pod ogonem. Podszedłem do alfy i zajrzałem do środka. Na przednim siedzeniu zobaczyłem czapkę z prostym daszkiem i dużą literą „P” z przodu. Na lusterku wstecznym wisiały okulary przeciwsłoneczne, na podłodze wałały się kubki z logo KFC i opakowania po chipsach i wafelkach w czekoladzie. Syf. Nigdy nie doprowadziłbym swojego samochodu do takiego stanu. Mogłem mieć bajzel na biurku, mogłem mieć bajzel w życiu, ale w samochodzie – przenigdy.

– Czego pan tu szuka? – usłyszałem czyjś zdenerwowany głos.

Dobiegał z tyłu. Odwróciłem się i zobaczyłem za płotem kobietę z dwiema plastikowymi siatkami. Stała przed furtką, przekładała sobie reklamówkę z jednej ręki do drugiej i patrzyła na mnie z niepokojem. Poszedłem w jej kierunku. Spotkaliśmy się przy furtce, którą właśnie otwierała, nie spuszczając ze mnie zaniepokojonego wzroku. Kobieta około sześćdziesiątki miała zmęczoną twarz i oczy, zadarty, piegowaty nos, a niezbyt czyste, kiedyś czarne, a teraz posiwiałe włosy zaczesane były płasko na czubku i po bokach

głowy, gdzie przytrzymały je dziewczęce, różowe spinki z maleńkimi kwiatkami. W siatkach pobrzękiwało szkło.

– Dzień dobry, policja – rzuciłem sucho, pokazując legitymację. – Szukam Tomasza Bargieła.

Otworzyła usta. Brakowało jej kilku zębów, reszta była żółta, pewnie od papierosów.

– Co się stało? – zapytała zaskoczona. – Przecież nic nie zrobił. Na nogi choruje, ledwie trzy kroki przejdzie, od pół roku z domu nawet nie wyszedł...

– Chcę z nim porozmawiać – nie zmieniłem tonu. – To jego samochód? – zapytałem, odwracając się i wskazując na alfę.

– Jego – odpowiedziała. – Ale mówię panu, że on nie chodzi! Autem też nie jeździ! Tłumaczę panu przecież...

– Od kiedy nie jeździ?

– Z półtora roku. Albo i dłużej... Pochorował się. To od boksowania i wódki. Coś z mózgiem, lekarz mówił, że mu się już nie poprawi. Czego wy od niego chcecie? To przecież kaleka!

Milczałem. Bargiełowa przeszła obok mnie, kierując się w stronę domu. Poszedłem za nią, patrząc, jak stawia zamaszyste kroki, machając siatkami. Było w nich coś ciężkiego, folia była naprężona i opięta na czymś okrągłym i brązowym. Weszliśmy do domu od strony podwórza. W kuchni kobieta postawiła siatki na blacie i wyciągnęła z nich zakupy: twaróg, masło, jakieś mięso i kilka butelek z piwem. „Bosmany” zadzwięczały, kiedy chowała je do starej, jeszcze radzieckiej lodówki „Mińsk”.

– Proszę. – Obejrzała się na mnie i wyszła z kuchni.

Po chwili znaleźliśmy się w pokoju, którego okno wychodziło na ulicę. Na ścianach były stare, przybrudzone tapety upstrzone posterami z samochodami oraz odchodami much. Nad drzwiami, na kołku wkręconym w ścianę zamiast krucyfiks wisały rękawice bokserskie. Czerwone everlasty. Zauważyłem je kątem oka, wchodząc do pokoju, zwróciły moją uwagę właśnie przez tę strażacką czerwień. Oprócz nich w pokoju była jeszcze wersalka, łóżko, stół, telewizor o rozmiarach monitora komputerowego wraz z dekoderm kablówki oraz młody człowiek. Tomasz Bargieł.

Zauważył, że zerkam na rękawice.

– Boksowałem kiedyś – powiedział z dumą w głosie, kuśtykając ku mnie i podpierając się kulą ortopedyczną.

– Z sukcesami? – Przypomnieli mi się bracia Rulewscy, którym nie za bardzo wyszło.

– Wicemistrzostwo Polski juniorów. Jeszcze za małolata – dodał niepotrzebnie.

Dobrze, że komuś jednak wyszło.

– Czemu przestałeś?

– No... Trzeba było zarabiać jakoś, bo ojciec umarł... Na bramkach stałem po dyskotekach... To były dobre czasy. Miałem hajsu tyle, że... I w ogóle...

Nie musiał mówić, co było dalej. Czyli wyszło, ale nie do końca. Zmarnował talent przy wydatnej pomocy kolegów, wódy i prochów. Oraz, nie oszukujmy się, z własnej winy też. Standard. Ciekawe, na ile jego stan był efektem boksu, a na ile owej reszty: zwłaszcza wódy i prochów? U niego poszło to dużo szybciej niż u Krępisza, ale Krępisz chyba nie boksował.

Obrzuciłem Bargieła szybkim spojrzeniem. Ogolona na łyso duża głowa, opuchnięta, blada twarz, brak kilku zębów zupełnie jak u matki, zaskakująco prosty nos i widoczna pośród włosów brwi blizna po dużym rozcięciu. Musiał mieć dwadzieścia kilka lat i pewnie niewiele więcej przed sobą. Przed wypowiedzeniem każdego zdania głęboko się zastanawiał, patrząc gdzieś w bok, jakby zbierał myśli. Ale w ogóle nie wyglądał na zmieszanego moim widokiem. Ogarnęły mnie wątpliwości.

– Dobra, Tomek – powiedziałem. – Przyjrzyj mi się teraz uważnie. Poznajesz mnie?

Chłopak zerknął najpierw na matkę siadającą na wersalce, a potem spojrzał na mnie spod zmarszczonych brwi i pokręcił głową.

– Nieee.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Nikt ci mnie nie pokazał?

Zdziwił się wyraźnie.

– Czemu? Kto mi miał pana pokazać?

Teraz ja zerknąłem na jego matkę. Siedziała na kanapie zrezygnowana, ze zwieszonymi ramionami i dłońmi ułożonymi na złączonych kolanach. Wróciłem wzrokiem do chłopaka.

Te kilka kroków, które zrobił, kiedy wchodziłem do pokoju, było równie nieporadnych jak moje, kiedy w szpitalu wracałem do życia. Takiego specyficznego chodu nie da się podrobić. On naprawdę ledwo trzymał się na nogach i to nawet nie była kwestia bezwładności osłabionych mięśni, tylko uszkodzenia łączności z głową. W tej sytuacji możliwość operowania nogami na pedałach gazu, sprzęgła i hamulca była w jego przypadku równie prawdopodobna jak to, że zaraz wytnie przede mną hołubca, niczym Artur Barciś przed Andrzejem Kopiczyńskim w *Znachorze*.

– Dawno autem nie kierowałaś, co?

– Ano nie. – Pokręcił smętnie głową.

– A co u Marcina? – zapytałem nagle.

– Nooo, nic. – Wzruszył ramionami i spojrzał w podłogę, zaciskając dłoń na kuli.

Patrzyłem, jak powoli siada na swoim łóżku.

– Ilu znasz Marcinów?

– Bo ja wiem? Kilku...

– To skąd wiesz, o którego pytam?

– A o którego pan pyta? – Jego oczy błysnęły chytrze, ale zaraz zgasły, kiedy zdał sobie sprawę, że to pytanie nie było jednak zbyt bystre i padło za późno.

– Tomek. – Westchnąłem. – Nie rób sobie jaj. Co u Marcina?

– Zabili go – mruknął.

– Jak go zabili, to jakim cudem pożyczyłeś mu auto? Ożył, wykopał się spod ziemi i przyszedł do ciebie, bo chciał się przejechać alfą?

Bargieł zgarbił się i puścił kulę. Upadła z hukiem na podłogę, a on podparł się na materacu i podciągnął, opierając się plecami o ścianę.

– Ładnie tu u was – powiedziałem. – Zielono. Niedaleko las, cisza, spokój. Mama ci piwo przynosi, nawet coś czytasz, widzę. – Wskazałem na leżące obok niego magazyny motoryzacyjne.

Bąknął coś pod nosem, wciąż unikając mojego spojrzenia.

– Popatrz na mnie, chłopie – powiedziałem, a on to zrobił. – Ja wiem, że to nie ty prowadziłeś samochód, kiedy Bogutowicz próbował mnie przejechać. Pewnie nawet nie wiesz, że on próbował mnie nim zabić, co? Próbował zabić policjanta, Tomek. Ale to było twoje auto, mam na to kilku świadków i nagrania z monitoringu miejskiego. Pójdiesz siedzieć za pomocnictwo. Zamienisz las, piwko i gazetki o samochodach na celę, obrzydliwą grochówkę i zaplamione cudzą spermą świerszczyki. Rozumiesz, co do ciebie mówię, Tomek? A to, że byłeś wicemistrzem juniorów w boksie, niewiele ci pomoże, bo to było dawno temu. Bądźmy realistami: teraz byle pizda, na którą kiedyś byś nawet nie smarknął, położy cię jednym palcem. A jak się dowiedzą, że kiedyś byłeś kimś, a teraz jesteś nikiem, to te wszystkie więzienne mendy będą się nad tobą pastwić bez przerwy. Dzień i noc. Zwłaszcza noc. Będziesz miał przejebane. Tego chcesz?

Usłyszałem, że jego matka płacze. Trudno. Miałem zbyt dużo do stracenia i za wiele do zyskania, żeby się tym przejmować.

– Zapłacił kiedyś za lekarza dla Tomka – chlipnęła. – To nie jest zły chłopak...

– Gdzie on jest? – zapytałem twardo jej syna.

– Nie wiem – stęknął ze łzami w oczach.

Kiedy twardziele słyszą historie o tym, jak gliniarze czy prokuratorzy łamią ich kolegów, grożąc im więzieniem, są przekonani, że oni w takiej chwili by się nie poddali. Są tego pewni tak bardzo, że kiedy dochodzi do sytuacji, w której to oni są łamani, pękają jeszcze szybciej. Znacząca większość z nich. Kiedy to nagle dotyczy własnego życia, są gotowi zrobić niemal wszystko, żeby uniknąć tego smutnego losu. Wystawić kumpla, podpierdolić koleśki, ugrać jak najwięcej, a przynajmniej zostać wolnym. Albo nie przynajmniej, tylko przede wszystkim. Bargieł stał teraz przed takim wyborem, ale on nie należał do twardzieli. Był zniszczonym przez używki chłopakiem, któremu w życiu pozostał jedynie ten dom, gdzie zabijany piwkiem i gazetkami czas przeciekał mu przez palce. I była jeszcze matka, samotna kobieta, w kwiecie wieku, ale już stara, rozdarta między koszmarnym zmęczeniem synem a miłością do niego.

– Nie wiem – powtórzył Bargieł szeptem, a ja mu uwierzyłem.

– Pożyczyłeś mu to auto, tak?

– Tak...

– Mówił, po co chce je pożyczyć?

– Chciał coś załatwić, ale sprzedał swój samochód i nie miał jak... I tak już nie mogę prowadzić, a to mój dobry kumpel.

– Jak dobry?

– Bardzo dobry. Załatwiał mi robotę w lokalach. To pożyczyłem mu, no. Co mi szkodzi... Nie będę jak pies ogrodnika, co nie? Co sam nie zeżre i nikomu nie da... Jeszcze wachy nalał pod korek. Super, nie?

– Po co ci wacha, jak nie jeździsz? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Będzie na zaś...

– Jakie na zaś? Jak znów przyjdzie? Powiedziałeś, że go zabili. Kto ci o tym powiedział?

– Nooo... On.

– On ci o tym powiedział? Że go zabili?

– Tak. Że musi zniknąć, aż się tam... atmosfera oczyści. Że oficjalnie nie żyje.

– A powiedział ci, jak to zrobił?

– Szczegółów nie mówił. – Bargieł skrzywił się lekko.

Zamilkłem. Dziwne. Taka niekonsekwencja Bogutowicza? Realizując skomplikowany plan, podejmując ogromne ryzyko, równocześnie robi tak głupią rzecz, jak ujawnienie się niezbyt sprawnemu intelektualnie kumpłowi? Amatorszczyzna.

Sięgnąłem po leżący na łóżku „Kurier” i na dole strony zapisałem swój numer telefonu.

Rzuciłem gazetę z powrotem na łóżko.

– Chcę wiedzieć, kiedy znów się pojawi albo chociaż zadzwoni. O mnie i mojej wizycie ani słowa, jasne? Ani jemu, ani nikomu innemu. Zajrzę tu jeszcze i nie próbujcie mnie zwodzić – ostrzegłem ich. – Na Bogutowiczu ciążyą bardzo poważne zarzuty. Jest nieobliczalny i groźny. Jeśli uzna, że coś na tym zyska, pozbędzie się was bez skrępowań. Nie pomagajcie mu, dobrze wam radzę. To, że raz czy dwa zapłacił za lekarza, jeszcze niczego nie oznacza. Zniszczy wam życie, tak jak zniszczył je mnie i wielu innym ludziom. A tu jest naprawdę ładnie i spokojnie. Szkoda by było, co, Tomek?

Chłopak pokiwał spuszczoną głową.

Dalsze straszenie ich nie miało sensu. Nawet jeśli Bogutowicz podejmie kolejne próby zabicia mnie, to na pewno nie weźmie do tego alfy. I tak, pomijając okoliczności spotkania z Bargiełem, postąpił idiotycznie, chcąc użyć jej jako narzędzia zbrodni. Zapewne ubezpieczenie auta wygasło, więc każda przypadkowa kontrola drogowa mogła grozić totalną i ostateczną wpadką. Może akcja na przystanku była przejawem lekkiej paniki? Przestałem gdybać, bo to nie miało sensu, ale mimo wszystko byłem zadowolony. To nie był stracony dzień, bo dzięki wizycie u Bargieła dowiedziałem się czegoś bardzo istotnego. Wyglądało na to, że Bogutowicz wciąż jest w Szczecinie. A przynajmniej w nim bywa, a to oznaczało, że nie wyjechał daleko i nie zaszył się w miejscu, w którym znaleźć go może wyłącznie śmierć. Że jest na wyciągnięcie ręki. Mojej ręki. Miałem w niej nić, za którą musiałem pójść, i tylko jedna rzecz w tym wszystkim mnie zastanawiała, i to bardzo. Co skurwysyna wciąż tu trzymało?

Opuściłem ten smutny dom i pojechałem do własnego, jeszcze smutniejszego, mimo że o niebo lepiej wyposażonego. Nie szata zdobi człowieka, nie pięćdziesięciocalowa plazma czyni dom zacnym. Bargieł miał przynajmniej matkę, a ona jego. Ja nie miałem nikogo, tylko tę plazmę i parę innych gadżetów.

Tak naprawdę gównem miałem.

Kiedy zostawałem sam, a za oknem zapadała noc, ogarniał mnie nastrój melancholii, a może depresji. Wydarzenia mijającego dnia, w połączeniu z tymi, które nastąpiły dawniej, tworzyły niestrawny koktajl, jaki musiałem wypijać każdego wieczoru.

Niby wszystko robiło się coraz jaśniejsze. Wiedziałem już, że najprawdopodobniej nie byłem zaplątany w „Strełę”. Że to nie Agnieszka zorganizowała zamach na mnie, żeby móc bez przeszkód żyć po swojemu. To dużo, ale i mało zarazem. Wciąż pozostawało wiele niewiadomych. I ta niepewność mnie przygnębiała, czułem wtedy duszność, ucisk w piersi i pulsowanie w głowie. Czułem strach.

Czyżbym faktycznie chciał pozbyć się rodziny, żeby móc bez przeszkód związać się z Martą, i coś nie wyszło, bo wynajęty morderca strzelił do mnie przez pomyłkę? A może to nie ja zleciłem zabójstwo swojej żony i córki? Może to Bogutowicz chciał się mnie pozbyć, a oni zginęli przy okazji? Może był przekonany, że jadę do Berlina sam, tak jak to stwierdziliśmy z Mileną, a kiedy zobaczył w samochodzie Jolę, a potem wracającą z toalety Agnieszkę, spanikował i doszedł do wniosku, że nie ma wyjścia i dla swojego bezpieczeństwa musi także je zabić?

Życie to nie film sensacyjny, w którym wszystko to, co odkrywa bohater, jest logiczne, jasne i układa się w precyzyjny ciąg zdarzeń, który w miarę ujawniania prowadzi do rozwiązania zagadki. Tam nie ma miejsca na rozterki. Tam nie ma miejsca na wątpliwości, a jeśli nawet, to i tak wszyscy wiedzą, że są elementem budowania napięcia i zaraz zostaną rozwiane. Moje życie nie było filmem, ja te rozterki i wątpliwości miałem i było ich mnóstwo. Już myślałem, że mam coś pewnego, kiedy pojawiała się inna możliwość i cały prawdopodobny scenariusz musiałem układać od nowa. Od samego, pieprzonego początku. Każdego pieprzonego wieczoru. Teraz też. Setki pytań przelatywało mi przez głowę. Były natrętne jak rój much. Wykluczały się wzajemnie albo uzupełniały, jednak nie umiałem znaleźć odpowiedzi na żadne z nich. Choć właściwie znałem tę odpowiedź, jedną i taką samą na wszystkie pytania: NIE PAMIĘTAM! Odpowiedź, która niczego nie wносиła...

Głowa pulsowała tęnym bólem. Wziąłem ketonal i położyłem się do łóżka, ale jak zwykle nie mogłem zasnąć. Leżałem na plecach i skupiałem się na bólu, który absorbując moją uwagę, spychał te wszystkie pytania gdzieś w tył głowy. W końcu, wyczerpany, zasnąłem.

Sen, który przyśnił mi się tej nocy, był najgorszym koszmarem z możliwych. Gorszym nawet niż ten, w którym Agnieszka krzyczała: „Tak nie miało być!”. W tym śnie, jak zwykle czarno-białym, znów byłem na parkingu, na którym to się stało. Znów było prawie po wszystkim, bo leżałem już na ziemi, nie mogąc się ruszyć, zdezorientowany i przerażony, z kulą w głowie, jęcząc coś bez składu. Gdzieś w samochodzie dogorywała Jola. I nagle zobaczyłem Agnieszkę. Szła ku mnie chwiejnym krokiem, nogi plątały się jej

i uginały, a czarne od krwi ręce wyciągały się w moją stronę. Jej głowa była zdeformowana, jasne włosy z czarnymi smugami potargane i zlepione w strąki. Uklękła przy mnie niezgrabnie i pochyliła się. Zobaczyłem, że połowa jej twarzy obwisła jak po udarze. Ale nie to było najgorsze. Kiedy pochyliła głowę, zobaczyłem ziejącą w niej dziurę. Była ogromna, tak ogromna, że widziałem wszystko w środku. Agnieszka nie miała mózgu, a dno czaszki lśniło lekko przybrudzoną bielą kości. Na środku podstawy niczym w centrum tarczy widniał okrągły czarny otwór, w którym tkwił kręgosłup. Kiedy moja córka znów na mnie spojrzała, jej oczy miały błagalny wyraz.

– Miałeś rację, tato – wyszeptała do mnie szarosinymi ustami. – Miałeś rację... Przepraszam.

Ująłem jej głowę, a raczej to, co z niej zostało, i spojrzałem córce prosto w oczy, robiąc wszystko, by omijać wzrokiem koszmarną ranę. Gładziłem jej twarz, rozmazując krew w czarne smugi, które palcami kreśliłem na bladej skórze policzków.

– To nie twoja wina, córeczko – powiedziałem przez łzy, czując, jak śmierć wyciąga po nas łapy. – Boże... Nie przepraszaj.... Nie przepraszaj!

Nagle i niespodziewanie kolor krwi z czerni zmienił się w czerwień, a Agnieszka otworzyła szeroko usta i zaczęła krzyczeć okropnym, wibrującym głosem. Przypominał krzyk, który słyszałem w szpitalu na neurologii. Krzyk mózgowy. Przebudziłem się w samą porę, by doświadczyć powtórki z poprzedniego koszmaru. Usiadłem gwałtownie na łóżku, a wymioty chlusnęły z moich ust bolesnym strumieniem. Kiedy ustały, leżałem bez ruchu, dochodząc do siebie, płacząc w poduszkę i długo nie mogąc się uspokoić. Wiedziałem, że to tylko sen. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że Agnieszka i Jola zginęły od strzału w głowę natychmiast, że nie cierpiały. Jeśli cokolwiek mogło stanowić w tym wszystkim pociechę, marną, bo marną, ale zawsze jakąś, to to, że nie cierpiały. Że zginęły w ułamku sekundy. Mimo to właśnie w tej chwili pierwszy raz pomyślałem o tym, żeby się zabić. Nawet jeśli wcześniej taka myśl przemknęła mi przez głowę, na przykład w szpitalu, mimo wszystko była tylko jak lekkie ukłucie. Draśnięcie, na które twardej Suder po prostu nie zwracał uwagi, odpędzając ją od siebie jak natrętną muchę. Tym razem to nie było ukłucie, tylko przeszywający ból, który rozpełznął się po moim ciele niemal przez każdy jego nerw. Tym razem pomyślałem o tym, jak śmiertelnie poważnie...

Zrzuciłem pobrudzoną kołdrę na podłogę i zwinąłem się na łóżku w kłębek. Nie mogłem zasnąć. Robiło mi się zimno i gorąco na przemian, a byłem w takim stanie, że nawet nie chciało mi się iść do szafy po koc. W końcu stwierdziłem, że to nie ma sensu. Usiadłem na łóżku i tkwiłem tak na nim w półmroku rozjaśnianym wpadającym przez okno światłem latarni z parkingu przed blokiem. Wszystko wokół mnie w tym pokoju było jak w koszmarze, który przed chwilą się skończył: czarno-białe. Przez chwilę odniosłem wrażenie, że jednak wciąż śnię. Wrażenie minęło, ale koszmar, którym stało się moje życie – nie...

Wstałem i powlokłem się do łazienki. Umyłem zęby, żeby pozbyć się z ust smaku wymiocin. Kiedy odkładałem szczoteczkę, w lustrze mignęła mi moja twarz. Wyprostowałem się i spojrzałem sobie w oczy. Były przekrwione, smutne i zmęczone, jak u starca u schyłku zmarnowanego życia. Siwawe, coraz dłuższe włosy sterczały na mojej głowie jak szczecina w ryżowej szczotce. Pośród nich, niczym barchan, sierpowata wydma

otoczona trzcina, błyszczała blizna.

– Nazywam się Dariusz Suder – powiedziałem do siebie powoli, dotykając jej. – Podinspektor Dariusz Suder, radca w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Szczecinie. Pełnię funkcję szefa Zespołu do spraw Międzynarodowej Współpracy Policji...

Utknąłem, lecz po chwili słowa same zaczęły płynąć z ust wartkim potokiem.

– ...W zasadzie jestem byłym szefem tej komórki; wygląda na to, że to już tylko kwestia czasu. Mam czterdzieści dziewięć lat i tytanową płytkę w czaszce. Jestem sam jak palec. Nie pamiętam sporej części swojego życia, wielu jego fragmentów, które straciłem bezpowrotnie. Zdaję sobie jednak sprawę, że już dawno temu przestało mieć jakikolwiek sens. Dla mnie na pewno, choć nie wiem, w którym momencie. Nie pamiętam. Dla innych... Dla innych pewnie też, być może nawet dużo wcześniej niż dla mnie. I choć tego nie pamiętam, wiele wskazuje również na to, że popełniłem zbrodnię. Niejedną zbrodnię... Być może nawet zabiłem swoją rodzinę, a przynajmniej doprowadziłem do jej śmierci...

Zobaczyłem, jak z oczu ciekną mi dwie ogromne łzy. Potem następne. Patrzyłem na półnagię faceta stojącego przede mną z wykrzywioną czerwoną twarzą, opartego o umywalkę i łkającego jak dziecko. A później obraz rozmazał mi się przed oczami, nogi zadrżały i odmówiły posłuszeństwa. Musiałem uklęknąć. Wciąż płacząc, podniosłem się po chwili z klęczek, usiadłem na posadzce i oparłem się plecami o drzwi szafki. Ukryłem twarz w dłoniach i wyłem, czując, jak łzy i smarki leją mi się po nadgarstkach. Trwało to dobry kwadrans albo i dłużej. A potem przypomniałem sobie Milenę i to, co mówiła podczas ostatniej sesji. Płacz ustał. Wytarłem twarz dłońmi, a dłonie w papier toaletowy. Kiedy wstałem i znów spojrzałem w lustro, czułem się już inaczej. Czułem się oczyszczony. Nie do wiary, jak szczerzy i niepohamowany płacz może oczyścić człowieka. Zwłaszcza kiedy ten człowiek nie robił tego od ponad trzydziestu lat.

Patrzyłem w oczy mężczyzny po drugiej stronie lustra. *W swoje oczy. Nie jestem dobry.* I nie miałem już nic do stracenia. Nawet jeśli to Bogutowicz pociągał za spust, to ja dałem mu po temu okazję. Moja współwina była bezsporna. Lecz nawet jeśli byłem bestią, to chciałem wiedzieć to na pewno. Chciałem być o tym absolutnie przekonany, żeby nie zadrżała mi ręka, kiedy będę wymierzał bestii sprawiedliwość. A jeśli jednak to nie ja byłem bestią... Jeśli nie ja, to też chciałem tego być pewien. Dokładnie z tego samego powodu: żeby nie zadrżała mi ręka.

I kiedy tak patrzyłem sobie w oczy, patrzyłem na swoją postarzałą twarz i białe, sflaczałe ciało, coś z tyłu głowy zaskoczyło. Jakby otworzyła się klapka, odsłaniając przestrzeń, w której kryła się odpowiedź na zagadkę. Zawsze wątpiłem w tego rodzaju olśnienia. Nagłe, niespodziewane, znikąd. Ale może to jednak prawda? Może okrzyk „Eureka!” wcale nie był mitem? W końcu to olśnienie, którego przed chwilą doznałem, nie wzięło się wcale znikąd. Myślałem o tym wszystkim przez cały czas. Nawet kiedy moje myśli zajęte były czymś innym, mózg wciąż pracował nad rozwiązaniem problemu. Mielił i przetwarzał informacje, szukał ścieżek, aż w końcu wygenerował możliwe i bardzo prawdopodobne rozwiązanie. Pewnie pomógł mu impuls. Najpierw oczyszczający płacz, a potem ten widok – widok mnie samego w lustrze.

Musiałem usiąść. Usiadłem na sedesie i chwyciłem się za głowę. Przez chwilę myślałem, że znów zacznę szlochać. Tym razem z ulgi. Tak ogromnej, że aż bolesnej. To stało się

pewnie zbyt szybko. Zrozumiałem wszystko w jednej chwili i to było dla mojego udręczonego umysłu czymś w rodzaju szoku. Kolejnego w niedługim czasie. I mimo zrzućenia ciężaru, przygniatającego mnie od kilkunastu dni czy tygodni, wciąż czułem ten wewnętrzny ból. Ale wiedziałem, że niedługo minie. Otrząsnę się z tego prędzej czy później.

Najważniejsze, że byłem niewinny. Że nie byłem bestią. Że mogłem się z tego jakoś wytłumaczyć...

* * *

Kiedy za oknem zrobiło się jasno, odczekałem, aż mała wskazówka zegara minie ósmą. Zadzwoiłem do Jacka Mołczuna i poprosiłem go o spotkanie. U mnie w domu. Milczał długo, zanim się odezwał.

– Tak, to chyba dobry pomysł – powiedział w końcu. – Czekałem, aż się odezwiesz. Musimy porozmawiać, Darek.

– Ty też nie odzywałeś się od ładnych paru dni. Gdybym teraz nie zadzwonił, ile byś jeszcze czekał?

– Obawiam się, że niedługo.

– Co masz na myśli?

– Wpadnę w ciągu godziny, w porządku? Wszystko sobie wtedy wyjaśnimy. Chyba już najwyższy czas.

– Jasne – odparłem beztróska. – Zdziwisz się, Jacek. Zobaczysz.

– Tylko nie rób niczego głupiego.

– Czyli czego? – zapytałem, dobrze wiedząc, ile ostatnimi czasy zrobiłem głupich rzeczy.

– Już ty dobrze wiesz. – W jego głosie usłyszałem nutkę rozbawienia. – Czekaj. Niedługo będę.

Odłożyłem telefon i ledwo opanowałem się przed włączeniem telewizora. Stałem w oknie, oparłem się o parapet i gapiłem się na osiedle, ptaki i samochody. Potem poszedłem zrobić sobie herbaty i kiedy wracałem do dużego pokoju, usłyszałem miaukliwy dźwięk domofonu. To był Mołczun.

– Jadłeś śniadanie? – zapytałem, kiedy wszedł do mieszkania.

Pokręcił głową.

– Ale nie jestem głodny – zastrzegł. – Zresztą nie przyszedłem jeść.

– Jak chcesz – mruknąłem. – Kawy chociaż się napijesz?

Spojrzał na mnie.

– Tak. Kawy, tak.

Poszedłem do kuchni nastawić ekspres. Kiedy wszedłem do pokoju, Jacek rozsiadał się na kanapie. Usiadłem na jej drugim końcu i założyłem ręce.

– To kto zacznie? – Uśmiechnąłem się.

Wiedziałem, że to już prawie koniec. Wiedziałem, po co przyszedł Jacek, i że przyszedł tylko dlatego, że po pierwsze byłem wysokim oficerem komendy wojewódzkiej, a po drugie jego kumplem. Pewnie za okupacji taka rozmowa skończyłaby się wykonaniem wyroku w imieniu Rzeczypospolitej. Tylko że ja też miałem asy w rękawie i mogłem je już pokazać.

Jacek patrzył na mnie lekko zdziwiony. Moja wesołość była pewnie podejrzana, może

myślał, że coś wzięłem albo po prostu jestem na rauszu. A ja byłem tylko zadowolony. Po prostu.

– Dobra. – Uniosłem dłonie. – To ja zacznę. Obaj wiemy, dlaczego tu jesteś. Obaj wiemy, jak to wygląda i że nie wygląda najlepiej dla mnie. Wiele osób sądzi, że jestem w jakiś sposób związany z rozpierduchą w porcie, że współpracuję z gangiem, choć nie wiem z którym: „Malechy” czy niezbyt świętej pamięci „Ziętego”... Że być może mam coś wspólnego ze śmiercią swojej żony i córki. Ale tak naprawdę nie macie twardych dowodów, prawda? Tylko podejrzenia. W dodatku, jak sądzę, to, co macie, czasem jest sprzeczne jedno z drugim. Błędzicie po omacku. Tak jak i ja błądziłem. – Pokiwałem głową.

Mój wzrok musiał przypominać ten u starych ludzi robiących pod koniec życia rachunek sumienia, wspominających chwile, których żałują i do których już nie powrócą. Jacek milczał.

– Podejrzewaliście mnie – mówiłem dalej. – Podejrzewaliście, że to ja uknułem spisek. Dałem zlecenie na swoją rodzinę, żeby bez przeszkód związać się z Martą. I tylko przypadek sprawił, że ja też ucierpiałem. Podejrzewaliście też, że to ja dałem cynk bandytom, że to ja zorganizowałem fajerwerki w magazynie, że to ja jestem odpowiedzialny za śmierć tylu policjantów. I słusznie...

Jacek, który wbijał wzrok w podłogę, nagle spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami, w których było zdumienie i niedowierzenie.

– Ty...? – wyjąkał.

Uśmiechnąłem się skromnie.

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że słusznie mnie podejrzewaliście, bo faktycznie wiele na to wskazywało. Nawet to, o czym nie wiedzieliście... – Wziąłem ze stołu telefon Agi, wszedłem w folder ze zdjęciami i pokazałem mu wizytówkę „Gaz-Techu”, której przed spaleniem zapobiegawczo zrobiłem zdjęcie. – To znalazłem u siebie w szufladzie. Musieliście słabo szukać, skoro nikt tego nie zauważył.

– Czemu masz ją tylko na zdjęciu?

– Oryginał uległ zniszczeniu. – Uśmiechnąłem się. – Spaliłem ją. Pewnie w odruchu paniki. Sam rozumiesz, co pomyślałem sobie, kiedy na nią trafiłem.

– To po co zrobiłeś zdjęcie?

– Na wszelki wypadek. Taki jak ten.

– Pozbyłeś się obciążającego dowodu, wytwarzając następny. Telefony też się sprawdza. Przy zatrzymaniu zabraliby ci go do laboratorium...

– Tego by nie sprawdzili.

– Dlaczego?

– Bo to nie mój, tylko Agnieszki, i trzymałem go w ukryciu. Sądzisz, że ktoś by wpadł na to, że posługuję się telefonem nieżyjącej córki?

Na pomysł ukrywania jej telefonu w samochodzie wpadłem naprawdę w ostatniej chwili. Jacek wzruszył ramionami. Pewnie nie rozumiał, dlaczego zrobiłem to zdjęcie, ja zresztą też nie, przecież zrobiłem to pod wpływem chwili. Ale ta wizytówka była ważnym śladem, istotnym elementem całej układanki. Nie mogłem jej zachować, bo gdybym ukrył ją w pracy czy w domu, zawsze mogła zostać znaleziona podczas przeszukania.

A w telefonie? Dużo łatwiej to wytłumaczyć. Data zrobienia zdjęcia i brak możliwości pobrania z niej odcisków palców też w jakiś sposób świadczyłyby na moją korzyść. A na pewno bardziej niż znaleziony w biurku oryginał. No i miałem na tyle rozsądku, że nie zrobiłem zdjęcia swoim telefonem, tym samym zmniejszając ryzyko praktycznie do zera.

– Ta wizytówka to element przemysłnego planu. Zostałem w tę całą historię wkręcony z premedytacją, choć wiele rzeczy było w niej przypadkowych. I te rzeczy mogły przemawiać przeciwko mnie, ale mogły również świadczyć na moją korzyść. Zależy, jak bardzo ktoś w nie wnikał. Ja wnikałem ze wszystkich sił, sam rozumiesz dlaczego... Ta cała pieprzona „Strela”... Nie wiem, na jakim etapie jest wasze śledztwo i chyba nawet nie bardzo chcę wiedzieć, bo są dwie opcje: albo stoicie w miejscu, albo to ja jestem głównym podejrzanym. I gdybym miał zgadywać, to sam nie wiem, którą możliwość obstawiać, choć obie bardzo mi się nie podobają. Więc opowiem ci, jak doszedłem do tego, kto za tym wszystkim stoi. Okej?

Jacek pokiwał głową.

– Marcin Bogutowicz, mówi ci coś to nazwisko?

Jacek nie odpowiedział ani się nie poruszył. Czekał. Kiwnąłem głową, rozumiejąc to. Nie chciał dawać mi żadnej podpowiedzi. Chciał tylko usłyszeć, co mam do powiedzenia.

– Pewnie mówi. – Uśmiechnąłem się lekko. – Ale to później. To o nim wspominałem podczas spotkania u Zalisza, mówiąc o znajomym Agnieszki. To on pracował dla „Malechy”. Widziałem go raz, za to dobrze go zapamiętałem. Tak jak wtedy mówiłem, dowiedziałem się przypadkiem, że zginął. Został zamordowany, a jego ciało wrzucono do Odry, gdzie pływało dotąd, aż przestało przypominać człowieka. Sam wiesz, jak to wygląda. – Skrzywiłem się. – Znalazł go pijak szukający w tamtym miejscu puszek i butelek. Zadzwoił na policję. Wszczęto śledztwo, a jakiś czas później ten pijak, który znalazł denata, zmarł z przepicia. Śledztwa nie wszczęto, bo nie było powodu. Tyle wersja oficjalna. A teraz będzie moja wersja zdarzeń, chcesz ją usłyszeć?

Mołczun pokiwał głową.

– Po to tu przyszedłem – mruknął. – Usłyszeć twoją wersję zdarzeń.

– Zastanowiła mnie jedna rzecz, Jacek. Ciało Bogutowicza znaleziono w miejscu publicznym. Trudno dostępnym, ale mimo wszystko publicznym. Było ogryzione przez ryby, spuchnięte i nie do poznania. I nie miało głowy. Nie leżało w tym miejscu, w którym je znaleziono, kiedy następowały procesy rozkładu. Zostałoby odkryte wcześniej, bo czyjaś uwagę zwróciłby smród, kręcąc się tam pijaczki i ludzie wyprowadzający na spacer psy. Zwłoki nie pływałyby sobie też tak przez tydzień, kręcąc się w pobliżu tego miejsca, żeby wreszcie łaskawie dodryfować do brzegu i wystawić się na widok publiczny. Tam pływa sporo łodzi, jest silny nurt... I trup miał przy sobie portfel z dokumentami. Czysta sprawa. Ale ciało zostało tam podrzucone, rozumiesz? I to akurat o takiej porze i w takim dniu, w którym dyżur w prokuraturze rejonowej pełnił pewien młody, niedoświadczony prokurator.

– Jakie to ma znaczenie?

– Ano ma. Chodziło właśnie o ten jego brak doświadczenia i krótki staż. To dlatego ten cyrk z pijakiem, który zadzwonił na policję, chociaż w życiu pewnie nie miał telefonu w ręku.

– Dalej nie rozumiem...

– Ktoś mu go wcisnął w dłoń i kazał zgłosić ujawnienie zwłok. Musieli być pewni, że na miejsce przyjedzie właśnie ten chłopak, a nie jakiś doświadczony wyga, który pokapuje się, że coś tu nie gra.

– Kim są „oni”? I dlaczego nie załatwili tego w niedzielę po południu, kiedy jeszcze było jasno, tylko po ciemku, ryzykując, że ktoś zwróci na to uwagę?

– O tym, kim są „oni”, to później. A jeśli chodzi o zwrócenie uwagi... Ktoś zwrócił? – zapytałem kpiąco.

– Nooo, ty...

– I co? I wszyscy się nabijali z wariata z kulką w głowie. Nieważne. Być może chodziło o to, żeby młody miał mało czasu. Żeby nikt nie zdążył się zastanowić, że coś nie gra. I tak się stało. Wkrótce sprawę przejęła prokuratura okręgowa, a decyzję w tej sprawie podjął prokurator Marek Osiński.

Mołczun pokiwał głową.

– I on też to śledztwo dalej prowadził – kontynuowałem. – Nie zlecił badań DNA, tylko zaciągnął na identyfikację zwłok matkę Bogutowicza. Wyrażała wątpliwości, bo jej syn miał w dzieciństwie stulejkę i był obrzezany, a trup nie. Ale Osiński ją zakrzyczał, tłumaczył, że przecież przy ciele był dowód osobisty, że to stres, że niech się cieszy, że syn nie zgnił w wodzie i może go po katolicku pochować. Że i tak był bandytą, taki argument również rzucił na koniec... Zrobił te badania, kiedy zagroziła, że zleci je sama, na własną rękę, bo miała takie prawo. Uległ. Zlecił badanie porównawcze. Tylko że sam odebrał próbki ze szpitala, z sądówki, gdzie pobrano je ze zwłok, i od matki. Sam przewiózł je do policyjnego laboratorium. Podmienił próbkę ze zwłok na próbkę, którą dostarczył mu Bogutowicz. Żywy i zdrow jak ryba. Dlatego badania potwierdziły jego tożsamość. A ciało z prosektorium nie było ciałem Bogutowicza, tylko kogoś innego; chłopaka w podobnym wieku, który zaginął kilka dni wcześniej. To jego zwłoki pływały w wodzie, a Bogutowicz po prostu się ukrywał. – Obliziałem wyschnięte usta. – Osiński był w to zamieszany, Jacek. Tylko nie wiem od kiedy, od jakiego etapu. I już się nie dowiem, a przynajmniej nie od niego. Jak wiesz, powiesił się we własnym gabinecie, nie zostawiając żadnych wyjaśnień. Prawie żadnych.

– Po co Osiński by to robił? – zapytał Mołczun. – Po co ryzykowałby karierę zawodową? Dla forsy? Ile to musiałyby być?

Przygotowałem się do rozmowy. Dowody, a może raczej ich namiastki, jak zdjęcie wizytówki, miałem pod ręką. Sięgnąłem po leżącą przede mną kopertę z napisem SUDER i zdjęciem, na którym Osiński zabawia się z jedenastolatką. Pokazałem je teraz Jackowi. Przypatrywał mu się w milczeniu, z kamienną twarzą, kręcąc tylko siwą głową.

– Nie dla forsy. Szantażowali go – powiedziałem. – Tak podejrzewam, bo nie mam innych dowodów. Kopertę z tym zdjęciem Osiński zostawił żonie tuż przed tym, jak targnął się na swoje życie. Wiedział pewnie, że znów go odwiedzę, a to zdjęcie można uznać za próbę wyjaśnienia powodów samobójstwa. Nie wiem, ile dzieci padło jego ofiarą, nie wiem w ogóle, co z tym dalej robić. – Dotknąłem fotografii. – Działał aktywnie we wszystkich sprawach związanych ze „Strelą”. Prowadził dochodzenia w sprawie Bogutowicza, w sprawie akcji w porcie, w sprawie śmierci policjantów... Chciał mieć

kontrolę nad wszystkim. Na czyjeś polecenie. Był zdesperowany i chyba nie ma co się dziwić... Swoją drogą, musiał być z niego kawał sukinsyna. Skoro już wybrał ostateczne rozwiązanie swojej sytuacji, mógł wyświadczyć nam tę przysługę i napisać wprost, kto za tym wszystkim stoi. Na czyje polecenie działał. O to mam do niego największy żal. Że tego nie zrobił.

– A jak ty myślisz? Na czyje polecenie działał?

– Bogutowicza, to chyba oczywiste. – Wzruszyłem ramionami, choć wiedziałem dobrze, że to nie do końca prawda, że nie tylko on za tym stał. – Bogutowicz współpracował z „Malechą”. Nie był nikim znaczącym, ale wiedział o planowanej transakcji narkotykowej. Znał jej wszystkie szczegóły, jak kilku innych członków gangu. Ale to właśnie on postanowił przejąć forsy i prochy i zniknąć. Porządnie zniknąć. Tak żeby nikt nie miał wątpliwości, że istnieje jakikolwiek sens w poszukiwaniu go gdziekolwiek. Rodzice Bogutowicza mają nad Odrą działkę, tuż przy wodzie. Jest tam taki blaszak na łódkę i mały pomost wędkarski. Tam Bogutowicz trzymał ciało tego zaginionego chłopaka, rozumiesz? On był studentem budownictwa. Może Bogutowicz wypatrzył go na ulicy, w końcu mieszkał z rodzicami niedaleko Wydziału Budownictwa... Śledził go, zaczął się w nocy, kiedy ten wracał z imprezy, i zabił chłopaka. Potem przewiózł ciało na działkę rodziców, potrzymał w wodzie w środku blaszaka i czekał, aż woda i ryby zrobią swoje. A później, znów w nocy, przewiózł je łódką w kolejne miejsce: tym razem to, w którym je „przypadkowo” znaleziono. W ten sposób „zniknął”, żeby móc bez przeszkód kontynuować plan przejęcia narkotyków i kasy. Wydymał wszystkich, rozumiesz? Nas i Niemców, „Malechę” i Turków od Kemala. Wszystkich, bez wyjątku. To była czysta robota, czystsza niż ta koka. Wynajął magazyn, naściągał tam łatwopalnego i wybuchowego gówna. Przygotował grunt. A potem zjawił się tuż przed naszą akcją i podpalił lont. Sprzątnął kasę, prochy, a przy okazji „Ziętego”, ludzi „Malechy” i Kemala. Samotny strzelec. Mówiłem ci, że go kiedyś widziałem. Tak powiedziałem u Zalisza, że Agnieszka trochę go znała. Ale to nie całkiem tak. Nie znała go „trochę”, oni byli ze sobą, rozumiesz? Byli parą. Skurwiel uwiódł mi córkę.

Ostatnie dwa zdania wypowiedziałem beznamiętnie. Bez wstydu. Czy mogłem się wstydzić tego, że moja córka zakochała się w kimś takim jak Bogutowicz? W bezwzględnym bandycie i zabójcy? Ale mimo wszystko ten wstyd gdzieś tam we mnie był. Głęboko w środku, niewidoczny dla nikogo prócz mnie. Wstyd za siebie. Zresztą i tak byłem pewien, że Jacek wie o Agnieszce i Bogutowiczu.

– Wierzysz w samotnych strzelców? – zapytał Mołczun. – Że taki gnojek, w sumie młody i bez doświadczenia, skonstruowałby taki finezyjny plan?

– No, właśnie nie do końca – odpowiedziałem wolno, przypominając sobie rozmowę z Bargielem i wyciągnięte na jej podstawie wnioski o amatorszczyźnie Bogutowicza. – I chyba ty też, co? To dlatego mówiłem „oni”, „musieli” i tak dalej. Mówiłem w liczbie mnogiej. Bo jestem pewien, że ten samotny strzelec nie jest samotnym strzelcem, tylko ma opiekuna. Jak w zespole snajperskim. W uproszczeniu: snajper strzela, ale to ktoś, obserwator, ogarnia sytuację i wskazuje mu cel. I to ten drugi ma mózg. To ten drugi steruje wszystkim, rozumiesz, Jacek? W końcu ktoś odebrał Bogutowicza z miejsca, gdzie porzucił motocykl po zamachu na nas, prawda?

– To tylko teoria, hipoteza śledcza. Może złapał stopa? Albo kilka godzin wcześniej sam zaparkował wóz na poboczu?

– Chyba sam w to nie wierzysz? – zapytałem kpiąco. – Gdyby w tym miejscu, w którym znaleźli motocykl, stał wcześniej jakiś samochód, policja zabrałaby go szybciej, niż się tam znalazł. Niemców nie znasz?

– Fakt, sam w to nie wierzę. – Roześmiał się i zapytał: – Masz na myśli kogoś konkretnego?

– Owszem. Mam nawet na myśli kogoś z nas.

– Kogoś z nas? – Nie był do końca pewien, o co mi chodzi. – Policjanta?

– Zgadza się – powiedziałem, patrząc mu w oczy. – To właśnie mam na myśli, mówiąc, że to ktoś z nas.

– Myślisz, że to tego kogoś Kielan zobaczyła podczas akcji w porcie? Była bardzo aktywna w próbach wyjaśnienia tego, co ci się stało. Powiązała to jakoś? Nadepnęła komuś na odcisk? Czy tylko była w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze?

Przypomniałem sobie, o co Marta pytała Henię, kiedy leżałem w śpiączce. O mój pistolet. Nie wiedziałem wtedy, po co zadała to pytanie. Teraz już tak.

– Pamiętaj, że była atrakcyjna i wygadana, dawała się lubić – kontynuował Jacek. – Była też towarzyska, znała bliżej wielu wysokich rangą funkcjonariuszy, których nie poznałaby, gdyby była szarą myszą albo facetem. Po prostu by ją olali, a nie zagadali do niej na korytarzu. Taka prawda.

– Zgadzam się z tobą – mruknąłem i wskazałem swój telefon. – Ale tu masz jeszcze jedną rzecz, która potwierdza, że to ktoś z nas: inaczej skąd wizytówka „Gaz-Techu” wzięłaby się w moim biurku? Skoro nie włożyłem tam jej ja, to musiał być to ktoś, kto miał dostęp do mojego gabinetu, prawda? Przecież nie Bogutowicz...

– Po tym, co ci się przytrafiło, wchodziło tam parę osób – mruknął. – Zgadza się.

– Właśnie.

– I faktycznie, wyłącznie policjanci – dodał.

– Tak się akurat składa, że nie tylko policjanci, Jacek – powiedziałem cicho.

– Nie?

– Prokurator był?

– No, był, ale...

– Osiński, prawda? – przerwałem mu, a on spojrzał na zdjęcie małej dziewczynki w objęciach prokuratora i zamilkł.

– Myślisz, że to on? – zapytał po chwili.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Możliwe, przecież był w to zamieszany. Kto tam jeszcze wchodził? Pani Henia?

– Och, daj spokój... – Machnął ręką.

– Sprzątaczką?

– Pewnie tak, ale przecież była tam wtedy Heńka...

– Jacek, proszę cię... – Spojrzałem na niego kpiąco. – I co, patrzyła jej na ręce? Mnóstwo ludzi tam było... Dobra, zostawmy to na razie. Teraz wyjaśnijmy, jaki to wszystko ma związek z zamachem na mnie i moją rodzinę.

– Właśnie. Jaki?

– Bogutowicz. To on był motocyklistą na parkingu. Moja córka go nawet rozpoznała, kiedy podniósł owiewkę kasku.

– Skąd wiesz, że go rozpoznała? – zapytał.

Opowiedziałem mu o mojej rozmowie z Sylwią Białek.

– To było wspólne ogniwo tych dwóch spraw. Właśnie Bogutowicz. Na początku sądziłem, że chciano mnie zabić z powodu „Streli”. Potem moje podejrzenia nieco się sprecyzowały; myślałem, że chodziło o usunięcie śladu, wtyki w policji, która umożliwiła bandytom przeprowadzenie akcji. Jednego mniej świadka, jednego mniej do podziału czy opłacenia. Ciekawe, czy gdyby Osiński się nie powiesił, też nie skończyłby z kulą w głowie. Jeszcze później zastanawiałem się, czy to czasem nie ja sam zleciłem zabójstwo swojej rodziny. Mogłem tego nie pamiętać, prawda? To było najgorsze. To również sugerowaliście podczas rozmowy u Zalisza. To drążyliśmy z Mileną. Potem znalazłem na komputerze Agnieszki coś, co dało mi podstawy sądzić, że to ona zleciła zabicie mnie – powiedziałem beznamiętnie, jakby to dotyczyło kogoś zupełnie innego. – Na szczęście to się wyjaśniło, teraz już wiem, że źle zinterpretowałem pewne fakty. Teraz również wiem, że ktoś chciał rzucić na mnie podejrzenia. Ta wizytówka w biurku... Chciał zabić mnie rękami Bogutowicza i obrzucić gównem, tak żeby się nie ubrudzić. Żeby sam pozostał poza wszelkimi podejrzeniami. Ale ten ktoś nie wiedział, że nie pojedę do Berlina sam. Bo nikomu o tym nie mówiłem. W komendzie wiedzano tylko, że biorę prywatny samochód, a nie służbowy, zgłosiłem to i dostałem zgodę. Miałem jeszcze w Bernau kupić tę ekologiczną nalepkę z „czwórka” – przypomniałem sobie. – To stąd Bogutowicz wiedział, jakiego auta szukać; wiedział od kogoś z komendy, rozumiesz? Nie wiem, dlaczego nie zauważył, że koło mnie siedzi Jola, kiedy pokazywał mi na migi, że coś jest nie tak z samochodem, bo pewnie tak to się odbyło. Wiesz, że lubię przycisnąć, jechaliśmy pewnie ponad sto osiemdziesiąt na godzinę, on na motorze, może skupiał się na jeździe... A może widział Jolę i uznał, że mimo wszystko wykona zadanie. Nie mam pojęcia. Agnieszka prawie leżała na tylnej kanapie, zawsze tak jeździła, leżała i słuchała muzyki... Więc nie była widoczna. I Bogutowicz musiał zastrzelić nas wszystkich. Mam nadzieję, że zapytam go o to, kiedy go znajdziemy.

Jacek oddychał głośno przez nos. W jego oczach widziałem, że wciąż trudno mu uwierzyć w moją opowieść.

– Chcieliście mnie zatrzymać i aresztować, prawda? – zapytałem. – Już niedługo. Tylko śmierć Osińskiego nieco wydłużyła procedurę, co? Ten, kto przejął po nim śledztwo w sprawie „Streli”, nie chciał pewnie ryzykować występowania do sądu o moje tymczasowe aresztowanie wobec braku ewidentnych dowodów, mam rację? To, co mieliście na mnie, to nie były dowody, tylko domysły. Wszystko bardzo zgrabnie się łączyło w całość, w łańcuch poszlak, ale to wciąż jednak były wyłącznie domysły, a nie dowody. Dobrze mówię, Jacek?

Nie odpowiedział, nie od razu. Musiał pewnie przemyśleć, czy to, co mu powiedziałem, ma sens i czy rzeczywiście oczyszcza mnie z podejrzeń. Ze wszystkich.

W końcu od niechcienia skinął głową.

– Co z analizą mojej broni? – zapytałem. – To z niej strzelano w porcie i na parkingu?

– Jeszcze nie ma wyników.

Zdziwiłem się. Byłem pewien, że Zalisz będzie ich żądał na cito.

– Sprawdźcie wszystko, nigdzie się nie wybieram. Może załatw ekipę techników i wyślij ich na działkę Bogutowiczów, niech przyjrzą się temu barakowi na łódkę? Może trzeba by pomyśleć o ekshumacji Krępisza? – rzucałem pomysłami. – Zabierz zdjęcie Osińskiego, potwierdź fakty... Tylko szybko.

– Jasne...

– Nie tylko z mojego powodu. Musimy zająć się Bogutowiczem i tym kimś.

– Wiesz, gdzie ich szukać?

– Jeszcze nie. – Pokręciłem głową. – Kto wie, może nawet jest już za późno. A może jeszcze nie jest... Mam podstawy sądzić, że wciąż przebywa w Szczecinie albo w okolicach.

– Jesteś tajemniczy.

– Nie, po prostu sam jeszcze nie wiem wszystkiego. Ale to tylko kwestia czasu. A jeśli chodzi o tajemnice... Wszystko ci wyjaśniłem. I chciałbym, żebyś ty też mi coś wyjaśnił. Powiedz mi, skąd wszyscy wiedzieli o Marcie?

– Że była twoją kochanką?

– Tak. Właśnie o tym.

Popatrzył na mnie rozbawionym wzrokiem.

– Masz rację, że wszyscy o tym wiedzieli – przyznał. – Ale nie ma w tym żadnej tajemnicy, Darek. Bo to było widać. Widać jak cholera. Po prostu. A plotki szybko się rozchodzą. Co w tym dziwnego?

Fakt, Jacek też był kiedyś bardzo zdziwiony, że o jego nałogu wie aż tyle osób z pracy. Myślał, że się dobrze maskuje, w czym aktywnie mu pomagałem.

– Podczas tej rozmowy u Zalisza w gabinecie „Azalisz” rzucił między innymi tekst o tym, że nie akceptuję faktu dorastania mojej córki. Bardzo dyplomatycznie to powiedział jak na siebie. Nie zwróciłem wtedy na to aż takiej uwagi, byłem wkurwiony. Rozumiem, że o pewnych sprawach dotyczących mojej rodziny faktycznie mogliście dowiedzieć się od sąsiadów. Ale o tym, że moja córka staje się kobietą, a ja tego nie akceptuję, nikt nie miał prawa wiedzieć, Jacek – powiedziałem. – A jednak wiedzieliście... Powiesz mi skąd? Od Marty?

Wciąż nie chciałem wierzyć, że im powiedziała. Wolałbym, żeby jej obraz w moich wspomnieniach był bez skazy. Naprawdę tego właśnie bym chciał. Idealne ciało, perfekcyjny umysł, szczerą i oddaną przyjaźń. Ufałem jej na sto procent i tylko dlatego powiedziałem jej o swoich rozterkach dotyczących inicjacji seksualnej córki. Wyłącznie jej, choć przecież nie mogłem być pewien, że nie powiedziałem tego komuś innemu później, w okresie, którego nie pamiętam.

Mołczun odwrócił głowę.

– Powiesz mi czy nie? – naciskałem. – Czy znów zostawimy sprawę z jakimiś niedopowiedzeniami? I wszystkiego będę musiał domyślać się sam?

Westchnął.

– Tak. Od Marty. Opierała się przed powiedzeniem nam wszystkiego. Chciała być lojalna wobec ciebie. Lojalna wobec przełożonego i wobec... Wobec przyjaciela. Byłem przy

tym. Długo ją przekonywaliśmy, że to dla twojego dobra. To była rozmowa pełna emocji, Darek. Naprawdę. Ale w końcu powiedziała nam wszystko... Nie miała wyjścia. Nie daliśmy go jej, szczerze mówiąc.

– Kto był przy tej rozmowie? Rozmowie pełnej emocji?

– Nooo... Ścisłe kierownictwo. Oficer z BSW; Rudnicki, ten brunet, który był u Zalisza w gabinecie. Psycholożka...

– Milena?

– Nie. Nie Milena. Jej koleżanka z zespołu.

– To sporo ludzi, niemal tłum... Nie dziwię się Marcie, że były emocje. To jak publiczne wyznawanie grzechów, co? Gdzie toczyła się ta rozmowa?

– U ciebie w gabinecie.

– Włamaliście się do mnie – stwierdziłem, ucinając nagle temat, bo chyba wiedziałem już wszystko. – Do mieszkania. Na futrynie zostały ślady po kleju z plomby.

– Daj spokój, to było na zlecenie prokuratora. W twoim interesie, Darek. Wiesz dobrze, jakie są procedury. Szukaliśmy czegokolwiek, jakiegoś punktu zaczepienia...

– Mogliście chociaż posprzątać w lodówce i podlać kwiaty... – Westchnąłem. – No więc zabraliście komputery.

– Zgadza się – mruknął.

– Dzięki, że mi je w ogóle oddaliście... – Przeczesałem palcami szczecinę na głowie, zbierając nimi pot. – Czemu po prostu mi nie powiedziałaś? Jesteśmy kumplami czy nie?

– Jesteśmy – mruknął Mołczun. – Ale zrozum, Darek, nie o wszystkim mogłeś wiedzieć...

– Nie? Trochę dziwnie to brzmi. W końcu chodzi o mnie, prawda? Zwracam wam na to uwagę co jakiś czas, ale widzę, że wciąż do nikogo to nie dociera. Jestem tym coraz bardziej zdziwiony. Coraz bardziej, Jacek.

Popatrzył na mnie smutno i westchnął.

– Nie mówię nawet o tym, że ze względu na podejrzenia wobec ciebie byłeś od pewnych informacji odsunięty. Nie mówiliśmy ci wszystkiego również ze względu na twoje dobro. Czy matka zawsze powie małemu dziecku o okrucieństwie świata? To w czymś pomoże na tym etapie rozwoju małego?

– Owszem, im wcześniej, tym lepiej, przynajmniej za bardzo się nie rozczaruje, kiedy dostrzeże to okrucieństwo samo. Co za tekst... Za dużo przebywasz z komendantem Szewczykiem. – Prychnąłem przez nos. – I to porównanie wyraźnie wskazuje na to, że wy wszyscy traktujecie mnie jak dziecko. W dodatku kalekie dziecko. No dobra, zostawmy to... Rozumiem, że czaty z Bogutowiczem ktoś widział?

– Tak – przyznał niechętnie.

– Tę rozmowę o zabiciu mnie, też?

Zgarbił się.

– Oczywiście!

– I co?

– Nic. Poinformowaliśmy prokuraturę...

– Czyli Osińskiego?

Przewrócił oczami.

– Prokuraturę, Darek – powtórzył z naciskiem.

– Rozumiem. A prokuratura, czyli de facto Osiński, nie uznała tego za ważny trop. Co nas już w ogóle nie dziwi w świetle tego, o czym ci przed chwilą powiedziałem. – Wskazałem pedofilskie zdjęcie i zapytałem prowokacyjnie: – A nikogo z was nie dziwiło to wcześniej?

Jacek odwrócił wzrok. Zatarł ręce, najpierw powoli, a potem szybko, jakby je rozgrzewał.

– Ano, nie dziwiło, co ci poradzę. Nie jesteśmy od popędzania prokuratora, to on prowadzi śledztwo, a nie my, prawda? My tylko wykonujemy zleczone czynności... Dobra, leczę – rzucił nagle, jakby rozmowa przed chwilą w ogóle się nie toczyła. – Muszę jeszcze załatwić zakupy i zawieźć Irkę do fryzjera.

– Słuchaj, nie wiesz, co się stało z matką Marty? – zapytałem jeszcze.

– Tak się składa, że wiem. Niedługo przed... tym, jak „to” się stało, Marta załatwiła jej miejsce w domu opieki. Była już mocno niedołączna...

O tym wiedziałem. Marta wspominała mi kiedyś, że jej mama posunęła się mocno w latach i przestaje sobie z nią radzić. Opiekunki z polecenia się nie sprawdziły, Marta uważała, że są pozbawione empatii i zamiast porządnie zająć się podopieczną, stawiają przed nią talerz z kanapkami, włączają telewizor i trajlują przez telefon z psiapsiółkami.

– Z opiekunkami nie wypaliło, więc zdecydowała się na ten dom. Trzeba by się może tym jakoś zająć? – Jacek podrapał się za uchem. – Ona pewnie wciąż tam jest...

– Pewnie? To nie wiesz tego? Gdzie?

– Dom Seniora w Goleniowie. Tak to się chyba nazywa. Nie pamiętam dokładnie, ale jest w Goleniowie.

– Byłeś u niej?

– Nie, dlaczego miałbym? – zdziwił się.

– Myślałem, że ktoś tam zajrzy... Chociaż z przyzwoitości.

– Wiesz... Ja mam pod opieką swoją chorą.

– Wiem, Jacek, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Przecież ci niczego nie wyrzucam. Myślałem, że może ktoś inny.

– Nic o tym nie wiem, żeby ktoś do niej zaglądał. A co?

– No... Właśnie sobie pomyślałem, żeby się jakoś nią zająć. Głupio to tak zostawić. Nie w porządku wobec Marty, nie sądzisz?

– Tak sądzę. – Kiwnął z przekonaniem głową. – Dobrze sobie pomyślałeś.

– Ja mam sporo wolnego czasu, niewiele do roboty... Zobaczę, co da się zrobić.

– Daj znać, jak coś wymyślisz.

– Dam – obiecałem.

– Coś jeszcze?

Pokręciłem głową, więc wstał i poszedł w stronę drzwi.

– Ale nie musisz kupić pomarańczy? – zapytałem go na odchodnym.

– Co? – Odwrócił się zdziwiony.

– Nic. – Machnąłem ręką. – Takie tam... Żarty... Czarny humor...

Pokiwał głową, zupełnie jakby coś rozumiał, i wyszedł. Poszedłem do kuchni i zorientowałem się, że całkiem zapomniałem o kawie, która stygła teraz w filizance

stojącej pod kranikiem ekspresu. Jacek też zapomniał.

Wyrzależem przez okno i poczekealem, az pojawi sie na chodniku przed blokiem. Szedl swoim bocianim krokiem, wyciagajac dlugie nogi daleko przed siebie, jak John Cleese udajacy urzednika Ministerstwa Glupich Krokow. Wiedzialem juz, ze w dniu rzezi na parkingu Jacek wziął urlop. Sprawdzilem to, tak na wszelki wypadek. Sam nie wiem po co. Sprawdzalem wiele rzeczy, nie zawsze z sensem, ale zawsze z nadzieja, ze na cos sie natkne.

Kiedy zniknal mi z oczu, usiadlem do komputera i ustalilem, jak dojechać do Domu Seniora w Goleniowie. Musialem potwierdzic teorie o drugim strzelcu. A wlasciwie o obserwatorze. O mozgu, ktory to wszystko zaplanowal. Upewnic sie, co wymyslila Marta i dlaczego tak ryzykowala, idac do tego cholernego magazynu praktycznie na pewna smierc.

* * *

Do Goleniowa pojechalem busem nastepnego dnia. Wyruszyłem spod budynku poczty glownej i juz niecala godzine pozniej byłem na miejscu.

Zawsze zastanawialo mnie, skad biora sie nazwy osiedli, ktore wyrastaja jak grzyby po deszczu na kazdym wolnym skrawku ziemi w miastach i wokol nich. Osiedle „Nad modrym ruczajem” okazalo sie skupiskiem blokow polozonych nad zarosnietym i na pol wyschnietym rowem melioracyjnym, „Przy Lesie” stalo przy malym zagajniku skladajacym sie z kilkunastu drzewek, a „Slonecznym Wzgorzem” wyniesionym ponad sasiednia okolice o jakies dwa, trzy metry wiatr targał przez trzysta piecdziesiat dni w roku, slonce zaś widywano nad nim przez pozostale pietnascie, a nawet szesnascie, jesli miało sie szczescie i rok był przestepny. Chwył marketingowy. Szamańskie zabiegi sluzace odczarowaniu. Zludzenie prestizu i elitarnosci. Klamstwo.

Z domami starcow jest tak samo. Fakt nadania im czarujacej nazwy nie zmienia tego, ze wciaz pozostaja domami starcow. Być moze chodzi o to, zeby na pytanie: „gdzie jest twój ojciec czy matka?” nie odpowiedziec ze skrupowaniem: „w domu starcow”, tylko z niejaka dumą: „w pensjonacie seniora”. Brzmi lepiej. O wiele lepiej. Choc nie sadze, zeby robilo to jakakolwiek roznicę przebywajacym tam staruszkom.

„Swietlana Jesien” nie byla wiec domem starcow, tylko Domem Seniora. Budynek był nowy, dwukondygnacyjny, bez zdobien i udziwnien. Prosta bryla, zielony tynk mineralny w roznych odcieniach przenikajacych sie kwadratow, biale okna bez podzialow, podjazd dla osob niepełnosprawnych, i tyle. Podeszedlem do szerokich przeszklnych drzwi wejsciowych, nacisnalem przycisk domofonu i uslyszalem dzwiek dzwonka. Kiedy zamek zaczal bzyczeć, pociagnalem drzwi do siebie i wszedlem do srodka. Minalem przedsionek i znalazlem sie na dlugim korytarzu o groszkowozielonych scianach, na ktorych wisialy opravione w antyramy zdjecia. Na wszystkich byly zblizenia natury: motyl zbierajacy nektar, zuk na kamieniu, zaba wystajaca z pokrytej rzesa wody i tym podobne. Kolor i tematyka zdjec jak z wiezienia. Miały sprzyjac wyciszeniu i hamowac agresje. Przynajmniej w teorii.

Po korytarzu cicho snulo sie kilkoro ludzi. W wiekszosci byli cieniami samych siebie. Przypominali zombie, mieli takie same puste spojrzenia, byli tylko od nich duzo czystszy

i bez śladów krwi na ubraniach. Ktoś, kto powiedział, że wesołe jest życie staruszka, na pewno nie był staruszką. Bo wcale nie jest wesoła. A już na pewno nie w takim miejscu.

Minąłem rozszerzenie korytarza z kilkoma stolikami, a potem kilkoro drzwi. Niektóre były zamknięte, niektóre uchylone, jeszcze inne otwarte na oścież. Za nimi widziałem małe, intymne światy pensjonariuszy; niebieskawe i pomarańczowe pokoiki, w których miała ich w końcu zastać nieodległa śmierć. Szedłem przed siebie, słuchając swoich miarowych kroków tłumionych wykładziną z PCW, wyslizganą filcowymi podszewkami kapci i błyszczącą w świetle jarzeńówek. Odgłos kroków, jasne kwadraty pod sufitem i białe prostokąty drzwi po obu stronach korytarza wyznaczały rytm, do którego się dostosowałem i który podświadomie bałem się zaburzyć. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy wreszcie się zatrzymałem przy dyżurce. Stałem w drzwiach, opierając się ramieniem o futrynę.

W ciasnym pomieszczeniu, przy biurku, na którym stał czarny laptop, siedział mężczyzna w średnim wieku, ubrany w biały strój. Koszula z wyszytym na kieszeni logo jakiejś firmy farmaceutycznej miała krótkie rękawy, wystawały z nich owłosione i umięśnione ramiona, których nie powstydziliby się Popeye. Zauważyłem identyfikator, dyndający na zawieszanej u grubej szyi smyczy. Pielęgniarski Sylwester Jakiśtam. Nazwisko niknęło za krawędzią blatu biurka.

– Odwiedziny? – zapytał leniwie, nie spuszczając oczu z monitora.

Usłyszałem głosy Daniela Craiga i Judy Dench.

– Tak jakby, ale nie do końca.

Spojrzał na mnie, napotykał wzrokiem moją legitymację, którą dla pewności podstawilem mu niemal pod sam nos. Nie był wstrząśnięty, ale wyraźnie zmieszany.

– O co chodzi? – zapytał, zamykając laptop i prostując się na obrotowym fotelu z zagłówkiem.

Znałem te ruchy i tę oszczędną mimikę z dawnych czasów, kiedy pracowałem przez kilka lat w kryminalnej. „Wszystko jest w porządku”. Tak właśnie usiłuje się wyglądać, kiedy nic nie jest w porządku. Obojętny wyraz twarzy okupiony ogromnym wysiłkiem, który uwidacznia się na niej bardziej niż ta wystudiowana obojętność. Pewnie Bond był nielegalnie ściągnięty, a może nawet pan Sylwester Jakiśtam miał na swoim laptopie piracki system operacyjny. Ależ ja jestem podejrzliwy...

– Chciałem się z kimś zobaczyć – powiedziałem.

Pielęgniarski rozłożył ręce. „Nie mam nic do ukrycia”. Akurat.

– Proszę. – Wzruszył ramionami. – Proszę uprzejmie... Przecież panu nie zabronię, no nie?

– Strasznie tu ponuro – rzuciłem, chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie, które zrobiłem na nim swoim wejściem. – Sam pan jest?

Zrażanie do siebie ludzi już na samym początku rozmowy nie jest rozsądne, zwłaszcza jeśli oczekujesz, że ten ktoś, kogo do siebie zraziłeś, udzieli ci mimo to jakichś informacji. Zwykle robi to bardzo oszczędnie, jeśli w ogóle.

Pielęgniarski skrzywił się lekko.

– Jest jeszcze lekarz na górze. Ale pewnie wciąż odsypia dyżur, który skończył rano w szpitalu. Właściwie dwa dyżury z rzędu. A co?

– Nic. – Obejrzałem się. – Powiem panu, że jak tu wszedłem, to poczułem się lekko nieswojo.

– Wiem, jak to wygląda. Jest jeszcze rano, ale oni już są zmęczeni. A nie pójda spać, bo cierpią na bezsenność, jak to starzy ludzie. A ponieważ są niewyspani, to z tego powodu są zmęczeni. I błędne koło się zamyka. Poza tym są zmuleni lekami. Więc snują się po korytarzu, bo nie chce im się robić nic innego. Normalka.

– Normalka? – Uniosłem wysoko brwi.

– Owszem. – Uśmiechnął się lekko. – Pan patrzy na to ze swojego punktu widzenia.

– Możliwe. Ale nie wiem, czy chciałbym, żeby moje dziecko oddało mnie do takiego przybytku... – *Tylko że mnie to nie grozi, bo nie mam już dziecka...* – Wolałbym chyba dożyć swoich dni w domu. Mimo wszystko.

– Dość egoistyczne podejście.

– Tak? To bardzo ciekawe...

– Chciałby pan zrobić coś takiego swojemu dziecku? Skazać go na dwudziestoczworgodzinną opiekę nad kimś, kto już nie jest jego ojcem, a jedynie trochę przypomina go z wyglądu? Zafundować mu bezustanne czuwanie nad wrednym staruchem, który zrywa z siebie pieluchy, rozdrapuje odleżyny i robi z życia własnych dzieci piekło? A przecież ono musi pracować, utrzymać rodzinę, swoje dzieci, które pewnie studiują... To nie takie proste, jak się panu wydaje. Przychodzą do tych chrupków... Pan wybaczy, tak ich tu nazywamy między sobą... Przychodzą do nich ich dzieci i wnuki. I nie zawsze są to wizyty z obowiązku. Oni wciąż ich kochają i cierpią z powodu tego, że musieli ich tu oddać. Cierpią o wiele bardziej niż te chrupki. Bo większość chrupków nie zdaje sobie nawet sprawy, gdzie jest, nie wspominając już o tym, że nie wie w ogóle, kim jest. Jeśli zaspokoi im się podstawowe potrzeby, są zadowoleni. Są jak dzieci, tylko biorą tony leków i znają brzydkie słowa, których czasami lubią nadużywać. Poza tym wiele się od nich nie różnią, niech mi pan wierzy.

– Trudno w to uwierzyć – powiedziałem z przekąsem.

– Wiem. – Uśmiechnął się beztrąsko. – Też byłem kiedyś taki niewierzący.

– Nie wszyscy mają alzheimera – zauważyłem, wskazując mijającego kanciapkę staruszka z aparatem słuchowym tkwiącym w wielkim uchu. – Za to wszyscy kasiaste dzieci albo wysoką emeryturę.

– Owszem – odparł. – Ale to nie chodzi tylko o alzheimera. Ani o kasę, choć bez niej, wiadomo, nie byłoby ich tu. To bardzo złożony problem i nie mnie to oceniać. Ja tu tylko pilnuję i sprzątam. Nie znam sytuacji w rodzinach, więc nie będę się wydurniał i próbował komukolwiek udowodniać, że jest wyrodnym synem czy córką, tylko dlatego że zdecydował się tu umieścić własnego rodzica. Pan chce spróbować?

– Niekoniecznie – przyznałem i przeszedłem do sedna sprawy. – Zofia Ryszak. Gdzie ją znajdzie?

Pielęgniarka przechyliła się na krześle, tak że zdołał nawet wystawić głowę z ciasnej dyżurki na korytarz.

– Trzecie drzwi na lewo. – Pokazał kierunek ręką. – Jeśli jej tam nie będzie, niech pan poszuka w świetlicy. Pewnie ma na sobie szlafrok ze skrzydłami motyla. Nie sposób go przegapić. Różowy.

– Okej. – Skinąłem głową. – Rozmowna jest?

– Hmm... Niech pan próbuje. – Skrzywił się. – Ale szczerze wątpię, żeby cokolwiek pan osiągnął. Ostatnio bierze dużo leków. Strasznie „siadła” po śmierci córki.

– Jej córka nie żyje?

– Zmarła tragicznie, też była policjantką. – Spojrzał nagle na mnie lekko podejrzliwie. – Nie słyszał pan o tym?

– Miałem kilka miesięcy temu wypadek. – Pokazałem swoją głowę. – Długo byłem na zwolnieniu... A to duże miasto.

Nie wiem, czy go przekonałem, tak jak nie wiem, po co wygłupiłem się z tym pytaniem. Pewnie myślałem, że coś z pielęgniarza wyciągnę.

– Aha. – Pokiwał głową dość obojętnie. – No, w każdym razie niech pan próbuje. Może się panu uda.

– Więcej wiary. – Sięgnąłem do wnętrza kanciapy i klepnąłem go lekko w ramię, co chyba mu się nie spodobało. – Więcej wiary...

Pokój, który wskazał mi pielęgniarz, był pusty, wróciłem więc do rozszerzenia korytarza, które niespodziewanie okazało się świetlicą. Plazmowy, niespełna czterdziestocalowy telewizor umieszczony był tak wysoko na ścianie, że wątpię, żeby którykolwiek z pensjonariuszy był w stanie coś na nim zobaczyć. Grał, nikomu nie przeszkadzając, tylko jeden staruszek, siedzący samotnie na krześle ustawionym na samym środku korytarza wpatrywał się w niego jak zaczarowany, nie zwracając uwagi na zwisającą mu z kącika ust cieniutką jak pajęczyna nitkę śliny.

Starsza kobieta w intensywnie różowym szlafroku z wyszytymi na plecach motylimi skrzydłami siedziała pod ścianą. Nie było jej tu, kiedy szedłem do dyżurki kilka minut temu, nie mógłbym przegapić tych skrzydeł. Musiała przydreptać ze swojego pokoiku, kiedy rozmawiałem z pielęgniarzem. Siedziała przy stoliku wielkości talerza obiadowego, opierając się o niego łokciami, wpatrując się w okno takim samym wzrokiem, jak jej towarzysz niedoli na środku korytarza w telewizor. Podszedłem do niej. Kiedy zobaczyła mnie kątem oka, uśmiech odrobinę rozjaśnił jej twarz. Był uprzejmy, proszący i zagadkowy jednocześnie, a na pewno nikły jak płomień znicza w mroźny dzień na cmentarzu.

Nigdy nie zapytałem Marty, czy mówiła o mnie matce. Po co miałbym to robić? I, jak się tak dobrze zastanowić, to po co Marta miałaby jej wspominać o mnie? I jak by to miało wyglądać: Kto to dzwonił, córeczko? Suder, mamó. Kto to jest Suder? Mój szef, bzykamy się czasem po pracy...

Mimo to spróbowałem nawiązać z nią kontakt.

– Dzień dobry – powiedziałem, kucając obok kobiety. – Nazywam się Suder, Dariusz Suder. Wie pani, kim jestem?

– Tak – odpowiedziała mi drewnianym głosem, lekko zwracając głowę w moją stronę.

Oczy pozostały niemal nieruchome, drgnęły ledwie tyle, bym mógł na chwilę pojawić się w jej polu widzenia, a potem wróciły i pozostały wpatrzone w okno, a nawet dalej, w miejsce, które znała tylko ona. Była krucha jak uschnięta gałązka. Woskowa skóra opinała kości, a pod nią nie było już grama tłuszczu.

– Porozmawia pani ze mną chwilę? – zapytałem łagodnie.

– Tak.

– Chciałbym pani pokazać czyjeś zdjęcie i zapytać, czy poznaje pani tę osobę. Mogę?

– Tak.

Pokazałem. Jej oczy lekko drgnęły, ale zostały w miejscu, wciąż pusto wpatrując się w widok za oknem. Podsunąłem jej zdjęcie niemal pod sam nos i dopiero wtedy błysnęło w nich zainteresowanie. Staruszka wyraźnie się ożywiła.

– Rozmawiała pani z nim kiedyś? – spytałem łagodnie.

– Tak.

– A dobrze go pani zna?

– Oczywiście. – Pokiwała lekko głową.

Powiedziała to z takim przekonaniem w głosie, że teraz wiedziałem już wszystko. Wstałem z kucek i poszedłem przy stoliku, towarzysząc jej przez chwilę. Potem pożegnałem się grzecznie i wróciłem do dyżurki. Pielęgniarz, widząc mnie, niechętnie oderwał wzrok od ekranu laptopa. Usłyszałem cmoknięcie, kiedy Javier Bardem wyciągał sobie z ust fragment twarzoczaszki. Pan Sylwester Jakiś tam doszedł do wniosku, że nie stanowią dla niego zagrożenia. Zresztą słusznie.

– I jak? – zapytał. – Miałem rację?

– I tak, i nie – odparłem. – Wiem już to, co chciałem wiedzieć.

– No i bardzo dobrze – ucieszył się niespodziewanie.

Może dlatego, że oznaczało to rychłe opuszczenie przeze mnie placówki.

– Tak, to bardzo dobrze – przyznałem z przyjaznym uśmiechem i wskazałem gdzieś za siebie, w stronę korytarza i wypełniających go ludzkich cieni. – Długo tu jest?

Podrapał się za uchem, jakby to miało mu w czymś pomóc.

– Kilkanaście tygodni – powiedział po chwili zastanowienia, pokiwał głową i potwierdził.

– Tak, kilka miesięcy. Ale powiem panu, że niewiele jej zostało życia. Co zrobić? Ale w jej wieku... Też chciałbym dożyć osiemdziesiątki.

– Skąd pan to wie?

– Że się kończy?

– Uhm.

– Z doświadczenia. To nie jest moja pierwsza praca. Widziałem już wiele, niech mi pan wierzy. Wiem, co mówię.

– Przyjmuję do wiadomości – powiedziałem pojednawczym tonem.

Nie było sensu się kłócić, tu faktycznie nie trzeba było specjalisty – matka Marty dobiegała kresu życia.

– Starość to straszna rzecz – dodał jeszcze pielęgniarz. – Przykładów nie muszę szukać daleko. Moja matka była mądrą kobietą. Była wykładowcą akademickim, kiedyś startowała w „Wielkiej grze” i w „Miliardzie w rozumie”. Przykro patrzeć, jak taki ktoś jak ona kończy swoje życie, lepiąc kulki z własnego gówna.

– To musiał pan ją bardzo kochać – rzuciłem ot tak, żeby coś powiedzieć.

– Ta – mruknął, nie patrząc na mnie. – Musiałem...

Zamilkłem. Po chwili coś jeszcze przyszło mi na myśl.

– Ktoś ją odwiedzał? – zapytałem, znów wskazując kciukiem korytarz za sobą.

– Córka. Potem przestała przychodzić...

To by się zgadzało. Powód był dość istotny.

– ...bo jak panu mówiłem, zginęła, ale za to zamiast niej zaczął pojawiać się kuzyn. Był tu kilka razy.

– Kuzyn, mówi pan? – zapytałem z lekkim zdziwieniem i wyjąłem z kieszeni telefon.

Popukałem palcem w wyświetlacz i pokazałem pielęgniarzowi zdjęcie. Ale nie to, które widziała przed chwilą matka Marty.

– To on? – zapytałem obojętnie.

Pochylił się i zobaczyłem identyfikator w całej okazałości. Sylwester Panfil. To z greki.

Pamhilos. Ktoś miły i lubiany.

– Taa... On – mruknął.

– Dziękuję. – Schowałem telefon. – Miłego seansu.

Lekko się zaczerwienił i machnął mi ręką na pożegnanie.

Wychodząc na zewnątrz, zobaczyłem przy drzwiach kosz na śmieci. Miał nadstawkę w formie miski, wypełnioną górką najeżonego niedopałkami piasku. Wyglądała jak wielka, kolczasta łupina kasztana albo wyliniały jeż. Wyjąłem z kieszeni kurtki zdjęcie i starannie zmiąłem je w dłoni w małą, zgrabną kulkę. Wycelowałem i po chwili kulka z cichym, powtórzonym metalicznym echem pacnięciem wylądowała na dnie śmietnika. Nie potrzebowałem go więcej. W zasadzie tego w telefonie również, więc skasowałem je zaraz potem.

Dochodzenie do prawdy to dość skomplikowany proces. A najgorsze jest to, że często opieramy się w nim na informacjach przekazanych przez osoby trzecie. Nawet jeśli dostajemy je od kogoś, komu ufamy, nawet jeśli są dość precyzyjne i wreszcie nawet jeśli są prawdą, przyswajamy je sobie w indywidualny sposób. Przez pryzmat swoich doświadczeń i wiedzy, jaką już mamy. I pewnych rzeczy nie sprawdzamy albo robimy to za późno. Ja pewnej rzeczy nie sprawdziłem. Nie sprawdziłem, ale miałem nadzieję, że nie jest jeszcze za późno. Bo wiedziałem już, kto za tym wszystkim stoi. Wiedziałem, kto kieruje snajperem. Byłem tego prawie pewien. Musiałem tylko z kimś porozmawiać i obejrzeć jeszcze kilka zdjęć. Ale już w tej chwili było mi kurewsko głupio, że dałem się temu komuś tak wrobić. Było mi też przykro. Bo cholernie tego kogoś ceniłem.

Zdjęcia, które obejrzałem wczorajszego dnia, rozwiały moje ostatnie wątpliwości. Naprawiłem błąd, przez który to wszystko tak długo trwało. Sprawdziłem rzecz, którą powinienem był sprawdzić już na samym początku. I wciąż miałem nadzieję, że nie jest za późno. I jeśli nie było, to w całej sprawie pozostała już tylko jedna rzecz, na którą czekałem jak ośmiolatek na komunijny prezent. Z drzeniem serca i niecierpliwością. Może brakowało tylko radości.

Konfrontacja.

Stary poniemiecki dom znajdował się na Prawobrzeżu, w Podjuchach, na Chojnickiej, niemal na samym skraju miasta. Stał na kilkumetrowej skarpie. Trochę zaniedbany, nieduży, ale przez swoją lokalizację wyniosły, górował nad rozrzuconymi na łagodnym zboczu ogródkami działkowymi, ogrodzonymi z jednej strony ekranami akustycznymi, którymi zabudowany był nasyp autostrady, a z drugiej graniczącymi z osiedlem domów jednorodzinnych. Wąska ulica, przy której stał dom, doczekała się nowej nawierzchni i kończyła się teraz małym rondem, z którego można było dostać się do hotelu „Panorama” albo wyjechać na autostradę węzłem drogowym „Szczecin Podjuchy”. Zabawne; kiedy tamtego dnia jechaliśmy do Berlina, przejeżdżałem zaledwie o sto, dwieście metrów w linii prostej od tego domu. Domu, w którym najprawdopodobniej wszystko to, co tamtego dnia się zaczęło, teraz się zakończy.

Pojechałem tam swoim samochodem. Nie myślałem o tym, że coś może się stać, że mogę się „wyłączyć” i spowodować wypadek. „Pierdol to”. Słowa radcy kryminalnego Gerharda Wenka kołatały mi w głowie. „Pierdol to” – nowe motto reszty mojego życia. Może postąpiłem niezbyt mądrze, ale po głębszym namyśle doszedłem do wniosku, że Wenk miał jednak rację. W tym szaleństwie tkwiła metoda. Pierdolić to wszystko. Zwłaszcza teraz.

Zaparkowałem kilkadziesiąt metrów od domu na skarpie. Powoli zapadał zmrok, sterowane czujnikami zmierzchowymi latarnie włączyły się już, zalewając asfalt pomarańczowym światłem. Zamknąłem drzwi samochodu i powoli, nie spiesząc się, poszedłem w górę ulicy, ku domowi. Nie byłem tu nigdy wcześniej, ale wiedziałem, kto w nim kiedyś mieszkał i kogo tam znajdę. Nie na sto procent, ale szansa była tak duża, że prawdę mówiąc, nawet nie zakładałem, że może mi się nie udać. Jeśli Bogutowicz i jego mentor wciąż byli w Szczecinie, to nie widziałem innej możliwości, żeby ukryli się gdzie indziej. A nawet jeśli tak było, to i tak musiałem sprawdzić przede wszystkim to miejsce, a dopiero potem zastanawiać się, gdzie ich szukać dalej.

Płot z siatki był ledwo widoczny spośród gęstych, bezlistnych jeszcze krzewów bzu. Wiotkie, splątane ze sobą gałęzie dźgały ogrodzenie, przebijając je na wylot w każdym możliwym miejscu, czyli wszędzie. Kiedy ostrożnie wyjrzałem zza tej naturalnej zasłony,

zobaczyłem, że tylko w jednym oknie na dole pali się światło.

Wcześniej obejrzałem okolicę na satelitarnej mapie Szczecina. Z przykrością stwierdziłem, że nie było innej drogi do domu niż ta, którą właśnie szedłem. Czyli prosto z ulicy, przez furtkę i po wąskich betonowych schodach bez poręczy, pnących się po stromym zboczu skarpy. Liczyłem tylko na to, że nikt tam nie spodziewa się nieproszonych gości, a już na pewno nie mnie. Mimo to stopy na schodkach stawiałem wyjątkowo ostrożnie, odruchowo się kuląc, jakby w oczekiwaniu na strzał. Takie obrazy podsuwała mi nie bujna wyobraźnia, tylko świadomość tego, co tkwi w mojej głowie. Skoro zdarzyło mi się to już raz, równie dobrze mogło zdarzyć się i drugi. W końcu istnieje coś takiego jak prawo serii.

Postanowiłem obejść dom dookoła. Wiedziałem, że podwórko nie jest duże, że rośnie na nim kilka drzewek, najprawdopodobniej owocowych, a nie iglaków. Czyli nici z kryjówki, jakby co.

I wtedy go zobaczyłem. Zobaczyłem go z tyłu domu, gdzie było dużo ciemniej niż na ulicy. Nie mogłem uwierzyć ani w swoje szczęście, ani w prozaiczność czynności, którą wykonywał. Bogutowicz rozwieszał pranie na linie rozpiętej między ścianą a jednym z drzewek o pobielonym pniu. Skąpe światło padało z żarówki wkręconej w oprawę bez klosza, wystającą ze ściany tuż nad hakiem, na który nawinięta była linka. Było tak nikłe, że zamiast rozpraszać półmrok, tylko pogłębiało kontrast między światłem a cieniem.

Zobaczył mnie w tej samej chwili. Początkowe zaskoczenie widoczne na zwróconej ku światłu twarzy zmieniło się w złośliwą satysfakcję.

– Proszę, proszę. – Uśmiechnął się do mnie mściwie, upuszczając do stojącej mu koło nóg miski jakiś mokry łach. – Tatuś przyszedł... I jak zwykle bez pukania...

Oczywiście miałem przy sobie broń. I rzecz jasna nie mogłem jej użyć, jeśli chciałem uzyskać efekt zaskoczenia. Bo chłopak naprzeciw mnie był tylko snajperem. To on zastrzelił Jolę i Agnieszkę. To on pociągnął za spust, ale to nie on wybrał cel, tylko ktoś mu go wskazał. Ten ktoś był w domu i nie wiedział jeszcze o mojej wizycie. Zacząłem gorączkowo zastanawiać się, co zrobić, żeby tak pozostało.

Chłopak mi pomógł. Nie zaczął wrzeszczeć, żeby ostrzec lokatora domu. Nie rzucił się na mnie gwałtownie, prowokując mnie do wyciągnięcia broni. Nic z tych rzeczy. Wciąż z tym samym złośliwym uśmiechem na ustach wyciągnął z kieszeni džinsów nóż sprężynowy. Usłyszałem ciche kliknięcie i zobaczyłem matowy błysk światła odbijającego się w wąskim ostrzu. Wspomnienie ubranej w żółty szlafrok Joli smarującej w kuchni nożem kromkę chleba boleśnie zakłuło moje serce.

Bogutowicz, nie patrząc pod nogi, powoli i ostrożnie obszedł miskę z praniem, pochylając się lekko, żeby przejść pod linką. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Stałem wciąż z szeroko otwartymi ustami, usiłując wyglądać jak tuńczyk, który widząc rekina tak blisko siebie, traci wszelką nadzieję i nawet nie próbuje uciekać. Bogutowicz dał się podejść, zwłaszcza kiedy zasłoniłem twarz, wykrzywając ją w odruchu udawanego przerażenia. Szedł ku mnie. Wyglądałem jak ostatnia sierota, ale uzyskałem przewagę. Znaczną przewagę. Oto jak wynikające z wieku doświadczenie góruje nad wynikającą z jego braku beztrąską młodością.

– Musiałeś je zabierać ze sobą? – wysyczał nagle, plując drobinkami śliny. – To przez ciebie zginęły, jebańcu! Ty jesteś winny! Ty!

Więc jednak miał jakieś wyrzuty sumienia. Próbował je zagłuszyć, zrzucając winę na mnie: byle jak i bez krzty obiektywizmu. Jak gówniarz. Nagle rzucił się w moją stronę. Nie ciął w twarz ani w szyję, tylko kierując ostrze lekko w górę, wyprowadził cios prosto w środek mojego korpusu, w splot słoneczny. Zamiast parować go dłonią, nadgarstkiem czy nogą, ja po prostu zrobiłem piruet, na wszelki wypadek jedynie zasłaniając się ręką. Odchylając się lekko, wdzięcznie okręciłem się do tyłu na prawej nodze o ćwierć obrotu, przysiadłem na niej i widząc kątem oka, jak Bogutowicz mija mnie z impetem, drugą ręką sięgnąłem po opartą o ścianę niedużą siekierę. Zauważyłem ją tuż przed tym, zanim zobaczyliśmy się nawzajem. Chwyciłem stylisko i zadałem obuchem cios w kolano napastnika. Z boku. Mocno. Bardzo mocno. I trafiłem. Zawył, ale to było nieuniknione. Nie chciałem uderzyć w głowę, bo zabiłbym gnoja na miejscu.

Bogutowicz upadł na trawę. Jeszcze nie krzyczał, bo ból wydusił mu z płuc powietrze. Leżał na brzuchu, konwulsyjnie łapał je wielkimi haustami w szeroko otwarte usta, a oczy niemal wychodziły mu z orbit. Kiedy odwrócił się na plecy, zobaczyłem trzonek sprężynowca, wystający z jego boku pod dziwnym, płaskim kątem. Nóż wyglądał, jakby na nim leżał z ostrzem schowanym w fałd szarej bluzy i tylko powiększająca się na niej plama krwi świadczyła o tym, że przebił przynajmniej skórę.

– Co ja mam teraz z tobą zrobić, skurwysynu? – zapytałem go szeptem.

Jęknął tylko zszokowany, trzymając się jedną ręką za bok, a drugą usiłując złapać za kolano. Nie mógł się zgiąć i wyglądał jak przewrócony na plecy żółw albo leżący na piaszczystej leśnej ścieżce wyczerpany już bezładnym machaniem odnóżami żuk, robiący wszystko, żeby wrócić do normalnej pozycji.

Nie wiedziałem, jakie szkody wyrządziło ostrze sprężynowca. Mogło tkwić w powłokach brzusznych i poza bólem nie powodować niczego istotnego z punktu widzenia jego zdrowia. A może właśnie wykrwawiał się do środka? Czytałem gdzieś, że jeśli ciało obce wbije się w twoje ciało na głębokość około trzech centymetrów, to szok masz murowany. A jak szok, to nie ma szans na logiczne działanie. Z drugiej strony, ten brak logiki też mógł być groźny; człowiek w szoku robi często rzeczy zupełnie nieprzewidywalne.

Patrząc na Bogutowicza, zarzuciłem snucie analiz, których wyników i tak nie mogłem nijak sprawdzić. Po prostu nie miałem już czasu. Ale nie mogłem też dopuścić, żeby chłopak jakimś cudem się pozbierał i wszedł do domu, kiedy już w nim będę. Walnięcie go w łeb nie załatwiało sprawy. Albo zrobiłbym to za mocno i definitywnie (a korciło mnie), albo za słabo, a wtedy właśnie mógłby się pozbierać i zaskoczyć mnie w środku. A na to nie mogłem pozwolić. Wybrałem opcję pośrednią.

Nie jestem dobry...

Ująłem mocniej trzonek siekiery i podszedłem do miski z praniem. Wziąłem jakiś mokry ciuch i rzuciłem go Bogutowiczowi na głowę. W samą porę, bo zaczynał głośno jęczeć. Zanim położyłem stopę na leżącej na jego twarzy szmacie, wciskając mu ją w usta, zdążył wyjęczeć:

– Ja... Ja ją napr...

Nie słuchałem dalej, tylko wziąłem zamach i uderzyłem obuchem siekiery w drugie

kolano.

Nie jestem dobry...

Usłyszałem obrzydliwe chrupnięcie i chłopak zemdlał. Nawet gdy się ocknie, nieprędko stanie na nogi. Zapomniałem mu tylko powiedzieć, żeby pod żadnym pozorem nie wyciągał noża z rany, bo znacząco obniży swoje szanse na przeżycie. Mój błąd, choć skłamałbym, mówiąc, że go żałuję...

– Jedno kolano za moją żonę, a drugie za Agnieszkę – szepnąłem i splunąłem na niego. – I tak traktuję cię ulgowo, skurwielu. Nie waż się więcej o niej wspominać.

Nie słyszał mnie, ale to nie było ważne. Już nie. Odrzuciłem siekiere na bok, gdzieś w krzaki, i przeszedłem nad ciałem Bogutowicza, kierując się w stronę małej przybudówki z drzwiami. Były lekko uchylone, więc to tędy chłopak musiał wyjść z domu. Wszedłem do środka. Było ciemno, ale nie zapaliłem światła. Postąłem przez chwilę w ciszy, przyzwyczajając wzrok do ciemności, a potem wymacałem klamkę kolejnych drzwi, które miałem przed sobą. Nacisnąłem ją lekko i ustąpiły bez oporu. Pchnąłem je i zajrzałem do wnętrza domu. Zobaczyłem pokój, w którym paliło się światło. Przy dużym stole na jego środku stał ktoś odwrócony do mnie plecami. Przełknąłem ślinę i wszedłem. Nie dbając już o ostrożność, zamknąłem drzwi normalnie, lekko nimi trzasnąwszy.

– Czegoś się tak wydzierał?

Ów ktoś nie obrócił się w moją stronę. Wciąż widziałem tę postać od tyłu, ale nie miałem wątpliwości, kim jest. Nawet mimo workowatego dresu, który miała na sobie. Ten głos rozpoznałbym wszędzie.

– To nie ja się wydzierałem – powiedziałem cicho.

Postać odwróciła się, ruszyła ku mnie i zaskoczona stanęła w pół kroku. Musiałem przyznać jedno: Marta nawet w zwykłym dresie wyglądała cholernie seksownie. A na pewno o niebo lepiej niż na stole sekcyjnym w Zakładzie Medycyny Sądowej.

– Widzę, że znalazłaś w życiu swojego Greya – powiedziałem, wskazując kciukiem za siebie.

Nie dała po sobie poznać niczego więcej, jedynie lekko zbladła. Wykrzywiła lekceważąco wąskie usta.

– Greya? – Wzruszyła ramionami i nieświadomie oblizwała wargi. – Bez przesady... Co mu zrobiłeś?

Słyszając tak obojętny ton, byłem kurewsko pewien, że moja odpowiedź jej nie wzruszy.

– A wiesz, że nawet nie wiem dokładnie? – mruknąłem. – Ale mam wrażenie, że nie poskarży ci się na mnie. Nikomu się już nie poskarży...

Miałem rację. Nic, poza lekkim zmrużeniem oczu, które w dodatku nie było przejawem troski o chłopaka, a jedynie nienawiści. Do mnie. Czyli jednak miała jakieś uczucia.

– I co teraz? – zapytała po prostu, zagryzając dolną wargę.

Sam się nad tym zastanawiałem. W głowie miałem pustkę, w kaburze pod pachą walthera, a ręce swędziały mnie jak nie wiem co. A kabura też nie była solidną kaburą, tylko „motylkiem”, z którego broń niemal sama wpadała w rękę.

– Poczekamy – wycedziłem. – Coś się wymyśli...

– Chcesz mi powiedzieć, że jesteś sam?

– Niczego nie chcę ci mówić.

Teoretycznie byłem sam, praktycznie zresztą też. Jeszcze. I to była moja świadoma decyzja. Uśmiechnąłem się lekko.

– Co cię tak śmieszy? – zapytała nieco natarczywie.

– Nic – odparłem. – Jesteś trochę jak kot Schrödingera, wiesz? Żywy i martwy jednocześnie.

Roześmiałem się z własnych słów. Twarz Marty została bez wyrazu. Jeśli nawet nie miała pojęcia, o co chodzi z tym kotem, to wołała zapytać o coś innego.

– Skąd wiedziałeś?

Moja odpowiedź była tylko pozornie tak skomplikowana, jak Schrödinger i jego kot.

– Chewbacca mi powiedział. A tak naprawdę wszystko przez zdjęcia.

– A... konkretnie?

Usiadła przy stole i zapaliła papierosa. Była opanowana, ręce nawet jej nie zadrżały, ale klikając zapalniczką, drugą ręką osłoniła płomień. Znajdowaliśmy się w domu, nie było przeciągu, więc uznałem, że to nie odruch, lecz oznaka namysłu. A do namysłu potrzeba czasu, który właśnie kradła małymi kawałkami, tak małymi, żebym nie zauważył ich braku. Jak mała dziewczynka ściągająca ze stołu cukierki, które nikną w kieszeni jej fartuszka. Prawie się uśmiechnąłem. Była opanowana, ale się bała. Bała się jak cholera. Nie byłem mściwy, ale podobało mi się to, co widzę.

– Po wybuchu pułapki twoje ciało nie miało włosów i prawie całej twarzy – powiedziałem to tak bezbarwnym i pozbawionym emocji tonem, jakbym mówił o czymś tak prozaicznym jak wieszanie prania na podwórzu. – Między innymi. Zapewne zgodnie z założeniem, choć brakowało mu również innych części. Było nadpalone i w ogóle nie wyglądało za ciekawie. Piersi tej kobiety faktycznie były podobne do twoich. Ale był jeden, drobny szczegół... Drobny, ale ważny.

– Znamię? – zapytała.

Nie zdziwiło mnie to, że się domyśliła. W końcu była diabelnie inteligentna.

– Owszem – przytaknąłem spokojnie.

– Przecież było?

– Było – przyznałem. – Było... Z czego, z henny? Mała, nieforemna plamka na skórze?

Wykrzywiła lekko wąskie usta, które zmieniły się w małą czerwoną podkówkę.

– Nigdy nie byłam za dobra z rysunku.

– Być może. Zresztą jakby co, miała je oglądać wyłącznie twoja matka, która nie widziała go pewnie od kilkunastu lat. Ewentualnie twój były mąż, który byłby nim tak samo zainteresowany jak zeszłorocznym śniegiem. Prawda?

– Jak to odkryłeś?

– Obejrzałem zdjęcia z obdukcji. Poprosiłem patologa o protokół z sekcji „twoich” zwłok. I na jednym z tych zdjęć zauważyłem, że twoje znamię nie przypomina już Francji. Małej brązowej Francji, dzięki której twoja matka miała pewność, że na porodówce nie wciskają jej obcego dziecka... – Prychnąłem. – Boże, tyle razy mi opowiadałaś tę historyjkę...

– A skąd w ogóle przyszło ci do głowy, żeby obejrzeć te zdjęcia?

– Bo byłem przedtem w Goleniowie. U twojej matki.

Zacisnęła usta, ale pohamowała się. To trwało mgnienie oka i znów była chłodna i opanowana. Tylko ruch, którym włożyła papierosa w usta, żeby się zaciągnąć, był nieco

szybszy niż poprzednio.

– Po co?

– Jedną z rzeczy, których dowiedziałem się na początku, jeszcze w szpitalu, było to, że twoje ciało identyfikowała matka. Przyswoiłem sobie tę informację razem z setkami innych. Podał mi ją ktoś, kto też usłyszał ją od kogoś, rozumiesz? Ktoś mu o tym opowiedział, a opowieść ma to do siebie, że zawsze pomija jakieś szczegóły. Z braku czasu, z niedbałości, z zapomnienia, czegokolwiek. Czasem są to nieistotne detale, a czasem ważne rzeczy. A niekiedy po prostu nieprawda. I im dalej ta informacja idzie, tym mniej szczegółów zawiera. Coś jak zabawa w głuchy telefon... Więc informacja, którą dostałem na ten temat, brzmiała mniej więcej tak: ciało Marty identyfikowała matka. Informacja sucha, bez podania żadnych dodatkowych okoliczności. Postanowiłem sprawdzić, ilu szczegółów pozbawiło tę informację przekazywanie jej sobie przez kilka osób. Dlatego pojechałem do twojej matki i pokazałem jej zdjęcie Chewbakki wycięte z jakiegoś czasopisma, które znalazłem u mojej córki w pokoju. Jej reakcja, czy w zasadzie brak reakcji, potwierdziła moje podejrzenia. Twoja matka jest już w innym świecie i najprawdopodobniej była w nim także wtedy, kiedy zawieźli ją na rozpoznanie zwłok. Tak sądziłem, choć brałem również pod uwagę to, że być może jej stan pogorszył się gwałtownie w krótkim okresie. Porozmawiałem więc z patologiem i poprosiłem go o zdjęcia z sekcji, na których zobaczyłem, że Francja nie jest już Francją, tylko bezkształtną plamką.

– Brawo ty...

Nie zareagowałem.

– To była pokazówka. Ustawka twoja i Osińskiego. Kazał wtedy wyjść patologowi, o czym też się dowiedziałem podczas wczorajszej wizyty. Po co? Żeby się nie zorientował, że twoja matka jest tam tylko ciałem, a nie duszą, że duszy już nie ma, bo zżarł ją alzheimer. I żeby nie trzeba było pobierać odcisków palców ze zwłok ani robić testów DNA. Podejrzewam, że Osiński nie chciał kolejny raz podmieniać próbek, bo bał się, że ktoś w końcu zapyta, czemu sam jeździ odbierać je do szpitala. Tak więc matka bez żadnych wątpliwości rozpoznaje ciało córki. W końcu jest matką, prawda? A kto zna córkę lepiej niż matka? Taak, zamiana ciał wychodzi wam perfekcyjnie, podmiana próbek do analizy DNA również. Prawie perfekcyjnie. Ale w tym wszystkim popełniliście jeden mały błąd, a właściwie dwa błędy. Pierwszy, że znalezionym w Odrze chłopakiem, który udawał tego twojego Greya. On nie był obrzezany, a twój Grey owszem. Ale rozumiem, że jak się nawet da szybko znaleźć kogoś o podobnej posturze i w podobnym wieku, to sprawdzenie, czy nie był obrzezany, stanowi pewien problem. A być może nawet o tym nie pomyśleliście i wpadliście na to, gdy już było za późno. Kiedy zdążyliście go już zabić... I mieliście nadzieję, że nikt się nie zorientuje. W końcu prawie nie przypominał człowieka. A może po prostu uznałaś, że to nieistotne?

– Skąd wiesz, że Marcin jest obrzezany? Od swojej córki?

Spojrzałem na nią ciężko, myśląc: nie waż się o niej wspominać, dziwko. Ale nie powiedziałem tego na głos.

– Rozmawiałem z matką twojego Greya. Już mi się trochę myli, bo ostatnio pan Grey występował jako kuzyn twojej matki. Tak mi powiedział pielęgniarz w domu seniora.

Podejrzewam, że wysyłałaś tam Bogutowicza, żeby sprawdzał jej stan, czy nagle coś się jej nie przypomni. Na przykład brak znamienia na boku. Taki błysk, który czasem, w najmniej oczekiwanym momencie zdarza się osobom chorym na alzheimera. Nie mogłaś sprawdzać sama, bo „nie żyłaś”... On, co prawda też, ale to podrzędny bandyta, a nie poległa policjantka, której zdjęcia obiegiły całą Polskę. Co, nie odważyłaś się polecić mu, żeby pomógł twojej matce opuścić ten świat? Wracając do matki Greya: Osiński nieźle ją urobił, ale przy mnie wylała swoje żale. Jak się postaram, to taki jestem do rany przyłóż, wyobraź sobie... I to ona mi powiedziała, że pan Grey od dziecka nie miał skórki.

Jej twarz pozostała bez wyrazu. Zaciągnęła się papierosem, mocno i długo, a kolejny kawałek czasu zniknął niepostrzeżenie. Następny cukierek wpadł do kieszeni fartuszka niegrzecznej dziewczynki.

– Nie nazywaj go tak. Ma na imię Marcin.

– Wiem, jak ma... – Urwałem. – ...Jak miał na imię, wyobraź sobie. Zdaje się, że moja córka uważała go za swoją wielką miłość... Podstawiłaś jej go zaraz po tym, jak nasze Biuro dostało polecenie zorganizowania spotkania w sprawie tego przemytu, co? Zanim jeszcze w ogóle w głowie Szewczyka pojawił się pomysł nazwy „Strela”. Zastanawiam się tylko, po co jej go podstawiłaś? Tylko po to, żeby uprawdopodobnić egzekucję? Zemsta bandziora na ojcu dziewczyny za brak akceptacji niemal pedofilskiego związku? I przypadkowa śmierć tej dziewczyny jako wypadek przy pracy? Nie wystarczyłoby ci, gdybym zginął wyłącznie ja? Miałem być kozłem ofiarnym, mieli znaleźć wizytówkę „Gaz-Techu” w moim biurku i dojść do wniosku, że maczałem w tym palce. Że to ja byłem gangsterską wtyką w policji... A równocześnie moja śmierć miała ten wątek bardzo zgrabnie zakończyć, prawda?

Nie zapanowałem nad goryczą, która wylała się ze mnie razem ze słowami. Skoro ja ją słyszałem, to Marta też musiała. Ale nie skomentowała tego. Na szczęście, bo walther wysuwał się z „motylka” naprawdę szybko i łatwo.

– Podrzędny gangster, przypadkiem zaplątany w transakcję narkotykową i znudzona życiem policjantka, żadna wrażeń i bogactwa. Dobrana z was para. I kozioł ofiarny, który w odpowiednim momencie zostaje wyeliminowany. Z tą wizytówką w moim biurku to był niezły pomysł, na szczęście znalazłem ją ja, a nie ci z BSW, bo utknęła w przewodnicy szuflady. – Spojrzałem na nią i zadałem nurtujące mnie pytanie: – Warto było dla niecałego miliona?

Zobaczyłem, jak szybko zerka w kąt pokoju, w stronę ładnej, bogato rzeźbionej komody, obok której leżała otwarta walizka, wypakowana górą ciuchów. Obok walizki stał jakiś plecak, na oko stulitrowy. Pewnie Bogutowicza. Widać szykowali się już do wyjazdu. Zdażyłem w ostatnim momencie...

– A drugi błąd? – zapytała Marta po dłuższej chwili zimnym głosem.

– Jeszcze chwilę porozmawiajmy o tym pierwszym. Nie popełniłaś podobnego ze swoim sobowtórem.

– Czyli?

Skrzywiłem się. Nagle zachciało mi się palić.

– Zacznijmy od tego: w sprawie zaginięcia chłopaka, którego wrzuciliście bez głowy do rzeki, toczyło się śledztwo...

Wydęła lekceważąco usta.

– Jasne że nikt go nie szukał – przytaknąłem jej myślom. – Przyjęli zgłoszenie, wrzucili zdjęcie i dane na stronę internetową i czekali, aż sam się znajdzie. Zadzzwoni, wróci do domu, jak zwykle... Ale mimo wszystko był zarejestrowany jako zaginiony. Miał rodziców. Ktoś się nim interesował, przynajmniej teoretycznie. A w końcu zainteresowałem się nim ja. Ale ta kobieta, którą wybuch w magazynie niemal rozerwał na kawałki... To była jakaś pijaczka, prawda? Wybraliście taką, której nikt nie będzie szukał, naprawdę nikt. Kolesie z meliny nie zgłoszą przecież jej zaginięcia na policję, no nie? Dopilnowałaś, żeby nikt się nią nie zainteresował... Domyślam się, że jakoś pozbawiliście ją przytomności. Pewnie uderzeniem w głowę. Musiała żyć w momencie wybuchu, ale nie mogła mieć w sobie środków farmakologicznych, inaczej patolog by się zorientował podczas sekcji. Było takie ryzyko, że zleci badania. Znikome, ale było. Ale braku znamienia nie policzę ci jednak jako błędu. Wiedziałem o nim tylko ja. Oczywiście spośród tych, którzy mieli potem ewentualnie oglądać twoje zwłoki... Może z wyjątkiem twojej matki, ale to, jak już ustaliliśmy, nie miało znaczenia. To teraz ten drugi błąd. Niby drobiazg, niby nawet niewart uwagi, ale jednak.

– No, detektywie?

Nie zareagowałem na zaczepkę, tylko gadałem dalej. Opowiadałem to jej i równocześnie sobie, układając po kolei wydarzenia, które teraz dopiero okazywały się mieć ukryte znaczenie.

– Dziwne pytanie, które zadałaś Heni. O moją broń służbową. Miało służyć jednemu; wprowadzeniu zamieszania. Wymienieniu mojego nazwiska w dziwnym kontekście. Ktoś miał zapamiętać, że o to pytałaś, przyszli nawet „tajniacy” sprawdzić sejf. Przyszli dopiero po twojej dziwnej uwadze. To miało wzbudzić niepokój w momencie, w którym okaże się, że wszystkie pociski są takie same i że w sprawę zamieszany jest policjant. Być może ja. Nie miało znaczenia, że to nie z mojej broni zastrzelono tych wszystkich ludzi i o mało co mnie... To miał być tylko mały kamyk, który wzruszy lawinę: jak ta wizytówka... Ale to pytanie o broń nie miało sensu w TAMTEJ chwili. Żadnego sensu. Znowu przekombinowałaś. – Nie wspominałem, że jej plan się częściowo powiódł, bo Zalisz kazał mi przecież zdać broń.

Marta zgasiła papierosa. Zrobiła to na blacie stołu, mimo że popielniczka stała niedaleko, wystarczyło podnieść się z krzesła, pochylić się i sięgnąć po nią. Zamiast tego demonstracyjny gest „nic już nie jest ważne”. Przesunęła niedopałek gdzieś na przeciwległy skraj stołu, wstała i podeszła do mnie powoli.

– Pewnie chcesz wiedzieć dlaczego? – zapytała.

Ledwo powstrzymałem się, żeby nie zrobić kroku w tył.

– Nie chcę – powiedziałem znużonym tonem. – Nie chcę wiedzieć. Jak mawiała moja córka, kiedy żyła: mam na to wyjebane... Mam to gdzieś, Marta, rozumiesz? Mam to, kurwa, gdzieś... Gdzieś...

Powtarzałem się. Dopiero teraz poczułem, jak bardzo jestem zmęczony. Ale równocześnie byłem zaskoczony tym, co przed chwilą powiedziałem. Bo to była prawda. Kiedy wreszcie osiągnąłem cel, byłem tak zmęczony, że nawet nie miałem siły się cieszyć. Zamiast tego ogarnęło mnie znużenie.

Marta zbliżyła się do mnie na odległość oddechu. Poczułem go na policzkach i czole. Był ciepły i śmierdział papierosami. Owionął mnie i przed oczami stanął mi inny obraz jej twarzy. Wykrzywionej w spazmie rozkoszy, kiedy mnie dosiadła i dysząc mi nad głową, i kurczowo zaciskając palce na moich ramionach, jęczała: „dajesz, dajesz”. Zdałem sobie sprawę, jak to „dajesz, dajesz” mnie wkurwiało. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero teraz.

A to, że przed chwilą dopuściłem do siebie tak niebezpieczną osobę na tak małą odległość, nie było zbyt mądre. To była wręcz głupota. Czysta głupota. Ale to też miałem gdzieś. Miałem na to wyjebane. Odwróciłem lekko głowę w bok.

– Wiesz, jak to jest żyć wśród durni i miernot? – zapytała Marta, studiując wzrokiem moją twarz. – Życ w systemie, który niczego nigdy ci nie da, a któremu ty musisz dawać całego siebie? Życ w przekonaniu, że cała twoja walka tak naprawdę niczemu nie służy, a tylko wypala cię od środka? Że kiedy cię wykopią, to ten kop sprawi, że rozpadniesz się na kawałki jak skorupka; pusta, wypalona od środka skorupka, którą w istocie jesteś? Wiesz, jak to jest?

Wciąż patrząc mi w oczy z delikatnym uśmiechem błakającym się na wąskich czerwonych ustach, lekko przekrzywiła głowę. A więc winni jednak się uśmiechają. Położyła mi dłoń na klatce piersiowej, przykrywając mikrofon. Mogłem się domyślić, że się zorientuje. Jej dłoń była lodowata, czułem to przez koszulę. Odruchowo zacisnąłem pachę, pod którą miałem kaburę.

– Wiesz, jak to jest, Darek – odpowiedziała za mnie cicho, ale dobitnie. – Znasz dobrze to uczucie. Więc pewnie mnie zrozumiesz, kiedy powiem ci, dlaczego to zrobiłam...

Poczułem, jak lekko unosi się na palcach stóp, a jej dłoń jeszcze mocniej uciska moją pierś. Oparła się o mnie, zbliżyła swoje usta do mojego ucha i wyszeptała:

– Bo mogłam.

Opadła na pięty i zdjęła rękę z mikrofonu.

Wiedziała, co robi. Podczas całej naszej rozmowy, z wyjątkiem tego momentu sprzed chwili, nie powiedziała nic, co mogłoby się obrócić przeciwko niej. Nie potwierdziła niczego, zadawała tylko pytania, które mogły być naturalne. Chore zainteresowanie, ale jednak tylko zainteresowanie. Słowa: „Tak, zrobiłam to, zabiłam” nie padły.

„Bo mogłam...”

Hmm, z tego samego powodu pies liże sobie jaja. Bo może...

Stała przede mną i patrzyła kpiąco, czekając na mój ruch.

– Widzę, że dobrze się bawisz – powiedziałem obojętnie. – Ale ja trochę mniej. Dla mnie nie ma w tym wszystkim nic zabawnego. Zabiłaś mi rodzinę...

– Och, jakież pan nagle zrobił się rodzinny! – zachnęła się, odstępując ode mnie o krok. – I kochający! Kiedy mnie rznąłeś, pewnie miałeś przed oczami swoją najukochańszą żoneczkę, co? Córeczkę też tak mocno kochałeś jak żonkę? Odpowiedz mi!

– Co z ciebie za suka? Zabiłaś kilkoro ludzi, i to z najniższych, kurwa, możliwych pobudek, a wyrzujesz mi skok w bok i...

Urwałem. To nie miało sensu. To było jak kłótnia starego, niedobrego małżeństwa, którego nie łączy już nic z wyjątkiem wspólnego adresu i dożywającego swych dni psa albo kota. Patrzyłem na nią i nie mogłem opanować obrzydzenia. Musiałem mieć je wypisane na twarzy. Obrzydzenie do niej. I trochę do siebie. Może dlatego, że miała sporo racji.

Nie jestem dobry...

Uznałem, że starczy tej szopki. W końcu formalnie wciąż byłem gliną, chociaż tego, co zamierzałem zrobić, nie robiłem ze dwadzieścia parę lat.

– Marto Kielan, zostaje pani zatrzymana do dyspozycji prokuratury...

Znów się uśmiechnęła i zbliżyła do mnie o mały krok. Zrobiła go tanecznie i z wdziękiem. Jak to ona.

– Naprawdę pozwolisz, żeby więzienne lesby dostały mnie w swoje łapy?

Miała minę małej, skrzywdzonej dziewczynki. Robiła to świadomie i z pewnością nie na pokaz. Bawiła się tym. Może i liczyła na to, że pozwolę jej uciec, ale jednak bawiła się. Ze mną. Przez cały czas. Proszę bardzo, pobawmy się przez chwilę razem.

– Przecież nie dam ci się zastrzelić na moich oczach – powiedziałem z niemal przepraszającym uśmiechem na ustach. – Sam też nie oddam ci tej przysługi. Zostają ewentualnie inne sposoby, zapytasz o to swoje nowe koleżanki spod celi. Tam będziesz miała wolną wolę i rękę, przynajmniej teoretycznie. Ale powiem ci jedno: z dwojga złego zawsze lepiej mieć kij od szczotki do kibla w dupie niż pocisk w głowie – dodałem filozoficznie. – Takie jest moje skromne zdanie w tej sprawie, choć doświadczenie mam wyłącznie w tej drugiej części.

Skrzywiła się.

– Nigdy nie lubiłam wulgarnych mężczyzn.

– Ja też. Zastanawiam się, czy ty w ogóle lubisz mężczyzn?

Spojrzała na mnie, uśmiechając się kącikiem ust.

– Długo ci zeszło, żeby to pojąć. Długo...

– Możliwe. W takim razie nie powinnaś się martwić, bo w najbliższym czasie, najdalszym zresztą też, w twoim otoczeniu nie będzie ich za dużo.

Wreszcie ją ruszyło. Przemądrzały, świadczący ewidentnie o napawaniu się przewagą i niezbyt odkrywczy tekst, którym rzuciłem, w ułamku sekundy przeobraził ją w kogoś, kim naprawdę była. Zimną, wyrachowaną, utkaną z pozorów szmatą.

– Z początku, kiedy okazało się, że masz amnezję... – wysyczała szeptem – ...byłam nawet zadowolona, że przeżyłeś. Martwy kozioł ofiarny jest dobry, ale żywy w takim stanie jak ty jeszcze lepszy. Teraz dochodzę do wniosku, że powinnam była jednak pozwolić Marcinowi dobić cię tam, w szpitalu. Im szybciej, tym lepiej.

– Trochę spóźniony ten wniosek. Rozumiem, że wydarzenie na przystanku tramwajowym to wynik zmiany zdania. Tak, teraz tak sobie myślę, że to miało znamiona nieco panicznego działania. Tak na marginesie, ta amatorszczyzna tylko utwierdziła mnie w przekonaniu, że Bogutowicz nie działa sam, tylko jest ktoś, kto wydaje mu polecenia. Powinnaś była wydawać je precyzyjnie. Osiński przed popełnieniem samobójstwa wyznał wam, że zaczynam domyślać się prawdy, co? I musieliście zorganizować coś na szybko? Masz rację, trzeba było to zrobić od razu w szpitalu. Dobić mnie. Bogutowicz też pewnie tego żałował, tam w ogrodzie, kilka minut temu. Jeszcze bardziej niż ty.

– Skurwysyn...

Nie jestem dobry...

– I owszem – przyznałem z szerokim uśmiechem. – Pasowaliśmy do siebie, wiesz? Odrobinę.

Odwróciłem się, kiedy usłyszałem jakiś szmer za sobą. Do środka, przez te same drzwi, z których skorzystałem ja, wszedł Jacek Mołczun. Sam pierwszy zastępca komendanta wojewódzkiego.

– Wystarczy już, Darek – powiedział.

To naprawdę dziwne uczucie, widzieć swojego kumpla, dobrego kumpla, trzymającego w ręku broń, w dodatku wymierzoną w twoim kierunku. Tak dziwne uczucie, że dopiero po dłuższej chwili mój mózg zarejestrował ten widok.

– Po co ci to? – zapytałem podejrzliwie.

Jacek patrzył na mnie smutno, lekko kręcąc głową.

– Stary a głupi. Ty się mnie pytasz po co? Bo ktoś tu musi myśleć za ciebie, idioto. Ta niebezpieczna suka zabiła kilkoro ludzi, a ty się z nią obściskujesz jak za starych dobrych czasów. Wszystko słyszeliśmy, nie musiałeś podchodzić do niej tak blisko. Niech ktoś ją skuje i zabierze mi z oczu – rzucił za siebie do jednego z policjantów, który pojawił się za jego plecami nie wiadomo skąd.

Przez okno zobaczyłem nagle migające niebieskie refleksy. Zapatrzyłem się w nie. Zakończenie jak z tandetnego kryminału. Kiedy odwróciłem wzrok od okna, Marty już nie było. Nawet lepiej mi się teraz oddychało.

– W ogrodzie leży Bogutowicz – powiedziałem cicho.

– Wiem. Gratuluję, udało ci się go nie zabić. Chyba właśnie go zabierają do szpitala. – Wskazał podbródkiem okno, za którym niebieskie światła powoli rozplýwały się w mroku.

Czyli jednak nie tak tandetnie, jak myślałem.

– Nie zdążyłem go zapytać dlaczego – powiedziałem cicho do Jacka, wciąż wpatrując się w ciemne okno. – Chyba nawet przestałem chcieć wiedzieć dlaczego...

– Prokurator go zapyta – odpowiedział Mołczun.

Odwróciłem głowę od okna i spojrzałem na niego zmęczonym wzrokiem.

– Dzięki. – Zatoczyłem ręką wokół siebie, wskazując wewnątrz domu. – Dzięki za to, że mi pozwoliłeś skończyć to w ten sposób.

– Nie ma sprawy. Ale w pewnym momencie myślałem, że będziemy musieli ostro wejść. To naprawdę nie było mądre...

– Możliwe – przyznałem niechętnie. – Teraz już mi wierzysz, że to nie Bogutowicz był tym trupem znalezionym w Odrze?

Jacek skinął głową. Nabrałem w płuca dużo powietrza.

– To on naściągał do magazynu butle, beczki i kanistry. Był na miejscu, wykorzystał sytuację, kiedy zaczęła się strzelanina, pozabijał koleś, zabrał kasę i prochy i spowodował wybuch, rozpieprzając w pył swoich martwych kolegów, naszych kolegów oraz akcję „Strela”. A potem pewnie uciekł drogą, którą wskazała mu Marta. Przecież znała szczegóły akcji, wiedziała, gdzie będą policjanci, a gdzie ich nie będzie...

Gadałem jak nakręcony, rzucając informacjami, które Mołczun już przecież znał. Powoli schodziło ze mnie napięcie. Jacek klepnął mnie w ramię i zaczął kręcić się po domu. Usiadłem na krześle przy stole i patrzyłem, jak zaczyna się typowe przedstawienie. Dochodzeniowcy, technicy kryminalistyczni, jeszcze dwie szychy z KWP i gbur z BSW. Zupełnie jakby to tu, w tym miejscu, popełniono zbrodnię...

Pozwolili mi wyjść, i to całkiem szybko. Nie musiałem zostawać, składać zeznań, jechać

do komendy, niczego podpisywać. Odłożyliśmy to na później, w końcu byłem inwalidą po przejściach, w dodatku policyjnym inwalidą, poza tym było już późno i w ogóle. Więc po prostu wstałem od stołu, wziąłem spod komody plecak i przez nikogo nie zatrzymywany pojechałem do domu odpocząć.

* * *

Spuszczenie w toalecie pięciu kilogramów kokainy nie jest taką prostą sprawą, jak mogłoby się wydawać. Sracz zatyka się co chwila, kiedy nieostrożnie przesadzi się z ilością białego proszku, wsypywaną tam za jednym razem. Robi się z niego wtedy ciężka, mokra breja oblepiająca muszlę i przywierająca do niej równie mocno i dokładnie jak gówno, którym w istocie jest. Nawet szczotka do kibla niewiele pomaga. Taak, to naprawdę nie jest prosta sprawa. Nie miałem poczucia, że spławiam do Odry prawie milion złotych. W hurcie, bo w detalu jej wartość była o wiele większa. Wartość rzeczy jest sprawą bardzo subiektywną, dla mnie ten towar był kupą białego, bezużytecznego proszku, wartego tyle, ile będzie mnie kosztował rachunek za wodę, którą zużyłem do spuszczenia go w muszli. Przecież nie sprzedam kokainy na ulicy, no nie?

Podobnie nie jest łatwą sprawą przekonanie paru pijaczków z miasta, żeby przeszli się do kilku banków i wpłacili na konto Marty w sumie dwadzieścia tysięcy euro. Przy wpłacie takich sum banki są mniej podejrzliwe niż przy wypłacie, to zrozumiałe. Wpłata kilku tysięcy euro na konto bankowe była dla tych steranych życiem alkoholików niespotykanym doświadczeniem i atrakcją, która nie mogła równać się z niczym innym. No i dałem im zarobić, i to całkiem sporo. Chodziłem do banków z nimi, czekając pod budynkiem i zerkając przez szybę, czy siadają przy stanowisku i oddają pieniądze, a potem skrupulatnie studiowałem potwierdzenie wpłaty. Pieniądze, a zwłaszcza duże pieniądze potrafią sprawić, że człowiekowi przychodzą do głowy różne głupoty, przykład nie był odległy, czekał na proces w areszcie śledczym. Zaraz po tym, jak zakończyłem wycieczki do banków, zgoiliłem zapuszczaną przez trzy tygodnie brodę, a tanie okulary w charakterystycznych grubych oprawkach, które kupiłem w kiosku, zniszczyłem i wyrzuciłem gdzieś w Lesie Arkońskim, dokąd poszedłem na długi spacer. Nikt nie zgłosił w banku „śmierci” Marty, konto wciąż było aktywne, a przez kilka, kilkanaście tygodni od aresztowania nikt jeszcze nie wnika, co się z nim dzieje. Oczywiście śledczy ustalą, że wpłat dokonano już po jej aresztowaniu, ale chodziło mi o to, żeby po pierwsze nikt za bardzo nie interesował się, co naprawdę stało się z resztą pieniędzy, a po drugie, żeby narobić trochę bałaganu, który zaciemni całą sprawę i nie postawi Marty w najlepszym świetle w oczach prokuratora. Zrobiłem to samo co Marta, pytając o moją broń w sejfie: zaciemniłem obraz.

Reszta forsy też się nie zmarnuje. Znam takich, którym się przyda. Zawsze można przecież zapakować kilkanaście banknotów do koperty i wrzucić ją do skrzynki na listy jakiejś ubogiej rodziny. Każdy potrzebuje czasem w życiu dreszczyku emocji. Byle tylko nie przesadzić, jak Marta. Wciąż nurtuje mnie, dlaczego nie uciekła z kraju. Dlaczego nie zniknęła.

Okazało się, że miała dowód osobisty kobiety, którą zabili dla upozorowania śmierci mojej kochanki. Tam, w domu rodzinnym Marty, miałem rację, to była jakaś alkoholiczka

z Niebuszewa. Były do siebie całkiem podobne, prawie jak siostry. Mogła z tym dowodem funkcjonować gdziekolwiek, znała angielski i niemiecki. Ale nie wyjechała, nie zniknęła, tylko zamknęła się w odludnym domu swojej matki, skazując na dobrowolne więzienie. Dlaczego? Mogłem tylko zgadywać. Ale myślałem trochę nad tym. I doszedłem do wniosku, że tak naprawdę Marta kochała tylko swoją matkę. Nie mogła jej zostawić, nawet wiedząc, że w domu seniora ma zapewnioną opiekę. Nie wysyłała Bogutowicza, żeby sprawdzał jej stan w obawie przed tym, że coś sobie przypomni. Uświadomiłem to sobie, wspominając po raz któryś z kolei rozmowę w domu w Podjuchach: słowa Marty o tym, że mogła mnie zabić, ale tego nie zrobiła, bo miałem amnezję. Skoro nie zakładała, że ja sobie coś przypomnę, tym bardziej nie obawiała się tego u matki, której stan i tak był znacznie gorszy niż mój. Chciała po prostu wiedzieć, że wszystko z nią w porządku. Była świadoma jej stanu, więc czekała z uciezką, aż umrze. Aż zniknie jedyny czynnik, który trzymał ją na miejscu. Kto by pomyślał, że w Marcie drzemało coś pozytywnego...

Wracając do mnie: cóż, nie mam złudzeń, że rozdanie części kasy potrzebującym w jakikolwiek sposób naprawi błędy z mojej przeszłości. Błędy, których już nie można naprawić. Wciąż nie radzę sobie do końca sam ze sobą, choć sesje z Mileną zaczynają powoli przynosić efekty. Zawsze kończą się tak samo: ja zapraszam ją na obiad, a ona odmawia. To taki nasz rytuał. Policyjny rencista smalący cholewki do atrakcyjnej psycholożki, tak może to wyglądać. Chyba powoli wracam do normy, wychodzi ze mnie typowy samiec. Żenada, ale ten rytuał też jest elementem mojej rekonwalescencji, na równi z rozmową z Mileną. Lubię te rozmowy, wciąż przynoszą ukojenie. Ale nie do końca... Wciąż zdarzają się chwile, które są czarne jak noc, pełne zwątpienia w sens tego wszystkiego, przeraźliwie puste i samotne. Śmiertelnie groźne...

Siedzę w swoim samochodzie na parkingu Probstheide przy autostradzie A11. To jedna z tych chwil zwątpienia, kiedy na szali kładę swoje życie: dotychczasowe i przyszłe. Jestem sam. Pada deszcz. Wtedy świeciło piękne słońce, teraz to pamiętam. Pamiętam to wspomnieniem tamtej chwili, a nie wspomnieniem kadrów z filmu monitoringu, który oglądałem w szpitalu. To też przypomniałem sobie we śnie. Wtedy świeciło słońce, a dziś leje, jakby zaraz świat miał znów nawiedzić biblijny potop. Na autostradzie ruch niemal ustaje z powodu zerowej widoczności, wycieraczki samochodów nie nadążają, z kretelem przegrywając walkę z ulewą.

Siedzę w samochodzie, z wewnętrznym, głębokim przekonaniem, że musiałem tu przyjechać. Po prostu musiałem zobaczyć to miejsce jeszcze raz. Tym razem po raz ostatni. Za ścianą wody i za otaczającym parking lasem, jeszcze przed Bernau, znajduje się mała miejscowość Waldfrieden. Jej mieszkańcy idą na zakupy, do szkoły, wsiadają w samochód, żeby skoczyć do Berlina na koncert, jedzą obiad, kochają się i nienawidzą. Żyją. Ja jestem sam. Na siedzeniu obok leży moja broń służbowa, którą zabrałem z sejfu w pracy. Jest już przeładowana, nabój tkwi w komorze, tylko bezpiecznik dzieli mnie na razie od śmierci. Ulewa zelżała nieznacznie, już nie bombarduje szyb i blach hektolitrami wody niczym w szalonej, iście wagnerowskiej próbie zniszczenia świata, ale wciąż się nie poddaje. Widzę, jak wielkie, ciężkie krople deszczu spływają po przedniej szybie. Prześcigają się wzajemnie w krętym, powolnym ślizgu w dół i łączą się ze sobą na piórach nieruchomych wycieraczek. Potem płyną strumieniem wzdłuż nich, aż dotrą do wytłoczeń w karoserii i dołączą wreszcie do poprzednich kropel, gromadzących się nieustannie w wielkich kałużach pod samochodem. Za rozmytą strugami wody szybą widzę budynek toalety. Tu zginęła moja rodzina. I ja też, przynajmniej częściowo. Czuję, jak łyzy, wielkie, jak te krople na szybie, spływają mi po policzkach.

Nie jestem dobry...

Nie jestem dobry, ale zastanawiam się.

Zastanawiam się, czy jest sens wracać do Szczecina, posprzątać dom, konsekwentnie próbować zaprosić Milenę na obiad i żyć dalej ze stoma tysiącami euro „oszczędności”.

Zastanawiam się, czy żyć dalej, mimo wszystko, czy po prostu włożyć sobie lufę walthera w usta i pociągnąć za spust.

Zastanawiam się, co będzie prostsze i lepsze. Dla mnie i dla innych. I niezależnie od tego, jaką decyzję podejmę, jestem na tym parkingu ostatni raz.

Siedząc w samochodzie, w którym zabito mi żonę, wpatruję się w mokry asfalt, na który upadła i na którym zmarła moja córka. Siedzę tak, patrzę i zastanawiam się, co zrobić z pierwszym dniem reszty swojego życia...

KONIEC

Szczecin/Pilchowo, styczeń–czerwiec 2016

OD AUTORA

Chciałbym serdecznie podziękować kilku osobom, które mają swój niezaprzeczalny udział w powstaniu tej książki. Przede wszystkim oficerom KWP w Szczecinie: Panu inspektorowi Robertowi Barańskiemu, radcy w KWP w Szczecinie, pełniącemu funkcję analogiczną do tej, którą pełni bohater *Niepamięci*. To chyba jedyne podobieństwo między Wami, przynajmniej taką mam nadzieję! Dzięki za przedstawienie realiów współpracy międzynarodowej i za pozostałe konsultacje. Panu komisarzowi Przemkowi Kimonowi, rzecznikowi KWP, za uprzejme i profesjonalne reakcje na moje dziwne pytania zadawane o różnych, najmniej spodziewanych porach dnia (na szczęście tylko dnia). Oraz nieocenionemu podinspektorowi Sylwkowi Szczupakowi, jak zwykle. Pani prokurator Małgorzacie Wojciechowicz, rzecznik szczecińskiej Prokuratury Okręgowej, za to samo. Specjaliście medycyny sądowej Oktawianowi Knapowi – jeśli coś przekręciłem, to bardzo Cię przepraszam i przy okazji wyjaśniam wszystkim, że to wyłącznie moja wina, podyktowana najwyraźniej chęcią dopasowania rzeczywistości do moich teorii! Dziękuję sympatycznej pani z firmy „Linde” Gazy Techniczne, z którą wspólnie knuliśmy niecny plan, choć oczywiście czysto teoretycznie. Dziękuję również pani Monice za Milenę i Basi za pomoc z komunikatorami.

Oraz, jak zwykle, mojej osobistej konsultantce, można rzec, z branży medycyny rodzinnej.

Sala odpraw (dziś sala tradycji) KWP w Szczecinie w czasie odprawy, którą jesienią 2014 zorganizował Suder w sprawie „Streli”, w tym czasie jeszcze nie funkcjonowała w obecnej postaci. Renowacja KWP dopiero się zaczynała, pruskiego orła na drewnianym stropie odkryto bodaj w styczniu 2015 (miałem okazję być tam podczas robót renowacyjnych), ale nie mogłem się oprzeć, żeby umieścić tę piękną salę w mojej opowieści. Jest tego warta, jest warta opisania, a przede wszystkim – zobaczenia. Wciąż mam nadzieję, że orzeł przetrwa i nie zostanie zamalowany podczas jakiejś szalonej akcji niszczenia wszystkiego, co nienarodowe. A takie rzeczy niestety wciąż się zdarzają, bo niektórzy wciąż nie potrafią pogodzić się z tym, że Szczecin jest polski dopiero od siedemdziesięciu lat.

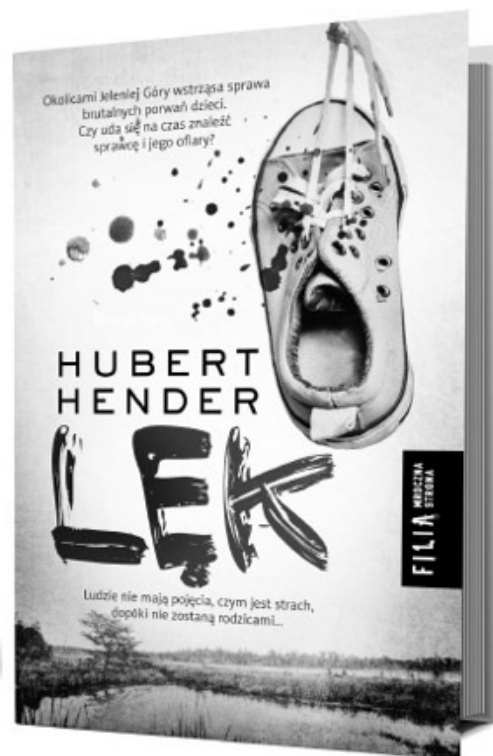
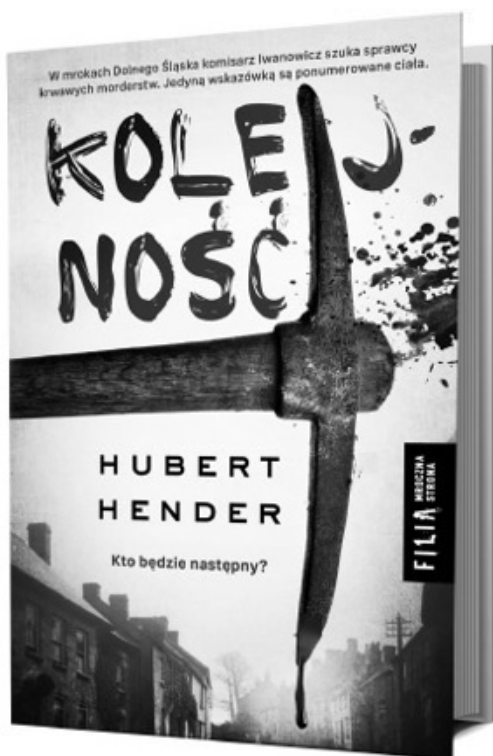
Sytuacja z tablicą rejestracyjną i telefonem do starostwa mogłaby się wydawać mało wiarygodna, za to bardzo wygodna dla fabuły, gdyby nie fakt, że przydarzyła się naprawdę, a ja nie słyszałem o tym od kogoś, tylko sam wykonałem taki telefon do jednego z wydziałów komunikacji w naszym województwie. Byłem pewien, że znalezioną przeze mnie na poboczu tablicę zgubił któryś z okolicznych mieszkańców, więc oczywiście zaproponowałem pani, że oddam ją sam. Ucieszyła się, podała mi adres, a ja dopiero później uświadomiłem sobie, co zrobiła. Ciekawe, czy ona też?

Mam nadzieję, że moja opowieść była zajmująca. Nie ukrywam, grałem schematami

i kliszami, ale taki był plan. To taki hołd dla gatunku, który uwielbiam i którego realia postanowiłem osadzić w moim rodzinnym Szczecinie. No i polubiłem Sudera. Nie jest kryształowy, ma wady, ale się zmienił. Szkoda tylko, że żeby mógł zmienić się na lepsze, musiało zdarzyć się to wszystko. Kiedy kończyłem *Niepamięć*, sam jeszcze nie wiedziałem, czy Suder jest materiałem na kolejne opowieści. Może tak, bo w końcu facet ma potencjał, a może warto jednak zostawić go już w spokoju. Teraz wiem: nie warto, a przynajmniej taką mam nadzieję. I mam nadzieję, że spotkamy się znów niebawem: Suder, ja i Wy – Czytelnicy...

Pozdrawiam,

Stelar



KOLEJNOŚĆ

W mrokach Dolnego Śląska
komisarz Iwanowicz szuka sprawcy
krwawych morderstw.
Jedyną wskazówką są ponumerowane ciała.

LĘK

Okolicami Jeleniej Góry wstrząsa sprawa
brutalnych porwań dzieci.
Czy uda się na czas znaleźć
sprawcę i jego ofiary?



mrocznastrona.pl

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[* * *](#)

[**PRZED**](#)

[**PO**](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[OD AUTORA](#)

[Reklama](#)

[Karta redakcyjna](#)

PODINSPEKTOR SUDER NIE MA JUŻ NIC DO STRACENIA.
ZOSTAŁA MU TYLKO ZEMSTA.

MAREK
STELAR
NIEPAMIĘĆ



FILIA